

KLASYKA WSPÓŁCZESNOŚCI

Droga do Indii

Z angielskiego przełożyli

Krystyna Tarnowska

Andrzej Konareh

Q

Świat Książki

Rozdział 1

Jeśli nie liczyć Grot Marabarskich - odległych o dwadzieścia mil - miasto Czandrapur nie wyróżnia się niczym nadzwyczajnym. Raczej obrzeżone przez Ganges niż omywane jego falami, ciągnie się dwie mile wzdłuż brzegu, prawie nie do odróżnienia od nieczystości, jakimi rzeka tak szczerze szafuje. W dzielnicy nadbrzeżnej brak stopni ułatwiających kąpiel, bo tak się składa, że Ganges w tym miejscu nie jest święty; prawdę mówiąc, nie ma tu w ogóle dzielnicy nadbrzeżnej, a bazyry zasłaniają rozległą, zmienną panoramę rzeki. Ulice są nędzne, świątynie nijakie i chociaż jest trochę ładnych domów, są one ukryte w ogródach lub śródmiejskich zaułkach, które odstraszały swym brudem wszystkich prócz specjalnie zaproszonych gości. Czandrapur nigdy nie było duże ani piękne, ale dwieście lat temu leżało na szlaku między Indiami Górnymi, wówczas cesarskimi, oraz morzem, i te ładne domy pochodzą z tamtego okresu. Ów zapął do ozdabiania miasta przygasł w osiemnastym wieku, zresztą nigdy nie odznaczał się demokratyzmem. Na bazarach nie ma malowideł i prawie nie ma rzeźb. Nawet samo drzewo wydaje się ulepione z mułu, a mieszkańcy z mułu, który się porusza. Wszystko, na czym spocznie oko, jest tak przyziemne, tak monotonne, że kiedy Ganges spada na miasto, może się wydawać, że spłucze całą tę narośl z powrotem do ziemi... Domy istotnie się wałą, ludzie toną, a ich ciała się rozkładają, ale ogólny zarys miasta trwa nadal, pęczniąc w jednym miejscu, kurcząc się w innym, niby jakaś niższa, ale niezniszczalna forma życia.

7

Dalej od rzeki perspektywa się zmienia. Jest tam owalny majdan* i szpital o murach

brudnożółtawej barwy. Domy Eurazjatów stoją na wzniesieniu przy stacji kolejowej. Za torami - które biegną równolegle do rzeki - grunt się obniża, a potem znowu wznosi, i to dość stromo. Na tym drugim wzniesieniu rozłożyła się mała dzielnica rządowa i stąd oglądane Czandrapur wydaje się zupełnie inną miejscowością. To miasto ogrodów. To nie miasto, to las z rzadka usiany chatami. To tropikalny ogród rozkoszy, omywany wodami majestatycznej rzeki. Palmy todody i drzewa nim, i mangowce, i drzewa pipalu**, które były ukryte za bazarami, są teraz widoczne i same z kolei zasłaniają bazary. Wznoszą się ponad ogrody, gdzie czerpią pokarm ze starodawnych zbiorników, wyłamują się z dusznego otoczenia, uciekają od niepozornych świątyń. Szukając światła i powietrza, a obdarzone większą mocą niż człowiek i jego dzieła, wzbijają się w górę ponad niższe złoża, gdzie pozdrawiają się gałęzmi i kłaniają listowiem i gdzie tworzą istne miasto dla ptaków. W szczególności po deszczach dają schronienie wszystkiemu, co przelatuje poniżej, ale o każdej porze roku, nawet poźółkłe i bezlistne, dodają miastu chwały w oczach Anglików, którzy zamieszkują to wzniesienie, a nowo przybyli nie mogą uwierzyć, że jest ono tak nędzne, jak się je opisuje, i trzeba ich zwieźć na dół, żeby przeżyli swoje rozczarowanie. Sama dzielnica rządowa nie wzbudza żadnych emocji. Nie urzeka, ale nie odpycha. Jest rozsądnie pomyślana, na pierwszym planie wznosi się budynek klubowy z czerwonej cegły, dalej jest sklep spożywczy i cmentarz, a wille stoją przy ulicach przecinających się pod kątem prostym. Dzielnica sama w sobie nie jest brzydka, ale piękny jest tylko widok; z miastem nie łączy jej nic prócz sklepionego nieba.

Niebo także podlega pewnym przemianom, ale są one mniej widoczne niż przemiany roślinności i rzeki. Chmury znaczą je różnymi wzorami, ale zazwyczaj tworzy kopułę zlewających się odcieni, a przeważającym jest błękit. We dnie błękit płowieje i przechodzi w biel, tam gdzie styka się z białością ziemi, po

* Majdan - plac. ** Pipal - święte drzewo figowe Hindusów.

zachodzie ma jakby nowy obwód - pomarańczowy, rozplywający się ku górze w najdelikatniejszą purpurę. Ale rdzeń błękitu trwa nadal, i tak jest nawet w nocy. Gwiazdy zwisają wtedy na kształt lamp z olbrzymiego sklepienia. Odległość między nimi i sklepieniem jest niczym wobec przestrzeni za nimi i tych jeszcze dalszych przestrzeni, które, choć poza wszelką barwą, same są wreszcie wolne od błękitu.

Niebo decyduje o wszystkim - nie tylko o klimacie i porach roku, lecz i o tym, kiedy ziemia ma być piękna. Sama przez się niewiele może zdziałać - najwyżej zrodzi nędzne kwiaty. Ale gdy niebo tego zapragnie, chwała spływa do czandrapurskich

bazarów, błogosławieństwo obejmuje wszystko od horyzontu do horyzontu. Niebo zdolne jest tego dokonać, ponieważ jest tak silne i bezmierne. Siła pochodzi od słońca, które sączy się weń codziennie, ogrom -z rozpostartej poniżej ziemi. Żadne góry nie naruszają widnokregu. Mila za milą ziemia ciągnie się płasko, faluje odrobinę, jest znowu płaska. Jedynie na południu, gdzie stłoczone jedno obok drugich pięści i palce przebijają grunt i sterczą ku górze, w nieskończonym obszarze powstaje przerwa. Te pięści i palce to Wzgórza Marabar-skie, w których są owe niezwykle jaskinie.

Rozdział 2

Zostawiając rower, który przewrócił się, zanim służący zdołał go pochwycić, młody człowiek jednym skokiem znalazł się na werandzie. Był niezwykle ożywiony.

- Hamidullah, Hamidullah! Czy się spóźniłem?! -wykrzyknął.

- Nie przepraszaj - powiedział gospodarz. - Zawsze się spóźniasz.

- Zechciej uprzejmie odpowiedzieć mi na pytanie. Czy się spóźniłem? Czy Mahmud Ali zdążył wszystko zjeść? Jeśli tak, idę gdzie indziej. Jak pan się ma, panie Mahmud Ali?

- Dziękuję, doktorze Aziz, właśnie umieram.

- Umiera pan przed kolacją. Och, biedny Mahmud Ali!

- Tu obecny Hamidullah właściwie już nie żyje. Wyzionął ducha w chwili, kiedy pan podjeżdżał rowerem.

- Tak, to prawda - oznajmił tamten. - Spróbuj sobie wyobrazić, że obaj przemawiamy do ciebie z innego, szczęśliwszego świata.

- Czy w tym waszym szczęśliwszym świecie jest przypadkiem coś takiego jak nargile?

- Aziz, przestań paplać. Prowadzimy bardzo smutną rozmowę.

Nargile, jak zwykle w domu jego przyjaciela, były nabite zbyt

mocno i bulgotały nadąsane. Mówił do nich przymilnie. Ustąpiwszy w końcu, tytuń trysnął w górę do jego płuc i nozdrzy, wypędzając z nich dym płonącego krowiego nawozu, którym się napełniły, gdy Aziz przejeżdżał przez dzielnicę bazarów. Było cudownie. Leżał w transie, zmysłowym, lecz zdrowym, w którym rozmowa tamtych dwóch nie wydawała mu się szczególnie smutna - roz-trząsali, czy jest rzeczą możliwą przyjaźnić się z Anglikiem. Mahmud Ali dowodził, że nie, Hamidullah protestował, ale z tylo-ma zastrzeżeniami, że nie było między nimi sporu. To naprawdę cudowne, leżeć tak na obszernej werandzie, kiedy przed tobą wschodzi księżyc, a za tobą służba przygotowuje kolację, i kiedy nie dzieje się nic przykrego.

- No cóż, weźmy choćby moje własne doświadczenie z dzisiejszego ranka.

- Ja tylko utrzymuję, że to jest możliwe w Anglii - odpowiedział Hamidullah, który był tam bardzo dawno, przed wielką falą wyjazdów, i został serdecznie przyjęty w Cambridge.

- Tutaj to niemożliwe. Aziz! Ten czerwono nosy młokos znowu obraził mnie w sądzie. Nie mam do niego żalu. Powiedziano mi, żeby mnie znieważał. Do niedawna był całkiem miły, ale tamci wzięli go w ręce.

- Tak, oni tu nie mają żadnej szansy, taka jest moja teza. Wyjeżdżają z postanowieniem, że będą się zachowywali jak dżentelmeni, ale dowiadują się, że to nie jest właściwy sposób. Weź Lesleya, weź Blakistona, teraz znowu ten twój czerwono nosy, następny będzie Fielding. Jak to, przecież pamiętam Turtona zaraz po przyjeździe. To było w innej części prowincji. Nie uwierzycie, ale jechałem z Turtonem jego powozem. Z Turtonem! Tak, byliśmy kiedyś na bardzo zażyłej stopie. Pokazał mi swój zbiór znaczków pocztowych.

- Dziś bałby się, że mu je ukradniesz. Turton! Ale czerwono-

nosy młokos będzie o wiele gorszy od Turtona!

10

- Nie sędzę. Wszyscy oni stają się dokładnie tacy sami, ani gorsi, ani lepsi. Każdemu Anglikowi dają dwa lata, czy to Turton, czy Burton. To tylko różnica jednej litery. A każdej Angielce dają sześć miesięcy. Wszyscy są podobni do siebie jak dwie krople wody. Nie zgadzacie się ze mną?

- Ja nie - odpowiedział Mahmud Ali, przyłączając się do tej gorzkiej zabawy i odczuwając zarówno przykrość, jak rozbawienie przy każdym słowie, które wypowiedano. - Jeśli o mnie chodzi, to dostrzegam bardzo głębokie różnice wśród naszych władców. Czerwononosy mamrocze, Turton mówi wyraźnie, pani Turton bierze łapówki, pani Czerwononosa nie bierze i nie może brać, bo jak dotąd nie ma pani Czerwononosej.

- Łapówki?

- Czyżbyście nie wiedzieli, że kiedy ich wypożyczono do Indii Centralnych w związku z budową sieci kanałów, któryś tam radża dał jej szczerozłotą maszynę do szycia - po to, żeby przez jego państwo przebiegała woda.

- I przebiega?

- Nie, i tu właśnie pani Turton okazała się tak zręczna. Kiedy my, biedni czarni, bierzemy łapówki, wykonujemy to, za co dano nam łapówkę, i w konsekwencji organy prawa nas demaskują. Anglicy biorą i nie robią nic. Podziwiam ich.

- Wszyscy ich podziwiamy. Aziz, podaj mi, proszę, nargile.

- Och, jeszcze nie, są teraz tak cudowne.

- Jesteś bardzo samolubnym chłopcem. - Podniósł nagle głos i zawołał: „Kolacja!” Służący odkrzyknęli, że jest gotowa. Chodziło im o to, że chcieliby, żeby była gotowa, i tak zostali zrozumiani, bo nikt się nie ruszył. Hamidullah mówił dalej, jednakże innym tonem i z oczywistym wzburzeniem. - Ale weźcie mój przypadek... przypadek młodego Hugh Bannistera. Oto syn moich drogich, zmarłych przyjaciół, wielbnego pastora Bannistera i jego małżonki, których dobroci, okazanej mi w Anglii, nigdy nie zdołam zapomnieć ani opisać. Zastępowali mi ojca i matkę, mówiłem z nimi, jak teraz z wami. W czasie wakacji ich probostwo było moim domem. Powierzali mi wszystkie swoje dzieci - często nosiłem na rękach małego Hugh - wziąłem go do Londynu na pogrzeb królowej Wiktorii i trzymałem w ramionach nad głowami tłumu.

11

- Królowa Wiktorii była inna - mruknął Mahmud Ali.

- Teraz dowiedziałem się, że ten chłopiec zamuje się handlem skórą w Kanpurze. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo chciałbym go zobaczyć i opłacić mu podróż, żeby ten dom mógł być jego domem. Ale to na nic. Inni Anglo-Hindusi z pewnością już dawno wzięli go w swoje ręce. Pomyśli prawdopodobnie, że czegoś od niego chcę, a ja przecież nie mogę się narazić na coś

podobnego ze strony syna moich dawnych przyjaciół. Ach, dla-
czego wszystko tak się popsuło w tym kraju, vakil * sahib? Pytam
pana.

- Po co mówić o Anglikach? - przyłączył się do rozmowy
Aziz. - Brrr...! Dlaczego mamy przyjaźnić się z tymi ludźmi albo
się nie przyjaźnić? Nie dopuszczajmy ich do siebie i bawmy się
wesoło. Królowa Wiktoria i pani Bannister były jedynymi wyjąt-
kami i obie nie żyją.

- Nie, nie, nie zgadzam się z tym, znałem inne.

- Ja również - rzekł Mahmud Ali, nieoczekiwanie zmieniając
front. - Panie bynajmniej nie są jednakowe. - Nastrój się zmienił,
zaczęli wspominać drobne uprzejmości i przejawy dobroci. -

Powiedziała „Bardzo panu dziękuję” w niezwykle naturalny spo-
sób. - Ofiarowała mi pastylkę, kiedy kurz podrażnił mi gardło. -

Hamidullah pamiętał donioślejsze przykłady miłosiernej pomocy,
ale Mahmud Ali, który znał tylko Anglo-Hindusów, musiał prze-
trząsnąć pamięć w poszukiwaniu jakichś strzępków, i nie było

w tym nic dziwnego, że powrócił do głównej myśli: - Ale oczywiście-
cie to wszystko są wyjątki. Wyjątek nie potwierdza reguły. Przecięt-
na kobieta jest jak pani Turton, a ty wiesz, Aziz, jaka ona jest. -

Aziz nie wiedział, ale oświadczył, że wie. On także wyciągał
uogólniające wnioski ze swoich rozczarowań - członkom podbitego
narodu trudno postępować inaczej. Dopuszczając wyjątki, zgadzał
się, że wszystkie Angielki są wyniosłe i przekupne. Z rozmowy
ulotnił się blask, jej lodowata powłoka zdawała się rozciągać

i rozprzestrzeniać w nieskończoność.

Służący zawiadomił, że podano kolację. Nie zwrócili na niego uwagi. Starsi mężczyźni zajęli się swoim wiecznym tematem:

Vakil - adwokat.

12

polityką. Aziz wymknął się do ogrodu. Drzewa rozsiewały słodką woń - czampak o zielonych kwiatach - i na myśl przychodziły mu urywki perskiej poezji. Kolacja, kolacja, kolacja... ale kiedy wrócił na nią do domu, okazało się, że teraz ulotnił się Mahmud Ali, żeby porozmawiać ze swoimi małpkami. - Wobec tego chodź na chwilę do mojej żony - powiedział Hamidullah i spędzili dwadzieścia minut w kobiecej części domu. Hamidullah begam* była daleką ciotką Aziza, jedyną jego krewną w Czandrapurze, i miała mu dużo do powiedzenia na temat jakiegoś obrzezania w rodzinie, które świętowano z niedostateczną pompą. Trudno było wyjść stamtąd, bo póki oni nie skończyli kolacji, ona nie mogła zasiać do jedzenia i wobec tego przedłużała rozmowę, żeby przypadkiem nie pomyśleli, że się niecierpliwi. Skrytykowany obrzezanie przypomniała sobie o pokrewnych sprawach i spytała Aziza, kiedy zamierza się ożenić.

Z szacunkiem, ale rozdrażniony, odpowiedział:

- Jeden raz wystarczy.
- Tak, spełnił swój obowiązek - rzekł Hamidullah. - Nie do kuczaj mu. Utrzymuje rodzinę, dwóch chłopców i ich siostrzyczkę.
- Ciociu, mieszkają bardzo wygodnie u matki mojej żony, gdzie i ona mieszkała w chwili śmierci. Mogę je odwiedzać, kiedy tylko zechcę. To takie małe, malutkie dzieci.
- I posyła im całą pensję, żyje jak urzędnik najniższego szczebla i nikomu nie mówi, dlaczego tak się dzieje. Czego chcesz od niego?

Ale Hamidullah begam nie to miała na myśli i taktownie zmieniła temat rozmowy. Po kilku chwilach podjęła przerwany wątek i powiedziała, co ma na myśli:

- Co stanie się z wszystkimi naszymi córkami, jeśli mężczyźni

nie zechcą się żenić? Będą wychodziły za mąż poniżej swego stanu lub też... - I zaczęła wielokrotnie powtarzaną opowieść o pewnej damie z cesarskiego rodu, nie mogącej znaleźć męża w wąskim kręgu, w którym duma pozwoliłaby jej połączyć się węzłem małżeńskim z mężczyzną; wobec tego żyje dotąd w panieństwie, a ma już trzydzieści lat, i umrze w panieństwie, bo nikt jej teraz nie zechce. Opowieść trwała jeszcze, a jej argumenty już

* Begam - pani, gospodyni.

13

przekonały obu mężczyzn, tragedia wydała im się plamą na całej społeczności; lepsza nawet chyba poligamia, niż żeby kobieta miała umrzeć nie zaznawszy radości, które Bóg jej przeznaczył. Stan małżeński, macierzyństwo, władza w domu - do czegoż innego jest stworzona? I jak mężczyzna, który jej tego odmówił, stanie w dniu ostatnim przed swoim i jej stwórcą? Aziz, odchodząc, powiedział:

- Może... ale później... - jego niezmienna odpowiedź na taki apel.

- Nie powinieneś odkładać na później tego, co uważasz za słuszne - rzekł Hamidullah. - Indie właśnie dlatego są w tak ciężkiej sytuacji, że wszystko odwlekamy. - Ale spostrzegłszy, że jego młody krewniak wygląda na zatroskanego, dodał kilka kojących słów i w ten sposób zatarł niedobre wrażenie, jakie mogły pozostawić słowa jego żony.

W czasie ich nieobecności Mahmud Ali odjechał swym powozem, zostawiając wiadomość, że wróci za pięć minut, ale pod żadnym pozorem nie powinni na niego czekać. Zasiedli do posiłku z dalekim krewnym domu, Mohammedem Latifem, który żył z hojności Hamidullaha i zajmował tutaj pozycję ni to służącego, ni to osoby równej innym domownikom. Mówił tylko wtedy, kiedy ktoś się do niego odezwał, a ponieważ nikt do niego nie mówił, zachowywał pozbawione urazy milczenie. Od

czasu do czasu czekał w dowód uznania dla znakomitości potraw. Cichy, pogodny i niezaradny człowiek; przez całe życie nie splamił się pracą. Póki któryś z jego krewnych miał dom, był pewien, że znajdzie schronienie, a wydawało się mało prawdopodobne, żeby w tak dużej rodzinie wszyscy mieli zbankrutować. Jego żona wiodła podobną egzystencję w odległości kilkuset mil - nie odwiedzał jej z uwagi na cenę biletu kolejowego. Aziz podokuczał mu trochę, a także służącym, a następnie zaczął recytować wiersze - perskie, w języku urdu, trochę arabskich. Pamięć miał dobrą i jak na tak młodego człowieka był bardzo odcytany; upodobał sobie takie szczególne tematy, jak upadek islamu i przemijanie miłości. Słuchali w zachwyceniu, bo w ich oczach poezja była sprawą publiczną, nie prywatną jak w Anglii. Nie nudziło ich nigdy słuchanie słów, słów, słów; wdychali je wraz z chłodnym powietrzem nocy, ani przez chwilę ich nie analizując; imię poety,

14

Hafiz, Hali, Ikbāl*, było wystarczającą rękojmią. Indie- Indie ustokrotnione - szeptały wokół nich pod obojętnym okiem księżycy, ale w tym momencie Indie wydały się tylko jedne, ich własne; odzyskiwali swą utraconą wielkość, słuchając żalów nad jej utratą, czuli się znowu młodzi, bo przypomniano im, że młodość nieuchronnie ucieka. Służący odziany w szkarłat przerwał mu; był to goniec, który przybył od naczelnego lekarza i wręczył Azizowi list.

- Stary Callendar chce mnie widzieć w swoim bungalowie - powiedział Aziz, nie wstając: - Mógłby być na tyle grzeczny,

żeby powiedzieć dlaczego.

- Nagły przypadek, jak sędzę.

- A ja sędzę, że nie, nic nie sędzę. Dowiedział się o naszej kolacji, to wszystko, za każdym razem chce nam przerwać, żeby pokazać swoją władzę.

- To prawda, że zawsze tak robi, ale z drugiej strony może to być poważny przypadek, tego przecież nie wiesz - powiedział

Hamidullah, rozważnie torując drogę posłuszeństwu. - Czy nie powinieneś jednak oczyścić zębów po betelu?

- Jeśli mam czyścić zęby, to w ogóle nie pójdę. Jestem Hindusem, żucie betelu jest zwyczajem indyjskim. Naczelnym lekarz musi się z tym pogodzić. Mohammedzie Latif, proszę o mój rower.

Ubogi krewny wstał. Nieznacznie tylko zagłębiając się w królestwo materii, położył dłoń na siodełku, zostawiając samo pchanie roweru służącemu. We dwóch przenieśli go nad metalową pineską. Aziz potrzywał chwilę ręce pod dzbankiem, wytarł je, włożył na głowę swój zielony kapelusz i z niespodziewaną energią wypadł z ogrodu Hamidullaha.

- Aziz, Aziz, nierozważny chłopcze...

Ale on był już daleko na terenie bazaru, pedałowując wściekle. Nie miał ani światła, ani dzwonka, nie miał także hamulca; ale jakież pożytek z tych akcesoriów w kraju, gdzie jedyną szansą rowerzysty jest jazda zygzakiem od jednej mającej przed nim

* Hafiz (ok. 1320-1390) - poeta perski. Hali (1837-1914) - twórca współczesnej poezji urdu. Iqbal (1878-1938) - poeta i filozof piszący w jęz. urdu.

15

twarzą do drugiej - i to, że przed samym zderzeniem każda z nich po prostu znikła. A miasto o tej porze było opustoszałe. Kiedy mu pękła opona, zeskoczył z roweru i zaczął wzywać tongę*.

Nie od razu ją znalazł, a musiał także pozbyć się roweru, pozostawił go więc w domu jednego z przyjaciół. Zmarnował jeszcze trochę czasu na czyszczenie zębów. W końcu jednak pędził z turkotem, żywo odczuwając szybkość, w stronę dzielnic rządowej. Kiedy znalazł się wśród jej jałowej schludności, ogarnęło go nagle przygnębienie. Ulice, nazwane po zwyciężkich generałach i przecinające się pod kątem prostym, symbolizowały sieć, którą Wielka Brytania zarzuciła na Indie. Po czuł się schwyty w jej oczka. Skręcając na teren ogrodu majora Callendara, z trudem powstrzymał się, żeby nie wysiąść z tongi i nie pójść do bungalowu pieszo, i

to nie dlatego, że miał służalczą duszę, ale ponieważ jego uczucia - wrażliwe krawędzie osobowości - lękały się ordynarnego afrontu. W zeszłym roku był taki „przypadek” - pewien Hindus zajechał pod dom jakiegoś urzędnika, został odprawiony z kwitkiem przez służbę i pouczony, że ma się zbliżyć do domu w bardziej od-powiedni sposób - tylko jeden wypadek z tysięcy wizyt u setek urzędników, ale wieść o nim rozeszła się szeroko. Młodzieniec wzdragał się przed jego powtórzeniem. Wybrał kompromis i kazał woźnicy przystanąć przed samą linią światła, które pa-dało na werandę.

Naczelnego lekarza nie było.

- Ale sahib zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

Służący obojętnie odpowiedział: „nie”. Aziz wpadł w rozpacz. Był to służący, któremu kiedyś zapomniał dać napiwku, a teraz nie mógł nic zrobić, bo w hallu ktoś był. Dałby głowę, że zo-stawiono wiadomość i że służący ukrywa to z zemsty. Kiedy się tak sprzeczali, wyszły jakieś dwie osoby. Były to kobiety. Aziz uchylił kapelusza. Pierwsza pani, ubrana w suknię wieczorową, spojrzała na Hindusa i instynktownie odwróciła głowę.

- Pani Lesley, to istotnie tonga! - wykrzyknęła.

* Tonga - dwukołowy powóz.

16

- Nasza? - spytała druga pani, także spoglądając na Aziza i odwracając głowę.

- W każdym razie nie odrzucajmy darów, które zsyłają bogo-wie - zaskrzeczała i obie wsiadły. - O tonga wala*, klub, klub.

Dlaczego ten głupiec nie jedzie?

- Jedź, zapłacę ci jutro - powiedział Aziz do woźnicy, a kiedy odjeżdżali, zawołał uprzejmie: - Miło mi paniom służyć! - Nie odpowiedziały, zajęte własnymi sprawami.

A więc stało się tak jak zwykle - dokładnie to, co mówił Mahmud Ali. Nieunikniony afront - zlekceważono jego ukłon, zabrano mu tongę. Mogło być gorzej, bo

pocieszała go jednak myśl, że panie Callendar i Lesley są grube i za bardzo obciążają tył tongi. Piękne kobiety sprawiłyby mu ból. Zwrócił się do służącego, dał mu dwie rupie i jeszcze raz spytał, czy jest jakaś wiadomość. Tamten, teraz niezmiernie uprzejmy, udzielił tej samej odpowiedzi. Major Callendar odjechał pół godziny temu.

- Nic nie mówiąc?

Powiedział w rzeczy samej: „Do diabła z Azizem” - słowa, które służący zrozumiał, ale był za grzeczny, żeby je powtórzyć. Można dać za duży napiwek, podobnie jak za mały. W rzeczy samej, moneta, za którą kupuje się samą prawdę, nie została jeszcze wynaleziona.

* Tonga wala - woźnica tol ** Huzur - jaśnie pan.

- W takim razie napiszę do niego list. - Postawiono mu do dyspozycji cały dom, ale miał zbyt wiele godności, żeby wejść do środka. Służący wyniósł papier i atrament na werandę. Aziz zaczął: „Szanowny Panie. Pośpieszyłem na Pana wyraźne polecenie, tak jak winien to uczynić podwładny...” i przerwał. - Powiedz mu, że byłem, to wystarczy - rzekł, drąc swój protest. - Oto mój bilet. Wezwij mi tongę.

- Huzur**, wszystkie są w klubie.

- Wobec tego zatelefonuj na stację! - A kiedy tamten pośpieszył, żeby wykonać polecenie, rzekł: - Nie, nie, wolę iść pieszo. - Zażądał zapalek i zagapierosa. Te uprzejmości, mimo że opłacone, jakoś gKt ntagodziłyśji&trwają, póki będzie miał rupie, a to już coś. A^SbJte^d^tor%spać pył Anglo-Indii

ze swoich stóp! Uciec z sieci i znaleźć się z powrotem wśród obyczajów i gestów, które znał! Zaczął iść - zdrowotny spacer wbrew woli.

Był niewysokim wysportowanym mężczyzną, delikatnej budowy, ale w rzeczywistości bardzo silnym. Niemniej jednak chodzenie męczyło go, jak męczy każdego w Indiach, z wyjątkiem nowo przybyłych. Jest coś wrogiego w tej ziemi.

Albo ustępuje, a noga zapada się wtedy w jakieś zagłębienie, albo staje się nieoczekiwanie twarda i chropowata, podsuwając pod stopy kamienie i kryształy. Szereg tych małych niespodzianek wyczerpuje, a on nosił lakierki - kiepski ekwipunek na wszelkiego rodzaju spaceru. Na skraju dzielnicy rządowej skierował się w stronę meczetu, żeby odpocząć.

Zawsze lubił ten meczet. Był pełen wdzięku, jego rozplanowanie sprawiało mu przyjemność. Na dziedzińcu - wchodziło się tam przez zrujnowaną bramę - stał zbiornik ze świeżą i bieżącą czystą wodą do ablucji, jako że stanowił część rurociągu zaopatrującego miasto. Dziedziniec pokrywały nieregularne płyty. Kryta część meczetu była głębsza niż normalnie; całość sprawiała wrażenie angielskiego kościółka wiejskiego, którego jedna ściana została usunięta. Ze swojego miejsca widział wnętrze trzech arkad; ich mrok rozświetlała mała wisząca lampa i księżyc. Front - w pełnym blasku księżyca - zdawał się z marmuru, a dziewięćdziesiąt dzieł imion Boga na fryzie odbijało swą czernią tak samo, jak fryz odcinał się bielą na tle nieba. Rywalizacja między tym dualizmem i walką cieni we wnętrzu sprawiała Azizowi przyjemność, starał się nadać całości symboliczne znaczenie jakiejś prawdy o religii czy miłości. Meczet, przez to, że zyskiwał jego aprobatę, wyzwał w nim wyobraźnię. Świątynia innego wyznania, hinduska, chrześcijańska czy grecka, znudziłyby go szybko i nie zdołałyby w nim obudzić wrażliwości na piękno. Tu oto był islam, jego ojczyzna, coś więcej niż wiara, więcej niż okrzyk bojowy, więcej, o wiele więcej... islam, postawa wobec życia, zarówno subtelna, jak trwała, dom dla jego ciała i jego myśli.

Siedział na niskim murze, który zamykał dziedziniec z lewej strony. Poniżej grunt opadał ku miastu, widocznemu jako plama drzew, w ciszy słychać było wiele przytłumionych dźwięków. Po prawej stronie, w klubie, miejscowi Anglicy zorganizowali amator-

18

ską orkiestrę. Gdzie indziej jacyś wyznawcy hinduizmu uderzali w bębenek - wiedział, że to oni, bo rytm nie był mu bliski - a inni lamentowali nad czyimiś zwłokami - wiedział, czyje to zwłoki, po południu sam wydał świadectwo zgonu. Były też sowy, poczta Pendzabu... a kwiaty pachniały tak cudownie w ogrodzie zawiadowcy stacji. Jednakże meczet - to jedno coś znaczyło, więc powrócił do niego od splątanych wezwań nocy i przyozdobił go treściami, jakie nigdy nie powstały w zamysle budowniczego. Pewnego dnia on także zbuduje meczet, mniejszy od tego, ale doskonały w kształcie, aby wszyscy przechodzący obok odczuwali tę samą

błogość, którą on odczuwa w tej chwili. W pobliżu, pod niską kopułą, będzie jego grób, z perskim napisem:

Ach, już beze mnie, przez tysiące lat Rozkwitać będzie Róża, kwitnąć Wiosna, Lecz ci, co zrozumieli tajemnie me serce, Przyjdą tu i odwiedzą ten grób, gdzie spoczywam.

Widział kiedyś ten czterowiersz na grobowcu któregoś z królów dekańskich i sądził, że jest to głęboka filozofia - zawsze uważał patos za coś głębokiego. Tajemne rozumienie serca! Powtarzał ten zwrot ze łzami w oczach, a kiedy to robił, wydało mu się, że jedna z kolumn meczetu zadrżała. Zakołysała się w mroku i ode-rwała. Wiare w duchy miał we krwi, ale siedział nieporuszony. Druga kolumna drgnęła, trzecia, a potem w świetle księżycy ukazała się Angielka. Nagle ogarnęła go wściekłość.

- Proszę pani! Proszę pani! Proszę pani! - krzyknął.

- Och! Och! - wykrztusiła kobieta.

- Proszę pani, to jest meczet, pani w ogóle nie ma tu prawa wstępu. Powinna pani była zdjąć pantofle. To święte miejsce muzułmanów.

- Zdejłam pantofle.

- Zdjęła pani?

- Zostawiłam je przy wejściu.

- W takim razie proszę o wybaczenie. - Gdy nadal przestraszona kobieta posuwała się w stronę bramy, pilnując, żeby zbiornik z wodą do ablucji był między nimi, mężczyzna zawołał za nią: - Naprawdę żałuję, że się odezwałem.

19

- Tak, chyba dobrze zrobiłam, prawda? Jeżeli zdejmę pantofle, mogę wejść?

- Naturalnie, ale tak mało pań zadaje sobie ten trud, zwłaszcza

jak im się zdaje, że nikt ich nie widzi.

- To nie ma znaczenia. Tu jest Bóg.
- Pani! , ! -;
- Proszę pozwolić mi odejść. v . ; ;
- Ach, czy mógłbym być pani w czymś pomoeay, teraz lub kiedykolwiek? † ;
- Nie, dziękuję, naprawdę nie. Dobranoc.
- Czy mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

Stała teraz w cieniu bramy, więc nie widział jej twarzy, ale ona jego twarz widziała i przemówiła już innym głosem:

- Moore.
- Pani... - Postąpiwszy krok naprzód, stwierdził, że jest stara. Gmach większy od meczetu rozpadł się w gruzy, Aziz nie wie^o dział, czy go to cieszy, czy martwi. Była starsza od Hamidullah Begam, miała czerwoną twarz i siwe włosy. Zwiódł go jej głos. - Pani Moore, obawiam się, że panią przestraszyłem. Powiem moim znajomym... o pani. Że tu jest Bóg - to znakomite, naprawdę bardzo piękne. Pani chyba niedawno przybyła do Indii.
- Tak. Jak pan poznał?
- Po tym, w jaki sposób pani do mnie mówi. Czy mogę spro^owadzić dla pani powóz?
- Przyszłam tu tylko z klubu. Grają sztukę, którą widziałam w Londynie, i było tak gorąco.
- Jak się nazywa ta sztuka?
- „Kuzynka Kasia”.
- Uważam, że pani nie powinna spacerować sama po nocy.

Włóczą się tu różne podejrzané typy, a ze Wzgórz Marabarskich mogą zejść lamparty. Są też węże.

Wydała cichy okrzyk; zapomniała o węzach.

- Na przykład taki żuk o sześciu plamach - mówił dalej. - Pani go podnosi, on gryzie, pani umiera.

- A pan chodzi tu sam. - |

- Ach, ja jestem przyzwyczajony. |

- Przyzwyczajony do węzów? |

Oboje się roześmieli.

20

- Jestem lekarzem - powiedział. - Wąż nie miałby odwagi mnie ukąsić. - Usiedli obok siebie przy wejściu i włożyli wieczorowe buty. - Czy mógłbym zadać pani pytanie? Dlaczego przyjeżdża pani do Indii o tej porze roku, gdy kończą się chłody?

- Miałam zamiar wyruszyć wcześniej, ale nastąpiła pewna nieunikniona zwłoka.

- Niedługo klimat będzie tu dla pani bardzo niezdrowy! A po co w ogóle przyjechała pani do Czandrapuru?

- W odwiedzinach do syna. Jest sędzią dla miasta Czandrapur.

- Och nie, proszę mi wybaczyć, to niemożliwe. Nasz sędzia nazywa się Heaslop. Znam go bardzo dobrze.

- Mimo to jest moim synem - powiedziała z uśmiechem.

- Ależ pani Moore, jak to możliwe?

- Byłam zameżna dwa razy.
 - Tak, teraz rozumiem, i pani pierwszy mąż zmarł?
 - Tak, mój drugi mąż też.
 - W takim razie jedziemy na tym samym wózku - powiedział tajemniczo. - A więc sędzia jest teraz pani całą rodziną?
 - Nie, mam młodsze dzieci, Ralpha i Stellę, w Anglii.
 - A pan sędzia jest przyrodnim bratem Ralpha i Stelli?
 - Tak.
 - Proszę pani, to niezwykle dziwne, bo podobnie jak pani, ja też mam dwóch synów i córkę. Czy to nie jest jazda na tym samym wózku?
 - Jak się nazywają? Bo chyba nie Ronny, Ralph i Stella?
- Ten pomysł go zachwycił.
- Nie, nie. Jak to śmiesznie brzmi! Ich imiona są zupełnie inne i zadziwią panią. Proszę posłuchać. Powiem pani imiona moich dzieci. Pierwsze nazywa się Ahmed, drugie nazywa się Karim, trzecie, moja najstarsza, Dżamila. Troje dzieci to dosyć. Zgadza się pani ze mną?
 - Zgadzam się.

Przez chwilę oboje milczeli, myśląc o swoich rodzinach. Kobieta westchnęła i wstała, żeby odejść.

- Czy zechciałaby pani może zwiedzić któregoś dnia szpital Minto? - zapytał. - Nie mam nic innego do zaproponowania w Czandrapurze.

- Dziękuję panu, już tam byłam, w przeciwnym razie bardzo chętnie poszłabym z panem.

- Przypuszczam, że wziął tam panią naczelną lekarz?

- Tak, razem z panią Callendar.

Głos mu się zmienił.

- Ach! Niezwykle czarująca pani.

- Może kiedy się ją lepiej pozna.

- Co takiego? Co? Nie podobała się pani?

- Na pewno starała się być miłą, ale nie mogę powiedzieć, żebym ją uważała za czarującą.

- Właśnie zabrała moją tongę, nie pytając o pozwolenie - wybuchnął - czy taką osobę można nazwać czarującą?... A major Callendar odrywa mnie co wieczór od kolacji z przyjaciółmi, a ja jadę natychmiast, psując sobie niezwykle przyjemną rozrywkę, i jego nie ma w domu, nawet nie zostawia żadnej wiadomości.

Czarujące, czy tak? Ale jakie to ma znaczenie? Jestem bezradny i on wie o tym. Jestem tylko podwładnym, mój czas się nie liczy, Hindusowi wystarcza weranda, tak, tak, niech sobie tam stoi, a pani Callendar zabiera moją tongę i udaje, że mnie nie widzi...

Pani Moore słuchała.

Podniecały go trochę własne krzywdy, ale o wiele bardziej świadomość, że ktoś mu współczuje. To właśnie sprawiło, że się powtarzał, przesadzał, zaprzeczał samemu sobie. Dała dowód współczucia, krytykując swoją rodaczkę, ale on wiedział już wcześniej. Płomień, którego nawet piękno nie jest zdolne wzniecić, wzbijał się w górę, a choć to, co Aziz mówił, brzmiało gderliwie, jego serce zaczęło potajemnie

płonać. I teraz wybuchnęło słowami:

- Pani mnie rozumie, pani wie, co czują inni. Och, gdyby inni byli do pani podobni!

Trochę zaskoczona, odpowiedziała:

- Nie myślę, żebym rozumiała ludzi zbyt dobrze. Wiem tylko, czy ich lubię, czy nie lubię.

- A więc jest pani człowiekiem Wschodu.

Przyjęła jego towarzystwo w drodze powrotnej do klubu, a przy bramie wyraziła żal, że nie jest członkiem, bo mogłaby zaprosić go do środka.

- Hindusi nie mają wstępu do Klubu Czandrapur nawet jako goście - powiedział po prostu. Nie rozwodził się teraz nad swoimi

22

krzywdami, bo był szczęśliwy. A gdy wędrował w dół zbocza w pięknym księżycowym blasku i znowu zobaczył piękny meczet, poczuł, że ta ziemia należy przede wszystkim do niego. I co z tego, że garstka ospałych wyznawców hinduizmu była tam przed nim, a garstka chłodnych Anglików przyszła po nim?

Rozdział 3

Trzeci akt „Kuzynki Kasi” powoli dobiegał już końca, kiedy pani Moore weszła po raz drugi do klubu. Okna zasłonięto, żeby służba przypadkiem nie zobaczyła swoich memsahib występujących na scenie, i upał był wskutek tego straszliwy. Jeden elektryczny wentylator obracał się jak zraniony ptak, drugi był zepsuty. Nie mając ochoty wracać na widownię, weszła do pokoju bilardowego, gdzie powitały ją słowa „Chcę zobaczyć prawdziwe Indie”, i natychmiast przypląnęło do niej z powrotem jej właściwe życie. Była to Adela Quested, ekscentryczna, rozważna dziewczyna, którą na polecenie Ronny'ego przywiozła z Anglii. Ronny jest jej synem, też rozważnym, którego panna Quested prawdopodobnie, chociaż nie na pewno, poślubi, a ona sama jest już starszą panią.

- Ja też chcę je zobaczyć i oby nam się to udało. Zdaje się, że

Turtonowie mają coś zorganizować na przyszły wtorek.

- Skończy się przejażdżką na słoniach, zawsze się tak kończy.

Weźcie choćby ten wieczór. „Kuzynka Kasia"! Pomyśleć tylko, „Kuzynka Kasia"! Ale gdzie pani była? Udało się złowić księżyc w Gangesie?

Obie panie widziały przypadkiem poprzedniego wieczoru odbicie księżyca w jednej z dalszych odnóg rzeki. Woda rozciągnęła je i wydawało się większe i bardziej błyszczące niż prawdziwy księżyc, co ogromnie im się spodobało.

- Poszłam do meczetu, ale nie złowiłam księżyca.

- Kąt się zapewne zmienił. Księżyc wschodzi później.

- Coraz później i później - ziewnęła pani Moore zmęczona spacerem. - Niech się zastanowię... nie widzimy tu drugiej strony księżyca, nie, nie.

23

- No, Indie nie są aż takie złe - odezwał się czyjś przyjemny głos. - To druga strona ziemi, jeśli pani chce, ale trzymamy się tego samego księżyca. - Żadna z nich nie знаła mówiącego ani też już go nie zobaczyły. Wypowiadając przyjazne słowa, przeszedł pod filarami z czerwonej cegły i zniknął w ciemności.

- Nie widzimy nawet drugiej strony świata, na to się właśnie skarżymy - powiedziała Adela. Pani Moore przytaknęła; ją też rozczarowała nuda ich nowego życia. Odbyły tak romantyczną podróż przez Morze Śródziemne i potem przez piaski Egiptu aż do portu w Bombaju - po to tylko, żeby u jej kresu znaleźć coś na kształt kratownicy z tropikalnych willi. Rozczarowania tego nie brała jednak tak poważnie jak panna Quested, ponieważ była

o czterdzieści lat starsza i nauczyła się już, że życie nigdy nie daje nam tego, czego chcemy, w chwili, którą uważamy za odpowiednią. Owszem, przygody się zdarzają, ale nie we właściwym czasie. Mam nadzieję, powiedziała raz jeszcze, że na następny wtorek uda się zorganizować coś interesującego.

- Może drinka? - odezwał się inny miły głos. - Pani Moore... panno Quested... niech panie wypiją po kieliszku, po dwa. - Tym razem wiedziały, kto to jest - zarządca okręgu, pan Turton, u którego były już na kolacji. Uznał, podobnie jak one, że atmosfera „Kuzynki Kasi” jest zbyt duszna. Powiedział im, że Ronny reżyseruje dziś zamiast majora Callendara, którego jakiś miejscowy podwładny zawiódł w przykry sposób, i robi to bardzo dobrze; następnie przeszedł do innych zalet Ronny'ego i spokojnym, zdecydowanym głosem powiedział sporo pochlebnych rzeczy. Nie chodziło o to, że ten młody człowiek wyróżnia się szczególnie w grach sportowych czy znajomości miejscowego języka albo że ma doskonałe pojęcie o prawie, lecz - a było to chyba bardzo duże lecz - Ronny jest pełen godności.

Panią Moore zdumiały te słowa, bo godność nie jest cechą, jaką matka przypisuje swemu synowi. Panna Quested dowiedziała się

o tym z pewnym niepokojem, bo nie zdecydowała dotąd, czy lubi mężczyzn pełnych godności. Próbowала nawet omówić tę sprawę z panem Turtonem, ale on uciszył ją dobrodusznym ruchem dłoni

1 ciągnął dalej to, co zamierzał powiedzieć:

- Krótko mówiąc, Heaslop to sahib. To typ człowieka, jakiego nam trzeba, to jeden z nas!

A jakiś inny urzędnik, który pochylał się nad stołem bilardowym, zawołał:

- Brawo! Brawo!

W ten sposób rzecz została ustalona ponad wszelką wątpliwość i zarządca poszedł, bo wzywały go obowiązki.

Tymczasem przedstawienie się skończyło i amatorska orkiestra zagrała hymn narodowy. Rozmowy umilkły, przerwano bilard, twarze znieruchomiały. Był to hymn armii okupacyjnej. Przypominał każdemu członkowi klubu, że jest Brytyjczykiem i na zesłaniu. Dawał odrobinę wzruszenia i pożyteczny przyływ siły woli. Wątła melodia, lakoniczna seria żądań wobec Jehowy stały się w modlitwę nie znaną w Anglii, a chociaż nie dostrzegali przed sobą ani monarchy, ani bóstwa, coś jednak dostrzegali, dodawało im to siły do stawienia czoła jeszcze jednemu dniu. Następnie wychodzili z sali, częstując się nawzajem trunkami.

- Adelo, napij się czegoś. Mamo, może drinka?

Odmówiły - miały dosyć picia - a panna Quested, która zawsze

mówiła to, co myślała, ponownie obwieściła, że bardzo pragnie zobaczyć prawdziwe Indie.

Ronny był w świetnym nastroju. Jej pragnienie wydało mu się komiczne i zawołał do jednego z przechodzących:

- Fielding, w jaki sposób można zobaczyć prawdziwe Indie?!

- Staraj się widywać Hindusów - odpowiedział tamten i znik-

nął.

- Kto to był?

- Nasz profesor z college'u.

- Jak gdyby można było uniknąć widywania ich - westchnęła pani Lesley.

- Ja unikam - powiedziała panna Quested. - Z wyjątkiem

własnego służącego nie rozmawiałam chyba z żadnym Hindusem

od chwili wylądowania.

- Och, co za szczęście.
- Ależ ja chcę ich widywać.

Otoczyła ją grupka rozbawionych pań. Jedna powiedziała: -Chce widywać Hindusów! Jakie to dziwne! - Inna: - Tubylcy, co za pomysł! - Trzecia, poważniejsza, rzekła: - Może ja wyjaśnię. Widzicie, moje panie, tubylcy nie szanują nas ani trochę więcej, kiedy się już z nami poznają.

25

- . - Tak bywa często po zawarciu znajomości.

Ale pani, bardzo głupia i bardzo przyjacielska, ciągnęła:

- Chodzi mi o to, że zanim wyszłam za mąż, byłam pielęgniarką i często miałam z nimi do czynienia, więc wiem. Rzeczywiście znam prawdę o Hindusach. Bardzo nieodpowiednia sytuacja dla Angielki - byłam pielęgniarką w jednym z państw tubylczych. Jedyna szansa to z całą surowością trzymać się od nich z daleka.

- Nawet od pacjentów?

- No cóż, największa łaska, jaką można wyświadczyć tubylcowi, to pozwolić mu umrzeć - powiedziała pani Callendar.

- A gdyby poszedł do nieba? - spytała pani Moore z łagodnym, ale chytrym uśmiechem.

- Może iść, gdzie ma ochotę, byle tylko nie zbliżał się do mnie. Skóra mi cierpnie na ich widok.

- Prawdę mówiąc, myślałam o tym, co pani mówiła o niebie, i dlatego jestem przeciwna misjonarzom - powiedziała pani, która była pielęgniarką. - Jestem za kapelanami, ale przeciw misjonarzom. Może wyjaśnię.

Ale zanim zdążyła to zrobić, wtrącił się zarządca.

- Naprawdę chce pani poznać aryjskiego brata, panno Quested?

Taką rzecz można łatwo zorganizować. Nie zdawałem sobie sprawy, że to panią zabawi. - Namyślał się chwilę. - Właściwie może pani poznać niemal wszystkie typy ludzi. Proszę wybierać. Ja znam urzędników państwowych i właścicieli ziemskich, Heaslop zajmie się adwokatami, a jeśli pani chce się specjalizować w oświacie, możemy wpaść do Fieldinga.

- Dość mam oglądania malowniczych postaci przesuwających się przede mną jak na fryzie - wyjaśniła dziewczyna. - To było cudowne zaraz po wylądowaniu, ale ten powierzchowny urok szybko się ulatnia.

Jej wrażenia nie zainteresowały zarządcy. Szło mu tylko o to, żeby ją rozerwać. Czy odpowiadałaby jej zabawa w „budowanie mostów”? Wytłumaczył, co to jest - nie żadna gra, tylko zebranie towarzyskie poświęcone przrzucaniu mostów między Wschodem i Zachodem; wyrażenie to było jego własnym wynalazkiem i bardzo bawiło wszystkich, którzy je słyszeli.

- Zależy mi tylko na tych Hindusach, z którymi panowie stykają się towarzysko. Na waszych znajomych.

26

- Hm, nie stykamy się z nimi towarzysko - odparł zarządca ze śmiechem. - Są pełni wszelkich cnót, ale się z nimi nie stykamy, a teraz jest wpół do dwunastej i za późno na roztrząsanie przyczyn.

- Panna Quested, też mi nazwisko! - powiedziała pani Turton do męża, kiedy odjeżdżali. Nie przypadła jej do gustu ta nowo

przybyła młoda osoba, uważała, że ma złe maniery i jest zbzi-
kowana. Wyraziła nadzieję, że nie przywieziono jej po to, żeby
wyszła za tego miłego małego Heaslopa, chociaż na to wyglądało.
Jej mąż zgadzał się z nią w duchu, ale jeśli mógł tego uniknąć,
nigdy nie mówił nic złego o żadnej Angielce, więc powiedział
tylko, że panna Quested oczywiście popełnia błędy. I dodał: -
Indie czynią cuda, jeśli idzie o rozsądek, zwłaszcza w okresie
upałów. Dokonały cudu nawet w wypadku Fieldinga. - Pani
Turton zamknęła oczy, słysząc to nazwisko, i orzekła, że pan
Fielding nie jest pakka* i że niech lepiej ożeni się z panną
Quested, bo ona też nie jest pakka. Dojechali do swojego bun-
galowu, niskiego i ogromnego, najstarszego i najmniej wygodnego
domu w dzielnicy rządowej, z trawnikiem jak zapadnięty w ziemię
talerz do zupy, wypili znowu, tym razem wywar z jęczmienia,
i poszli spać. Ich odjazd z klubu zakończył właściwie wieczór,
który, jak wszystkie zebrania, miał posmak oficjalny. Środowisko,
które przykleka przed wicekrólem i wierzy, że można przeszcze-
pić boskość otaczającą monarchę, musi odczuwać cześć dla wszel-
kiej namiastki wicekrólewskości. W Czandrapurze Turtonowie
byli małymi bogami; wkrótce pójdą na emeryturę i zamieszkają
w jakiejś podmiejskiej willi, i u mrą odarci z chwały.

- To szalenie przyzwoicie ze strony naszego wielkiego czło-
wieka - paplał Ronny, bardzo zadowolony z uprzejmości, jaką
okazano jego gościom. - Czy panie wiedzą, że on jeszcze nigdy
nie urządzał „budowania mostów”? I to na dodatek do kolacji!

Żałuję, że sam nie mogę czegoś zorganizować, ale kiedy, moje drogie, lepiej poznacie tubylców, zrozumiecie, że jest to o wiele łatwiejsze dla bara sahiba** niż dla mnie. Znają go, wiedzą, że go nie można wystrychnąć na dudka, a ja jestem jeszcze

* Pakka - doskonałość. ** Bara sahib - wielki pan.

27

stosunkowo świeży. Nikt nie może powiedzieć, że choć trochę zna ten kraj, dopóki nie przeżył w nim dwudziestu lat. Hej, mamó! Tu jest twój płaszcz. No cóż: oto przykład pomyłek, jakie się popełnia. Niedługo po przyjeździe poprosiłem jednego z adwokatów, żeby wypalił ze mną papierosa - podkreślam, tylko papierosa. Potem dowiedziałem się, że rozesłał naganiaczy po całym bazarze, żeby rozgłosić ten fakt... mówili wszystkim klientom: „Och, najlepiej idź do mojego Vakila Mahmuda Ali, on jest w dobrych stosunkach z sędzią”. Od tej pory beształem go w sądzie jak najsurowiej. To mnie czegoś nauczyło, a mam nadzieję, że jego też.

- Czy nie tego, że powinieneś zapraszać na papierosa wszystkich adwokatów?

- Być może, ale czas jest ograniczony, a ciało mdłe. Chyba po prostu wolę sobie zapalić w klubie między ludźmi mojego pokroju.

- Dlaczego nie zaprosić adwokatów do klubu? - upierała się panna Quested.

- To zabronione. - Był miły i cierpliwy, najwidoczniej rozumiał, czemu ona nie rozumie. Z jego tonu wynikało, że sam był kiedyś taki jak ona, chociaż krótko. Wszedłszy na werandę zawołał coś ostro w stronę księżycy. Odezwał się na to jego sais*, a on, nie opuszczając głowy, kazał sprowadzić swój powozik.

Pani Moore, którą klub wprowadził w odrętwienie, rozbudziła się na powietrzu. Obserwowała księżyc, jego blask zółcił barwą pierwiosnka purpurę otaczającego go nieba. W Anglii księżyc wydawał się martwy i obcy; tu był omotany chustą nocy,

wraz z ziemią i wszystkimi gwiazdami. Nagłe poczucie jedności, po-krewieństwa z ciałami niebieskimi przeniknęło starą kobietę, przepłynęło przez nią jak woda przez zbiornik, pozostawiając po sobie dziwną świeżość. Podobała się jej nawet „Kuzynka Kasia” i hymn narodowy, ale ich dźwięki zamarły i przerodziły się w nowe tony, podobnie jak koktajle i cygara przerodziły się w niewidzialne kwiaty. Kiedy meczet, długi i bez kopuły, zajaśniał na zakręcie drogi, wykrzyknęła:

- Ależ tak... doszłam aż tutaj... to tu właśnie byłam!

Sais - woźnica, stajenny.

28

- Byłaś tu? Kiedy? - zapytał syn.

- W antrakcie.

- Ależ, mamó, nie możesz robić takich rzeczy.

- Mama nie może? - odparła.

- Nie, w tym kraju naprawdę nie możesz. Tego się nie robi.

Po pierwsze, istnieje niebezpieczeństwo węzów. Wieczorami lubią wylegiwać się na drogach.

- Ach tak, to samo mówił mi ten młody człowiek.

- To brzmi bardzo romantycznie - powiedziała panna Qusted,

która ogromnie polubiła panią Moore i rada była z jej małej

eskapady. - Spotyka pani młodego człowieka w meczecie i nic

mi pani o tym nie mówi!

- Miałam ci powiedzieć, Adelo, ale jakoś zmieniłyśmy temat rozmowy i zapomniałam. Pamięć mam teraz w opląkanym stanie.

- Był miły?

Po chwili milczenia powiedziała z naciskiem:

- Bardzo miły.

- Kto to był? - zapytał Ronny.
- Lekarz. Nie znam jego nazwiska.
- Lekarz? Nic nie wiem o żadnym młodym lekarzu w Czandrapurze. Dziwne! Jak wyglądał?
- Raczej niskiego wzrostu, z małym wąsikiem i bystrymi oczami. Zawołał coś do mnie, kiedy byłam w ciemnej części meczetu... chodziło mu o moje pantofle. W ten sposób zaczęła się rozmowa. Bał się, że mam je na nogach, ale na szczęście pamiętałam. Opowiedział mi o swoich dzieciach, a potem poszliśmy z powrotem do klubu. Zna cię dobrze.
- Szkoda, żeś mi go nie pokazała. Nie mam pojęcia, kto to jest.
- Nie wszedł do klubu. Powiedział, że mu nie wolno.

Wówczas doznał olśnienia i wybuchnął:

- Mój Boże! Chyba nie mahometanin? Dlaczego nic mi nie mówisz, że rozmawiałaś z tubylcem? Byłem na fałszywym tropie.
- Mahometanin! To po prostu wspaniałe! - zawołała panna Quested. - Ronny, przecież w tym jest cała twoja matka. Kiedy my tu rozprawiamy o zobaczeniu prawdziwych Indii, ona idzie i ogląda je, a potem zapomina, że je widziała.

Ale Ronny był urażony. Z opisu matki sądził, że tym lekarzem mógł być młody Muggins z tamtej strony Gangesu, a to wzbudziło

29

w nim koleżeńskie sentymenty. Co za pomyłka! Dlaczego nie dała do zrozumienia intonacją głosu, że mówi o Hindusie? Szorstkim, dyktatorskim tonem zaczął ją przesłuchiwać.

- Zawołał coś do ciebie w meczecie, prawda? Jak? Zuchwale?

A co on tam robił tak późno wieczorem? Nie, to nie jest ich pora modlitwy. - To ostatnie w odpowiedzi na sugestie panny Qusted, która okazywała jak najżywsze zainteresowanie. - A więc wołał coś do ciebie o pantoflach. W takim razie zachował się zuchwale. To stary chwyt. Szkoda, że nie miałaś ich na nogach.

- Uważam, że to było zuchwale, ale nie widzę w tym żadnego chwytu - powiedziała pani Moore. - Był zupełnie roztrzęsiony, poznałam to po jego głosie. Kiedy mu odpowiedziałam, stał się inny.

- Nie powinnaś była odpowiadać.

- Zaraz, zaraz - wtrąciła logiczna młoda osóbka - czy nie oczekiwiałbyś odpowiedzi od mahometanina, którego byś poprosił, żeby zdjął w kościele kapelusz?

- To co innego, to co innego. Nic nie rozumiesz.

- Wiem, że nie rozumiem, i chcę zrozumieć. Na czym polega różnica?

Wolałby, żeby się nie wtrącała. Matka nie miała tu znaczenia -była po prostu globtroterką, chwilową towarzyszką podróży, która mogła wrócić do Anglii z wrażeniami, jakie jej odpowiadały. Ale Adela przemyśliwała o spędzeniu życia w tym kraju i to już była poważniejsza sprawa; byłoby źle, gdyby od początku miała wypaczony pogląd na tubylców. Zatrzymując klacz, powiedział:

- Oto wasz Ganges.

To odwróciło ich uwagę. Pod nimi ukazał się nagle blask. Nie miał nic wspólnego ani z wodą, ani z poświatą księżyca, lecz stał niczym świetlisty snop na polu ciemności. Ronny wyjaśnił im, że w tym miejscu tworzy się nowa mielizna, że ta ciemna płatanina na szczycie to piasek i że ciała zmarłych tędy spływają z Benares, a raczej spływałyby, gdyby krokodyle im na to pozwoliły.

- Niewiele z takiego zmarłego dociera do Czandrapuru.

- Na dodatek jeszcze krokodyle, jakie to okropne! -powiedziała półgłosem jego matka. Młodzi spojrzeli na siebie z uśmiechem; rozbawiło ich to niegroźne przerażenie starszej pani i dzięki temu zapanowała znów między nimi harmonia. A ona mówiła da-

30

lej: - Jaka straszliwa rzeka! Jaka cudowna rzeka! - i westchnęła. Blask już się zmniejszał, czy to dzięki przesuwaniu się piasku, czy wskutek ruchu księżycy; wkrótce promienisty snop zniknie i tylko maleńki diadem, który sam też się odmieni, błyszczeć będzie nad płynną pustką. Kobiety zastanawiały się, czy mają czekać na tę odmianę, gdy tymczasem w ciszę wdarły się strzępy niepokoju i klacz zadrżała. Ze względu na nią nie czekali, lecz pojechali dalej do willi sędziego, gdzie panna Quested poszła spać, a pani Moore odbyła krótką rozmowę z synem.

Chciał ją wypytać o mahometańskiego lekarza w meczecie. Miał obowiązek informować władze o podejrzanych osobnikach, a to mógł być jakiś nędzny hakim*, który się tam przywłókł z bazaru. Kiedy mu powiedziała, że był to ktoś związany ze szpitalem Minto, poczuł ulgę i oświadczył, że ten człowiek to na pewno Aziz, jest bardzo porządny i nic złego nie można o nim powiedzieć.

- Aziz! Jakie czarujące nazwisko!

- A więc rozmawialiście ze sobą. Czy odniosłaś wrażenie, że jest przychylnie usposobiony?

Nieświadoma mocy tego pytania, odrzekła:

- Ależ tak, po pierwszych kilku chwilach.

- Chodzi mi o to, czy w ogóle? Czy wydawało ci się, że nas toleruje... nas, brutalnych zdobywców, zasuszonych biurokratów, wiesz, coś w tym rodzaju?

- Ach tak, myślę, że tak, z wyjątkiem Callendarów. Za nimi nie przepada.

- A więc powiedział ci to? Majora to zainteresuje. Ciekaw

jestem, jaki był cel tej uwagi?

- Ronny, Ronny! Przecież nie powtórzysz jej majorowi Calendarowi?
- Owszem. Jeśli chodzi o ścisłość, to nawet muszę!
- Ależ, mój drogi chłopcze...
- Gdyby major usłyszał, że jestem nie lubiany przez któregoś z moich indyjskich podwładnych, mam nadzieję, że powiedziałby mi o tym. :

* Hakim - urzędnik, sędzia, lekarz.

31

- Ależ, drogi chłopcze... to była prywatna rozmowa!
- Nic nie jest prywatne w Indiach. Aziz wiedział o tym, kiedy do ciebie przemówił, więc się nie martw. W tym, co powiedział, był jakiś cel. Osobiście uważam, że ta uwaga nie była szczerą.
- Jak to nie była szczerą?
- Mówił źle o majorze, żeby ci zaimponować.
- Nie wiem, co masz na myśli, kochanie.
- To najnowsza sztuczka wykształconego tubylca. Kiedyś płaszcyli się przed nami, ale młode pokolenie wierzy, że trzeba okazywać męską niezależność. Uważają, że to bardziej popłaca w oczach wizytującego te strony członka parlamentu. Ale bez względu na to, czy tubylec puszy się, czy płaszczy, za wszystkim, co mówi, zawsze coś się kryje, przynajmniej stara się zwiększyć

swój izzat* - mówiąc zwyczajnie, coś zarobić. Naturalnie są wyjątki.

- Dawniej, w domu, nigdy nie osądzałeś ludzi w taki sposób.
- Indie to nie dom - odparł dość niegrzecznie, ale żeby ją zmusić do milczenia, cały czas operował zwrotami i argumentami zasłyszczanymi u starszych urzędników i nie czuł się zbyt pewny siebie. Mówiąc „naturalnie są wyjątki”, cytował Turtona, natomiast „zwiększyć swój izzat” było własnością majora Callendar. Te zwroty coś znaczyły i były w stałym użyciu w klubie, ale ona dość zręcznie umiała odróżnić oryginał od naśladownictwa i mogła domagać się od niego konkretnych przykładów.

Powiedziała tylko:

- Trudno zaprzeczyć, że to, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie, ale naprawdę nie powinieneś powtarzać majorowi Callendarowi tego, co ci powiedziałam o doktorze Azizie.

Poczuł się niełojalny wobec swojej kasty, ale przyrzekł, że nie powie, dodając:

- W zamian proszę, żebyś nie mówiła o Azizie z Adela.
- Nie mówić o nim? Dlaczego?
- Ty znowu swoje, mamó. Naprawdę nie mogę ci wszystkiego

* Izzat - autorytet, honor.

32

wyjaśniać. Nie chcę, żeby się Adela martwiła, to jest najważniejsze. Zacznie się zastanawiać, czy traktujemy tubylców, jak należy, wiesz, te wszystkie bzdury.

- Ależ ona przyjechała po to, żeby się martwić - właśnie

dlatego tu jest. Mówiła mi o wszystkim na statku. Miałyśmy długą rozmowę, kiedy zeszyliśmy na brzeg w Adenie. Zna cię z zabawy, jak to określiła, ale nie z pracy, i doszła do wniosku, że musi przyjechać i rozejrzeć się, zanim zdecyduje... i zanim ty zdecydujesz. Jest bardzo, bardzo uczciwa.

- Wiem - powiedział zgnębiony.

Nuta niepokoju w jego głosie wzbudziła w niej uczucie, że jest jeszcze małym chłopcem, który musi mieć to, co chce, więc przyrzekła, że zrobi tak, jak on sobie życzy, i pocałowali się na dobranoc. Nie zabronił jej jednak myśleć o Azizie i myślała o nim wróciwszy do swojego pokoju. W świetle uwag syna rozpatrzyła na nowo scenę w meczecie, żeby przekonać się, czyje wrażenia były słuszne. Tak, można by z tego zrobić bardzo nieprzyjemny incydent. Doktor zaczął od próby zastraszenia, powiedział, że pani Callendar jest miła, a następnie - widząc, że stoi na bezpiecznym gruncie - zmienił się; to opłakiwał swoje krzywdy, to znów traktował ją protekcyjnie, w jednym zdaniu dziesięć razy zmieniał temat, był niesolidny, wścibski, próżny. Tak, to wszystko prawda, ale ile fałszu w tak skróconym obrazie człowieka; zaginęła w nim istota jego życia.

Wieszając płaszcz, stwierdziła, że kołek jest zajęty przez małą osę. Poznała ją, czy jej krewnych, w ciągu dnia; nie były podobne do angielskich os, lecz miały długie żółte nóżki, które zwisały za nimi w czasie lotu. Może wzięła kołek za gałązkę - żadne stworzenie w Indiach nie ma poczucia wnętrza. Nietoperze, szczury, ptaki, owady równie chętnie gnieźdzą się w domu, jak na zewnątrz; jest to dla nich normalny rozrost wiecznej dżungli, która na zmianę wytwarza domy, drzewa, domy, drzewa. Spała tu, ucześpiona kołka, gdy na równinie szakale wyszczekiwały swoje tęsknoty, a głos ich mieszał się z dudnieniem bębnow.

- Moja ty ślicznotko - powiedziała pani Moore do osy. Ta nie przebudziła się i głos kobiety wypłynął na zewnątrz, wzmagając niepokój nocy.

Zarządca dotrzymał słowa. Nazajutrz wysłał zaproszenia do wielu Hindusów z okolicy, zawiadamiając, że w najbliższy wtorek między godziną piątą i siódmą będzie pełnił obowiązki gospodarza w ogrodach klubu oraz że pani Turton będzie bardzo miło przyjąć te panie z ich rodzin, które nie żyją w pardzie*. Jego postępek spowodował znaczne poruszenie i był omawiany w wielu środowiskach.

- To skutek rozkazu wicegubernatora - brzmiało wyjaśnienie Mahmuda Ali. - Turton nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie musiał. Ci wyżsi urzędnicy są inni - okazują zrozumienie, wicekról okazuje zrozumienie, chcieliby, żebyśmy byli traktowani przyzwyczajenie. Ale przyjeżdżają zbyt rzadko, mieszkają za daleko. Gdy tymczasem...

- Łatwo okazywać zrozumienie na odległość - powiedział starszy pan z brodą. - Wyżej cenię dobre słowo wypowiedziane tuż przy moim uchu. Pan Turton wyrzekł je, z tej czy innej przyczyny. On mówi, my słyszymy. Naprawdę nie widzę potrzeby dalszego rozwodzenia się nad tą sprawą. - Nastąpiły cytaty z Koranu.

- Nie wszyscy posiadamy pana słodczy charakteru, Nawab Bahadur, a także pana uczoność.

- Wicegubernator może i jest moim bardzo dobrym znajomym, ale ja nie przysparzam mu kłopotów. „Jak pan się czuje, Nawab Bahadur?” „Bardzo dobrze, dziękuję, sir Gilbert, a pan?” I na tym koniec. Ale potrafię dać się we znaki panu Turtonowi i skoro on mnie zaprasza, ja przyjmuję to zaproszenie. Przyjadę specjalnie z Dilkuszy, chociaż muszę odłożyć inne sprawy.

- Zrobi się pan tani facet w jego oczach - powiedział nagle jakiś niski czarny człowieczek.

Szmer dezaprobaty. Kim jest ten źle wychowany parweniusz, że ośmiela się

krytykować pierwszego spośród mahometańskich właścicieli ziemskich w całym okręgu? Mahmud Ali, chociaż podzielał jego zdanie, poczuł się zobowiązany zaprotestować.

* Parda - zasłona na twarzy muzułmańskich kobiet, parawan oddzielający kobiecą część domu.

34

- Panie Ram Chand! - powiedział, pochylając się sztywno do przodu, z rękami na biodrach.

- Panie Mahmud Ali!

- Panie Ram Chand, Nawab Bahadur potrafi, jak sędzę, sam zdecydować, co obniża jego wartość w cudzych oczach, bez naszej oceny.

- Nie sędzę, żeby to miało obniżyć moją wartość - zwrócił się Nawab Bahadur do Ram Chanda, mówiąc bardzo miłym głosem, bo zdawał sobie sprawę, że tamten zachował się niegrzecznie, i pragnął uchronić go przed konsekwencjami. Już chciał nawet powiedzieć „Naturalnie, że to obniży moją wartość”, ale odrzucił to jako mniej uprzejmą wersję. - Nie widzę powodu, żeby nas to miało spospolitować. Nie widzę żadnego powodu. Zaproszenie jest sformułowane bardzo uprzejmie. - Uznając, że nie może już bardziej zmniejszyć przepaści między sobą i słuchaczami, posłał swojego eleganckiego wnuka, który stał gotowy do usług, po samochód. Kiedy auto zajechało, powtórzył to wszystko, co już mówił, ale tym razem znacznie obszerniej, kończąc słowami: - A zatem do wtorku, panowie, kiedy to, jak mam nadzieję, spotkamy się w kwietnych ogrodach

klubu.

To zdanie bardzo się liczyło. Nawab Bahadur był wielkim właścicielem ziemskim i filantropem, człowiekiem życzliwym i stanowczym. Cieszył się poważaniem we wszystkich kręgach społecznych prowincji. Był nieprzejednany jako wróg i lojalny jako przyjaciel, a jego gościnność stała się przysłowiowa. „Dawaj, nie pożyczaj. Po śmierci któż ci podziękuje?” - tak brzmiała jego ulubiona maksyma. Śmierć w dobrobycie uważał za hańbę. Skoro tego rodzaju człowiek był gotów przejechać samochodem dwa-dziesięć pięć mil, żeby uścisnąć dłoń zarządcy, impreza nabierała innego posmaku. Albowiem nie był on jednym z tych wybitnych ludzi, co to rozgłaszają, że przyjdą, a potem robią w ostatniej chwili zawód, narażając drobniejsze płotki na niezręczną sytuację. Jeśli mówi, że przyjedzie, to przyjedzie, nigdy nie wprowadzi w błąd swoich zwolenników. Panowie, do których skierował ów wykład, teraz zachęcali się wzajemnie do wzięcia udziału w przyjęciu, choć w głębi serca byli przekonani, że jego rady nie są słuszne.

35

Przemawiał w niewielkim pokoiku w pobliżu sądów, gdzie obrońcy czekali na klientów; klienci czekający na obrońców siedzieli w pyle ulicznym. Żaden z nich nie otrzymał zaproszenia od pana Turtona. A były kręgi nawet poza nimi - ludzie, którzy nie nosili nic oprócz przepaski na biodrach, ludzie, którzy nie nosili nawet tego i spędzali życie, uderzając kijkiem o kijek przed szkarłatną kukłą... ludzkość schodząca coraz niżej w dół i usuwająca się poza pole oświeconego widzenia aż tam, gdzie nie może jej dosięgnąć żadne ziemskie zaproszenie.

Wszelkie zaproszenia powinny, być może, wychodzić z niebios; być może ludzie daremnie usiłują położyć podwaliny swej jedności i przy tej próbie poszerzają tylko przepaść między sobą. Tak w każdym razie mniemali stary pan Graysford i młody pan Sorley, oddani sprawie misjonarze, którzy mieszkali daleko za rzeźnią, zawsze podróżowali trzecią klasą i nigdy nie zjawiali się w klubie. W domu naszego Ojca jest wiele mieszkań, nauczali, i tylko tam owa różnorodna ciżba ludzka znajdzie gościnę i ukojenie. Nikt nie zostanie odprawiony przez służbę z tej werandy, czy to ciemnoskóry, czy biały, nikomu, kto przyjdzie z miłującym sercem, nie każe się tam czekać. I czemuż by boska gościnność miała się na tym kończyć? Pomyślmy, z całym szacunkiem, o małpach. Czy nie może się tam znaleźć schronienie także dla małp? Stary pan Graysford mówił: „Nie”, ale młody pan Sorley, który był postępowy, mówił: „Tak”. Nie widział powodu, dla którego małpy miałyby być pozbawione swojej dodatkowej porcji szczęśliwości, i odbył już pełne zrozumienia rozmowy na

ich temat z indyjskimi przyjaciółmi. A szakale? Szakale, istotnie, mniej odpowiadały panu Sorleyowi, przyznawał jednak, że łaska Boża, będąc nieskończoną, może bez trudu obejmować wszystkie ssaki. A osy? Czuł się trochę niepewnie, schodząc na poziom os, i był skłonny zmienić temat rozmowy. A pomarańcze, kaktusy, kryształ i błoto? I bakterie wewnątrz pana Sorleya? Nie, nie, to by już była przesada. Musimy coś wykluczyć z naszego zgromadzenia, w przeciwnym razie zostaniemy z niczym.

36

Rozdział 5

Budowanie mostów nie było udane - w każdym razie nie było tym, co pani Moore i panna Quested przywykły uważać za udane przyjęcie. Przyszły wcześniej, bo wyprawiono je na ich cześć, ale większość indyjskich gości przybyła jeszcze wcześniej i wszyscy stali beczynnie, zmasowani po drugiej stronie trawiastych kortów tenisowych.

- Jest dopiero piąta - rzekła pani Turton. - Mój mąż przyjedzie zaraz z biura i puści wszystko w ruch. Nie mam pojęcia, co robić.

Po raz pierwszy w ogóle wydajemy tego rodzaju przyjęcie w klubie.

Panie Heaslop, kiedy o mnie już pamięć zaginie, będzie pan wydawał takie przyjęcia? To dość, żeby bara sahib starego typu przewrócił się w grobie.

Ronny roześmiał się z szacunkiem.

- Chciałaś mieć coś, co nie jest malownicze, i dostarczyliśmy ci tego - zwrócił się do panny Quested. - Co sądzicie o aryjskim bracie w hełmie tropikalnym i getrach?

Ani ona, ani jego matka nie odpowiedziały. Spoglądały trochę smutnym wzrokiem na drugą stronę kortów. Nie, to nie było malownicze; Wschód, porzucając swą prastarą wspaniałość, scho-dził w dolinę, której odległego krańca nikt nie potrafił dostrzec.

- Trzeba pamiętać jednak o pewnej ważnej rzeczy, a mianowicie, że żadna z obecnych tu osób się nie liczy. Ci, co się liczą,

nie przychodzą. Czy nie tak, pani Turton?

- Święta prawda - odparła owa znakomita dama, rozsiadając się wygodniej. „Oszczędzała się”, jak to nazywała, nie na coś, co miało się zdarzyć tego popołudnia czy choćby w tym tygodniu, lecz na bliżej nieokreśloną przyszlą okazję, kiedy to, być może, zjawi się jakiś wysoki dygnitarz i zechce poddać próbie jej towarzyską odporność. Ta poza rezerwy cechowała większość jej publicznych występów.

Pewny teraz jej aprobaty Ronny mówił dalej:

- Wykształceni Hindusi na nic się nam nie przydadzą, jeżeli dojdzie do awantury, po prostu nie warto ich sobie zjednywać, dlatego właśnie się nie liczą. Większość z tych, których widzicie, to buntownicy w głębi serca, reszta uciekałaby, skowycząc.

37

Rolnik- to już inna sprawa. Pathan* - owszem, to prawdziwy mężczyzna. Ale ci ludzie... nie wyobrażajcie sobie, że oni to Indie. - Wskazał na smagłą gromadkę po drugiej stronie kortów tenisowych, tu i ówdzie zabłysły w niej binokle i zaszurały buty, jak gdyby wszyscy byli świadomi, że nimi gardzi. Strój europejski szerzył się niczym trąd. Niewielu uległo mu całkowicie, lecz nikt nie pozostał nietknięty. Kiedy Ronny skończył mówić, zapanoowało milczenie po obu stronach kortów; jeszcze kilka pań przyłączyło się do grupy angielskiej, ale ich słowa zdawały się zamierać w chwili, kiedy były wypowiedane. W górze krążyły kanie, bezstronne, nad kaniem przesunął się masywny kształt sępa, a niebo, z bezstronnością przekraczającą wszystko inne, nie nasyczone głęboką barwą, lecz przejrzyste, sączyło światłość ze swego przestworu. Wydawało się nieprawdopodobne, by ów ciąg urywał się tutaj. Dalej niż niebo musi chyba istnieć coś, co nakrywa sklepieniem wszystkie nieba, coś bardziej jeszcze bezstronnego od nich? A poza nimi znowu...

Mówili o „Kuzynce Kasi”.

Próbowali odtworzyć na scenie własne postawy życiowe, stroić się w teatralny

kostium Anglików z klasy średniej, którymi w rzeczywistości byli. W przyszłym roku wystawią „Wytworną ulicę” albo „Gwardzistów z Tower”. Z wyjątkiem tych dorocznych wyskoków zostawiali literaturę w spokoju. Mężczyźni nie mieli na nią czasu, kobiety nie robiły nic, czego nie mogły dzielić z mężczyznami. Ich ignorancja w dziedzinie literatury i sztuki była zaskakująca i nie pomijali żadnej sposobności, żeby ją sobie nawzajem obwieszcząć; była to poza wyniesiona z ekskluzywnych szkół angielskich, kwitnąca tu bujniej niż gdziekolwiek i kiedykolwiek w Anglii. Jeśli Hindusi stanowili „temat zawodowy”, to literatura i sztuka były „w złym stylu” i Ronny przerwał matce, kiedy zapytała o jego altówkę; altówka była niemal przewinieniem, a w każdym razie nie był to instrument, o którym wspominało się publicznie. Pani Moore zauważyła teraz, jak tolerancyjne i konwencjonalne stały się jego sądy; kiedyś, gdy widzieli razem „Kuzynek Kasie” w Londynie, wyrażał się o niej pogardliwie; teraz

* Pathan - indyjski Afgańczyk.

38

udawał, że sztuka mu się podoba, żeby nie urazić czyichś uczuć. W miejscowej gazecie ukazała się „nieprzychylna wzmianka”, „Coś, czego nie napisałby żaden biały”, jak powiedziała pani Lesley. Sztukę chwalono, owszem, tak samo reżyserię i spektakl jako całość, ale recenzja zawierała następujące zdanie: „Panna Derek, jakkolwiek wyglądała czarująco w swojej roli, zdradzała brak koniecznego doświadczenia i niekiedy nie pamiętała tekstu”. Owo leciutkie technienie krytyki stało się kamieniem obrazy, i to nie dla panny Derek, osoby bardzo twardej, lecz dla jej przyjaciół. Panna Derek nie należała do Czandrapuru. Zatrzymała się przejazdem na dwa tygodnie u McBryde'ów, tych z policji, i była tak uprzejma, że w ostatniej chwili zgodziła się zapłacić lukę w obładzie. Ładne wspomnienia o miejscowej gościnności zabierze, ze sobą, odjeżdżając!

- Do roboty, Mary, do roboty! - wykrzyknął zarządca, dotykając końcem szpicruty ramienia żony.

Pani Turton wstała niezgrabnie.

- Co mam robić? Ach, te kobiety z pardy! Nie przypuszczałam, że któraś z nich przyjdzie. Ach, Boże!

Niewielka grupka indyjskich pań zebrała się w trzeciej części ogrodów, obok letniego domku w wiejskim stylu, gdzie co bojaźliwsze z nich zdążyły się już schronić.

Pozostałe odwróciły się tyłem do reszty towarzystwa, z twarzami wciśniętymi w klomb ozdobnych krzewów. W niewielkiej odległości stali ich męscy krewni, obserwujący tę próbę sił. Widok był znamienny: wyspa obnażona przez fale odpływu i skazana na to, że się powiększy.

- Uważam, że powinny przyjść do mnie.
- Śmiało, Mary, będziesz to miała za sobą.
- Nie życzę sobie podawać ręki żadnemu mężczyźnie, chyba tylko Nawabowi Bahadurowi.
- Kogo to już mamy? - Powiódł wzrokiem po gościach. - Hm, hm! Mniej więcej tak, jak oczekiwaliśmy. Myślę, że wiemy, dlaczego ten tu jest... w sprawie kontraktu, a ten chce pozyskać mnie na Moharram*, to znów jest astrolog, który chce obejść

* Moharram - pierwszy miesiąc kalendarza muzułmańskiego, miesiąc żałoby po Hussajnie, młodszym bracie Alego, następcy Mahometa.

39

miejskie przepisy budowlane, to ten Pars*, a ten... No i znowu to samo - prosto w nasze malwy! Ściągnął lewą wodzę, a chciał prawą. Jak zwykle.

- Nie powinno się im było pozwolić na wjeżdżanie. To nikomu nie wychodzi na dobre - powiedziała pani Turton, która rozpoczęła wreszcie swój marsz w stronę letniego domku, w towarzystwie pani Moore, panny Quested i psa teriera. - Dlaczego one w ogóle tu przychodzą, nie mam pojęcia. Nie cierpią tego tak samo jak my. Pomówcie z panią McBryde. Mąż kazał jej urządzać herbatki dla pań z pardy, aż w końcu zastrajkowała.
- To nie jest herbatka dla pań z pardy - sprostowała panna Quested.

- Och, istotnie - padła wyniosła riposta.
- Zechce nam pani uprzejmie powiedzieć, kim są te panie - poprosiła pani Moore.
- W każdym razie stoi pani wyżej od nich. Proszę o tym nie zapominać. Stoi pani wyżej od wszystkich kobiet w Indiach, z wyjątkiem jednej czy dwóch rani, a nawet one są tylko pani równe.

Postąpiwszy do przodu wymieniła uścisk dłoni z całą grupką i wyrzekła kilka słów powitania w urdu. Uczyła się kiedyś tego języka, ale tylko na tyle, żeby mówić ze służbą, więc nie знаła ani jednego uprzejmiejszego zwrotu, a z czasowników tylko tryb rozkazujący. Po przemówieniu zapytała swoje towarzyszek:

- Czy tego sobie panie życzyły?
- Proszę powiedzieć tym paniom, że chciałybyśmy mówić w ich języku, ale dopiero niedawno przyjechałyśmy do ich kraju.
- Może my mówimy trochę waszym językiem - powiedziała jedna z pań.
- Proszę, proszę, ona rozumie! - rzekła pani Turton.
- Eastbourne, Piccadilly, High Park Corner - odezwała się inna pani.
- O tak, one mówią po angielsku.
- Więc teraz możemy rozmawiać. To cudownie! - wykrzyknęła Adela z rozjaśnioną twarzą.

* Pars - członek indyjskiej gminy religijnej, wyznawca Zaratustry.

40

- Ona zna także Paryż! - zawołał ktoś z grupki przyglądających się mężczyznom.

- Tak, nie ma wątpliwości, że w drodze zaczepiają o Paryż - powiedziała pani Turton, jak gdyby opisywała szlak ptaków przez lotnych. Jej maniery stały się bardziej wyniosłe, odkąd odkryła, że niektóre panie w grupie są zeuropeizowane i mogłyby zastosować do niej jej własne kryteria.

- Ta niższa pani to moja żona, to pani Bhattacharya - wyjaśnił ów mężczyzna. - Ta wyższa pani to moja siostra, to pani Das.

Obie panie, wyższa i niższa, poprawiły sari i uśmiechnęły się. Ich ruchy cechowała dziwna niepewność, jak gdyby szukały jakiejś nowej formuły, której nie mógł im dać ani Wschód, ani Zachód. Kiedy mówił mąż pani Bhattacharya, ona odwracała się od niego, ale nie miała nic przeciw patrzeniu na innych mężczyzn. W rzeczy samej wszystkie panie były niepewne siebie, to kuląc się ze strachu, to odzyskując spokój, chichocząc, wykonując drobne gesty skruchy lub rozpacz w odpowiedzi na wszystko, co usłyszały, i na przemian pieszcząc teriera lub się przed nim wzdrygając. Panna Quested miała teraz swoją wymarzoną okazję; oto stali tu przed nią przyjaźni Hindusi, a ona próbowała nakłonić ich do rozmowy, ale ponosiła porażkę, na próżno usiłując przebić się przez rozbrzmiewające echem mury ich uprzejmości. Wszystko, co mówiła, wywoływało szmer uprzejmych „Ach!” i „Och!”, który przeszedł w szmer zaniepokojenia, kiedy upuściła chusteczkę. Próbowala nie robić nic, żeby się przekonać, co z tego wyniknie, i one też nic nie robiły. Pani Moore odniosła równie niewielki sukces. Pani Turton czekała na nie z wyrazem obojętności; od pierwszej chwili wiedziała, jaki to wszystko nonsens.

Kiedy się zegnały, pani Moore pod wpływem nagłego impulsu zwróciła się do pani Bhattacharya, której twarz jej się spodobała:

- Czy może pani pozwoliłaby odwiedzić się któregoś dnia?
- Kiedy? - odpowiedziała tamta, kłaniając się z wdziękiem.
- Kiedy tylko będzie pani odpowiadało.
- Wszystkie dni są dogodne.
- Czwartek...
- Ależ oczywiście.

- Bardzo będziemy się cieszyły, to byłaby wielka przyjemność.

O jakiej porze?

- O każdej porze.

- Proszę nam powiedzieć, o której godzinie pani woli. Jesteśmy zupełnie obce w waszym kraju. Nie wiemy, kiedy przyjmujecie gości - rzekła panna Quested.

Pani Bhattacharya również zdawała się tego nie wiedzieć. Gestem dała do zrozumienia, że przewiduje od dawna, odkąd zaczęły się czwartki, że angielskie panie odwiedzą ją właśnie w któryś czwartek, więc zawsze jest tego dnia w domu. Wszystko jej sprawiało przyjemność, nic nie dziwiło.

- Wyjeżdżamy dziś do Kalkuty - dodała.

- Ach tak? - powiedziała Adela, nie orientując się w pierwszej chwili, co to oznacza. Potem zawołała: - Och, w takim razie nie zastaniemy pani.

Pani Bhattacharya nie zaproponowała. Ale jej mąż zawołał z daleka:

- Tak, tak, niech panie przyjdą do nas w czwartek!

- Ależ państwo będą w Kalkucie.

- Nie, nie, nie będziemy. - Powiedział coś szybko do żony po bengalsku. - Oczekujemy pań w czwartek.

- W czwartek... - powtórzyła jak echo kobieta.

- To niemożliwe, nie zrobili chyba państwo tak okropnej rzeczy, żeby odłożyć podróż ze względu na nas?! - wykrzyknęła pani Moore.

- Nie, oczywiście, że nie, nie jesteśmy tacy. - Mężczyzna śmiał się.

- Zdaje mi się, że chyba tak. Och, proszę państwa... nie potrafię wyrazić, jak mnie to martwi.

Wszyscy się teraz śmieli, ale nikt nie dawał do zrozumienia, że panie strzeliły gafę. Nastąpiła potem dość bezładna rozmowa, w czasie której pani Turton odeszła, uśmiechając się do siebie. Wynik był taki, że panie miały przyjść w czwartek, ale wcześniej rano, żeby możliwie najmniej pokrzyżować plany państwa Bhat-tacharya, a pan Bhattacharya przyśle po nie swój powóz oraz służących, którzy wskażą drogę. Czy wie, gdzie one mieszkają? Tak, oczywiście, wie wszystko, i zaśmiał się znowu. Odeszły wśród rozlicznych komplementów i uśmiechów, a trzy panie,

42

które dotąd nie uczestniczyły w przyjęciu, wypadły nagle z let-niego domku, niczym cudownie ubarwione jaskółki, i pozdrowiły je głębokim ukłonem.

Tymczasem zarządca pilnie odbywał swój obchód. Rzucił uprzejme słówka i niekiedy jakieś żarciki, które przyjmowano hucznym aplauzem, ale wiedział coś kompromitującego o prawie każdym ze swoich gości i w rezultacie była to z jego strony tylko gra pozorów. Jeżeli nawet nie mieli na sumieniu oszustwa, to w grę wchodziły kobiety, bhang* lub coś gorszego, a nawet ci mile widziani chcieli coś od niego wyciągnąć. Uważał, że „bu-dowanie mostów” przynosi raczej korzyści niż straty, w przeciwnym razie nie byłby urządzał takiego przyjęcia, ale nie miał żadnych złudzeń i we właściwym momencie wycofał się na an-gielską stronę trawnika. Wrażenie, jakie zostawił po sobie, było niejednoznaczne. Wielu gości - zwłaszcza ci skromniejsi i mniej zanglizowani - było szczerze wdzięcznych. Kiedy taki wysoki dygnitarz zwraca się do kogoś, wynika z tego trwała korzyść. To nieważne, że tak długo stali i że tak mało się działo, i że z wybiciem godziny siódmej będą musieli się wynieść. Inni byli wdzięczni, ale z nieco większym rozeznanie. Nawab Bahadur, obojętnie traktujący siebie samego i wyróżnienie, jakie go spotkało przy powitaniu, był jednak poruszony uprzejmością, która spowodowała rozesłanie zaproszeń. Rozumiał trudności. Hamidullah również uważał, że zarządca dobrze to rozegrał. Jednakże innych, jak Mahmuda Ali, cechował cynizm; byli głęboko przekonani, że Turton został przez swoich zwierzchników zmuszony do wydania tego przyjęcia i cały czas miota nim bezsilna wściekłość, i zarazili tym cynizmem kilku spośród tych, którzy przychylali się do rozsądniej szego zdania. Mimo to nawet Mahmud Ali był zado-wolony, że przyszedł. Święte przybytki są fascynujące, zwłaszcza jeśli rzadko otwierają swoje podwoje, i bawiła go myśl, że może obserwować rytuał angielskiego klubu, aby następnie sparodiować go przed

przyjaciółmi.

Po Turtonie, urzędnikiem najlepiej wykonującym swoje obowiązki był Fielding, dyrektor małego college'u. Niewiele wiedział

Bhang - narkotyk.

43

o swoim okręgu, a mniej jeszcze miał do zarzucenia jego mieszkańcom, więc nie był tak cynicznie usposobiony. Wysportowany, radosny, uwijał się wśród gości, popełniając przeróżne pomyłki, które rodzice jego uczniów starali się tuszować, bo zdobył sobie ich sympatię. Kiedy nadeszła chwila poczęstunku, nie przeszedł z powrotem na stronę angielską, natomiast poparzył sobie usta jakąś ostrą przyprawą. Rozmawiał z każdym, jadł wszystko. Wśród wielu nie znanych sobie spraw dowiedział się, że dwie nowe panie z Anglii odniosły wielki sukces i że ich uprzejme pragnienie złożenia wizyty pani Bhattacharya spodobało się nie tylko jej, lecz także wszystkim Hindusom, którzy się o tym dowiedzieli. Spodobało się też panu Fieldingowi. Mało znał obie panie, ale mimo to postanowił im powiedzieć, ile przyjemności sprawiły tą swoją życzliwością.

Odnalazł młodszą z nich, była sama. Spoglądała przez szczeplinę w żywopłocie z kaktusów na odległe Wzgórza Marabar-skie, które podpełzły teraz blisko, jak zawsze o zachodzie słońca; gdyby zachód trwał dość długo, dosięgłyby miasta, ale był tropikalny, więc szybki. Fielding przekazał swoje informacje, dziewczyna była tak uszczęśliwiona i dziękowała mu tak serdecznie, że zaprosił ją i drugą panią na podwieczorek.

- Bardzo chętnie przyjdę i pani Moore też, na pewno.
- Wie pani, jestem raczej pustelnikiem.
- To najlepsze, czym można być w tym mieście.
- W związku z moją pracą i tak dalej nieczęsto przychodzę do klubu.
- Wiem, wiem, a my nigdy z niego nie wychodzimy. Zazdrość czę panu, że przebywa pan wśród Hindusów.
- Chciałaby pani poznać kilku z nich?

- Bardzo, naprawdę bardzo, marzę o tym. To dzisiejsze przyjęcie tak mnie rozzłościło, czuję się okropnie. Mam wrażenie, że moi rodacy powariowali. Jak można zapraszać gości i nie traktować ich odpowiednio! Pan i pan Turton, i może jeszcze pan McBryde, to jedyni ludzie, którzy okazali jakąś normalną grzeczność. Za wszystkich innych po prostu się wstydzę, a robi się coraz gorzej.

Była to prawda. Anglicy mieli zamiar lepiej odegrać swoje role, ale przeszkodziły im w tym ich panie, którym musieli usługiwać, przynosić herbatę, udzielać rad na temat psów itd. Kiedy zaczął

44

się tenis, bariera była już nie do przebycia. Początkowo spodziewano się, że będzie można rozegrać kilka setów między Wschodem i Zachodem, ale zapomniano o tym i korty zostały opanowane przez te same pary co zawsze. Fieldinga też to oburzało, ale nie powiedział nic na ten temat dziewczynie, bo wyczuwał coś teoretycznego w jej wybuchu. Czy lubi muzykę indyjską, spytał. W college'u jest stary profesor, który śpiewa.

- Ach, właśnie to chcieliśmy usłyszeć. Zna pan może doktora Aziza?

- Wiem o nim wszystko. Nie znam go. Chciałaby pani, żebym jego też zaprosił?

- Pani Moore mówi, że jest taki miły.

- Doskonale, panno Quested. Czy czwartek pani odpowiada?

- Bardzo mi odpowiada, rano idziemy do tej indyjskiej pani.

Wszystkie miłe rzeczy wypadają w czwartek.

- Nie będę prosił pana sędziego, żeby panie przywiózł. Wiem, że jest zajęty o tej porze.

- Tak, Ronny jest zawsze zapracowany - odparła wpatrując się

we wzgórza. Jak piękne stały się nagle! Ale nie będzie mogła ich dotknąć. Przed nią, niby żaluzja, zawisł obraz jej małżeńskiego życia. Oboje z Ronnym będą jak dziś zaglądać co wieczór do klubu, a potem jechać do domu, żeby się przebrać; będą spotykać Lesleyów i Callendarów, i Turtonów, i Bulionów, i zapraszać ich lub przyjmować ich zaproszenia, podczas gdy prawdziwe Indie będą się prześlizgiwały obok niepostrzeżenie. Barwność pozostanie - korowód ptaków wczesnym rankiem, korowód brązowych ciał, białych turbanów, idoli o ciałach szkarłatnych albo błękitnych - i pozostanie ruch, dopóki będą tłumy na bazarze i ludzie kąpiący się w zbiornikach z wodą. Usadowiona na siedzeniu dwukółki będzie ich widziała. Ale siła, która kryje się za tymi barwami i za tym ruchem, umknie jej bardziej jeszcze niż umyka teraz. Będzie widziała Indie zawsze jako fryz, nigdy nie dostrzeże ich ducha, a była prawie pewna, że właśnie tego ducha pani Moore ujrzała w przelocie.

Po kilku minutach istotnie odjechali z klubu i przebrali się, i na kolację przyszła panna Derek i McBryde'owie, i menu było następujące: zupa jarzynowa z twardym jak śrut groszkiem z puszki, pseudowiejski chleb, ryba pełna rozgałęzionych ości i udająca

45

płastugę, znowu groszek do kotletów, biszkopt z kremem, sardynki na grzance: menu Anglo-Indii. Mogło być jedno danie więcej lub jedno danie mniej, kiedy ktoś wznosił się albo spadał w oficjalnej hierarchii, groszek mógł mniej lub bardziej grzechotać, sardynki i wermut mogły być importowane przez inną firmę, ale tradycja pozostawała ta sama; jedzenie wygnańców, przyrządzane przez służących, którzy go nie rozumieli. Adela myślała o tych młodych ludziach, mężczyznach i kobietach, którzy przyjeżdżali tu przed nią, statek za statkiem, których zasadzano do tego

samego jedzenia i tych samych poglądów, a także przywoływano do porządku w ten sam dobronny sposób, dopóki nie zaczęli się trzymać uznanych tematów i przywoływać do porządku innych. Nigdy nie stanę się taka, pomyślała, bo sama była młoda. Mimo to wiedziała, że ma przeciwnika jednocześnie podstępny i silny, przeciw któremu potrzebni jej są sprzymierzeńcy. Musi zgromadzić wokół siebie, tu, w Czandrapurze, garstkę osób, które myślą tak jak ona; była rada, że poznała dziś Fieldinga i tę indyjską panią o niewymownym nazwisku. Był to w każdym razie jakiś załazek; w ciągu najbliższych dwóch dni powinna wiedzieć znacznie więcej o swoich możliwościach.

Panna Derek - dama do towarzystwa maharani w odległym państwie indyjskim - była przyjazna i wesoła, i rozśmieszyła wszystkich opowiadaniem o swoim urlopie, który wzięła, bo uważała, że nań zasługuje, a nie dlatego, że maharani pozwoliła jej jechać. Teraz chciała zabrać także auto maharadży; zawiozła maharadżę na jakąś konferencję książąt do Delhi, a ona ułożyła śmiały plan włamania się do niego na stacji węzłowej, kiedy będzie wracało koleją. Mówiła też bardzo zabawnie o „budowaniu mostów” - właściwie traktowała cały półwysep jak operę komediową. - Gdyby człowiek nie widział śmiesznej strony tych ludzi, toby się wykończył - powiedziała panna Derek. Pani McBryde - ta, która była kiedyś pielęgniarką - wykrzykiwała nieustannie: - Och, Nancy, to kapitalne! Och, Nancy, można skonać ze śmiechu! Żebym ja tak mogła patrzeć na wszystko. - Pan McBryde mówił niewiele. Wydawał się miły.

Kiedy goście się rozjechali i Adela poszła do łóżka, odbyła się jeszcze jedna rozmowa między matką i synem. Chciał jej rady

1 pomocy, ale jednocześnie irytowała go wszelka ingerencja.

46

- Czy Adela dużo z tobą rozmawia? - zaczął. - Jestem zawałony pracą, nie widuję jej tak często, jak bym chciał, ale mam nadzieję, że wszystko układa się po jej myśli.

- Z Adelą mówimy przeważnie o Indiach. Kochanie, ponieważ wspomniałeś o tym, rzeczywiście masz rację. Powinieneś być z nią częściej sam na sam.

- Tak, możliwe, ale wtedy ludzie zaczną plotkować.

- No cóż, muszą kiedyś poplotkować! Niech plotkują.
- Ludzie tu są tacy dziwni, to nie tak jak w kraju. Człowiek stoi zawsze w światłach rampy, jak powiedział bara sahib. Weź taki głupi drobny przykład: kiedy Adela poszła na sam koniec terenu klubowego i Fielding pośpieszył za nią. Widziałem, że pani Callendar zwróciła na to uwagę. Oni zwracają uwagę na wszystko, dopóki nie nabiorą pewności, że jest się jednym z nich.
- Myślę, że Adela nigdy nie będzie tak naprawdę jedną z nich, jest na to zbyt wielką indywidualistką.
- Wiem, to właśnie jest w niej takie niezwykle - powiedział zamyślony. Pani Moore pomyślała, że jej syn mówi trochę niedorzecznie. Przyzwyczajona do prywatności życia londyńskiego nie mogła pojąć, że w Indiach, tak na pozór tajemniczych, nie ma żadnej prywatności i że na skutek tego konwenanse mają o wiele większą moc. - Mam nadzieję, że nic jej specjalnie nie trapi - mówił dalej.
- Zapytaj ją, sam ją zapytaj, drogi chłopcze.
- Pewnie słyszała opowieści o upałach, ale przecież wysyłałbym ją w góry co roku w kwietniu - nie jestem z tych, którzy każą żonie smażyć się na równinach.
- Och, nie chodziłoby o pogodę.
- W Indiach nie ma nic prócz pogody, moja droga mammo. To alfa i omega wszystkiego.
- Tak mówił pan McBryde, ale jest o wiele bardziej praw-

dopodobne, że sami Anglicy w Indiach działają Adeli na nerwy.

Widzisz, ona uważa, że nie zachowują się zbyt ładnie wobec Hindusów.

- A nie mówiłem?! - wykrzyknął, tracąc całą swoją łagodność. - Wiedziałem o tym już w zeszłym tygodniu. Och, jakie to kobiece martwić się o sprawy uboczne!

47

Zdumiona, zapomniała o Adeli.

- Sprawy uboczne? - powtórzyła. - Nazywasz to sprawą uboczną?

- Nie jesteśmy tu po to, żeby się ładnie zachowywać!

- Co masz na myśli?

- To, co mówię. Jesteśmy tu po to, żeby wymierzać sprawiedliwość i utrzymywać spokój. Takie są moje poglądy. Indie to nie salon.

- Twoje poglądy są poglądami bogów - powiedziała spokojnie, ale zirytował ją jego sposób mówienia, nie poglądy.

Usiłując odzyskać spokój, zauważył:

- Indie lubią bogów.

- Natomiast Anglicy lubią pozować na bogów.

- To wszystko jest nieistotne. Jesteśmy tu i tu zostaniemy, i ten kraj musi się na nas zgodzić, niezależnie od takich czy innych bogów. Posłuchaj - wybuchnął trochę żałośnie - co ja według ciebie i Adeli mam robić? Mam wystąpić przeciwko

swojej klasie, przeciw ludziom, których tutaj szanuję i podziwiam? Mam stracić te możliwości czynienia dobra w tym kraju, które posiadam, dlatego że moje zachowanie nie jest „ładne”? Żadna z was nie rozumie, co znaczy praca, inaczej nie mówilielibyście tych wszystkich nonsensów. Bardzo nie lubię mówić w taki sposób, ale czasem jest to konieczne. W zachowaniu twoim i Adeli jest chorobliwe przewrażliwienie. Widziałem was dziś w klubie - i to po tym, jak zarządca zadał sobie tyle trudu, żeby was zabawić. Jestem tu po to, żeby pracować, pamiętaj o tym, żeby utrzymać siłą ten nieszczęsny kraj. Nie jestem misjonarzem ani laburzystowskim posłem czy mętnym i sentymentalnym literatem. Jestem tylko sługą mojego rządu. To zawód, który sam sobie wybrałem, bo tego chciałaś, i na tym koniec. Nie jesteśmy w Indiach mili i nie zamierzamy być mili.

Mamy coś ważniejszego do roboty.

Mówił szczerze. Dzień po dniu pracował ciężko w sądzie, starając się orzec, która z dwóch nieprawdziwych relacji jest mniej nieprawdziwa, próbując nieustraszenie wymierzać sprawiedliwość, ochraniać słabych przed mniej słabymi, zająkujących się przed wygadanyymi, otoczony kłamstwem i pochlebstwami. Tego ranka skazał kasjera kolejowego za pobieranie zbyt wysokich opłat od

48

pielgrzymów i jakiegoś Pathana za usiłowanie gwałtu. Nie oczekiwano za to wdzięczności ani uznania, a zarówno kasjer, jak i Pathan mogli apelować, skuteczniej przekupić swoich świadków i uzyskać uchylenie wyroku. To był jego obowiązek. Ale stanowczo oczekiwał zrozumienia od swoich ziomków i z wyjątkiem nowo przybyłych nikt mu tego nie odmawiał. Naprawdę uważał, że nie powinien być nękanym „budowaniem mostów” po całym dniu pracy, chciał wtedy zagrać w tenisa z równymi sobie albo rozprostować nogi na leżaku.

Mówił szczerze, ale ona wolałaby, żeby mówił z mniejszym zapałem. Jakże ten Ronny delectuje się opisywaniem ujemnych stron swojej sytuacji! Jak bardzo stara się wbić jej w głowę, że nie jest w Indiach po to, aby się ładnie zachowywać, i jak wielką czerpie stąd satysfakcję! Przypomniała sobie jego szkolne lata. Wszelkie ślady młodzieńczego humanitaryzmu już się ulotniły, mówił teraz jak inteligentny i rozgoryczony chłopak. Same jego słowa, bez głosu, mogłyby chyba zrobić na niej wrażenie, ale kiedy usłyszała w nich ów ton zadowolenia z siebie, kiedy ujrzała, z jakim zadowoleniem i pewnością poruszają się jego wargi pod małym czerwonym nosem, pomyślała, całkiem nie logicznie, że nie jest to ostatnie słowo o Indiach. Odrobina żalu -nie żadnej ostrożnej namiastki, lecz żalu ze szczerzego serca -byłaby go uczyniła innym człowiekiem, a Imperium Brytyjskie inną instytucją.

- Mam zamiar trochę podyskutować, ba, nawet narzucić swoje zdanie - rzekła, pobrzękując pierścionkami. - Anglicy są tu po to, żeby byli mili.

- Czym to uzasadnisz, mamó? - spytał, znowu mówiąc łagodnym głosem, bo zawstydził się swojej drażliwości.

- Ponieważ Indie są częścią ziemi. A Bóg dał nam ziemię, żebyśmy byli mili dla siebie. Bóg... jest... miłością. - Zawahała się, widząc, jak bardzo nie w smak mu ten argument, coś jednak kazało jej mówić dalej. - Bóg dał nam tę ziemię, żebyśmy kochali swoich bliźnich i okazywali im to, a jest On wszechobecny, nawet w Indiach, żeby widzieć, jak nam się to udaje.

Ronny był posępny i trochę zaniepokojony. Znał te jej religijne skłonności, był to zawsze objaw złego zdrowia; te objawy

49

nasiliły się bardzo, kiedy umarł jego ojczym. Pomyślał: „Stanowczo się starzeje, nie powinienem zwracać uwagi na to, co mówi”.

- Pragnienie, żeby zachowywać się ładnie, jest miłe Bogu...

Szczerze, choćby i bezsilne pragnienie zdobywa nam jego błogośławieństwo. Myślę, że każdy błądzi, ale jest tak wiele odmian błędu. Dobra wola, dobra wola i jeszcze raz dobra wola. Choćbym mówiła językami...

Zaczekał, aż skończy, a potem powiedział łagodnie:

- Rozumiem to doskonale. Powinienem chyba teraz wrócić do moich akt, a ty powinnaś się położyć.
- Chyba tak, chyba tak. - Nie rozstawali się jeszcze przez kilka chwil, ale rozmowa stała się czymś nierealnym, odkąd pojawiło się w niej chrześcijaństwo. Ronny pochwalał religię, póki popierała hymn narodowy, ale protestował, kiedy usiłowała wyrzeć wpływ na jego życie. W takich razach zwykł mówić tonem pełnym szacunku, ale zdecydowanym: „Nie sądzę, by miało sens mówienie o tych sprawach, każdy człowiek musi sobie wypracować własną religię”, a każdy człowiek, który go słyszał, mruczał: „Brawo!”.

Pani Moore czuła, że popełniła omyłkę, wspominając Boga, ale w miarę, jak się starzała, było jej coraz trudniej tego unikać i Bóg znajdował się nieustannie w jej myślach, odkąd przyjechała do Indii, chociaż, rzecz dziwna, mniej ją zadowalał. Musiała koniecznie wymawiać często jego imię, największe imię, jakie знаła, a przecież nigdy przedtem nie wydało jej się mniej skuteczne. Za sklepieniem zawsze było jakby inne sklepienie, za najdalszym echem cisza. I żałowała później, że nie pozostała przy rzeczywiście ważnym temacie, który był przyczyną jej podróży do Indii - to jest przy stosunkach między Ronnym i Adelą. Czy uda mi się osiągnąć swój cel i doprowadzić do zaręczyn i małżeństwa?

Rozdział 6

Aziz nie poszedł na zabawę w budowanie mostów. Natychmiast po spotkaniu z panią Moore pochłonięły go inne sprawy. Było kilka nowych przypadków chirurgicznych i miał z nimi dużo

roboty. Nie był już pariasem ani poetą, stał się zamiłowanym lekarzem, bardzo wesołym i zajęтым różnymi operacjami, których szczegóły sączył w niechętne uszy swoich przyjaciół. Jego zawód fascynował go niekiedy, ale to on sam czynił go pasjonującym, przy czym zamiłowania naukowe miała jego dłoń, nie umysł. Kochał skalpel i używał go zręcznie, a lubił także pompować w chorego najnowsze surowice. Ale nuda szpitalnej dyscypliny i higieny napawała go wstrętem i zdarzyło się, że zaszczepiwszy jakiegoś pacjenta przeciw durowi brzuszemu, sam odchodził i pił nie filtrowaną wodę. - Czego można się spodziewać po takim typie? - mówił surowo major Callendar. - Brak wytrwałości, brak charakteru. - Ale w głębi duszy wiedział, że gdyby to Aziz, a nie on, operował w zeszłym roku wyrostek robaczkowy pani Graysford, staruszka na pewno by jeszcze żyła. To zaś nie usposabiało go ani trochę życzliwiej do podwładnego.

Rano, po wieczorze w meczecie, była awantura - ciągle mieli awantury. Major, który nie kładł się przez pół nocy, chciał wiedzieć, do cholery, dlaczego Aziz nie stawiał się natychmiast na wezwanie.

- Przepraszam, panie majorze, stawiłem się. Wsiadłem na rower, ale popsuł się przed szpitalem dla krów. Więc musiałem poszukać tongi.

- Popsuł się przed szpitalem dla krów? A skąd pan się tam wziął?

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem?

- Och Boże, Boże! Jeżeli ja mieszkam w tym miejscu - i kopnął butem żwir - a szpital dla krów jest kawał drogi stąd, po drugiej stronie pana domu - o tam - to w jaki sposób mógł pan przejeżdżać koło tego szpitala w drodze do mnie? A teraz niech pan dla odmiany trochę popracuje.

Odszedł wściekły, nie czekając na usprawiedliwienie, które, jeśli chodzi o ścisłość, było całkiem rozsądne: szpital dla krów leżał w prostej linii między domem Hamidullaha a jego własnym i Aziz oczywiście musiał tamtędy przejeżdżać. Major nie zdawał sobie sprawy, że wykształceni Hindusi stale się nawzajem odwiedzają, tkając jakby przy tym, choćby nawet z największym trudem, nową materię społeczną. Kasta lub „coś w tym rodzaju” z pewnością im na to nie pozwala. Wiedział jedynie,

że jeszcze

nikt nigdy nie powiedział mu prawdy, chociaż spędził już w tym kraju dwadzieścia lat.

Aziz, rozbawiony, odprowadzał go wzrokiem. Kiedy był w dobrym nastroju, uważał Anglików za instytucję komiczną i cieszył się, jeżeli go nie rozumieli. Ale było to rozbawienie emocjonalne i nerwowe, które przypadek lub upływ czasu mogły zniweczyć, coś innego niż rzeczywista wesołość, jaką osiągał wśród tych, którym ufał. Przyszło mu do głowy pewne niepo-chlebne porównanie w związku z panią Callendar. „Muszę to powiedzieć Mahmudowi Ali, uśmieje się”, pomyślał. Potem zabrał się do pracy. Był kompetentny i nieodzowny, i wiedział o tym. Porównanie wyleciało mu z głowy, kiedy zajął się swoją sztuką lekarską.

W ciągu tych miłych, pracowitych dni dochodziły do niego niezbyt jasne wiadomości o przyjęciu, które wydaje zarządca, a także o tym, że według Nawaba Bahadura wszyscy powinni na nie pójść. Jego kolega, doktor Panna Lal, wpadł w uniesienie na myśl o tej perspektywie i nalegał, żeby pojechali na przyjęcie razem jego nową dwukółką. Takie załatwienie sprawy odpowiadało im obu. Azizowi oszczędzało upokorzenia jazdy na rowerze, podczas gdy doktor Panna Lal, człowiek lękliwy i już niemłody, zapewniał sobie w ten sposób kogoś, kto potrafi zapanować nad jego koniem. Panował nad nim sam, ale nie zanadto, i bał się samochodów oraz nie znanego sobie zakrętu prowadzącego na teren klubowy.

- Może się zdarzyć katastrofa - powiedział uprzejmie - ale w każdym razie dostaniemy się tam bezpiecznie, nawet gdybyśmy mieli nie wrócić. - I z większą już logiką dodał: - Zrobi to dobre wrażenie, jeżeli dwaj lekarze przybędą jednocześnie.

Ale kiedy nadszedł czas, Aziza opanowała nagła niechęć i postanowił nie jechać. Po pierwsze, ostatnio wykonana praca dała mu uczucie niezależności, pełni sił. Po drugie, tak się złożyło, że w tym dniu przypadała rocznica śmierci jego żony. Umarła w nie-długi czas po tym, jak się w niej zakochał; nie kochał jej z początku. Pod wpływem pojęć zachodnich niechętnie patrzył na związek z kobietą, której nigdy przedtem nie widział; co więcej, kiedy ją zobaczył, rozczarowała go i spłodził pierwsze dziecko z czysto zwierzęcego popędu. Zmiana nastąpiła po urodzeniu dziecka.

Ujęła go jej miłość do niego, jej lojalność, która zawierała w sobie coś więcej niż pokorę, jej uporczywe próby kształcenia się na wypadek likwidacji pardy, co miało nastąpić w następnym, jeżeli nie w ich pokoleniu. Była inteligentna, a jednak miała pewien staroświecki wdzięk. Stopniowo zanikało przeświadczenie, że jego krewni dokonali złego wyboru. Rozkosz zmysłowa - cóż, nawet gdyby ją miał - uległaby stopieniu w ciągu roku, a w zamian za to zyskał coś, co zdawało się coraz silniejsze, im dłużej żyli ze sobą. Została matką syna... a dając mu drugiego syna umarła. Wtedy zrozumiał, co stracił, i wiedział, że żadna kobieta nie będzie mogła nigdy zająć jej miejsca; przyjaciel byłby bliższy temu ideałowi niż inna kobieta. Odeszła, nie ma takiej jak ona, a czym jest ta niepowtarzalność, jeśli nie miłością? Bawił się, czasem o niej zapominał, ale kiedy indziej wydawało mu się, że zabrała ze sobą do raju całe piękno i radość tego świata, i przemyślał o samobójstwie. Czy spotka ją za grobem? Czy istnieje miejsce takich spotkań? Chociaż był prawowierny, nie wiedział. Jedyność Boga była niewątpliwa i w niewątpliwy sposób obwieszczona, lecz we wszystkich innych sprawach wahał się jak przeciętny chrześcijanin; jego wiara w życie przyszłe przekształcała się w bladej cień nadziei, zanikała, pojawiała się znowu, wszystko na prześtrzeni jednego zdania lub w ciągu kilkunastu uderzeń serca, jakby to cząsteczki jego krwi, bardziej niż on sam, miały rozstrzygać, jakie poglądy będzie wyznawał i jak długo. Tak było z wszystkimi jego poglądami. Nic nie stało w miejscu, nic nie mijało bezpowrotnie; wszystko krążyło nieustannie i dawało mu młodość, a on opłakiwał swoją żonę tym szczerzej, że opłakiwał ją rzadko.

Byłoby prościej powiedzieć doktorowi Lalowi, że zmienił zamiary i nie pojedzie na przyjęcie, ale do ostatniej chwili nie wiedział, że je zmieni; w rzeczy samej nie zmienił ich, same się zmieniły. Nieprzewyciężona odraza wezbrała w nim jak fala. Pani Callendar, pani Lesley... nie, nie zniósłby ich w swym bólu; odgadłyby ów ból - bo przypisywał brytyjskim niewiastom dziwną intuicję - i z rozkoszą torturowałyby go i wykpiwały przed swoimi mężami. Kiedy powinien być już gotów, nadawał na pocztę telegram do swoich dzieci, a po powrocie dowiedział się, że

53

doktor Lal wstąpił do niego i pojechał sam. Dobrze, niech jedzie, to pasuje do jego prostackiej natury. Natomiast on będzie obcował ze zmarłymi.

I otworzywszy szufladę wyjął z niej fotografię żony. Wpatrywał się w nią i łzy trysnęły mu z oczu. „Jaki ja jestem niešťliwy!” - pomyślał. Ale ponieważ był naprawdę niešťliwy, do owej litości nad samym sobą przyłączyło się szybko inne uczucie: zapragnął przypomnieć sobie żonę - i nie mógł. Dlatego umiał

zapamiętać ludzi, których nie kochał? Zawsze stali mu przed oczyma jak żywi, natomiast teraz, im dłużej przyglądał się tej fotografii, tym mniej widział. Wymykała mu się tak, odkąd zanieśli ją do grobu. Wiedział, że mu się wyśliznie z rąk i zniknie z oczu, ale wierzył, że może żyć w jego myślach, nie zdając sobie sprawy, że już sam fakt naszej miłości do zmarłych wzmacnia ich nierzeczywistość i że im namiętniej ich przyzywamy, tym dalej odchodzą. Skrawek brązowej tektury i troje dzieci - oto wszystko, co pozostało po jego żonie. Było to nie do zniesienia, więc raz jeszcze pomyślał: „Jaki ja jestem nieszczęśliwy”, i stał się szczęśliwszy. Przez chwilę wdychał ową aurę śmierci, która otacza ludzi Wschodu i wszystkich ludzi, i cofnął się przed nią z westchnieniem ulgi, albowiem był młody. „Nie uporam się z tym nigdy, przenigdy”, powiedział sobie w duchu. „Z całą pewnością moja kariera okaże się fiaskiem, a moi synowie będą źle wychowywani”. Skoro ta rzecz była pewna, spróbował jej zapobiec i przejrzał notatki zrobione w szpitalu w związku z pewnym przypadkiem chirurgicznym. Może któregoś dnia jakiś bogacz będzie potrzebował takiej właśnie operacji i on zarobi dużą sumę. Ponieważ notatki go zainteresowały, schował foto-grafię do szuflady. Jej chwila minęła, nie myślał już więcej o żonie.

Po podwieczorku, kiedy nastrój mu się poprawił, poszedł odwiedzić Hamidullaha. Hamidullah był na przyjęciu, ale jego kucyk został, więc Aziz pożyczył go, a także bryczesy i młotek do polo. Udał się na majdan. Plac był wyludniony, tylko na jego obrzeżu trenowało kilku młodych chłopców z bazaru. Trenowali w jakim celu? Niełatwo by im przyszło na to odpowiedzieć, ale samo słowo stało się modne. Biegali w kółko, cherlawi i krzywonodzy - stan zdrowotny miejscowej ludności był opłakany - na twarzach

54

mając wyraz nie tyle determinacji, co determinacji, żeby być zdeterminowanym. - Salaam, maharadzo! - zawołał dla żartu. Chłopcy zatrzymali się i wybuchnęli śmiechem. Poradził im, żeby się zanadto nie wysilali. Przyrzekli, że nie będą, i pobiegli dalej.

Wyjeżdżając na środek zaczął uderzać młotkiem w piłkę. Nie umiał grać, ale kucyk umiał, wobec tego Aziz postanowił się uczyć, uwolniony od wszelkich ludzkich napięć. Kiedy tak uganiał się po brązowej niecce majdanu, a wieczorny wiatr chłodził mu czoło i rosnące dokoła drzewa kołysły jego oczy, zapomniał o całym przeklętym procederze życia. Piłka odskoczyła w stronę młodego oficera, który też ćwiczył. Odbił ją i zawołał:

- Niech pan jeszcze raz wybije!

- Doskonale.

Nowo przybyły miał pewne pojęcie o tym, co należy robić, za to jego koń nie miał, więc siły były wyrównane. Skupiwszy całą uwagę na piłce jakos przypadli sobie nawzajem do gustu i uśmiechali się, zatrzymując konie, żeby odpocząć. Aziz lubił woj-skowych - albo człowieka akceptowali, albo na niego klęli, co było lepsze od wyniosłości cywilów. Natomiast młody oficerek lubił każdego, kto umiał jeździć konno.

- Często pan gra? - zapytał.

- Nigdy.

- Zagrajmy jeszcze jedną czakkar*.

Kiedy uderzył piłkę, koń bryknął i oficer zleciał na ziemię.

- O, Boże! - krzyknął, po czym znowu wskoczył na siodło. -

Czy pan nigdy nie spada?

- Mnóstwo razy.

- Ej, chyba nie. $\begin{matrix} | \cdot | | \\ | \cdot | | \end{matrix} \quad || \quad ;$

Znowu zatrzymali konie, w ich oczach tlił się płomień serdecznego braterstwa. Ale stygnął wraz z ich ciałami, bo sport wzbudza tylko chwilowy blask. Powracała już sprawa narodowości, zanim jednak zdołała wyrzeć swój zatruty wpływ, rozstali się, salutując sobie nawzajem. „Gdyby oni wszyscy byli tacy”, pomyślał jeden o drugim.

: Czakkar - tutaj w znaczeniu runda.

55

Był już zachód. Kilku współwyznawców Aziza przyszło tym-czasem na majdan, modlili się z twarzami zwróconymi w stronę Mekki. Zbliżył się do nich bramiński byk i Aziz, chociaż sam nie miał ochoty na modlitwę, nie życzył sobie, żeby im przeszkadzało to niezdarne, bałwochwalczo czczone zwierzę. Uderzył byka lekko młotkiem do polo. W tym momencie ktoś zawołał do niego z ulicy: był to doktor Panna Lal, wracający w wielkim zdenerwowaniu z przyjęcia u zarządcy.

- Doktor Aziz, doktor Aziz, gdzie się pan podziewał? Czekałem

całe dziesięć minut w pana domu, wreszcie pojechałem.

- Tak mi przykro. Musiałem pójść na pocztę.

Ktoś z jego środowiska przyjąłby to jako informację, że zmienił zamiar, zdarzenie nazbyt częste, aby zasługiwało na przyganę. Ale doktor Lal, jako człowiek niskiego pochodzenia, nie miał pewności, czy nie zamierzano go obrazić, a ponadto był zirytowany, że Aziz szturchnął świętego byka.

- Na pocztę? Czy pan nie posyła tam służących?

- Mam ich tak niewielu... żyję raczej na niskiej stopie.

- Pana służący rozmawiał ze mną. Widziałem pana służącego.

- Ależ, doktorze, proszę się zastanowić. Jak mogłem posłać służącego, skoro pan miał przyjść: pan nadchodzi, obaj odjeżdżamy, mój służący wraca, a cały mój dobytek zostaje tymczasem wyniesiony z domu przez jakieś ciemne typy. Czy pan zgodziłby się na coś takiego? Kucharz jest głuchy - nigdy nie mogę liczyć na mojego kucharza - a boy to tylko mały chłopiec. Nigdy, nigdy ja i Hassan nie wychodzimy z domu jednocześnie. To moja żelazna reguła. - Powiedział to wszystko - i jeszcze dużo więcej - z czystej grzeczności, żeby doktor Lal mógł zachować twarz. Nie było to przedstawione jako prawda i nie powinno być krytykowane jako prawda. Ale tamten zniszczył wszystko, zadanie łatwe i niegodne.

- Nawet jak tak, to co przeszkadza zostawić karteczkę i napisać, gdzie pan idzie? - i tak dalej. Aziz nienawidził złych manier i zmusił kucyka do brykania. - Dalej ode mnie, bo mój się wyrwie przez solidarność - lamentował tamten, zdradzając prawdziwy powód irytacji. - Był nieposłuszny i taki dziki dziś po południu. Popsuł bardzo rzadkie kwiaty w ogrodzie klubowym i czterech ludzi musiało go odciągać. Angielskie damy i panowie na to

patrzą, a sam zarządca sahib zwraca uwagę. Ale, panie doktor Aziz, po co ja zabieram pański cenny czas. To pana nie obchodzi, pan ma tyle zajęć i telegramów. Ja jestem tylko stary, biedny doktor, który myślał, że to dobrze złożyć swoje uszanowanie, kiedy go proszą i gdzie go proszą. Pana nieobecność, mogę zauważyć, ściągnęła komentowanie.

- Mogą sobie komentować, niech to diabli wezmą!
- To przyjemnie być młodym. Niech to diabli wezmą! Bardzo ładnie. Kogo mają wziąć?
- Idę albo nie idę, jak mi się podoba.
- Jednak pan mi obiecuje, a potem fabrykuje tę bajeczkę o telegramie. Naprzód, Siwy!

Odjechał, a tymczasem Aziz poczuł szaleńczą chęć zrobienia sobie wroga do końca życia. Mógł tego z łatwością dokonać, po prostu galopując obok nich. Zrobił to. Siwy poniósł. Aziz jak burza runął z powrotem na majdan. Chwała gry z młodym oficerem jeszcze się nie ulotniła, galopował i krążył, aż cały spłynął potem, a póki nie odprowadził kucyka do stajni Hamidullaha, czuł się równy każdemu człowiekowi na świecie. Zaledwie stanął na własnych nogach, obleciał go strach. Czy jest źle widziany przez moźnych tego świata? Czy obraził zarządcę swoją nieobecnością? Doktor Panna Lal to człowiek nic nie znaczący, ale czy to rozsądnie się z nim kłócić? Jego myśl zmieniła zabarwienie z humanistyczno-polityczne. Nie myślał już: „Czy potrafię współżyć z ludźmi?”, lecz: „Czy są silniejsi ode mnie?”, wdychając teraz powszechne tu miazmaty.

W domu czekał na niego list ze stemplem urzędowym. Leżał na stole niczym groźny materiał wybuchowy, który za lada dotknięciem może rozsadzić jego lichey bungalow. Będzie zwolniony ze służby, ponieważ nie stawił się na przyjęcie. Kiedy otworzył liścik, okazało się, że jest to coś zupełnie innego; zaproszenie od pana Fieldinga, dyrektora college'u, który prosił go o przybycie na podwieczorek pojutrze. Nastrój poprawił mu się natychmiast. Poprawiłby się i tak, bo jego dusza mogła cierpieć, ale nie dusić się, i mimo swej zmienności Aziz wiódł bardzo uporządkowane życie. Jednakże ten list sprawił mu szczególną radość, bo Fielding zaprosił go na herbatę w ubiegłym miesiącu, a on zapomniał o tym - nie odpowiedział, nie poszedł, po prostu zapomniał.

I oto przychodzi drugie zaproszenie, bez słowa przygany, naj-drobniejszej choćby aluzji do jego potknięcia. To była prawdziwa grzeczność - uprzejmy gest wskazujący na dobroć serca - toteż chwyciwszy pióro napisał serdeczną odpowiedź i pośpieszył z powrotem do Hamidullaha po informacje. Nie znał dotąd dyrektora Fieldinga i był pewien, że teraz zapełni się poważna luka w jego życiu. Pragnął dowiedzieć się wszystkiego o tym wspaniałym człowieku - jaką ma pensję, upodobania, przeszłość i czym można by mu sprawić przyjemność. Ale Hamidullah nie wrócił jeszcze, a Mahmud Ali, który był w domu, robiłby tylko głupie i niegrzeczne żarty na temat przyjęcia.

Rozdział 7

Otóż Fielding późno dał się schwytać Indiom. Był po czterdziestce, kiedy przekroczył ów dziwaczny portal, dworzec Wiktorii w Bombaju i - przekupiwszy europejskiego biletera - wniósł walizki do przedziału w swoim pierwszym tropikalnym pociągu. Podróż pozostała mu w pamięci jako bardzo znamienna. Z dwóch pasażerów w tym przedziale jednym był młody człowiek, nowicjusz na Wschodzie, jak on sam, drugim zahartowany w bojach Anglik z Indii mniej więcej w jego wieku. Oddzielała go od obu głęboka przepaść; widział w życiu zbyt wiele miast i zbyt wiele ludzi, żeby być tym pierwszym albo stać się kiedyś tym drugim. Zewsząd cisnęły się doń nowe wrażenia, ale nie były to ortodoksyjne nowe wrażenia; warunkowała je przeszłość i podobnie było z jego pomyłkami. Traktować Hindusa, jak gdyby był Włochem, nie jest, na przykład, powszechną ani zapewne tragiczną pomyłką, a Fielding często próbował analogii między tym półwyspem i tamtym drugim, mniejszym i piękniej ukształtowanym, który wżyna się w antyczne wody Morza Śródziemnego.

Jego kariera, chociaż związana ze szkolnictwem, była urozmaicona i zdarzało się, że schodził na złą drogę i potem tego żałował. Obecnie był zahartowanym, łagodnym, inteligentnym

człowiekiem na progu wieku średniego, pełnym głębokiej wiary w moc oświaty. Było mu wszystko jedno, kogo uczy: chłopcy z ekskluzywnych szkół, dzieci upośledzone umysłowo, policjanci, wszyscy przechodzili przez jego ręce i nie miał nic przeciw temu, żeby powiększyć ich liczbę o Hindusów. Dzięki wpływowym znajomym został

mianowany dyrektorem niewielkiego college'u w Czandrapurze, polubił to i wierzył, że pracuje dobrze. Był z pewnością lubiany przez uczniów, ale przepaść między nim i jego rodakami, którą zauważył już w pociągu, pogłębiła się niepokojąco. Początkowo nie rozumiał, w czym rzecz. Nie brakło mu patriotyzmu, w Anglii zawsze dobrze współżył z Anglikami, wszyscy jego najlepsi przyjaciele byli Anglikami, więc dlaczego tu jest inaczej? Duży, niedźwiedziowaty, o zbyt długich kończynach i błękitnych oczach, zdawał się budzić zaufanie, dopóki nie otworzył ust. Wtedy coś w jego sposobie bycia intrygowało ludzi i nie pozwalało rozproszyć nieufności, jaką w naturalny sposób wzbudzał jego zawód. Ta plaga tęgich mózgów jest złem koniecznym w Indiach, lecz biada temu, kto powiększa ich liczbę! Ustaliło się mniemanie, że pan Fielding przedstawia sobą siłę destruktywną, i słusznie, bo idee są zgubne dla kasty, a on posługiwał się nimi, stosując tę najbardziej skuteczną metodę - wymianę. Nie będąc ani misjonarzem, ani badaczem, czuł się najszcześliwszy w atmosferze wzajemnych ustępstw prywatnej rozmowy. Świat, jak wierzył, jest planetą ludzi, którzy próbują dotrzeć do siebie nawzajem, co najlepiej mogą osiągnąć z pomocą dobrej woli, kultury i inteligencji - wyznanie wiary źle pasujące do Czandrapuru, ale przybył tu za późno, żeby zeń zrezygnować. Nie miał przesądów rasowych - nie dlatego, że stał wyżej od swoich braci cywilów, tylko ponieważ dojrzał w innej atmosferze, tam gdzie nie rozwija się bujnie instynkt stadny. Tym, co najbardziej zaszkodziło mu w klubie, była żartobliwa uwaga, że tak zwane białe rasy są w rzeczywistości różowoszare. Rzucił ją tylko po to, żeby było wesoło, nie orientował się, że słowo „biały” ma tyle wspólnego z kolorem, co „Boże, chroń króla” z Bogiem, i że jest rzeczą wysoce niewłaściwą rozważać jego konotacje. Różowoszary samiec, do którego zwrócił te słowa, był subtelnie zgorszony; zbudziło się w nim poczucie zagrożenia i przekazał je reszcie stada.

59

Mimo to mężczyźni tolerowali go dla jego dobrego serca i silnego ciała; to ich żony zdecydowały, że tak naprawdę nie jest sahibem. Nie lubiły go. Nie zwracał na nie uwagi i właśnie to, co w feministycznej Anglii nie wywołałoby komentarzy, szkodziło mu w społeczności, która wymaga od mężczyzny, żeby był energiczny i pomocny. Pan Fielding nigdy nie udzielał nikomu porad na temat psów czy koni, nie urządzał proszonych kolacji i nie składał wizyt przed południem ani nie przystrajał choinek dla dzieci na Boże Narodzenie, a chociaż przychodził do klubu, to tylko po to, żeby zagrać w tenisa czy w bilard i zniknąć. Wszystko to była prawda. Fielding przekonał się, że jest rzeczą możliwą być w dobrych stosunkach z Hindusami i Anglikami, ale ten, kto chciałby stykać się także z Angielkami, musi

zrezygnować z Hindusów. Jedno nie idzie w parze z drugim. Na nic się nie zda winić tę czy tamtą stronę, na nic się nie zda winić je, że obwiniają się wzajem. Po prostu tak było i czło-wiek musiał wybierać. Większość Anglików wolała swoje krewne, przyjeżdżające coraz liczniej do Indii, bo dzięki nim życie według wzorów krajowych stawało się z każdym rokiem możliwsze. Fielding stwierdził, że kontakty z Hindusami są dla niego dogodne i miłe, i musiał za to płacić. Z zasady żadna Angielka nie przekraczała progu college'u, z wyjątkiem oficjalnych okazji, a jeśli zaprosił panią Moore i pannę Quested na herbatę, zrobił do dlatego, że jako osoby świeżo przybyłe będą patrzeć na wszystko okiem nieuprzedzonym, choć może powierzchownie, i nie zaczną przybierać specjalnego tonu w rozmowie z pozostałymi gośćmi.

Sam college był zaniedbany przez Wydział Robót Publicznych, ale na jego terenie znajdował się stary ogród, a w nim domek, w którym Fielding mieszkał przez większą część roku. Ubierał się właśnie po kąpieli, kiedy zaanonsowano doktora Aziza. Zawołał głośno z sypialni:

- Proszę, niech się pan czuje jak u siebie w domu! - Słowa te, jak prawie wszystko, co robił, nie były przygotowane z góry; powiedział to, co miał ochotę powiedzieć.

Dla Aziza były one całkowicie jednoznaczne.

- Naprawdę mogę, panie Fielding? To miło z pana strony! - odkrzyknął. - Niezmiernie lubię tak niekonwencjonalne zachowa-

60

nie. - W promiennym nastroju ducha rozejrzał się po saloniku. Był tu pewien zabytek, ale żadnego ładu - nic, co by miało onieśmielać biednych Hindusów. Był to ponadto bardzo ładny pokój, otwarty na ogród poprzez trzy wysokie drewniane łuki. - Otóż dawno chciałem pana poznać - mówił dalej. - Słyszałem tyle o pana gorącym sercu od Nawaba Bahadura. Ale gdzie można się spotkać w takiej podłej dziurze jak Czandrapur? - Podeszedł do samych drzwi. - Kiedy byłem jeszcze świeżo upieczonym lekarzem, to wie pan co? Chciałem, żeby pan zachorował, bo w ten sposób moglibyśmy się poznać. - Roześmieli się obaj; zachęcony tym sukcesem Aziz zaczął improwizować. - Mówiłem sobie: „Jak pan Fielding wygląda dziś rano? Może jest blady? A naczelnny lekarz też jest blady, nie będzie mógł się nim zająć, jak przyjdą dreszcze. Mnie by wezwano zamiast niego. Potem rozmawialibyśmy wesoło, bo jest

pan słynnym znawcą poezji perskiej.

- A więc pan mnie zna z widzenia?
- Naturalnie, naturalnie. A pan mnie zna?
- Znam pana bardzo dobrze z nazwiska.
- Jestem tu tak krótko i zawsze na bazarze. Zrozumiałe, że pan mnie nigdy nie widział i dziwię się, że pan zna moje nazwisko.

Ale, ale, panie Fielding?

- Słucham.
- Niech pan zgadnie, jak wyglądam, zanim pan wyjdzie. To będzie taka gra.
- Ma pan pięć stóp i dziewięć cali wzrostu - powiedział Fielding, bo tyle mógł dostrzec przez matowe szkło drzwi do sypialni.
- Świetnie. Co dalej? Czy mam szacowną białą brodę?
- Psiakrew!
- Coś się stało?
- Nadepnałem na ostatnią spinkę do kołnierzyka.
- Niech pan weźmie moją, niech pan weźmie moją.
- Ma pan zapasową?
- Tak, tak, chwileczkę.
- Nie mogę, jeżeli pan sam ją nosi.
- Nie, nie, mam jedną w kieszeni. - Odszedł na bok, żeby nie było widać jego sylwetki, odgiął kołnierzyk i wyciągnął z tyłu

koszuli spinkę, złotą spinkę od kompletu, który przywiózł mu z Europy jego szwagier. - Oto ona! - zawołał.

- Proszę z nią tu wejść, jeżeli pan nie zwraca uwagi na konwenanse.

- Jeszcze chwila. - Wsuwając kołnierzyk na miejsce modlił się, żeby mu nie wyskoczył w czasie podwieczorku. Służący Fieldinga, który pomagał przy ubieraniu, otworzył przed nim drzwi.

- Bardzo dziękuję. - Podając sobie dłonie, wymienili uśmiechy. Aziz zaczął się rozglądać, jakby był u starego przyjaciela. Fieldinga nie zaskoczyło szybkie tempo tej zażyłości; w tak emocjonalnym narodzie zawiązywała się albo natychmiast, albo nigdy, a ponieważ on i Aziz słyszeli przedtem o sobie same dobre rzeczy, mogli pominąć wstępne ceremonie.

- Ależ ja zawsze myślałem, że Anglicy utrzymują swoje mieszkania w wielkim porządku. Wydaje się, że tak nie jest. Nie muszę się wstydzić. - Radośnie przysiadł na łóżku, potem, zapominając się do reszty, podciągnął nogi i skrzyżował je pod sobą. - Wszystko zimno uszeregowane na półkach, tak zawsze myślałem. Ale, ale, panie Fielding, czy ta spinka wejdzie?

- Mam pewne wątpliwości - padła odpowiedź w szkockim dialekcie.

- Przepraszam, jak idzie to ostatnie zdanie? Zechce pan mnie nauczyć kilku nowych słów i w ten sposób poprawić mój angielski?

Fielding wątpił, czy „wszystko zimno uszeregowane na półkach” da się poprawić.

Zdumiewała go pewność, z jaką młode pokolenie posługiwało się obcym sobie językiem; przeinaczali sens idiomów, ale umieli szybko wyrazić wszystko to, co chcieli; nie było tu żadnych „babuizmów”*, które przypisywano im w klubie. No, ale klub reagował powoli; nadal twierdził, że niewielu mahometan i żaden hinduista nie zechce zasiąść za stołem Anglika i że wszystkie indyjskie panie żyją w niedostępnym zamknięciu. Członkowie klubu wiedzieli więcej; klub jako całość ani myślał się zmieniać.

* Babu - pan.

62

- Może ja włożę panu spinkę? Tak... dziurka z tyłu koszuli jest za mała, a szkoda rozedrzyć.

- Dlaczego, u licha, w ogóle nosi się kołnierzyk? - zrzędził Fielding, przechylając głowę.

- My je nosimy, żeby zmylić policję.

- Jak to?

- Kiedy jadę na rowerze w angielskim ubraniu - sztywny kołnierzyk, kapelusz z rowkiem - nie zwracają uwagi. Jak noszę fez, krzyczą: „Lampa się nie pali!”. Lord Curzon nie brał tego pod uwagę, kiedy namawiał krajowców w Indiach, żeby zachowali malownicze ubiory. - Hura! Spinka weszła. - Czasami zamykam oczy i marzę, że mam wspaniały strój i przy boku Alamgira ruszam do bitwy. Panie Fielding, czy Indie nie musiały być wtedy piękne, kiedy Imperium Mogołów było u szczytu i Alamgir królował w Delhi na Pawim Tronie?

- Dwie panie przychodzą na herbatę, żeby pana poznać. Myślę, że pan je zna.

- Mnie poznać? Nie znam żadnych pań.

- A pani Moore i panna Quested?
- Ach, tak, pamiętam. - Romantyczna przygoda w meczecie wyparowała z jego świadomości z chwilą, kiedy się skończyła. - Niezmiernie wiekowa pani. Ale zechce pan, proszę, powtórzyć nazwisko jej towarzyszek?
- Panna Quested.
- Jak pan sobie życzy. - Był rozczarowany, że mają przyjść inni goście, wolałby być sam na sam ze swoim nowym znajomym.
- Jeśli pan zechce, będzie pan mógł porozmawiać z panną Quested o Pawim Tronie. Mówią, że to artystyczna dusza.
- Czy jest postimpresjonistką?
- Postimpresjonizm, słowo daję! Chodźmy na herbatę. Ten świat staje się już dla mnie za trudny.

Aziz był urażony. Ostatnie słowa sugerowały, że on, ciemny Hindus, nie miał prawa słyszeć o postimpresjonizmie - to przywilej zastrzeżony dla rasy panującej. Powiedział oschle:

- Nie uważam pani Moore za bliską znajomą, spotkałem ją tylko przypadkiem w moim meczecie - i miał już dodać: „Jedno spotkanie to za krótko, żeby się zaprzyjaźnić”, ale nim zdążył skończyć zdanie, oschłość się ulotniła, bo czuł, że u podstawy

63

wszystkiego leży dobra wola Fieldinga. Jego własna życzliwość wyszła jej na spotkanie i szamotała się pod falującą powierzchnią przyływów i odpływów emocji, które jedyne zdolne są do-prowadzić podróżnego do cichej przystani, ale mogą też ponieść go dalej i wyrzucić na skały. Był właściwie bezpieczny - tak bezpieczny jak mieszkaniac lądu, który potrafi zrozumieć tylko twardą ziemię pod stopami i przypuszcza, że każdy statek musi się rozbić, i miał także doznania niedostępne dla

mieszkańca ładu. W rzeczy samej był raczej uczulony niż wrażliwy. We wszystkim, co mówiono, odnajdywał jakieś znaczenie, ale nie zawsze prawdziwe, i jego życie, chociaż barwne, było w znacznej mierze snem. Fielding, na przykład, nie chciał wyrazić się lekceważąco o Hindusach, tylko o postimpresjonizmie; była ogromna przepaść między jego uwagą i słowami pani Turton: „Proszę, proszę, one mówią po angielsku”, ale dla Aziza obie te wypowiedzi brzmiały jednakowo. Fielding widział, że coś się zepsuło i że się potem naprawiło, ale nic sobie z tego nie robił, bo był optymistą, kiedy wchodziły w grę stosunki osobiste, więc gawędzili dalej.

- Poza paniami oczekuję jednego z moich pomocników, Narayana Godbole.
- Ho, ho, to ten dekański bramin.
- On też chciałby powrotu przeszłości, ale niekoniecznie Alamgira.
- Domyślam się. Wie pan, co mówią dekańscy bramini? Że Anglia, kiedy podbiła Indie, zabrała je im... im, rozumie pan, nie Mogolom. Czy taka bezczelność nie jest dla nich typowa? Nawet dali łapówkę, żeby to było w podręcznikach, bo są sprytni i okropnie bogaci. Profesor Godbole musi być zupełnie nie taki, jak inni dekańscy bramini... z tego co o nim słyszę. Bardzo szczerzy chłop.
- Aziz, dlaczego nie założycie klubu w Czandrapurze?
- Może... któregoś dnia... widzę właśnie, jak pani Moore i ta... jak ona się zowie... zajeżdżają.

Co za szczęście, że było to „niekonwencjonalne” spotkanie, przy którym nie ma żadnych ceremonii! Dzięki temu Aziz stwierdził, że z angielskimi paniami łatwo się rozmawia, traktował je jak mężczyzn. Uroda by mu przeszkodziła, bo narzuca ona swoje

własne prawa, ale pani Moore była stara, a panna Quested tak nieładna, że tego rodzaju niepokoje zostały mu oszczędzone. Kanciasta figura Adeli i piegi na jej twarzy były w jego oczach straszliwymi defektami, zastanawiał się, jak Bóg może być tak niemiłosierny dla kobiety. W konsekwencji jego postawę wobec niej cechowała doskonała prostota.

- Chcę pana o coś spytać, panie doktorze - zaczęła. - Słyszałam od pani Moore, jak bardzo był pan jej pomocny w meczecie i jaki interesujący. Dowiedziała się więcej o Indiach w ciągu tych kilku minut niż w ciągu trzech tygodni od naszego wylądowania.

- Och, proszę o tym nie wspominać, to drobiazg. Czy jest jeszcze coś, co mógłbym pani powiedzieć o moim kraju?

- Chciałabym, żeby pan wyjaśnił mi pewne rozczarowanie, jakie spotkało nas dziś rano. Ma to chyba związek z indyjską etykietą.

- Nie ma żadnej etykiety, naprawdę - odpowiedział. - Jesteśmy z natury bardzo bezceremonialni.

- Obawiam się, że musiałyśmy popełnić jakiś błąd i obrazić kogoś - rzekła pani Moore.

- To jest jeszcze bardziej niemożliwe. Ale czy mogę poznać fakty?

- Jedni państwo, Hindusi, mieli przysłać po nas powóz dziś o dziewiątej rano. Powóz nie przyjechał. Czekaliśmy i czekałyśmy bez końca. Nie możemy pojąć, co się stało.

- Jakieś nieporozumienie - powiedział Fielding, orientując się natychmiast, że jest to incydent, którego lepiej nie wyjaśniać.

- Ach, nie, to nie to - upierała się panna Quested. - Oni nawet

zrezygnowali z podróży do Kalkuty, żeby nas u siebie przyjąć.

Musiałeśmy popełnić jakiś idiotyczny błąd, obie jesteśmy tego pewne.

- Ja bym się tym nie przejmował.

- Dokładnie to samo mówił mi pan Heaslop - odparła, czerwieniąc się trochę. - Jeżeli się człowiek nie przejmuje, jak może cokolwiek zrozumieć?

Gospodarz był skłonny zmienić temat, ale Aziz go podjął, i to z zapalem, a usłyszawszy strzępki nazwiska delikwentów orzekł, że są to hinduiści.

65

- Opieszali hinduiści... oni nie mają pojęcia o towarzystwie.

Znam ich bardzo dobrze z powodu jednego lekarza w szpitalu.

Taki ospały, niepunktualny typ! Nawet lepiej, że panie nie poszły do ich domu, bo dałoby to paniom fałszywe pojęcie

o Indiach. Wszystko tam niesanitarnie. Ja z mojej strony myślę, że się zawstydzili swojego mieszkania i dlatego nie przysłali powozu.

- To jest myśl - powiedział Fielding.

- Tak strasznie nie lubię tajemnic - oświadczyła Adela.

- Jak wszyscy Anglicy.

- Nie lubię ich nie dlatego, że jestem Angielką, ale z mojego osobistego punktu widzenia - skorygowała.

- Ja lubię tajemnice, ale bardzo nie lubię zamętu - powiedziała pani Moore.

- Tajemnica to zamęt.

- Ach, tak pan myśli, panie Fielding?
- Tajemnica to tylko szumne określenie zamętu. I w jednym,
1 w drugim przypadku lepiej tego nie ruszać. Aziz i ja wiemy
dobrze, że Indie to jeden wielki zamęt.
- Indie to... Och, co za przerażająca myśl!
- Nie będzie zamętu, kiedy państwo przyjdą do mnie - powie-
dział Aziz, nieco zdezorientowany. - Pani Moore, wszyscy pań-
stwo... zapraszam was... och, bardzo proszę.

Starsza pani przyjęła zaproszenie; nadal uważała, że młody doktor jest wyjątkowo miły. Ponadto jakieś nowe uczucie, na pół tęsknota, na pół podniecenie, kazało jej skręcać na każdą nową ścieżkę. Panna Quested przyjęła zaproszenie z chęci przygody. Jej także spodobał się Aziz i wierzyła, że kiedy poznają się lepiej, da jej klucz do swego kraju. Zaproszenie sprawiło jej przyjemność, spytała go o adres.

Aziz ze zgrozą pomyślał o swoim domku. Ohydna buda obok nędznego bazaru. Właściwie był tam tylko jeden pokój, a i ten roił się od małych czarnych muszek.

- Och, lepiej pomówmy teraz o czymś innym! - wykrzyknął. -
Chciałbym mieszkać tutaj. Jakież to piękny pokój! Podziwiamy
go razem przez chwilę. Proszę popatrzeć na krzywizny u dołu
łuków. Jaka delikatność! To architektura pytań i odpowiedzi. Pani
Moore, jest pani w Indiach; ja nie żartuję. - Pokój przyniósł mu

66

natchnienie. Była to sala audiencjonalna, zbudowana w osiemnas-tym wieku dla jakiegoś wysokiego dygnitarza, i chociaż z drzewa, przypominała Fieldingowi Loggia de'Lanzi we Florencji. Mniej-sze pomieszczenia, teraz zeuropeizowane, przylegały do niej z obu stron, ale centralny hali nie był wytapetowany ani oszklony i z ogrodu swobodnie napływało powietrze. Siedziało się tu na widoku publicznym - jakby na wystawie - na oczach ogrodników, którzy wrzeszczeli na ptaki, i człowieka, który odnaj-mował zbiornik do uprawy orzecha wodnego. Fielding wydzier-żawił też mangowce - trudno było przewidzieć, kto inaczej wdarłby się do

środku - a jego służący siedzieli na stopniach dzień i noc, żeby odstraszyć złodziei. Było to niewątpliwie piękne i Anglik nic tu nie popsuł, podczas gdy Aziz w jakimś momencie swoich zachodnich ciągów obwiesiłby ściany dziełami Maude Goodman. A jednak nie było wątpliwości, do kogo ten pokój w istocie należy. - No więc, wymierzam tu sprawiedliwość. Jakaś biedna wdowa, którą ograbiono, przychodzi do mnie i daje jej pięćdziesiąt rupii, innej sto i tak dalej, i tak dalej. To by mi się podobało.

Pani Moore uśmiechnęła się, myśląc o nowoczesnej metodzie, której przykład dawał jej syn.

- Rupie nie trwają wiecznie - rzekła.

- Moje by trwały. Bóg dałby mi więcej, kiedy by zobaczył, że je daję. Zawsze dawaj, jak Nawab Buhadur, mój ojciec był taki sam i dlatego umarł biedny. - Wskazując na różne miejsca w pokoju, zaludnił go skrybami i urzędnikami, a wszyscy byli życzliwi, bo żyli tak dawno. - A więc siedzielibyśmy wiecznie, coś dając - na dywanie zamiast na krzesłach, to jest główna różnica między dziś i wczoraj, ale myślę, że nigdy byśmy nikogo nie karali.

Panie przyznały mu słuszość.

- Biedny przestępca, dajmy mu szansę. Człowiek robi się tylko gorszy, jak idzie do więzienia i tam go demoralizują. - Na twarzy Aziza pojawił się wyraz wielkiej czułości, czułości człowieka, który nie potrafił administrować i jest niezdolny pojąć, że biedny przestępca puszczony wolno znowu ograbia biedną wdowę. Był czuły dla każdego z wyjątkiem kilku wrogów swojej rodziny, których nie uważał za ludzi: łaknął na nich zemsty. Był nawet czuły dla Anglików; wiedział w głębi serca, że nic na to nie mogą

poradzić, że są tacy zimni i dziwni i niczym lodowaty strumień krążą po jego kraju. - Nie karzemy nikogo, nikogo - powtórzył - a wieczorem wydamy wielki bankiet z tańcem bajader i piękne dziewczęta będą błyszczały po obu stronach zbiornika, z ogniami sztucznymi w rękach, i będzie samo ucztowanie i wesele aż do następnego dnia, kiedy tak jak przedtem zapanuje sprawiedliwość - pięćdziesiąt rupii, sto, tysiąc - aż nadejdzie pokój. Ach, dlaczego nie żyliśmy w tamtych czasach? Ale czy panie podziwiają dom pana Fieldinga? Proszę spojrzeć, jak te słupy są pomalowane na niebiesko, a pawilony werandy - jako one się właściwie nazywa-ją? - nad nimi wewnątrz są też niebieskie. Proszę spojrzeć na rzeźby na pawilonach. Proszę pomyśleć, ile godzin to zajęło. Ich małe dachy są zakrzywione i naśladują bambus. Takie ładne -i bambusy falują przy zbiorniku na zewnątrz. Pani Moore! Pani Moore!

- Słucham - powiedziała ze śmiechem.

- Czy pamięta pani wodę przy naszym meczecie? Spada w dół i napełnia zbiornik. Pomysłowe urządzenie cesarzy. Za-trzymywali się tu w drodze do Bengalu. Kochali wodę. Gdzie-kolwiek szli, tworzyli fontanny, ogrody, hammamy*. Mówiłem właśnie panu Fieldingowi, że oddałbym wszystko, żeby im służyć.

Mylił się co do wody, której żaden cesarz, choćby najbardziej pomysłowy, nie mógł kazać płynąć ku górze: między meczetem a domem Fieldinga rozciągało się dość znaczne wgłębienie i w nim cały Czandrapur. Ronny byłby Aziza powstrzymał, Turton byłby chciał go powstrzymać, ale sam by się powściągnął. Fielding nawet nie chciał go powstrzymać; jego pragnienie prawdy absolutnej już uległo stepieniu, obchodziła go głównie prawda nastroju. Co do panny Qusted, przyjmowała wszystko, co mówił Aziz, jako prawdę. W swojej niewiedzy uważała go za „Indie”, nie podejrzewając ani przez chwilę, że jego horyzont jest ograniczony, a metoda myślenia nieprecyzyjna i że nikt nie jest Indiami.

Był teraz bardzo podniecony, trajkotał jak najęty i nawet mówił

* Hammam - łaźnia.

68

„cholera”, kiedy plątały mu się słowa w zdaniu. Opowiadał im

0 swoim zawodzie i operacjach, które widział i jakich sam dokonał, przy czym wdawał się w szczegóły, które przeraziły panią Moore, chociaż panna Quested zrozumiała je błędnie jako dowód jego braku przesądów; słyszała takie rozmowy w kraju, w postępowych kołach uniwersyteckich, rozmyślnie swobodnych w mowie. Uznała, że jest człowiekiem zarówno wyzwolonym, jak godnym zaufania, 1 umieściła go na piedestale, na którym nie mógł się utrzymać.

Był w tej chwili dosyć wysoko, to prawda, ale nie na żadnym piedestale. Skrzydła wyniosły go w górę, a jak zwisną, spadnie na ziemię.

Przybycie profesora Godbole'a uciszyło go trochę, ale popołudnie nadal należało do niego. Bramin, uprzejmy i zagadkowy, nie powściągał jego elokwencji, a nawet jej przyklaskiwał. Podwieczorek jadł w pewnej odległości od pariasów, przy małym stoliku umieszczonym z tyłu, do którego sięgał, wyciągając rękę za siebie, i jakby przypadkowo trafiając na jedzenie; wszyscy udawali obojętność wobec podwieczorku profesora. Był człowiekiem starszym, pomarszczonym, miał siwe wąsy i szaroniebieskie oczy, i cerę jasną jak u Europejczyka. Nosił turban, który wyglądał jak z bladopurpurowego makaronu, surdut, kamizelkę, dhoti, skarpetki ze strzałkami. Strzałki były w kolorze turbanu, a cała powierzchowność bramina odznaczała się harmonią - jak gdyby pogodził ze sobą wytwory Wschodu i Zachodu, zarówno duchowe, jak i materialne, i już nigdy nie miał utracić równowagi. Zainteresował bardzo panie, miały nadzieję, że uzupełni słowa doktora Aziza, mówiąc coś o religii. Ale on tylko jadł -jadł i jadł - i uśmiechał się, i ani razu nie pozwolił oczom spocząć na swej dłoni.

Porzucając mogolskich cesarzy, Aziz zwrócił się ku tematom, które nie mogły nikomu zrobić przykrości. Opowiadał o dojrzewaniu owoców mango i jak w latach chłopięcych wybiegał w porze deszczowej do wielkiego gaju mangowców, należącego do jego wuja, i jak się tam opychał owocami.

- Potem do domu, cały w strumieniach wody i może z bólem brzucha. Ale się nie przejmowałem. Wszystkich moich kolegów bolało razem ze mną. Mamy przysłowie w urdu: „Cóż znaczy nieszczęście, kiedy wszyscy razem jesteśmy nieszczęśliwi?”, które

doskonale przydaje się do mango. Panno Quested, niech pani zaczeka na mango. Dlaczego by nie osiedlić się w Indiach na stałe?

- Niestety, nie mogę - powiedziała Adela. Wyrzekła te słowa, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem. Zarówno jej, jak i trzem mężczyznom wydały się utrzymane w tonacji całej rozmowy i upłynęło sporo czasu - ba, całe pół godziny - zanim uzmysłowiła sobie, że była to bardzo istotna uwaga i że przede wszystkim powinien być ją usłyszeć Ronny.

- Tacy goście jak pani są rzadkością.

- To prawda - rzekł profesor Godbole. - Tego rodzaju uprzejmość rzadko się spotyka. Ale cóż możemy im ofiarować, żeby ich zatrzymać?

- Mango, mango.

Roześmiali się.

- Nawet mango można dziś dostać w Anglii - wtrącił Fielding. - Przywożą je statkami w lodowato mroźnych pomieszczeniach. Okazuje się, że można stworzyć Indie w Anglii, podobnie jak można stworzyć Anglię w Indiach.

- To strasznie kosztowne w obu przypadkach - powiedziała dziewczyna.

- Tak sędzę.

- I wstętne.

Ale gospodarz nie chciał pozwolić, żeby rozmowa przyjęła tak przykry obrót. Zwrócił się do starszej pani, która wyglądała na speszoną i poirytowaną - nie miał pojęcia dlaczego - i spytał o jej plany. Odparła, że chętnie zwiedziłaby college.

Wszyscy natychmiast wstali, z wyjątkiem profesora Godbole'a, który kończył banana.

- Ty nie chodź, Adelo. Nie lubisz instytucji.
- Tak, to prawda - powiedziała panna Quested, siadając.

Aziz się zawahał. Jego audytorium rozpadło się. Lepiej znana połowa odchodziła, ale uważniejsza zostawała. Przypomniał sobie, że jest to „niekonwencjonalne” popołudnie, został.

Rozmowa potoczyła się jak przedtem. Czy można ofiarować gościom mus z niedojrzałego mango? - Mówię teraz jako lekarz: nie. - Stary pan wtrącił:

- Ale ja przyślę paniom trochę zdrowych słodczy. Nie odmówię sobie tej przyjemności.

70

- Panno Quested, słodczy profesora Godbole'a są cudowne - powiedział Aziz ze smutkiem, bo on też chciałby posłać paniom słodkie przysmaki, a nie miał żony, która by je przyrządziła. - Będzie to dla pani prawdziwie indyjska uczta. Niestety, ja w mojej skromnej sytuacji nic nie mogę ofiarować.

- Nie wiem, dlaczego pan to mówi, skoro tak uprzejmie zaprosił nas pan do swojego domu.

Raz jeszcze pomyślał ze zgrozą o swoim domku. Mój Boże, ta niemądra dziewczyna wzięła go za słowo! Co robić?

- Tak, to jest już załatwione! - zawołał. - Zapraszam wszystkich do odwiedzenia mnie w Grotach Marabarskich.
- Z radością przyjmuję.
- Cóż to za wspaniała rozrywka w porównaniu z moimi biednymi deserami. Ale czy panna Quested jeszcze nie widziała

naszych grot?

- Nie. Nawet o nich nie słyszałam.

- Nie słyszała pani o nich?! - wykrzyknęli obaj. - O Grotach Marabarskich we Wzgórzach Marabarskich?

- W klubie nie słyszymy o niczym ciekawym. Ciągłe tylko tenis i śmieszne plotki.

Starszy mężczyzna milczał, być może uważał za niestosowne z jej strony, że krytykuje swoją rasę, a może lękał się, że jeśli przyzna jej słusność, ona doniesie o jego nielojalności. Ale młody człowiek rzucił szybko: „Wiem”.

- W takim razie proszę mi powiedzieć wszystko, co panowie zechcą, bo inaczej nigdy nie zrozumieję Indii. Czy to te góry, które widzę czasem wieczorami? Jakże są te groty?

Aziz podjął się jej to wyjaśnić, ale okazało się wkrótce, że sam nigdy nie zwiedzał grot - zawsze „miał zamiar” tam pojechać, ale praca albo sprawy prywatne mu nie pozwalały, a groty są tak daleko. Profesor Godbole pokpiwał z niego dobrodusznie.

- Mój miły młody panie, przy ganiał kocioł garnkowi! Słyszał pan kiedy to użyteczne przysłowie?

- Czy to duże groty?

- Nie, nieduże.

- Ach, proszę, panie profesorze, niech pan je opisz.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt. - Przysunął bliżej krzesła, na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia. Biorąc pudełko

71

z papierosami, Adela poczęstowała jego i Aziza i sama zapaliła. Po efektownej pauzie powiedział: - W skale jest wejście, a za wejściem grot.

- Coś w rodzaju grot w Elefancie?

- O nie, bynajmniej. W Elefancie są rzeźby przedstawiające Siwe i Parwati. Nie ma żadnych rzeźb w Marabarze.
- Niewątpliwie są one niezwykle święte - wtrącił Aziz, żeby podtrzymać opowieść.
- O, nie, nie.
- Ale przecież są jakoś zdobione.
- O, nie.
- Więc dlaczego są takie sławne? Mówimy o słynnych Grotach Marabarskich. Może to tylko nasze czcze przechwałki.
- Nie, nie powiedziałbym tego.
- W takim razie proszę je pani opisać.
- Z wielką przyjemnością. - Powstrzymał się od tej przyjemności i nagle Aziz zrozumiał, że nie chce wyjawić czegoś o tych grotach. Zdał sobie z tego sprawę, bo sam często cierpiał na podobne zahamowania. Niekiedy, ku irytacji majora Callendara, pomijał jedyny istotny fakt w jakiejś sytuacji, a rozwodził się nad setką nieistotnych. Major zarzucał mu nieszczerłość i miał z grubsza rację, ale tylko z grubsza. To raczej jakaś moc, nad którą nie mógł zapanować, kapryśnie zmuszała jego mózg do milczenia. Godbole teraz właśnie został zmuszony do milczenia; na pewno nie z własnej woli coś ukrywał. Zręcznie pokierowany mógłby odzyskać równowagę i oznajmić, że Groty Marabarskie są, powiedzmy, pełne stalaktytów; Aziz naprowadził go na to, ale nie były.

Dialog toczył się nadal swobodnie i przyjacielsko i Adela nie miała pojęcia o jego podskórnym nurcie. Nie wiedziała, że stosunkowo prosty umysł mahometanina staje w obliczu Pranocy. Aziz bawił się w pasjonującą grę. Manipulował zabawką ludzką, która nie chciała działać - tyle w każdym razie wiedział. Gdyby działała, ani on, ani

profesor Godbole nie odnieśliby najmniejszej korzyści, ale sama próba go urzekła, była pokrewna abstrakcyjnej myśli. Trajkotał dalej, pokonywany przy każdym posunięciu przez prze-ciwnika, który nie chciał nawet przyznać, że posunięcie zostało zrobione, i coraz dalszy od wykrycia, czym niezwykłym odznaczają się Groty Marabarskie, jeżeli w ogóle jest w nich coś niezwykłego.

Na to wszystko wpadł Ronny.

Z irytacją, której nie starał się nawet ukryć, zawołał z ogrodu:

- Co się stało z Fieldingiem?! Gdzie moja matka?!
- Dobry wieczór! - odpowiedziała Adela chłodno.
- Chcę zaraz zabrać ciebie i matkę. Ma być polo.
- Myślałam, że nie będzie polo.
- Wszystko się zmieniło. Przyszli jacyś wojskowi. Chodźcie,

powiem wam o tym.

- Pańska matka wkrótce powróci - rzekł profesor Godbole,

który podniósł się z krzesła z szacunkiem. - Niewiele jest do

ogłądania w naszej biednej szkole.

Ronny nie zwrócił na niego uwagi i w dalszym ciągu kierował swoje słowa do Adeli; oderwał się od zajęć i pośpieszył tutaj, żeby ją zabrać na polo, bo myślał, że sprawi jej tym przyjemność. Nie zamierzał być niegrzeczny dla obu mężczyzn, ale jedyną więzią z Hindusami, jakiej istnienie mógł przyjąć, była więź służbowa, a tak się złożyło, że żaden z nich nie był jego podwładnym. Jako osoby prywatne nie istnieli dla niego.

Niestety, Aziz nie życzył sobie, żeby o nim zapomniano. Nie chciał zrezygnować z bezpiecznego, intymnego tonu ostatniej godziny. Nie wstał razem z Godbole'em, a teraz, wyzywająco przyjacielski, zawołał ze swojego miejsca:

- Niech pan wejdzie i przyłączy się do nas, panie Heaslop.

Proszę usiąść i zaczekać na matkę!

Ronny za całą odpowiedź kazał jednemu ze służących Fieldinga, żeby natychmiast sprowadził swego pana.

- On może tego nie rozumieć. Niech pan pozwoli... - Aziz

powtórzył rozkaz bardziej idiomatycznie.

Ronny'ego kusiło, żeby mu się odciąć; znał ten typ, znał ich wszystkich, ten należał do odmiany zeuropeizowanych zuchwał-ców. Ale był urzędnikiem państwowym i miał za zadanie „unikać incydentów”, więc nie powiedział nic i zignorował dalsze prowokacje Aziza. Aziz zachowywał się wyzywająco. Wszystko, co mówił, miało posmak impertynencji i działało na nerwy. Jego skrzydła osłabły, ale nie zamierzał spaść na ziemię bez walki. Wcale nie chciał być impertynencki wobec pana Heaslopa, który nigdy nie zrobił mu nic złego, ale oto miał przed sobą przedstawiciela Anglo-Indii, który musi stać się człowiekiem, zanim Aziz będzie

73

mógł odzyskać dobre samopoczucie. Wcale nie chciał być służalczo poufały wobec panny Quested, a tylko zdobyć jej poparcie; ani też nie chciał zachowywać się z hałaśliwą wesołością przy profesorze Godbole'u. Dziwny kwartet - on opadający z trzepotem skrzydeł, panna Quested zdeorientowana tą nagłą szpetotą, wściekający się Ronny, bramin obserwujący całą trójkę, ale ze spuszczonej oczami i splecionymi dłońmi, jak gdyby nic nie zaprzętało jego uwagi. Scena z jakiejś sztuki, pomyślał Fielding, który teraz dostrzegł ich z drugiego końca ogrodu, ugrupowanych pośród niebieskich filarów pięknej sali.

- Nie trudź się, mamó! - zawołał Ronny. - Właśnie ruszamy. -

Potem podbiegł do Fieldinga, odciągnął go na bok i powiedział

z udaną serdecznością: - Wiesz co, stary, nie gniewaj się, ale

naprawdę uważam, że chyba nie powinieneś być zostawiać panny

Quested samej.

- Bardzo mi przykro, ale co się stało? - odparł Fielding, także

siłąc się na jowialność.

- Cóż... jestem zasuszonym biurokratą, co do tego nie ma

wątpliwości. Ale mimo wszystko nie lubię patrzeć, jak młoda

Angielka zostaje sama i pali papierosy z dwoma Hindusami.

- Słuchaj, stary, została, ponieważ pali i życzyła sobie zostać.
- Tak, byłoby to w porządku w Anglii.
- Naprawdę nie widzę w tym nic złego.
- Skoro nie widzisz, trudno... A czy nie widzisz, że ten facet to łobuz?

Aziz, przemawiając kwieciście, roztaczał opiekę nad panią Moore.

- On nie jest łobuzem - zaprotestował Fielding. - Jest zdenerwowany, to wszystko.
 - A co mogło nadszarpnąć jego szacowne nerwy?
 - Nie wiem. Zachowywał się normalnie, kiedy odchodziliśmy.
 - W każdym razie ja nic nie powiedziałem - dodał uspokajająco Ronny. - Nawet się do niego nie odezwałem.
 - Ach, chodźmy, zabierz swoje panie. Jest już po katastrofie.
 - Fielding... nie myśl, że mam ci to za złe, czy coś w tym rodzaju. Nie pojedziesz z nami na polo? Bardzo by nam było miło.
 - Obawiam się, że nie dam rady, w każdym razie dziękuję.
- Strasznie mi przykro, jeśli uważasz, że czegoś nie dopatrzyłem.

Nie zrobiłem tego umyślnie.

74

Zaczęto się więc żegnać. Wszyscy byli albo źli, albo czuli się nieszczęśliwi - jak gdyby rozdrażnienie parowało z gleby. Czy człowiek mógłby być tak małostkowy wśród wrzosowisk Szkocji albo włoskich turni? Nad tym później zastanawiał się Fielding. W Indiach, jak się zdawało, nie istniała żadna rezerwa spokoju, z której można by czerpać. Albo nie było jej wcale, albo też spokój pożerał wszystko, jak chyba w przypadku profesora Godbole'a. Oto Aziz, wulgarny i odrażający, pani Moore i panna Quested, obie niemądre, i on sam, i Heaslop, obaj na pozór godni, ale w istocie obrzydliwi i nie znoszący się nawzajem.

- Do widzenia, panie Fielding, naprawdę bardzo dziękujemy...

Jakie ładne te budynki szkolne!

- Do widzenia, pani Moore.

- Do widzenia, panie Fielding. Niezwykle ciekawe popołudnie...

- Do widzenia, panno Qusted. .: .

- Do widzenia, panie doktorze.

- Do widzenia, pani Moore.

- Do widzenia, panie doktorze.

- Do widzenia, panno Qusted. - Potrząsnął jej dłonią, żeby pokazać, jak swobodnie się czuje. - Będzie pani pamiętała o tych grotach, prawda, murowane? Zorganizuję wszystko błyskawicznie.

- Dziękuję panu...

Natchniony przez szatana do ostatniego wysiłku, dodał:

- Co za skandal, że pani opuszcza Indie tak szybko! Och, niech pani przemyśli swoją decyzję, niech pani zostanie.

- Do widzenia, panie profesorze - mówiła dalej Adela, nagle poruszona. - Jaka szkoda, że nie słyszeliśmy pana śpiewu.

- Mogę zaśpiewać teraz - odpowiedział i zaśpiewał.

Jego cienki głos rozbrzmiał i jeden po drugim dały się słyszeć pojedyncze dźwięki. Niekiedy zdawało się, że jest w tym rytm, niekiedy powstawało złudzenie melodii zachodniej. Ale ucho, raz po raz zbijane z tropu, wkrótce traciło wszelkie wątki i błądziło po labiryncie dźwięków, z których żaden nie był szorstki lub niemły i żaden nie był zrozumiały. Był to śpiew nieznanego ptaka. Rozumieli go jedynie służący. Zaczęli szeptać między sobą. Człowiek, który zbierał orzechy wodne, wyszedł nagi ze zbiornika,

jego rozchylone w zachwycie wargi ukazywały szkarłatny język. Dźwięki płynęły dalej i milkły po kilku chwilach równie nagle, jak się rozlegały - na pozór w połowie taktu i na sub-dominancie.

- Serdeczne dzięki. Co to było? - zapytał Fielding.
- Wyjaśnię szczegółowo. Była to pieśń religijna. Postawiłem się w sytuacji dojarki. Mówię do Śri* Krysny: „Przybądź! Przybądź tylko do mnie”. Bóg nie chce przybyć. Staję się pokorny i powiadam: „Nie przychodź tylko do mnie. Rozmnoż się na sto Krysnow i niechaj jeden przybędzie do każdej z moich stu towarzyszek, ale jeden, o, Panie Wszechświata, niechaj przybędzie do mnie”. On nie chce przyjść. To się powtarza kilka razy. Pieśń jest skomponowana w raga** stosownej do obecnej pory dnia, a jest nią wieczór.
- Ale mam nadzieję, że On przybywa w jakiejś innej pieśni? - spytała łagodnie pani Moore.
- O nie, nie zgadza się przybyć - powtórzył Godbole, może nie rozumiejąc jej pytania. - Mówię Mu: „Przyjdź, przyjdź, przyjdź, przyjdź, przyjdź, przyjdź”. On nie przychodzi.

Kroki Ronny'ego zamarły w oddali, była chwila absolutnej ciszy. Najmniejsza fala nie mąciła wody, nie poruszył się ani jeden listek.

Rozdział 8

Jakkolwiek panna Quested dobrze знаła Ronny'ego w Anglii, pomyślała, że będzie rozsądnie odwiedzić go, zanim zdecyduje się zostać jego żoną. Indie rozwinęły w nim cechy charakteru, które jej nigdy nie zachwyciły. Jego zadowolenie z siebie, jego mentorstwo i brak subtelności, wszystko to rozkwitło bujnie pod tropikalnym niebem; wydawał się obojętniejszy niż kiedyś na to, co dzieje się w duszach jego bliźnich, pewniejszy, że słusznie ich osądza albo że nie jest ważne, jeśli osądza ich źle. Kiedy zdołała

* Śri - szanowny. ** Raga - tonacja, melodia.

mu udowodnić, że nie ma racji, stawał się szczególnie irytujący; zawsze dawał jej jakoś do zrozumienia, że niepotrzebnie się trudziła, usiłując mu to udowodnić. Żadna wysuwana przez nią teza nie była tezą istotną dla tematu, jej argumenty były trafne, ale jałowe, raz po raz słyszała, że on ma specjalne wiadomości, a ona nie, i że doświadczenie nic jej nie pomoże, bo nie potrafi go odpowiednio zinterpretować. Ekskluzywna szkoła, Uniwersytet Londyński, rok skondensowanych przygotowań, określone następstwo stanowisk w określonej prowincji, upadek z konia i lekki atak febry, wszystko to było jej przedstawione jako jedyne przeszkolenie, które pozwala zrozumieć Hindusów i każdego, kto przebywa w ich kraju; to znaczy jedyne przeszkolenie, jakie ona mogła pojąć, bo oczywiście ponad Ronnym rozpościerały się wyższe domeny wiedzy, zamieszkałe przez Callendarów i Tur-tonów, którzy przebywali w tym kraju nie jeden rok, tylko dwa-dzieścia lat, i których instynkty miały charakter nadludzki. Co do swojej osoby nie miał wygórowanych roszczeń; wolałaby, żeby je miał. Właśnie ten obwarowany zastrzeżeniami trajkot niedoświadczonego urzędnika, owo: „Nie jestem doskonały, ale...”, działało jej na nerwy.

Jak prostacko zachował się u Fieldinga: popsuć im rozmowę i wyjść w środku tej przejmującej pieśni! Kiedy odwoził ją i matkę w swojej dwukółce, rozdrażnienie Adeli stało się trudne do wytrzymania, ale nie zdawała sobie sprawy, że jest ono w znacznej mierze skierowane przeciw niej samej. Marzyła o jakiejś okazji do awantury, a ponieważ on też był rozzłoszczony, oboje zaś byli w Indiach, okazja wkrótce się nadarzyła. Zaledwie wyjechali z terenu college'u, usłyszała, jak mówi do matki siedzącej z nim na przedniej ławce: - Co to było z tymi grotami? - i natychmiast otworzyła ogień.

- Pani Moore, ten pani czarujący doktor zdecydował się na piknik zamiast przyjęcia u siebie w domu... Mamy się z nim tam spotkać - pani, ja, pan Fielding, profesor Godbole. To samo towarzystwo w komplecie.

- Gdzie? - zapytał Ronny.

- W Grotach Marabarskich.

- Nieprawdopodobne! - mruknął po chwili. - Czy zniżył się

do udzielenia wam jakichś szczegółów?

77

- Nie. Gdybyś z nim porozmawiał, moglibyśmy wszystko ustalić.

Pokręcił głową ze śmiechem.

- Powiedziałaś coś zabawnego?

- Przypomniałem sobie tylko, jak kołnierzyk pocziwego doktora podskakiwał mu na karku.

- Myślałam, że mówisz o grotach.

- Bo mówię. Aziz był wytwornie ubrany, od szpilki do krawata aż po getry, ale zapomniał o tylnej spince przy kołnierzyku, i tu macie całego Hindusa: lekceważenie szczegółów, jakaś zasadnicza niedbałość, która ujawnia jego rasę. Podobnie też macie się spotkać w grotach, jakby to był zegar na Charing Cross, chociaż są oddalone o wiele mil od najbliższej stacji, a także jedna od drugiej.

- Byłeś tam kiedy?

- Nie, ale oczywiście wiem o nich wszystko.

- Ach, oczywiście!

- Mamo, czy ty też zobowiązałaś się do udziału w tej eskapadzie?

- Mama nie zobowiązała się do niczego - odparła pani Moore, dość niespodziewanie. - A już na pewno nie do oglądania tego polu. Bądź łaskaw podjechać najpierw do domu i zostawić mnie

tam. Wolę odpocząć.

- Mnie też tam zostawisz - powiedziała Adela. - Ja też nie chcę oglądać polo.

- Prościej będzie zrezygnować z polo - rzekł Ronny. Zmęczony i rozczarowany stracił nagle panowanie nad sobą i dodał ostrym, mentorskim tonem: - Nie pozwolę ci już więcej na żadne głupstwa z Hindusami! Jeżeli chcesz zwiedzić Groty Marabarskie, pojedziesz pod auspicjami brytyjskimi.

- Nigdy nie słyszałam o tych grotach, nie wiem, jakie są ani gdzie są - powiedziała pani Moore - ale naprawdę nie życzę sobie - uderzyła dłonią w leżącą obok poduszkę - tych wszystkich kłótni i nieporozumień!

Młodym zrobiło się wstyd. Zostawili ją w bungalowie i pojechali razem dalej, uważali, że mogą zrobić chociaż tyle. Nie byli już w tak fatalnych humorach, ale nastrój utrzymywał się nadal ciężki; burze rzadko oczyszczają powietrze. Panna Quested analizowała

78

swoje zachowanie i bynajmniej nie była z siebie zadowolona. Zamiast dokonać oceny Ronny'ego i siebie samej i wyciągnąć przemyślane wnioski na temat małżeństwa, powiedziała mimo-chodem, w trakcie rozmowy o mango i w mieszanym towarzystwie, że nie zamierza zostać w Indiach. Co z kolei znaczyło, że nie wyjdzie za Ronny'ego: ale jak można w taki sposób o tym za-wiadamiać, jak może cywilizowana dziewczyna tak się zachowy-wać! Winna mu była wyjaśnienie, ale niestety nie było nic do wyjaśniania. Zbyt długo odkładała ową „rzeczoną rozmowę”, tak drogą jej zasadom i temperamentowi. Nie miało chyba sensu traktować go nieprzyjaźnie i wypowiadać skargi na jego charakter

0 tej porze dnia, a był nią wieczór... W polo grano na majdanie, w pobliżu wyjazdu do centrum Czandrapuru. Słońce chyliło się

ku zachodowi i wszystkie drzewa miały już przecucie nocy.

Odchodząc od grupy rządowej, skierowali się ku dalszej ławce

1 tam, czując, że należy się to zarówno jej, jak jemu, wymusiła z siebie nie przemyślane słowa:

- Uważam, Ronny, że powinniśmy odbyć zasadniczą rozmowę.

- Jestem w fatalnym nastroju, bardzo przepraszam - brzmiała jego odpowiedź. - Nie miałem zamiaru komenderować tobą i matką, ale naturalnie sposób, w jaki ci Bengalczyki wystawili was do wiatru dziś rano, zirytował mnie i nie chcę, żeby tego rodzaju rzeczy dalej się przytrafiały.

- To nie ma nic wspólnego z nimi, chcę tylko...

- Tak, ale Aziz narobiłby takiego samego bałaganu z tymi grotami. Zaproszenie nic nie znaczyło, mogłem to wywnioskować z jego tonu. Oni po prostu chcą być w ten sposób mili.

- Chciałam z tobą pomówić o czymś zupełnie innym, co nie ma nic wspólnego z grotami. - Wpatrywała się w wyschniętą trawę. - Kochanie, postanowiłam ostatecznie, że się nie pobierzemy.

Ta nowina bardzo zabolęła Ronny'ego. Słyszał, jak Aziz mówił, że ona nie zostaje w Indiach, ale puścił tę uwagę mimo uszu, bo nawet nie przyszłoby mu do głowy, żeby dwoje Anglików mogło się porozumiewać za pośrednictwem Hindusa. Opanował się teraz i powiedział łagodnie:

- Nigdy nie mówiłaś, że się pobierzemy, moja droga. Nigdy nie wiązałaś ani siebie, ani mnie... nie przejmuj się tym tak bardzo.

Zrobiło jej się wstyd. Jakież on uczciwy! Mógł siłą wmuszać w nią swoje poglądy, ale nie domagał się od niej zaręczyn, ponieważ wierzył, tak jak ona, w świętość stosunków między ludźmi: to właśnie przyciągnęło ich do siebie przy pierwszym spotkaniu, wśród wspaniałej scenerii angielskich jezior. Miała już za sobą swoją ciężką próbę, ale zdawało jej się, że ta próba powinna być trwać dłużej i być boleśniejsza. Adela nie wyjdzie za Ronny'ego. Wszystko to zdawało się odpływać od niej niby sen. Powiedziała:

- Ale podyskutujmy o tych sprawach. Wszystko jest tak szalenie ważne, nie wolno nam zrobić fałszywego kroku. Chcę zaraz usłyszeć, co sądzisz o mnie... to mogłoby pomóc nam obojgu.

W jego zachowaniu było przygnębienie i rezerwa.

- Nie bardzo wierzę w potrzebę dyskusji, a poza tym jestem śmiertelnie zmęczony tą dodatkową robotą, którą przynosi Mohar-ram. Wybacz mi.

- Ja tylko chcę, żeby wszystko między nami było absolutnie jasne, i chcę odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie mi zadasz w związku z moim postępowaniem.

- Ależ ja nie mam żadnych pytań. Zrobiłaś to, do czego miałaś prawo, postąpiłaś bardzo słusznie, przyjeżdżając tu, żeby się przyjrzeć mojej pracy, to był doskonały pomysł, zresztą nie ma sensu mówić o tym dłużej... tylko byśmy się zdenerwowali. -

Był zły i obolały. Duma nie pozwalała mu kusić jej do powrotu, ale nie uważał, że zachowywała się źle, bo kiedy chodziło o jego rodaków, umiał być wspaniałomyślny.

- Myślę, że to chyba wszystko. Jest rzeczą niewybaczalną z mojej strony, że naraziłam ciebie i twoją matkę na te wszystkie przykrości - powiedziała znużonym tonem panna Quested i spojrzęła niechętnie w górę na drzewo, pod którym siedzieli. Przy-

glądał jej się mały zielony ptaszek, tak barwny i schludny, jakby przed chwilą wyfrunął ze sklepu. Kiedy ich wzrok się skrzyżował, przymknął oko, podskoczył i zaczął mościć się do snu. Jakiś indyjski ptaszek. - Tak, to chyba wszystko - powtórzyła, czując, że z ust jednego z nich, albo obojga, powinny popłynąć jakieś głębokie i namiętne słowa. - Zachowujemy się bardzo po brytyjsku, ale sądzę, że to słuszne.

- Chyba tak, skoro jesteśmy Brytyjczykami.

80

- W każdym razie nie kłóciliśmy się, Ronny.

- Och, to byłby czysty absurd. Dlaczego mielibyśmy się kłócić?

- Myślę, że pozostaniemy przyjaciółmi.

- Wiem, że tak będzie.

- Na pewno.

Z chwilą gdy wymienili te zapewnienia, przeniknęła ich jakby fala ulgi, która przekształciwszy się w falę czułości ponownie ich ogarnęła. Roztkliwieni własną uczuciowością poczuli się teraz samotni i niemądrzy. Dzieliły ich przeżycia, nie charaktery; jak na przeciętnych ludzi nie różnili się tak bardzo od siebie. Można powiedzieć, że w porównaniu z tymi, którzy byli najbliżej nich w sensie przestrzeni, stawali się właściwie identyczni. Bhil*, który trzymał oficera kucyka do polo, Eurazjata, który prowadził samochód Nawaba Ba-hadura, sam Nawab Bahadur, rozpustny wnuk Nawaba Baha-dura - żaden z nich nie analizowałby swoich trudności w sposób tak szczery i chłodny. Sam fakt przeprowadzenia takiej analizy sprawiał, że trudność malała. Oczywiście są przyjaciółmi, i to na zawsze.

- Wiesz może, jak się nazywa ten zielony ptaszek nad nami? -

zapytała, przysuwając ramię do jego ramienia.

- Żoła.

- Och nie, Ronny, on ma czerwone prążki na skrzydłach.

- Papuga - zaryzykował.

- Ale skąd.

Ptak, o którym mówili, zniknął w koronie drzew. Nie miało to żadnego znaczenia, a jednak chętnie by go zidentyfikowali, jakoś by ich to pocieszyło. Ale w Indiach nie sposób niczego zidentyfikować, samo pytanie powoduje, że dana rzecz znika albo roztapia się w innej.

- McBryde ma ilustrowaną książkę o ptakach - powiedział przygnębionym głosem. - Ja zupełnie nie znam się na nich, prawdę mówiąc, jestem bezużyteczny w każdej dziedzinie poza moją pracą. To wielka szkoda.

- Ja tak samo. Nie nadaję się do niczego.

* Bhil - indyjskie plemię mieszkające w rejonach górskich na północy--zachodzie Indii.

81

- Co słyszę?! - wrzasnął na całe gardło Nawab Bahadur. - Jakież to absurdalnie nieprawdopodobne stwierdzenie dobiegło moich uszu? Angielska dama do niczego? Nie, nie, nie, nie, nie. - Zaśmiał się jowialnie, pewny, w rozsądnych granicach, że jest mile widziany.

- Witaj, Nawabie Bahadur! Znowu oglądał pan polo? - powiedział Ronny bez entuzjazmu.

- Tak, sahib, oglądałem.

- Dobry wieczór - powiedziała Adela, też się opanowując.

Wyciągnęła rękę. Stary pan wywnioskował z tak nieprzystojnego gestu, że niedawno przybyła do Indii, ale nie zwrócił na to uwagi.

Kobiety, które odsłaniały twarz, już dzięki temu jednemu czynowi

stawały się dla niego tak tajemnicze, że przyjmował je bardziej na podstawie oceny ich mężczyzn niż swojej własnej. Być może nie były niemoralne, a zresztą to nie jego sprawa. Ujrawszy sędziego dla miasta Czandrapur sam na sam o zmierzchu z młodą dziewczyną rzucił się do nich w życzliwej intencji. Miał nowy niewielki samochód i pragnął oddać go do ich dyspozycji. Sędzia zadecyduje, czy propozycja jest do przyjęcia.

Tymczasem Ronny wstydził się już swojej szorstkości wobec Aziza i Godbole'a, a tu nadarzała się okazja pokazania, że umie traktować Hindusów z szacunkiem, jeśli na to zasługują. Powiedział więc do Adeli tym samym melancholijnie przyjaznym tonem, jak mówił o ptaku:

- Czy półgodzinna przejażdżka byłaby dla ciebie rozrywką?
- A nie powinniśmy wrócić do domu?
- Dlaczego? - spojrzał na nią.
- Myślałam, że może powinnam zobaczyć się z twoją matką i omówić plany na przyszłość.
- Jak sobie życzysz, ale chyba nie ma pośpiechu?
- Proszę mi pozwolić odwieźć się do bungalowu, ale najpierw mała przejażdżka! - zawołał starszy pan i pośpieszył do auta.
- On mógłby ci pokazać pewne aspekty życia w tym kraju, o których ja nic nie wiem, a poza tym to prawdziwy lojalista.

Pomyślałem, że może chętnie widziałabyś jakąś odmianę.

Zdecydowana nie sprawiać mu więcej przykrości wyraziła zgodę, ale jej chęć zobaczenia Indii nagle osłabła. Było w tym coś nienaturalnego.

Jak mają się rozmieścić w samochodzie? Eleganckiego wnuka trzeba było zostawić.

Nawab Bahadur usiadł na przednim siedzeniu, bo nie myślał sąsiadować z młodą Angielką.

- Mimo mego podeszłego wieku dopiero uczę się prowadzić - powiedział. - Człowiek może się nauczyć wszystkiego, jeśli się tylko postara. - I przewidując następną trudność, dodał: - To znaczy, nie trzymam rąk na kierownicy. Siedzę i zadaję pytania mojemu szoferowi i w ten sposób dowiaduję się, dlaczego należy robić tę czy inną rzecz, zanim sam będę ją wykonywał. Ta metoda pozwala uniknąć poważnych i, rzekłbym, komicznych wypadków, jak na przykład ten, który przydarzył się jednemu z moich rodaków w czasie tego zachwycającego przyjęcia w Klubie Angielskim. Nasz zacny Panna Lal! Mam nadzieję, sahib, że nie wyrządził wielkiej krzywdy waszym kwiatom. Odbędziemy naszą małą przejażdżkę po szosie do Gangawati. Pół mili naprzód! -I zasnął.

Ronny poinstruował szofera, że należy jechać raczej drogą do Marabaru niż do Gangawati, ponieważ ta ostatnia jest właśnie naprawiana, i usadowił się przy damie, którą utracił. Samochód zabulgotał gardłowo i popędził szosą biegnącą nasypem ponad smętnymi polami. Nędzne drzewa rosły po obu stronach drogi i właściwie cała sceneria była jakby pośledniego gatunku, nasuwała się myśl, że krajobraz jest zbyt rozległy, żeby mógł być wspaniały. Na próżno każdy jego szczegół wzywał: „Chodźcie tu, chodźcie”. Nie wystarczyło Boga dla wszystkich. Młodzi rozmawiali pół-głosem, czuli, jak mało znaczą. Kiedy zaczęło się ściemniać, było tak, jakby ciemność wytrysnęła ze skąpej roślinności, dokładnie pokrywając pola po obu stronach drogi, zanim przelała się na drogę. Twarz Ronny'ego przygasła - co zawsze wzmagało szacunek Adeli dla jego charakteru. Jej ręka dotknęła jego dłoni przy jakimś podskoku samochodu i jeden z owych dreszczów, tak częstych w królestwie zwierząt, przeniknął ich oboje i obwieścił, że wszystkie ich trudności są jedynie sprzeczką zakochanych. Oboje byli zbyt dumni, żeby wzmocnić uścisk, ale nie cofnęli dłoni i spłynęło na nich poczucie nieautentycznej jedności, tak ściśle umiejscowionej i tymczasowej jak blask, który mieszka w robaczku świętojańskim. Zniknie za chwilę, aby może znowu powrócić, ale trwała jest jedynie ciemność. A noc, która ich

83

otacza, absolutna, jak mogło się wydawać, sama była tylko jakąś nieautentyczną jednością, skoro łagodziły ją przebłyski dnia, sączącego się spod krańców ziemi, a także gwiazdy.

Chwycili się za ręce... wstrząs, podskok, dwa koła w powietrzu, hamulce, zderzenie z

drzewem na skraju grobli, znieruchomienie. Wypadek. Drobnny wypadek. Nikt nie doznał obrażeń. Nawab Bahadur obudził się. Zawołał coś po arabsku, szarpiąc gwałtownie brodę.

- Duże uszkodzenie? - spytał Ronny po chwilowej przerwie, na którą sobie zawsze pozwalał, zanim przystąpił do opanowania jakiejś sytuacji. Eurazjata, który już stracił głowę, oprzytomniał na dźwięk jego głosu i zachowując się jak Anglik w każdym calu, odpowiedział:

- Proszę o pięć minut, a zawiozę pana w każde cholerne miejsce.

- Przestraszyłaś się, Adelo? - Puścił jej rękę.

- Ani trochę.

- Uważam, że nie przestraszyć się jest szczytem głupoty! -

zawołał bardzo niegrzecznie Nawab Bahadur.

- No, już po wszystkim, szkoda łez - powiedział Ronny, wysiadając. - Mieliśmy trochę szczęścia, że uderzyliśmy w to drzewo.

- Już po wszystkim... o tak, niebezpieczeństwo minęło, zapalmy papierosa, róbmy wszystko, co się nam podoba. O tak, zabawmy się... o, mój Boże miłosierny... - Jego słowa znów utonęły w arabszczyźnie.

- To nie był most. Zarzuciło nas.

- Nie zarzuciło nas - zaprzeczyła Adela, która widziała przychylnie wypadku i myślała, że musieli ją także widzieć wszyscy pozostali. - Wpadliśmy na jakieś zwierzę.

Nawab Bahadur wydał głośny okrzyk: jego przerażenie było nieproporcjonalne i śmieszne.

- Zwierzę?

- Jakieś duże zwierzę wypadło z ciemności po prawej stronie

i uderzyło w nas.

- Na Boga, ona ma rację! - wykrzyknął Ronny. - Lakier jest starty.

- Na Boga, proszę pana, pani ma rację - powtórzył jak echo Eurazjata. Tuż przy zawiasach drzwi były wgłębione i otwierały się z trudnością.

84

- Oczywiście, że mam rację. Widziałam bardzo wyraźnie jego włochaty grzbiet.

- Powiedz, Adelo, co to było?

- Nie znam się na tutejszych zwierzętach, jak nie znam się na ptakach. Za duże na kozę.

- Właśnie, za duże na kozę... - powiedział starzec.

- Musimy to zbadać. Poszukajmy śladów - rzekł Ronny.

- Właśnie. Proszę wziąć tę latarkę elektryczną.

Młodzi Anglicy odeszli kilka kroków w ciemność, złączeni i szczęśliwi. Dzięki swej młodości i wychowaniu nie przejęli się wypadkiem. Wytropili kręty ślad opon aż do źródła kłopotów. Znajdowało się ono tuż po zjeździe z mostu; zwierzę wyszło zapewne z wyschniętego koryta rzeki. Ślady kół samochodu biegły równomiernie i gładko niczym wstęgi delikatnie przetykane rum-bami, a potem wszystkie jakby oszalały. Z pewnością uderzyła w nich jakaś zewnętrzna siła, ale z szosy korzystało zbyt wiele pojazdów, żeby ten jeden trop mógł pozostać czytelny, a snop światła latarki tworzył tak jasne plamy i czarne cienie, że nie mogli odczytać tego, co im ujawniał. Ponadto Adela, bardzo podniecona, uklękła i omiatała wszystko dokoła swoimi spodnicami, aż w końcu mogło się zdawać, że jeśli w ogóle ktoś, to właśnie ona zaatakowała samochód. Incydent przyniósł obojgu znaczną ulgę. Zapomnieli o swoim nieudanym związku i grzebiąc się w kurzu, poczuli smak przygody.

- Myślę, że to był bawół! - zawołała do ich gospodarza, który

nie poszedł z nimi.

- Właśnie.
- Chyba że to była hiena.

Ronny zaaprobował to przypuszczenie. Hieny żerują w korytach rzeki, a światło reflektorów łatwo je oślepia.

- Doskonale, hiena - powiedział Hindus z gniewną ironią, wskazując ręką noc. - Panie Harris!
- Chwi-lecz-kę. Proszę mi dać dziesięć minut.
- Sahib mówi hiena.
- Proszę nie dokuczać panu Harrisowi. Uratował nas przed niemiłą kraksą. Brawo, Harris!
- Kraksa, sahib, nie zdarzyłaby się, gdyby posłuchał i zawiózł nas w stronę Gangawati, a nie Marabaru.

85

- To moja wina. Kazałem mu jechać tędy, bo droga jest lepsza. Pan Lesley świetnie sobie radził aż do gór.
- Ach, teraz zaczynam rozumieć. - Odzyskując na pozór spokój, Hindus powoli i kwieście przeprosił ich za wypadek.
- Ależ nie ma za co - mruknął Ronny. Jednakże przeprosiny należały mu się i powinien je usłyszeć wcześniej: jeżeli Anglicy są tak spokojni w chwilach kryzysu, nie należy wyciągać wniosku, że się nie liczą. Nawab Bahadur nie wypadł tu najlepiej.

W tym momencie zbliżył się do nich duży samochód jadący z przeciwnego kierunku. Ronny wyszedł na drogę i zatrzymał go stanowczym głosem i gestem. Na masce widniał napis: „Państwo Mudkul”. W środku siedziała panna Derek, niezwykle ożywiona i przyjazna.

- Panie Heaslop, panno Quested, dlaczego państwo napadają na niewinną kobietę?
- Mieliśmy wypadek.
- Okropność!
- Wpadliśmy na hienę!
- Koszmarna historia!
- Czy może pani nas podwieźć?
- Tak, oczywiście.
- Proszę zabrać i mnie - powiedział Nawab Bahadur.
- Hej, a co ze mną?! - zawołał Eurazjata.
- Zaraz, zaraz, co to wszystko znaczy? Nie jestem omnibusem - oświadczyła panna Derek z mocą w głosie. - I tak wiozę fisharmonię i dwa psy. Zabiorę trzy osoby, jeżeli jedna usiądzie z przodu i potrzyzyma na kolanach tego mopsa. Nikogo więcej.
- Ja usiądę z przodu - rzekł Nawab Bahadur.
- No, to hop do środka. Nie mam pojęcia, kim pan jest.
- A co z moją kolacją? Nie mogę siedzieć tu sam przez całą noc - wtrącił agresywnie szofer, starając się wyglądać jak Europejczyk i odczuwać po europejsku. Mimo ciemności miał jeszcze na głowie hełm tropikalny, a jego twarz, do której rasa panująca wniosła wkład niewiele większy niż popsute zęby, wyglądała spod hełmu żałośnie i zdawała się mówić: O co właściwie chodzi? Nie męczcie mnie tak, wy czarni i biali. Tkwię tu, w tych parszywych Indiach, tak samo jak wy, więc musicie znaleźć dla mnie lepsze miejsce.

- Nussu przywiezie ci na rowerze odpowiedni posiłek - rzekł Nawab Bahadur, odzyskawszy już swoją zwykłą godność. - Wyśle go jak najszybciej. Tymczasem proszę naprawić mój samochód.

Odjechali i Harris, spojrzawszy za nimi z wyrzutem, przykucnął na piętach. W obecności i Anglików, i Hindusów był bardzo skrepowany, bo nie wiedział, do której grupy należy. Przez chwilę sprawiły mu udramę dwa przeciwne nurty w jego krwi, potem złąły się w jedno i należał już tylko do siebie.

Za to panna Derek była w szampańskim humorze. Udało jej się ukraść samochód z Mudkulu. Jej maharadza będzie wściekły, ale ona się tym nie przejmuje, może ją wylać, jeśli mu przyjdzie ochota.

- Nie lubię, jak zostawiają człowieka na lodzie - powiedziała. -

Gdybym nie kradła jak wszyscy diabli, nie wiem, co by się ze mną stało. On nie potrzebuje auta, głupi bałwan! To chyba przynosi zaszczyt jego państwu, że mnie wszyscy będą widzieli w tym samochodzie podczas urlopu w Czandrapurze. Powinien tak właśnie na to spojrzeć. Zresztą musi tak na to spojrzeć. Moja maharani to co innego... moja maharani jest milutka. To jej foksterier, kochane małe biedactwo. Wyłowiłam je oba razem z szoferem. Też pomyśl, zabierać psy na konferencję radzów. Tak samo chyba mądrze, jak zabierać radzów. - Zaniósła się śmiechem. - Fisharmonia... tak, fisharmonia to moja pomyłka, muszę przyznać. Tu mnie trochę nabrali. Chciałam, żeby została w pociągu. Och, Boże!

Ronny zaśmiał się powściągliwie. Nie był za tym, żeby Anglicy przyjmowali posady w państwach indyjskich, gdzie zdobywają pewne wpływy, ale za cenę ogólnego prestiżu. Te wesołe triumfy owych „wolnych strzelców” nie pomagają urzędnikowi administracji i Ronny powiedział młodej osobie, że jeśli będzie tak nadal postępować, prześcignie Hindusów w ich własnej grze.

- Zawsze mnie wyrzucają, zanim do tego dojdzie, a potem dostaję nową pracę. W Indiach roi się od różnych pań z tytułami maharani, rani i begam, które wrzaskliwie domagają się kogoś takiego jak ja.

- Czyżby? Nie miałem o tym pojęcia.

- Skąd mógł pan mieć pojęcie? Cóż on może wiedzieć, co to jest maharani, panno Adelo? Nic. Przynajmniej mam nadzieję, że nie wie.

87

- Jak słyszę, te ważne osobistości nie są zbyt interesujące - powiedziała spokojnie Adela, której nie podobał się ton młodej kobiety. Jej dłoń ponownie dotknęła w ciemności ręki Ronny'ego i do zwierzęcego dreszczu przyłączyła się teraz zbieżność po-
glądów.

- O nie, tu pani nie ma racji. Oni są fantastyczni.

- Nie powiedziałbym, że pani nie ma racji - odezwał się Nawab Bahadur ze swego odosobnienia na przednim siedzeniu, dokąd został przez nich zesłany. - Państwo indyjskie, państwo hinduistów, małżonka władcy państwa hinduistów może ponad wszelką wątpliwość być niezmiernie znakomitą damą i niech nikt ani przez chwilę nie sądzi, że mam jakieś zastrzeżenia co do charakteru Jej Wysokości maharani Mudkulu. Lękam się jednak, że będzie niewykształcona, lękam się, że będzie zabo-
bonna. Bo istotnie, jakże mogłaby być inna? Jakież możliwości

kształcenia miała taka dama? Och, zabobon jest rzeczą straszną, straszną! Och, jest to wielki defekt w naszej indyjskiej naturze! - i jakby dla uwypuklenia jego krytycznych uwag, światła dzielnicy rządowej ukazały się na wzniesieniu z prawej strony. Stawał się coraz wymowniejszy. - Ach, jest obowiązkiem każdego, dosłownie każdego obywatela otrząsnąć się z zabobonów i jakkolwiek mam tylko niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o państwa hinduistyczne, a nie mam żadnego w przypadku tego właśnie państwa, mianowicie Mudkulu (jego władca, jak mniemam, ma prawo do salutu zaledwie jedenastu dział), to przecież nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mogły odnosić równe sukcesy, jak Indie Brytyjskie, gdzie widzimy, jak rozum i ład rozprzestrzeniają się we wszystkich kierunkach niby życiodajny zród!

- A niech go! - powiedziała panna Derek.

Nie zniechęcony tym okrzykiem zniecierpliwienia starzec zegłował dalej. Język mu się rozwiązał, a umysł miał kilka spraw do załatwienia. Pragnął podpisać się od uwag panny Quested, że ważni ludzie nie są interesujący, ponieważ sam był ważniejszy od niejednego udzielnego księcia; jednocześnie nie powinien jej ani przypominać, ani podawać do wiadomości, że jest ważny, bo mogłaby uznać, że popełnił nietakt. Taka była kanwa jego oracji; wplótł w nią wdzięczność dla panny Derek za podwiezienie,

gotowość trzymania w ramionach obrzydliwego pieska i ogólne ubolewanie z powodu kłopotów, jakich przysporzył tego wieczoru rodzajowi ludzkiemu. Chciał też wsiąść w centrum miasta, żeby złapać swojego sprzątacza i przekonać się, co znowu spsocił jego wnuk. Splatając wszystkie te niepokoje w jeden łańcuch, podejrzewał jednocześnie, że jego słuchacze nie okazują zainteresowania i że sędzia dla miasta Czandrapur pieści albo jedno, albo drugie dziewczę za zasłoną fisharmonii, ale dobre manieri kazały mu przemawiać dalej; nie obchodziło go, że są

znudzeni, ponieważ nie wiedział, co to nuda, i nie obchodziło go, że są wyuzdani, ponieważ Bóg stworzył wszystkie rasy w taki sposób, by się między sobą różniły. Było już po wypadku, a jego życie, w równej mierze pożyteczne, co dystygowane i szczęśliwe, toczyło się jak przedtem i wypowiadało potokiem starannie dobieranych słów.

Kiedy ów stary gejzer wreszcie zostawił ich samych, Ronny powstrzymał się od komentarzy i zaczął mówić beztrąsko o polo. Turton nauczył go, że jest rozsądniej nie obgadywać ludzi na gorąco, zachował więc to, co miał do powiedzenia o charakterze Nawaba Bahadura, na późniejszą godzinę tego wieczoru. Jego dłoń, którą na chwilę usunął, żeby się pożegnać, znowu dotknęła ręki Adeli; ona tym razem wyraźnie ją popieściła, on odpowiedział tym samym i ów mocny, wzajemny uścisk na pewno coś znaczył. Dotarwszy do bungalowu popatrzyli na siebie, bo w środku czekała pani Moore. Panna Quested powinna była teraz coś powiedzieć i istotnie rzekła nerwowo:

- Ronny, chciałabym cofnąć to, co mówiłam na majdanie. - On wyraził zgodę i skutek był taki, że się zaręczyli.

Tego skutku żadne z nich nie przewidywało. Ona zamierzała powrócić do uprzedniego stanu znaczącej i kulturalnej niepewności, ta jednak we właściwej sobie chwili wymknęła jej się z rąk. W odróżnieniu od zielonego ptaszka i włochatego zwierzęcia opatrzono ją teraz pewną etykietką. Znowu poczuła się upokorzona, bo nie znosiła etykietek, a ponadto uważała, że między jej ukończonym i nią powinna się teraz odbyć jeszcze jedna scena, coś dramatycznego, co trwałoby trochę dłużej. On natomiast był szczęśliwy, a nie zatroskany, był też zaskoczony, ale nie miał właściwie nic do powiedzenia. Bo w samej rzeczy, co tu można

89

powiedzieć? Pobrać się czy się nie pobrać, oto jest pytanie, a oni odpowiedzieli twierdząco.

- Chodź ze mną, powiemy o tym matce rodu - rzekł, otwierając drzwi z perforowanej blachy cynkowej, chroniącej bungalow przed chmurą skrzydlatych stworzeń. Hałas obudził matkę rodu. Śniły jej się nieobecne dzieci, Ralph i Stella, o których tak rzadko się mówiło, i w pierwszej chwili nie mogła pojąć, czego młodzi

od niej żądają. Ona też zdażyła przywyknąć do roztropnego zwlekania i była poważnie zaniepokojona, kiedy się skończyło.

Po tym oświadczeniu Ronny zdobył się na przyjazne i uczciwe słowa:

- Słuchajcie, moje panie, możecie sobie oglądać Indie, kiedy i jak się wam podoba. Wiem, że zachowałem się dość śmiesznie u Fieldinga, ale... teraz jest inaczej. Nie czułem się pewnie.

„Moje zadanie tutaj jest najwyraźniej skończone, nie chcę już oglądać Indii, czas na podróż powrotną”, pomyślała pani Moore. Przypomniała sobie to wszystko, czym jest szczęśliwe małżeństwo, i swoje własne szczęśliwe małżeństwa, z których jedno wydało na świat Ronny'ego. Rodzice Adeli też byli szczęśliwym małżeństwem i czy nie jest cudownie patrzeć, jak to samo powtarza się w młodszym pokoleniu? Dalej i dalej w przyszłość! Liczba takich związków będzie z pewnością wzrastała wraz z rozwojem oświaty, w miarę jak ideały staną się wznioslejsze, a charaktery ludzi mocniejsze. Ale wizyta w college'u bardzo panią Moore zmęczyła, bolały ją nogi, bo pan Fielding szedł za szybko i poprowadził ją za daleko, młodzi sprawili jej przykrość w powozie i dali powód do przypuszczeń, że zrywają ze sobą, a choć teraz wszystko było już dobrze, nie mogła mówić o małżeństwie ani o niczym innym tak entuzjastycznie, jak powinna. Ronny jest już szczęśliwy, ona musi teraz wracać do domu i pomóc innym, jeżeli tego pragną. Dla niej samej jest już za późno na małżeństwo, nawet nieszczęśliwe. Jej funkcją jest pomagać innym, jej nagrodą słyszeć od innych, że ich rozumie. Starsze panie nie powinny oczekiwać niczego więcej.

Kolację jedli sami. Długo toczyła się miła i serdeczna rozmowa o przyszłości. Potem mówili o sprawach bieżących i Ronny opisał miniony dzień ze swojego punktu widzenia. Był to dzień inny niż w przypadku obu kobiet, bo kiedy one oddawały się rozrywkom

90

czy rozmyślaniom, on pracował. Zbliżał się Moharram i jak zwykle mahometanie czandrapurscy budowali papierowe wieże, za wysokie, żeby dało się je przenieść pod gałęzmi jednego z drzew pipalowych. Wiadomo, co się potem stanie; wieża utkwi w miejscu, jakiś mohametanin wdrapie się na drzewo i odetnie gałąź, hinduiści zaprotestują, dojdzie do rozruchów na tle religijnym i Bóg wie czego jeszcze, może trzeba będzie wezwać wojsko. Przychodziły już delegacje, powstawały komitety

rozjemcze pod auspicjami pana Turtona, normalna praca w mieście ustawała. Czy procesja powinna iść inną trasą, czy też wieże powinny być niższe? Mahometanie proponowali pierwsze rozwiązanie, hinduiści obstawali przy drugim. Zarządca sprzyjał hinduistom, póki nie powziął podejrzenia, że w sztuczny sposób przygięli drzewo do ziemi. Oni znów oświadczyli, że gałęzie obwisają już z samej swojej natury. Pomiary, plany, urzędowa wizja lokalna. Mimo wszystko Ronny nie był niezadowolony ze swojego dnia, bo dzień ów dowodził, że Brytyjczycy są potrzebni Indiom; bez nich na pewno doszłoby do rozlewu krwi. W jego głosie znowu pojawiła się nuta samozadowolenia; nie jest tu po to, żeby być przyjemnym, ale żeby utrzymać ład, i Adela, skoro przyrzekła zostać jego żoną, na pewno to zrozumie.

- A co sądzi nasz starszy pan z samochodu? - spytała, a jej

obojętny ton był dokładnie taki, jakiego pragnął.

- Nasz starszy pan jest pomocny i rozsądny, jak zawsze w sprawach publicznych. W jego osobie poznałaś naszego pokazowego Hindusa.

- Naprawdę?

- Chyba tak. Wprost nie do wiary, jacy oni są, nawet ci najlepsi.

Wszyscy - tak, wszyscy prędzej czy później zapominają założyć spinki do kołnierzyka. Miałaś dziś do czynienia z trzema typami Hindusów, Bhattacharyowie, Aziz i ten jegomość, i naprawdę nie jest przypadkiem, że wszyscy cię jakoś zawiedli.

- Lubię Aziza, Aziz to mój prawdziwy przyjaciel - wtrąciła pani Moore.

- Kiedy jakieś zwierzę wpada na nas, Nawab Bahadur traci głowę, zostawia na szosie swojego nieszczęsnego szofera, narzuca się panie Derek... niezbyt wielkie przestępstwo, to prawda, ale żaden biały tak by nie postąpił.

- Jakie zwierzę?
- Och, mieliśmy drobny wypadek na szosie do Marabaru.

Adela myśli, że to była hiena.

- Wypadek?! - krzyknęła.
- Nic ważnego, nikomu nic się nie stało. Nasz czcigodny gospodarz zbudził się ogromnie skonsternowany ze swoich snów, a robił przy tym taką minę, jakby to była nasza wina, i monotonicznie powtarzał „właśnie, właśnie”.

Pani Moore zadrżała. - Duch! - Ale hipoteza ducha zaledwie musnęła wargi starszej pani. Młodzi ludzie nie podjęli jej, zajęci własnymi planami, i z braku poparcia hipoteza rozplynęła się w nicłość lub może została ponownie wchłonięta przez tę część umysłu, która rzadko przemawia.

- Tak, nie ma tu żadnego przestępstwa - podsumował Ronny - ale tacy właśnie są tubylcy i taki jest między innymi powód, dla którego nie przyjmujemy ich do naszych klubów, a ja w żaden sposób nie mogę zrozumieć, dlaczego taka przyzwoita dziewczyna w rodzaju panny Derek idzie do nich na służbę... No, ale muszę wracać do roboty. Krysna! - Tak się nazywał posłaniec, który powinien był przynieść mu akta z biura. Nie zjawił się jeszcze i wybuchnęła straszliwa awantura. Ronny pieklił się, krzyczał, wrzeszczał i tylko bystry obserwator mógłby rozpoznać, że nie jest wcale zły, że nie bardzo mu zależy na aktach, a robi awanturę tylko dlatego, że taki jest zwyczaj. Służący, pełni wyrozumiałości, chwycili lampy przeciwsztormowe i bez pośpiechu rozbiegli się na wszystkie strony. Krysna-ziemia, Krysna-gwiazdy odpowiedziały i w końcu Anglik dał się przejednać ich odzewom, ukarał nieobecnego posłańca grzywną w wysoko-

ści ośmiu anna i zasiadł w sąsiednim pokoju do odrabiania zaległości.

- Droga Adelo, postawisz pasjansa ze swoją przyszłą teściową, czy też wydaje ci się to zbyt nudne?

- Bardzo chętnie... nie czuję się ani trochę zdenerwowana, cieszę się po prostu, że to jest wreszcie załatwione, ale nie mam poczucia jakiejś większej zmiany. Jesteśmy wciąż trojgiem tych samych osób.

- Chyba najlepiej mieć takie uczucie. - Pani Moore wyłożyła pierwszy rząd kart.

92

- Tak sędzę - powiedziała z namysłem dziewczyna.

- U pana Fieldinga bałam się, że sprawa będzie załatwiona zupełnie inaczej... czarny walet na czerwoną damę... - gawędziły cicho o pasjansie.

Po chwili Adela rzekła:

- Słyszała pani, jak mówiłam do Aziza i Godbole'a, że nie zostaje w ich kraju? Nie myślałam tak, więc dlaczego to powiedziałam? Wydaje mi się, że nie byłam... dość szczerą, dość taktowną czy coś w tym rodzaju. To jest trochę tak, jak gdybym widziała wszystko w niewłaściwych proporcjach. Pani była dla mnie taka dobra, ja też chciałam być dobra dla pani, kiedy wsiadałyśmy na statek, ale tak się jakoś stało, że nie byłam... Proszę pani, jeżeli człowiek nie jest absolutnie uczciwy, jaki sens ma istnienie?

Starsza pani nadal wykładała karty. Te słowa były niejasne, ale rozumiała skrepowanie, które się za nimi kryło. Sama przeżyła dwukrotnie, w czasie własnych zaręczyn, ową niejasną skruchę i wątpliwości. Potem wszystko układało się dość normalnie i na pewno tak będzie tym razem, w małżeństwie większość spraw zaczyna się układać.

- Nie martwiłabym się - powiedziała. - To częściowo sprawa tego niezwykłego otoczenia. Obie zajmujemy się wciąż drobnostkami zamiast tym, co ważniejsze. Jesteśmy „nowe”, jak mówią tutaj ludzie.

- Myśli pani, że moje niepokoje są związane z Indiami?

- Indie... - Zamilkła.

- Dlaczego pani nazwała to duchem?

- Co nazwałam duchem?

- To jakieś zwierzę, które na nas wpadło. Powiedziała pani mimochodem „Duch”?

- Chyba nie myślałam o tym, co mówię.

- To była najprawdopodobniej hiena.

- Tak, to bardzo możliwe.

I dalej stawiały pasjansa. A tam, na dole, w Czandrapurze, Nawab Bahadur czekał na samochód. Siedział na tyłach swojej miejskiej siedziby (był to mały, nie urządzony budynek, do którego rzadko zaglądał), pośród niewielkiego dworu, który zawsze wyrasta samorzutnie wokół znakomitych Hindusów. Jak gdyby turbany były naturalnym wytworem ciemności, coraz to inny wypływał

93

na powierzchnię, pochylał się przed nim i znikał. Starzec był zatroskany, mówił stylem odpowiednim dla tematów religijnych. Przed dziewięciu laty, kiedy po raz pierwszy nabył samochód, przejechał pijanego mężczyznę i odtąd ten człowiek czeka na niego. Nawab Bahadur był niewinny w obliczu Boga i prawa, zapłacił odszkodowanie dwukrotnie wyższe od wymaganego, ale nie zdało się to na nic, ów

człowiek dalej czeka nań w jakiejś straszliwej postaci, niedaleko miejsca, na którym zginął. Żaden Anglik nie wiedział o tym, nie wiedział też jego szofer; była to tajemnica rasy przekazywana raczej z krwią niż w słowach. Mówił teraz ze zgrozą o tym szczególnym przypadku: naraził innych na niebezpieczeństwo, ryzykował życie dwojga niewinnych i czcigodnych gości. Powtarzał: - Gdybym ja został zabity, jakież by to miało znaczenie? Kiedyś musi się to zdarzyć. Ale oni, którzy mi zaufali... - Słuchacze drżeli i błagali Boga o zmiłowanie. Jedyne Aziz zachowywał rezerwę, bo pewne osobiste doświadczenie zmuszało go do powściągliwości: czy to nie dzięki temu, że gardził duchami, poznał panią Moore? - Wiesz, Nureddin - szepnął do wnuka Nawaba Bahadura, zniewieściałego młodzieńca, którego rzadko widywał, zawsze bardzo lubił i o którym niezmiennie zapominał - wiesz, drogi chłopcze, my, muzułmanie, po prostu musimy wyzbyć się tych przesądów, inaczej Indie nigdy nie wejdą na drogę postępu. Jak długo mam słuchać o rozjuszonych świni na szosie marabarskiej? - Nureddin spuścił wzrok. Aziz mówił dalej: - Twój dziadek należy do innej generacji, a ja naprawdę szanuję i kocham tego starego pana, o czym dobrze wiesz. Nic nie mam mu do zarzucenia, tyle tylko, że to nie jest dla nas dobre, bo jesteśmy młodzi. Chciałbym, żebyś mi przyrzekł - słuchasz, Nureddin? - że nie będziesz wierzył w złe duchy, a jeśli umrę (bo moje zdrowie staje się coraz słabsze), że wychowasz moje dzieci w tej niewierze. - Nureddin obdarzył go uśmiechem, na jego ładnych wargach już formowała się właściwa odpowiedź, ale nim zdołał jej udzielić, nadjechało auto i dziadek zabrał go ze sobą. W dzielnicy rządowej pasjans jeszcze trwał. Pani Moore nadal pomrukiwała „czerwona dziesiątka na czarnego waleta”, panna Quested nadal jej pomagała, przeplatając zawiloci gry szczegółami

0 hienie, zaręczynach, maharani Mudkulu, państwu Bhattacharya

1 w ogóle o całym tym dniu, którego poszarpana, wysuszona

94

powierzchnia nabierała, w miarę jak uchodził, wyraźnych konturów, jak stałoby się zapewne z samymi Indiami, gdyby można je było oglądać z księżycyca. Wreszcie obie panie poszły spać, ale nie wcześniej, nim zbudzili się ze snu inni ludzie, w innych miejscach, ludzie, których wzruszeń nie mogły dzielić i o których istnieniu nie chciały wiedzieć. Ani przez chwilę spokojna, ani przez chwilę naprawdę ciemna, noc z wolna ustępowała; od innych nocy różniły ją tylko dwa czy trzy podmuchy wiatru, które zdawały się spadać pionowo z nieba i odbijać z powrotem ku górze, mocne i zwarte, nie pozostawiające po sobie ani odrobiny świeżości: zbliżała się pora sucha.

Rozdział 9

AZYL, jak przepowiedział, był chory, lekko chory. Trzy dni później leżał w łóżku w swoim bungalowie, udając, że jest bardzo chory. Miał trochę gorączki, którą by zlekceważył, gdyby w szpitalu działo się coś ważnego. Od czasu do czasu pojękiwał i myślał, że na pewno umrze, ale nie myślał o tym długo i byle co odrywało jego uwagę. Była niedziela, dzień zawsze trochę dwuznaczny na Wschodzie i pretekst do nieróbstwa. Leżąc w półśnie słyszał dzwony kościelne zarówno w dzielnicy rządowej, jak i u misjonarzy daleko za rzeźnią; były to różne dzwony i uderzano w nie w różnej intencji, gdyż jedne zwracały się mocnym głosem do Anglo-Indii, drugie słabym do całej ludzkości. Aziz nie miał nic przeciw tym pierwszym; tamte natomiast ignorował, znając ich nieskuteczność. Stary pan Graysford i młody pan Sorley zdobywali nowych wyznawców w okresie klęski głodowej, bo rozdawali żywność, ale kiedy nadchodziły lepsze czasy, znowu zostawali sami i chociaż za każdym razem bardzo ich to dziwiło i martwiło, nigdy nie zmądrzeli. „Żaden Anglik nas nie rozumie prócz pana Fieldinga - pomyślał- ale jak mam się z nim znowu zobaczyć? Gdyby wszedł do tego okropnego pokoju, umarłbym ze wstydu”. Zawołał na Hassana, żeby posprzątał, ale Hassan, który poddawał próbnie swoją płacę, sprawdzając jej

95

dźwięk na stopniu werandy, uznał, że może nie słyszeć jego głosu; słyszał i nie słyszał, podobnie jak Aziz wołał i nie wołał. „To właśnie typowe Indie... jakie to do nas podobne... tacy jesteście-my...”. Zapadł znów w drzemkę, a jego myśli błąkały się po różnorodnej powierzchni życia.

Stopniowo zaczęły się koncentrować w pewnym określonym miejscu - Bezdennej Otchłani według misjonarzy, chociaż on zawsze uważał, że jest to najwyższej szczelina. Tak, istotnie chciał spędzić wieczór z dziewczętami, śpiewając i tak dalej, a cała ta bliżej nie określona zabawa osiągnęłaby szczyt w rozpuście. Tak, tego właśnie chciał. Ale jak to zorganizować? Gdyby major Cal-lendar był Hindusem, pamiętałby, jacy są młodzi ludzie, i udzieliłby mu dwu- albo trzydniowego urlopu do Kalkuty bez zadawania zbędnych pytań. Ale major zakładał, że albo jego podwładni są z lodu, albo że odwiedzają czandrapurskie bazary -jedno i drugie dość obrzydliwe! Tylko pan Fielding...

- Hassan!

Służący przybiegł w pośpiechu.

- Spójrz na te muchy, bracie. -1 wskazał wstrętą masę, która

zwisała z sufitu. Jej centrum stanowił drut, umieszczony tam w hołdzie dla elektryczności. Elektryczność nie zwróciła na to uwagi i zamiast niej przybyła tam cała kolonia końskich much, czerniąc zwoje drutu swymi odwłokami.

- Huzur, to są muchy.
- Dobrze, dobrze, muchy, znakomicie, ale po co cię wołałem?
- Żebym je odegnał gdzie indziej.
- Jak się je odegna gdzie indziej, to i tak zawsze wróca.
- Huzur...
- Musisz wymyślić jakiś sposób na muchy. Od czego jesteś moim służącym - powiedział łagodnie Aziz.
- Hassan pośle małego chłopca, żeby pożyczył drabinkę z domu Mahmuda Ali, każe kucharzowi rozpalić prymus i zagrzać wodę, sam wejdzie na drabinkę z wiadrem i zanurzy w nim koniec drutu.
- Dobrze, bardzo dobrze. Więc co masz zrobić?
- Pozabijać muchy.
- Dobrze. Zrób to.

Hassan, z planem niemal gotowym, odszedł i zaczął szukać małego chłopca. Ponieważ go nie znalazł, zwolnił kroku i wymknął

96

się z powrotem na werandę, ale nie sprawdzał już swoich rupii, bo jego pan mógłby usłyszeć ich pobrzękiwanie. Nadal świergotały dzwonki niedzielne; Wschód powrócił na Wschód via przedmieścia Anglii, ośmieszony się doszczętnie w czasie tej okrężnej drogi.

Aziz dalej myślał o pięknych kobietach.

Jego poglądy na tę sprawę były zdecydowane i otwarte, ale nie brutalne. Przed wielu

laty dowiedział się o swoim organizmie wszystkiego, co mu było potrzebne, dzięki systemowi społecznemu, w którym się urodził, a kiedy zaczął studiować medycynę, od-pychała go pedantyczna drobiazgowość, z jaką Europa systema-tyzuje zjawiska płci. Nauka zdawała się podchodzić do wszystkiego od niewłaściwej strony. Nie tłumaczyła jego doświadczeń, kiedy znajdował je opisane w niemieckim podręczniku, bo z chwilą gdy się tam znalazły, nie były już jego doświadczeniami. To, co mu powiedzieli ojciec czy matka lub co zasłyszał od służących -tak, tego rodzaju informacje okazywały się pożyteczne i gdy była po temu okazja, przekazywał je innym.

Ale nie wolno mu jakąś idiotyczną eskapadą przynieść wstydu dzieciom. Ach, gdyby tak rozeszła się wieść, że nie jest człowiekiem godnym szacunku! Musi też wziąć pod uwagę swoją pozycję zawodową, cokolwiek myśli o tym major Callendar. Aziz pod-porządkowywał się nakazom przyzwoitości, chociaż nie przystrajał ich w jakiś nimb moralny, i tu właśnie różnił się najbardziej od Anglików. Jego konwenanse miały charakter społeczny. Nie ma nic złego w oszukiwaniu społeczeństwa, póki ono cię na tym nie przyłapie, bo tylko wtedy, kiedy cię przyłapie, wyrządzasz mu krzywdę; społeczeństwo to nie przyjaciel czy Bóg, których krzywdzi sam fakt niewierności. Ponieważ było to dla niego zupełnie jasne, zaczął medytować nad rodzajem kłamstwa, jakim się posłuży, żeby uciec do Kalkuty, i właśnie pomyślał o pewnym zaufanym człowieku, który mógł mu wysłać depezę i list, od-powiednie do przedłożenia majorowi Callendarowi, kiedy z ogrodu dobiegł go odgłos kroków. Ktoś przyjechał spytać o jego zdrowie. Na myśl o okazywanym mu współczuciu podskoczyła mu gorączka i z nie udawanym jękiem zawinął się w kołdrę.

- Aziz, drogi chłopcze, jesteśmy bardzo zaniepokojeni! - roz-legł się głos Hamidullaha. Jeden, dwa, trzy, cztery wstrząsy, w miarę jak goście siadali na jego łóżku.

97

- Kiedy lekarz choruje, to poważna sprawa - zabrzmiał głos Syeda Mohammeda, zastępcy naczelnego inżyniera.

- Kiedy inżynier choruje, jest to równie ważne - zabrzmiał głos Haqa, inspektora policji.

- O tak, jesteśmy wszyscy szalenie ważni, o czym świadczą nasze pensje.

- Doktor Aziz był na herbacie u naszego dyrektora we wtorek po południu - piskliwie wtrącił Rafi, siostrzeniec inżyniera. -

Profesor Godbole, który też brał udział w przyjęciu, również zasłabł, co wydaje się dość interesujące. Prawda, proszę pana?

W sercach obecnych zlatliły się iskierki podejrzania.

- Bzdury! - wykrzyknął Hamidullah tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Bzdury, oczywiście bzdury - jak echo powtórzyli inni, bardzo zawstydzeni. Złośliwy chłopak, nie zdoławszy wywołać skandalu, stracił pewność siebie i stanął pod ścianą.

- Czy profesor Godbole jest chory? - dopytywał się Aziz, przejęty tą wiadomością. - Naprawdę, bardzo mi przykro. - Jego twarz, inteligentna i pełna współczucia, wyzierała spomiędzy jasnoszkarłatnych fałd kołdry. - Panie Syed Mohammed, panie Haq, witam! Jak to miło z panów strony, że dowiadujecie się o moje zdrowie! Jak się masz, Hamidullah? Ale przynosicie złe wieści. Co dolega temu wspaniałemu człowiekowi?

- Dlaczego nie odpowiadasz, Rafi? Jesteś wielkim autoryte-
tem - powiedział jego wuj.

- Tak, Rafi to nasz wielki człowiek - rzekł Hamidullah, dole-
wając oliwy do ognia. - Rafi to Sherlock Holmes Czandrapuru.

Mów, Rafi!

Czując się nędzniejszym od pyłu na drodze, chłopak wyszep-
tał słowo „biegunka”, ale nabrał odwagi z chwilą, gdy je wypo-
wiedział, bo poprawiło jego sytuację. Iskierki podejrzeń znów zlatliły się w piersiach starszych mężczyzn, choć tym razem podejrzania były zwrócone w inną stronę. Czy możliwe, że to, co nazywają biegunką, jest w istocie wczesnym przypadkiem cholery?

- Jeśli tak, sprawa jest bardzo poważna: mamy dopiero koniec marca. Dlaczego mnie nie zawiadomiono?! - zawołał Aziz.

- Jest przy nim doktor Panna Lal, proszę pana.

98

- Ach, tak, dwóch hinduistów. Jesteśmy w domu. Trzymają się razem jak muchy i robią z każdej rzeczy tajemnicę. Chodź tu, Rafi. Siadaj. Opowiedz mi wszystko szczegółowo. Czy są też wymioty?

- O tak, proszę pana, i silne bóle.

- To załatwia sprawę. W ciągu dwudziestu czterech godzin zakończy życie.

Wszyscy byli i czuli się wstrząśnięci, ale siła oddziaływania profesora Godbole'a zmalała, odkąd złączył on swój los ze współwyznawcą. Wzruszał ich teraz mniej, niż kiedy wydawał się po prostu cierpiącym człowiekiem. Już po krótkiej chwili zaczęli go potępiać jako źródło infekcji. - Wszystkie choroby wychodzą od hinduistów - rzekł inspektor Haq. Pan Syed Mohammed był na uroczystościach religijnych w Allahabadzie i Udźdzainie i mówił o nich ze zgryźliwą pogardą. Przez Allahabad przepływała wartka rzeka, unosząca ze sobą nieczystości, ale mała rzeczka w Udźdzainie jest uregulowana i tysiące kąpiących się pozostawiało w basenie swoje zarazki. Opowiadał z niesmakiem o upalnym słońcu, krowim łajnie i kwitnących nagietkach, a także o obozowisku ascetów, sadhu; niektórzy z nich wędrują po ulicach zupełnie nadzy! Zapytany o imię głównego bożyszczka Udźdzainu odpowiedział, że nie wie, poczytywałby sobie za ujmę dowiadywać się o to, naprawdę nie mógł tracić czasu na takie głupstwa. Ten wybuch trwał jakiś czas, mówca w podnieceniu przeszedł na język pendżabski (pochodził z tamtych stron) i nikt go nie rozumiał.

Aziz lubił słuchać, kiedy chwalono jego religię. Przynosiło mu to ukojenie i pozwalało tworzyć się pięknym obrazom. Kiedy hałaśliwa tyrada inżyniera dobiegła końca, powiedział:

- To mój pogląd. - Podniósł rękę, dłonią na zewnątrz, w oczach

pojawił się blask, serce przepełniło mu uczucie tkliwości. Wynur-
zając się jeszcze dalej ze swojej kołdry zadeklamował wiersz
Ghaliba*. Utwór ten nie miał nic wspólnego z tym, co się działo,
lecz płynął z głębi jego serca i przemawiał do ich serc. Porwał
ich patos wiersza; patos, jak zgodnie sądzili, jest w sztuce wartością

* Ghalib (1797-1869) - wybitny poeta i filozof indyjski.

99

najwyższą; wiersz winien wzbudzić w słuchaczu poczucie własnej słabości, a także przeprowadzić jakby porównanie między ludz-kością i kwiatami. W obskurnej sypialni zapanowała cisza; głupie intrygi, plotki, powierzchowne urazy, wszystko to umilkło, a słowa, będące dla nich słowami nieśmiertelnymi, wypełniły obojętne na wszystko powietrze. Nie w postaci hasła do boju, lecz spokojnej pewności spłynęło na nich uczucie, że Indie są tylko jedno: muzuł-mańskie. I zawsze były. Pewność, która trwała, dopóki nie wyrzeli na zewnątrz. Cokolwiek odczuwał Ghalib, żył w każdym razie w Indiach i już to konsolidowało Indie w ich oczach: przeminał dawno wraz ze swymi tulipanami i różami, ale tulipany i róże nie mijają. I siostrzane królestwa Północy - Arabia, Persja, Fergana, Turkiestan - wyciągały dłonie, kiedy śpiewał smutno, gdyż wszel-kie piękno jest smutne, i pozdrowiały śmieszny Czandrapur, gdzie każda ulica i każdy dom były podzielone wewnętrznie, i mówiły mu, że jest kontynentem i jednością.

Z całego towarzystwa jedynie Hamidullah miał jakieś pojęcie

o poezji. Mózgi pozostałych były pośledniejszego gatunku, nie-
okrzesane. A przecież słuchali z przyjemnością, bo literatura nie
wzięła jeszcze rozbratu z ich cywilizacją. Inspektor policji, na
przykład, nie uważał, że Aziz zhańbił się, deklamując, ani nie
parsknął rubasznym śmiechem, którym Anglik stara się odegnąć
bakcył piękna. Siedział po prostu z pustką w głowie, a kiedy jego
myśli, przeważnie niecne, napłynęły do niej z powrotem, miały
w sobie pewną miłą świeżość. Wiersz nie przyniósł nikomu żadnej

„korzyści”, lecz był przelotnym przypomnieniem, tchnieniem boskich warg piękna, słowikiem między dwoma światami pyłu i prochu. Choć nie tak jasno sprecyzowany jak wołanie do Kryszny, niemniej wyrażał naszą samotność, nasze odosobnienie, naszą potrzebę przyjaciela, który nigdy nie nadchodzi, ale w którego nadejście nigdy nie tracimy całkowicie wiary. Azizowi kazał znów myśleć o kobietach, ale już inaczej: nie tak jasno, bardziej intensywnie. Niekiedy poezja tak właśnie na niego działała, niekiedy wzmagała tylko jego chwilowe pragnienia i nigdy nie wiedział, jaki będzie jej efekt: nie mógł odkryć na to reguły, jak zresztą w ogóle na nic w życiu.

Hamidullah wstąpił do niego w drodze na posiedzenie wiecznie strapionego komitetu znakomitości, o tendencjach nacjonalistycz-

100

nych, w których hinduiści, muzułmanie, dwóch Sikhów, jeden Pars, jeden Dżain* i jeden indyjski chrześcijanin usiłowali lubić się bardziej, niż byli do tego skłonni z natury. Dopóki ktoś lżył Anglików, wszystko szło dobrze, ale jak dotąd nie zanotowano żadnych konstruktywnych osiągnięć i gdyby Anglicy opuścili Indie, komitet zniknąłby także. Hamidullah cieszył się, że Aziz, którego kochał i z którego rodziną był spowinowacony, nie interesuje się polityką; rujnuje ona charakter i karierę, chociaż bez niej nie można niczego dokonać. Myślał o Cambridge - ze smutkiem, jak o jeszcze jednym wierszu, który dobiegł końca. Jakże był tam szczęśliwy dwadzieścia lat temu! Na plebanii u państwa Bannisterów polityka nie miała znaczenia. Sport, praca, miłe towarzystwo przeplatały się tam ze sobą i zdawały się dostateczną podbudową dla życia narodu. Tu wszystkim rządziły machinacje i trwoga. Panowie Syed Mohammed i Haq - nie mógł im ufać, chociaż przyjechali jego powozem, a ten chłopak to istny skorpion. Schylając się, powiedział:

- Aziz, Aziz, drogi chłopcze, musimy jechać, już jesteśmy spóźnieni. Wyzdrowiej prędko, bo nie wiem, co nasze małe kółko

pocznie bez ciebie.

- Nie zapomnę tych ciepłych słów - odparł Aziz.
- Proszę dodać do nich i moje - powiedział inżynier.
- Dziękuję, panie Syed Mohammed, zrobię to.
- I moje, proszę przyjąć i moje! - wołali inni, każdy poruszony na miarę swojej dobrej woli. Małe, daremne, nieugaszone płomyki! Całe towarzystwo dalej siedziało na łóżku i żuło trzcinę cukrową, po którą Hassan pobiegł na bazar, Aziz zaś wypił filiżankę przyprawionego korzeniami mleka. Rozległ się odgłos jeszcze jednego powozu. Przyjechał doktor Panna Lal, przywiózł go ten okropny Ram Chand. W jednej chwili do pokoju wróciła atmosfera choroby i Aziz schronił się znów pod kołdrę.

- Panowie, wybaczcie, przyjechałem tu na polecenie majora Callendara - powiedział wyznawca hinduizmu, pełen obaw przed wkroczeniem do tej jaskini fanatyków, gdzie zwabiła go własna ciekawość.

Dżain - wyznawca religii, zwanej dżinizmem.

101

- Tam leży - rzekł Hamidullah, wskazując na bezwładny kształt.
- Doktorze Aziz, doktorze Aziz, przychodzę pana zbadać. Aziz zwrócił pozbawioną wszelkiego wyrazu twarz w stronę wyciągniętego termometru.
- Rękę proszę. - Ujął dłoń, spojrział na muchy na suficie i wresz-

cie oświadczył: - Trochę gorączki.

- Chyba niedużo - powiedział Ram Chand, pragnąc wywołać nieprzyjemności.

- Trochę. Powinien zostać w łóżku - powtórzył doktor Panna Lal i strząsnął termometr, dzięki czemu wysokość gorączki pozostała na zawsze tajemnicą. Nie znosił swego młodszego kolegi od czasu katastrofy ze Srokaczem i bardzo chętnie zrobiłby mu świństwo i zameldował majorowi Callendarowi, że Aziz symuluje. Ale może on sam zechce kiedyś spędzić dzień w łóżku - a poza tym, chociaż major Callendar zawsze wierzył we wszystko, co najgorsze o krajowcach, nigdy im nie wierzył, kiedy donosili nawzajem na siebie. Współczucie wydawało się bezpieczniejsze. - Jak brzuch? - dopytywał się. - Jak głowa? - I zauważywszy pusty kubek zalecił dietę mleczną.

- To dla nas wielka ulga. Bardzo ładnie, że pan przyszedł, doktorze sahib - powiedział Hamidullah, chcąc mu się trochę przypocholebić.

- To tylko mój obowiązek.

- Wiemy, jak bardzo jest pan zajęty. t

- Tak, to prawda.

- A także, ilu chorych jest w mieście.

Doktor podejrzewał jakąś pułapkę; cokolwiek powie, że jest dużo czy mało, jedno i drugie może być użyte przeciwko niemu.

- Zawsze są chorzy - odpowiedział - a ja jestem zawsze zajęty.

Taka jest dola lekarza.

- Nie ma ani minuty, musi być zaraz w college'u - oznajmił

Ram Chand.

- Czy może opiekuje się pan profesorem Godbole'em?

Doktor miał minę bardzo profesjonalną i milczał.

- Mam nadzieję, że z jego biegunką jest lepiej?
- Polepsza mu się, ale to nie biegunka.
- Trochę się o niego niepokoiimy - on i doktor Aziz to wielcy

702

przyjaciele. Gdyby pan mógł powiedzieć, co to za choroba, bylibyśmy wdzięczni.

- Oto twoja cholera, mój miły Rafi! - huknął Aziz, nie mogąc się opanować.

- Cholera, cholera, i co jeszcze, co dalej?! - zawołał doktor, bardzo poruszony. - Kto rozgłasza tak nieprawdziwe informacje o moich pacjentach?

Hamidullah wskazał na winowajcę.

- Słyszę cholera, słyszę zaraza morowa, słyszę wszystkie możliwe kłamstwa. Na czym to się skończy, pytam sam siebie czasem. W mieście jest pełno fałszywych wiadomości, a ich autorzy powinni być odnalezieni i surowo ukarani.

- Rafi, słyszałeś? No i po co karmisz nas tymi bzdurami?

Chłopiec wymamrotał pod nosem, że powiedział mu to jakiś

kolega i że zła angielszczyzna, jakiej każe im używać rząd, często nadaje niewłaściwe znaczenie słowom i w ten sposób naraża uczniów na pomyłki.

- To nie powód, żeby oskarżać lekarza - rzucił Ram Chand.
- Właśnie, właśnie - zgodził się Hamidullah, któremu zależało

na uniknięciu nieprzyjemności. Kłótnie szerzą się tak szybko i tak daleko, a panowie Syed Mohamamed i Haq wyglądali na rozgniewanych i w każdej chwili gotowych do wybuchu. - Musisz w należyty sposób wyrazić ubolewanie, Rafi, widzę, że twój wuj tego sobie życzy - rzekł. - Nie powiedziałaś jeszcze, że przepraszasz za przykrość, jaką sprawiłeś temu panu swoją bezmyślnością.

- To jeszcze dziecko - powiedział doktor Panna Lal, już udobruchany.

- Nawet chłopcy powinni się uczyć - wtrącił Ram Chand.

- A tymczasem, jak mi się zdaje, pana własny syn nie może skończyć najniższej klasy - wypalił niespodziewanie Syed Mohammed.

- Istotnie? Ach tak, być może. Nie korzysta z pomocy krewnego w Domu Wydawniczym „Pomyślność”.

- Ani pan z bardzo popłatnych możliwości dalszego prowadzenia ich spraw w sądach.

Mówili coraz głośniej. Bombardowali się niejasnymi aluzjami, wybuchła idiotyczna kłótnia. Hamidullah i doktor usiłowali przywrócić spokój. Wśród tego rozgardiaszu ktoś powiedział:

103

- Hej! Czy on choruje, czy nie choruje? - Nie zauważony przez nikogo do pokoju wszedł Fielding. Wszyscy zerwali się na nogi, a Hassan, żeby uczcić Anglika, stuknął kawałkiem trzciny cukrowej w zwój drutu oblepiony muchami.

- Proszę siadać - powiedział chłodno Aziz. Co za pokój! Co

za ludzie! Brud i brzydkie słowa, podłoga usłana resztkami trzciny i orzechów i poplamiona atramentem, przekrzywione obrazy na brudnych ścianach, brak dużego wachlarza! Nie chciał przecież nigdy żyć w taki sposób i wśród tych trzeciorzędnych ludzi.

W zakłopotaniu myślał tylko o nic nie znaczącym Rafim, z którego się przedtem wyśmiewał i którego pozwalał drażnić. Chłopiec musi wyjść od niego zadowolony, inaczej gościnność zawiodłaby na całej linii.

- To ładnie ze strony pana Fieldinga, że raczył złożyć wizytę naszemu przyjacielowi - odezwał się inspektor policji. - Wzrusza nas ta niezwykła dobroć.

- Nie mówcie do niego w taki sposób, to mu nie jest potrzebne, i tak samo nie są mu potrzebne trzy krzesła, jest jednym Anglikiem, a nie trzema - wypalił Aziz. - Rafi, chodź tu. Siadaj. Strasznie się cieszę, że mogłeś przyjść z panem Hamidullahem, mój drogi chłopcze. Twoje odwiedziny pomogą mi wrócić do zdrowia.

- Proszę wybaczyć moje pomyłki - rzekł Rafi, usiłując poprawić swoją sytuację.

- No i co, Aziz, jest pan chory czy nie? - powtórzył Fielding.

- Major Callendar powiedział panu z pewnością, że symuluje?

- A symuluje pan? - Wszyscy się roześmieli, przyjaźnie i z zadowolaniem. „Oto Anglik w swojej najlepszej postaci - pomyśleli. - Taki jowialny”.

- Proszę spytać doktora Panna Łała.

- Czy na pewno nie zmęczy się pan, jeśli zostanę?
- Ale skąd! W moim pokoiku i tak jest już sześć osób. Proszę, niech pan siedzi, przepraszam za ten brak wszelkich ceremonii. - Odwrócił się i dalej rozmawiał z Rafim, który zbladł na widok swojego dyrektora, bo przypomniał sobie, że próbował rozsiewać o nim oszczercze pogłoski, i tylko marzył, żeby się stąd wydostać.
- Jest chory i nie jest chory - rzekł Hamidullah, częstując

104

Fieldinga papierosem. - I przypuszczam, że większość z nas jest w takim samym położeniu.

Fielding przytaknął; umiał znaleźć wspólny język z tym sympatycznym, wrażliwym adwokatem. Znali się dość dobrze i zaczęli darzyć się zaufaniem.

- Cały świat wygląda tak, jakby umierał, a jednak nie umiera, więc musimy przyjąć, że istnieje jakaś dobroczynna Opatrzność.
- Ach, to prawda, wielka prawda! - przyznał policjant, myśląc, że chodzi o pochwałę religii.
- Czy pan Fielding sądzi, że to prawda?
- Że co jest prawda? Świat nie umiera. Tego jestem pewien!
- Nie, nie. Że istnieje Opatrzność.
- No cóż, nie wierzę w Opatrzność.
- Ale jak w takim razie może pan wierzyć w Boga? - spytał

Syed Mohammed.

- Nie wierzę w Boga.

Wśród zebranych nastąpiło lekkie poruszenie, jak gdyby każdy chciał powiedzieć: „A nie mówiłem!”, Aziz zaś rzucił mu krótkie spojrzenie, wyraźnie zgorzony.

- Czy to prawda, że teraz w Anglii jest większość ateistów? -
zapytał Hamidullah.

- Ma pan na myśli ludzi wykształconych, myślących? Chyba tak, chociaż nie lubię tego słowa. Rzecz w tym, że Zachód nie bardzo się w dzisiejszych czasach przejmuje sprawami wiary czy niewiary. Pięćdziesiąt lat temu, czy jeszcze wtedy, kiedy pan i ja byliśmy młodzi, robiono o wiele więcej hałasu.

- A czy nie upada także moralność?

- Zależy, co pan nazywa... tak, tak, sądzę, że moralność upada.

- Proszę wybaczyć, że pytam, ale jeśli tak jest, co usprawiedliwia panowanie Anglii nad Indiami?

No i proszę! Znowu polityka.

- Jest to pytanie, nad którym trudno mi się zastanawiać -
odparł Fielding. - Ja osobiście znalazłem się tutaj, bo szukałem
posady. Nie umiem powiedzieć, dlaczego Anglia tu jest albo czy
powinna tu być. To przekracza moje możliwości.

- Hindusi z kwalifikacjami także szukają posad w dziedzinie
oświaty.

- Chyba tak. Ja byłem pierwszy - rzekł Fielding z uśmiechem.

105

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie... czy to sprawiedliwe, że
Anglik zajmuje posadę, kiedy są do dyspozycji Hindusi? Oczywiście
nie zamierzam robić osobistych uwag. My sami jesteśmy
szczęśliwi, że pan tu przyjechał, i wszyscy odnieśliśmy wielką

korzyść z tej szczerzej rozmowy.

Jest tylko jedna odpowiedź w tego rodzaju wymianie zdań: „Anglia włada Indiami dla ich dobra”. Ale Fielding nie był skłonny jej udzielić. Trawiło go nieodparte pragnienie uczciwości. Powiedział:

- Ja też jestem szczęśliwy, że tu przyjechałem - oto moja odpowiedź, moje jedyne usprawiedliwienie. Nie mogę panom nic powiedzieć na temat sprawiedliwości. Może nie było sprawiedliwie, że się w ogóle urodziłem. Za każdym oddechem zabieram powietrze komuś innemu, prawda? A jednak cieszę się, że tak się stało, i cieszę się, że tu jestem. Choćby się było największym zbirzem, jeżeli człowiek czuje się szczęśliwy, jest to już jakieś usprawiedliwienie.

Hindusi byli oszołomieni. Ten sposób myślenia nie był im obcy, ale słowa wydawały się zbyt precyzyjne i zimne. Jeśli jakieś zdanie nie złożyło choćby mimochodem kilku ukłonów przed Sprawiedliwością i Moralnością, jego gramatyka raniła ich uszy i paraliżowała umysły. To, co mówili, i to, co czuli (chyba że w przypadku namiętności), rzadko się pokrywało. Mieli liczne konwenanse psychiczne i kiedy je lekceważono, niełatwo było im funkcjonować. Hamidullah zniósł to najlepiej.

- A ci Anglicy, którzy nie są zachwyceni, że są w Indiach... czy oni nie mają usprawiedliwienia? - zapytał.

- Żadnego. Wyrzucicie ich.

- Może być trudno oddzielić ich od reszty - roześmiał się Hamidullah.

- Gorzej niż trudno. Źle - powiedział Ram Chand. - Żaden indyjski dżentelmen nie uważa, żeby wyrzucanie było rzeczą właściwą. W tym różnimy się od innych narodów. Jesteśmy tacy uduchowieni.

- Ach, to prawda, wielka prawda! - przytaknął inspektor policji.

- Czy to prawda, panie Haq? Nie uważam nas za uduchowio-
nych. Nie umiemy koordynować, nie umiemy koordynować, wszyst-
ko sprowadza się do tego. Nie potrafimy dotrzymywać terminów,
106

przychodzić punktualnie na pociąg. Czymże innym jest tak zwane uduchowanie
Indii? My dwaj powinniśmy być na zebraniu Rady Dostojników, a nie jesteśmy. Nasz
przyjaciel doktor Lal powinien być u swoich pacjentów, a nie jest. Tak sobie żyjemy,
i myślę, że będziemy żyć tak do końca świata.

- Jeszcze nie koniec świata, dopiero dziesiąta trzydzieści, cha,
cha! - zawołał doktor Panna Lal, który znów nabrał pewności
siebie. - Panowie, jeżeli wolno mi powiedzieć kilka słów, cóż to
za interesująca rozmowa, a także podziękowanie i wdzięczność
dla pana Fieldinga przede wszystkim, który uczy naszych synów
i przekazuje im wszystkie dobrodziejstwa swojego doświadczenia
i mądrości...

- Panie doktorze Lal!

- Panie doktorze Aziz?

- Pan siedzi na mojej nodze.

- Przepraszam, ale ktoś mógłby powiedzieć, że pana noga kopie.

- Chodźmy, tak czy inaczej męczymy chorego - rzekł Fielding
i wyszli jeden za drugim: czterech mahometan, dwóch hinduistów
i Anglik. Stanęli na werandzie, czekając, aż służba przywoła
z różnorodnych plam cienia ich pojazdy.

- Aziz jest bardzo wysokiego mniemania o panu, nie mówił
nic tylko dlatego, że jest chory.

- Doskonale to rozumiem - powiedział Fielding, którego ta

wizyta trochę rozczarowała. Komentarz klubowy „pospolituje się, jak zwykle” przemknął mu przez głowę. Nie mógł się nawet doprosić, żeby przyprawiono jego konia. Tak bardzo polubił Aziza przy pierwszym spotkaniu i miał nadzieję, że coś z tego wyniknie.

Rozdział 10

Upał wzmógł się w ciągu ostatniej godziny, ulice były wyludnione, jak gdyby jakiś kataklizm opróżnił je z ludzi w czasie owej jałowej rozmowy. Naprzeciwko bungalowu Aziza stał duży, nie wykończony dom, własność dwóch braci, astrologów, a na nim wisiała głową w dół wiewiórka, przyciskająca brzusek do rozprazonych

707

rusztowań i poruszająca wyliniałym ogonkiem. Wydawała się jedyną mieszkanką domu, a jej piski współdzwijały zapewne z nieskończonością, ale były miłe wyłącznie dla wiewiórek. Więcej odgłosów dochodziło z pokrytego kurzem drzewa, na którym brązowe ptaszki skrzeczały, podskakując w poszukiwaniu owadów; inny ptaszek, niewidzialny brodziec, już rozpoczął swoje „ponk ponk”. Jakże niewielkie znaczenie ma dla większości żywych stworzeń, co mniejszość, która mieni się ludźmi, pragnie lub postanawia. Większość mieszkańców Indii nie interesuje się tym, jak Indie są rządzone. Także świat zwierzęcy Anglii nie interesuje się Anglią, ale w tropikach ta obojętność jest wyraźniejsza, świat stworzeń niemych jest bliższy i bardziej gotowy do ponownego objęcia władzy, gdy tylko ludzie się zmęczą. Kiedy siedmiu panów, którzy w domu mieli tak różne poglądy, znalazło się na zewnątrz, zdali sobie sprawę z pewnego wspólnego ciężaru, niejasnego zagrożenia, nazywanego przez nich „zbliżeniem się niepołgody”. Wydawało im się, że nie mogą wykonywać swojej pracy albo że nie będą za nią należycie wynagradzani. Przestrzeń między nimi i ich powozami, już nie pustą, wypełniła lepka materia, która uciskała im ciało, wyściełane siedzenia powozów przypiekały im spodnie, w oczach czuli klucie, pod nakryciami głowy gromadziły się całe zbiorniki gorącej wody i spływały po policzkach. Pozdrowiając się słabym głosem, rozproszyli się po wnętrzach innych bungalowów, gdzie odzyskali swoją miłość własną i cechy, które ich od siebie odróżniały.

W całym mieście i w znacznej części Indii rozpoczynał się ten sam odwrót rodzaju

ludzkiego: do piwnic, w góry, pod drzewa. Kwiecień, zwiastun rzeczy straszliwych, jest tuż-tuż. Słońce po-wracało do swojego królestwa z mocą, lecz bez piękna - i właśnie to wydawało się tak złowrogie. Gdyby tylko była w tym odrobina piękna! Łatwiej można by wtedy znieść jego okrucieństwo. Z wi-ny nadmiaru światła nie mogło zatriumfować nawet ono; w żół-tawobiałym potopie zatoneła nie tylko materia, lecz sama jasność. Nie było owym nieosiągalnym przyjacielem czy to ludzi, czy ptaków, czy innych słońc, nie było ową wieczną obietnicą, ową nigdy nie odwołaną zapowiedzią, która nawiedza naszą świa-domość; było jedynie stworzeniem jak wszystkie inne, przeto pozbawione chwały.

108

Rozdział 11

Jakkolwiek Hindusi już odjechali, a Fielding widział swojego konia stojącego w małej szopie w kącie ogrodu, nikt nie zadał sobie trudu, żeby mu go przyprowadzić. Ruszył więc sam, ale zatrzymało go wołanie z wnętrza domu. Aziz siedział na łóżku, rozczochrany i smutny.

- Oto mój dom - powiedział sardonicznie. - Oto sławna goś-cinność Wschodu. Proszę popatrzeć na te muchy. Na czunam* opadający ze ścian. Śliczne, co? Przypuszczam, że chce pan odejść, skoro zobaczył już pan orientalne wnętrze.

- W każdym razie powinien pan odpocząć.

- Mogę odpoczywać cały dzień, zawdzięczając to czcigodnemu doktorowi Lalowi. Szpieg majora Callendara. Przypuszczam, że pan wie, ale tym razem nic z tego nie wyszło. Pozwolono mi na odrobinę gorączki.

- Callendar nie ufa nikomu, ani Anglikom, ani Hindusom. Taki ma charakter i wolałbym, żeby pan nie był jego podwładnym. Ale jest pan i co na to poradzić.

- Zanim pan pójdzie, bo najwidoczniej bardzo się pan spieszy,

zechce pan uprzejmie otworzyć tę szufladę? Widzi pan kawałek szarego papieru na samym wierzchu?

- Tak.
- Niech go pan rozłoży.
- Kto to?
- Była moją żoną. Jest pan pierwszym Anglikiem, któremu się pokazała. Teraz niech pan odłoży fotografię.

Fielding był zdumiony, był zdumiony jak podróżny, który wśród kamieni pustynnych dostrzega nagle kwiaty. Kwiaty rosły tam zawsze, ale on dostrzega je nagle. Próbował przyjrzeć się fotografii, ale była na niej po prostu kobieta w sari, zwrócona twarzą do świata. Rzekł cicho:

- Naprawdę nie wiem, dlaczego robi mi pan ten wielki zaszczyt, Aziz, ale jestem bardzo wdzięczny.
- Och, drobiazg, ona nie była specjalnie wykształcona ani : Czunam - zaprawa, wapno.

109

nawet ładna, ale niech pan to odłoży. Zobaczyłby ją pan, więc dlaczego nie miałby pan zobaczyć jej fotografii?

- Pozwoliłby mi pan ją zobaczyć?
- Czemu nie? Uznaję parde, ale powiedziałbym jej, że jest pan moim bratem, i pokazałaby się panu. Widział ją Hamidullah i kilku innych.
- Czy myślała, że to pana bracia?
- Oczywiście, że nie, ale to słowo istnieje i jest wygodne.

Wszyscy ludzie są braćmi i jeżeli ktoś zachowuje się jak brat, może zobaczyć moją żonę.

- A kiedy wszyscy ludzie zaczną się tak zachowywać, nie będzie już w ogóle pardy?
- Właśnie dlatego, że potrafi pan wypowiedzieć i odczuć takie słowa, pokazuję panu jej fotografię - rzekł z powagą Aziz. - To jest poza możliwościami większości ludzi. Dlatego, że pan zachowuje się dobrze, kiedy ja zachowuję się źle, pokazuję ją panu. Wcale nie liczyłem na to, że pan wróci, kiedy pana zawołałem. Pomyślałem sobie: „On już na pewno ze mną skończył. Obraziłem go”. Widzi pan, nikt nie może zrozumieć, ile życzliwości potrzebujemy my, Hindusi, nawet my sami nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ale wiemy, kiedy nam się ją okazuje. Nie zapominamy, chociaż może się tak zdawać. Życzliwość, życzliwość i jeszcze raz życzliwość. Zapewniam pana, że to jedyna nadzieja. - Głos Aziza zdawał się płynąć jakby z wnętrza snu. Zmieniając jego barwę, lecz mówiąc wciąż z dalekich głębi, powiedział: - Nie możemy zbudować Indii na czymś innym niż nasze odczucia. Co nam przyjdzie z tych wszystkich reform i komisji rozjemczych do spraw Moharramu, i czy mamy skrócić tazia*, czy przewieźć ją inną trasą, i co nam przyjdzie z Rady Dostojników i oficjalnych przyjęć, jeżeli Anglicy szydzą z naszej skóry?
- To tak, jakby zaczynać ze złego końca, prawda? Ja to wiem, ale instytucja i rządy nie wiedzą. - Fielding spojrział ponownie na fotografię. Na życzenie męża i swoje własne pani zwróciła się twarzą do świata, ale jak bardzo musiał się jej wydać zdumiewający ów hałaśliwy, przekorny świat!

* Tazia - wizerunek grobu Hassana i Hussejna, noszony podczas procesji Moharramu.

110

- Niech pan to schowa, ona nie ma znaczenia, ona nie żyje - rzekł łagodnie Aziz. - Pokazałem ją panu, bo nie mam nic innego do pokazania. Może pan teraz obejrzyć cały mój bungalow i przeszukać wszystko. Nie mam innych tajemnic, trójka moich dzieci mieszka oddzielnie, u babki, i to wszystko.

Fielding usiadł przy łóżku, mile połączony zaufaniem, jakie mu okazano, ale trochę smutny. Czuł się staro. Ach, gdyby on też umiał dać się ponieść falom uczucia. Następnym razem Aziz może być ostrożny i pełen rezerwy. Zdawał sobie z tego sprawę i to go właśnie smuciło - to, że zdaje sobie z tego sprawę. Życzliwość, życzliwość i jeszcze raz życzliwość - tak, mógł ją ofiarować, ale czy istotnie to wszystko, czego potrzebuje ów dziwny naród? Czy nie domaga się też, żeby mu od czasu do czasu zatruto krew? Cóż takiego zrobił, że zasłużył na ów przyływ zaufania, i co mógł dać w zamian? Pomyślał

o własnym życiu. Jakże skromne żniwo tajemnic przyniosło!

Zdarzały się w nim rzeczy, którymi nie chwalił się przed nikim, ale były tak nieciekawe, że nie warto by znosić pardy z ich powodu. Był kiedyś zakochany, zaręczony, ale ona zerwała zaręczyny, wspomnienia i myśli o niej kazały mu przez jakiś czas stronić od innych kobiet; potem nieumiarkowanie, po nim skrucha i równowaga. Doprawdy skromne to żniwo, z wyjątkiem równowagi, i nie ma potrzeby zwierzać się z tego Azizowi - powiedziałby, że „wszystko jest uszeregowane zimno na półkach”.

„Nigdy nie będę naprawdę blisko z tym człowiekiem”, pomyślał Fielding, a potem: „ani z nikim”. To był końcowy wniosek.

1 musiał przyznać, że właściwie nie ma to dla niego znaczenia, że wystarcza mu, jeśli może pomagać ludziom i jeśli ich lubi, póki nie mają zastrzeżeń, a kiedy mają zastrzeżenia, pogodnie ich wyminąć. Doświadczenie może wiele zdziałać i wszystko, czego nauczył się w Anglii i w Europie, było mu pomocą i pozwalało szybciej osiągnąć jasność sądu, ale ta jasność powstrzymywała go z kolei przed doświadczeniem czego innego.

- Jak się panu podobały te dwie panie, które pan poznał we wtorek? - spytał.

Aziz potrząsnął głową z niesmakiem. Pytanie przypomniało mu o pochopnej uwadze na temat Grot Marabarskich.

111

- A jak się panu w ogóle podobają Angielki?

- Hamidullahowi podobały się w Anglii. Tu nigdy nie patrzymy na nie. O nie, jesteśmy na to o wiele za ostrożni. Mówmy o czym innym.

- Hamidullah ma rację: są znacznie miłsze w Anglii. Tu, w Indiach, jest coś, co im nie służy.

Aziz znowu milczał przez chwilę, w końcu rzekł:

- Dlaczego nie jest pan żonaty?

Fielding był rad, że Aziz o to spytał.

- Bo jakoś dałem sobie radę bez tego - odparł. - Myślałem, że któregoś dnia powiem panu coś niecoś o sobie, jeżeli potrafię zrobić to dość interesująco. Kobieta, która mi się podobała, nie chciała za mnie wyjść - to główna przyczyna, ale było to piętnaście

lat temu i teraz nie ma już znaczenia.

- I nie ma pan dzieci?

- Nie mam.

- Proszę wybaczyć następujące pytanie: czy ma pan jakieś nieślubne dzieci?

- Nie. Chętnie bym panu powiedział, gdybym miał.

- Więc pana nazwisko całkowicie wygaśnie.

- Musi wygasnąć.

- No tak. - Potrząsnął głową. - Tej obojętności człowiek

Wschodu nigdy nie zrozumie.

- Nie przepadam za dziećmi.

- To nie ma nic do rzeczy - rzucał niecierpliwie Aziz.

- Nie odczuwam ich braku. Nie chcę, żeby płakały przy moim łożu śmierci, a potem mówiły o mnie grzecznie, bo chyba taka jest powszechna praktyka. Znacznie chętniej pozostawiłbym po sobie pamięć niż dziecko. Inni niech mają dzieci. Nie jest to żadnym obowiązkiem, skoro Anglia jest tak przeludniona i zalewa Indie ludźmi poszukującymi pracy.

- Dlaczego pan się nie ożeni z panną Quested?

- Mój Boże! Przecież ta dziewczyna to straszna piła!

- Straszna piła, piła? Zechce pan wytłumaczyć. Czy to nie jest brzydkie słowo?

- Och, nie znam jej, ale zrobiła na mnie wrażenie jednego z najżałośniejszych wytworów zachodniej edukacji. Po prostu mnie przygnębia.

- Ale straszna piła, panie Fielding? Co to znaczy?
- Zachowuje się ciągle tak, jakby była na wykładzie... tak się strasznie stara zrozumieć Indie i życie, a od czasu do czasu robi nawet notatki.
- Myślałem, że jest miła i bezpośrednia.
- I prawdopodobnie jest - powiedział Fielding, któremu zrobiło się wstyd własnej szorstkości: każda wzmianka, że powinien się ożenić, zawsze wywołuje u kawalera radykalne sądy i zdenerwowanie. - Ale nie mogę się z nią ożenić, nawet gdybym chciał, bo właśnie się zaręczyła z sędzią dla miasta Czandrapur.
- Naprawdę? Tak się cieszę! - zwołał Aziz z ulgą, gdyż znało go to z ekspedycji do Marabaru: trudno się spodziewać, że będzie organizował rozrywki dla Anglików stale zamieszkałych w Indiach.
- To robota jego matki. Bała się, że jej kochany syneczek sam dokona wyboru, więc celowo przywiozła tu tę dziewczynę i rzuciła ich sobie w ramiona. No i w końcu się stało.
- Pani Moore nie wspomniała mi o tym, kiedy mówiła o swoich planach.
- Może coś pokręciłem - słabo jestem zorientowany w klubowych plotkach. W każdym razie są zaręczeni.
- Tak, nie jest pan zorientowany, biedaku - rzekł Aziz z uśmie-

chem. - Pan Fielding nie dostanie panny Quested. Co prawda, nie jest piękna. Jak się nad tym zastanowić, nie ma prawie piersi.

Fielding uśmiechnął się także, ale wzmianka o piersiach pani w towarzystwie wydała mu się trochę w złym guście.

- Może wystarczą sędziemu, a on jej. Dla pana postaram się o panią z piersiami jak owoce mango.

- Nie, nie zrobi pan tego. Zresztą na pana stanowisku byłoby to niebezpieczne. - Jego myśl od spraw matrymonialnych powędrowała do Kalkuty. Twarz mu spoważniała. Pomyśleć tylko, że mógłby namówić dyrektora, żeby tam z nim pojechał, i wpędzić go w kłopoty! I nagle przyjął zupełnie nową postawę wobec swojego przyjaciela, postawę opiekuna, który zna niebezpieczeństwa Indii i ostrzega go przed nimi. - Nie może pan być za ostrożny. Cokolwiek pan powie albo zrobi w tym przeklętym kraju, zawsze czatuje na pana jakiś zawistny typ. Może zdziwi

113

pana wiadomość, że kiedy pan przyszedł dowiedzieć się o mnie, siedziało tu co najmniej trzech szpiegów. Byłem naprawdę bardzo zdenerwowany, kiedy mówił pan w ten sposób o Bogu. Z pewnością doniosą.

- Komu?

- Wszystko pięknie, ale występował pan też przeciwko moralności i mówił, że przyjechał pan tutaj, żeby zabrać innym pracę. To naprawdę było bardzo nierozsądne. Tu strasznie się ludzi obgaduje. Przecież słuchał tego nawet jeden z pańskich uczniów.

- Dziękuję, że mi pan to mówi. Tak, muszę być trochę ostrożniejszy. Kiedy mnie coś interesuje, łatwo się zapominam. Swoją

drogą, dotąd mi to nie zaszkodziło.

- Ale takie mówienie bez ogródek może panu narobić kłopotów.

- To się już nieraz zdarzało.

- Proszę, proszę! Ale koniec może być taki, że straci pan pracę.

- Stracę, to stracę. Dam sobie radę. Podróżuję bez bagażu.

- Bez bagażu! Jesteście niesłychaną rasą- rzekł Aziz, prze-

wracając się na drugi bok, jak gdyby chciał zasnąć, i natychmiast

odwracając się znowu. - To ten wasz klimat czy co?

- Mnóstwo Hindusów też podróżuje bez bagażu - święci mędr-

cy i tak dalej. To jedna z rzeczy, które u nas najbardziej podziwiam.

Każdy może podróżować bez bagażu, póki nie ma żony i dzieci.

Między innymi dlatego występuję przeciw małżeństwu. Jestem

świętym człowiekiem minus świętość. Proszę to przekazać swoim

trzem szpiegom i niech się nad tym dobrze zastanowią.

Aziz słuchał, oczarowany i zaciekawiony, a jego myśli krążyły wokół nowego odkrycia. Więc to dlatego pan Fielding i jemu podobni są tacy nieustraszeni! Nie mają nic do stracenia. Natomiast on tkwi korzeniami w społeczeństwie i islamie. Należy do pewnej tradycji, która go wiąże, i dał dzieci światu, społeczeństwu przyszłości. Chociaż żyje tak nijako w tym nędznym domu, ma swoje miejsce, swoje własne miejsce.

- Nie można mnie wyrzucić z pracy, bo moją pracą jest oświata.

Wierzę, że ludzi trzeba uczyć, żeby byli ludźmi i rozumieli innych

ludzi. To jedyna rzecz, w jaką wierzę. W college'u mieszam to

z trygonometrią i tak dalej. Jako sadhu będę to mieszał z czym

innym.

Zakończył swój manifest i zapadła cisza. Muchy stały się

nieznośne, wirowały wokół ich obu i wciskały się im w uszy. Fielding opędał się od nich jak oszalały. Po tym wysiłku zrobiło mu się gorąco i wstał, żeby wyjść.

- Mógłby pan powiedzieć swemu służącemu, żeby mi przywodził konia? Zdaje się, że nie chce zrozumieć mojego urdu.

- Wiem. Dałem mu takie polecenie. Oto sztuczki, jakie płątamy nieszczęsnym Anglikom. Biedny pan Fielding! Ale teraz pana zwolnię. Ach, Boże! Z wyjątkiem pana i Hamidullaha nie mam tu z kim porozmawiać. Lubi pan Hamidullaha, prawda?

- Bardzo.

- Obiecuje pan natychmiast przyjść do nas, jeżeli znajdzie się pan w kłopotach?

- Ja nigdy nie znajdę się w kłopotach.

„Dziwny jegomość, mam nadzieję, że to się źle nie skończy”, pomyślał Aziz, kiedy został sam. Skończył z admiracją, skłaniał się teraz raczej ku protekcjonalności. Trudno mu było czcić kogoś, kto gra w otwarte karty. Fielding, jak stwierdził przy bliższym poznaniu, jest człowiekiem naprawdę serdecznym i niekonwencjonalnym, ale trudno go nazwać mądrym. Ta jego szczerłość w obecności Rama Chanda, Rafiego et consortes była niebezpieczna i nieelegancka. Nie służyła żadnemu użytecznemu celowi.

Ale są przyjaciółmi, braćmi. Ta sprawa jest załatwiona, ich pakt przypieczętowała fotografia, ufają sobie, choć raz zatriumfowało uczucie. Zasypiał wśród co szczęśliwszych wspomnień ostatnich dwóch godzin - poezja Ghaliba, wdziek niewieści, pocziwy stary Hamidullah, pocziwy Fielding, jego otaczana czcigłówna małżonka i drodzy chłopcy. Przeniósł się w sfery, gdzie ta radość wielorako objawiona nie miała nieprzyjaciół, lecz rozkwitała harmonijnie w wiecznie zielonym ogrodzie albo spływała rynnami z żebrowanego marmuru, albo wznosiła się w górę, tworząc kopuły, pod którymi widniały wypisane, czarne na białym tle, imiona dziewięćdziesięciu dziewięciu atrybutów Boga.

Rozdział 12

Ganges, chociaż bierze początek ze stóp Wisznu i płynie przez włosy Siwy, nie jest rzeką prastarą. Geologia, sięgająca wzrokiem dalej niż religia, wie o czasach, kiedy nie istniała ani rzeka, ani Himalaje, które ją zasilają, i gdy święte miejsca Hindustanu pokrywał ocean. Wyłoniły się góry, ich odpryski zamuliły ocean, na ich szczytach zasiedli bogowie i stworzyli rzekę, i tak oto narodziły się Indie, które zowiemy odwiecznymi. Ale Indie są w rzeczywistości znacznie starsze. W dniach prehistorycznego oceanu południowa część półwyspu już istniała, a wyżyny Drawidii są lądem, odkąd w ogóle pojawił się ląd, i widziały po jednej stronie zapadnięcie się kontynentu, który je łączył z Afryką, a po drugiej wynurzenie się Himalajów z morza. Są starsze niż wszystko, co istnieje na świecie. Nie pokrywała ich nigdy żadna woda, a Słońce, przypatrując im się przez niezliczone eony, może nadal rozróżnić w ich konturach kształty, które samo miało, zanim nasz glob został wyrwany z jego łona. Jeśli gdziekolwiek można dotknąć słonecznego mięszu, to właśnie tu, wśród tych niewiarygodnie starych gór.

Ale zmieniają się nawet one. Kiedy wypiętrzyły się himalajskie Indie, te Indie, pierwotne, uległy spłaszczeniu i z wolna wchodzą ponownie w obręb krzywizny Ziemi. Być może za następne eony tutaj również popłynie ocean i pokryje szlamem zrodzone ze Słońca skały. Tymczasem równina Gangesu wdziera się na ich obszar, w czym przypomina trochę działanie morza. Zapadają się pod naporem nowych ziem. Ich główny trzon trwa w kształcie nie zmienionym, ale wysunięte bastiony na obrzeżach zostały już odcięte i stoją po kolana, po szyję w pracę naprzód ziemi. Jest

119

coś niewypowiedziane straszliwe w tych bastionach. Nie są podobne do niczego na świecie, sam ich widok zapiera dech w piersi. Wznoszą się stromo, szaleńczo, pozbawione proporcji, jakie zachowują nawet najdziksze góry w innych stronach, nie przypominają niczego, co człowiek widział albo o czym śnił. Słowo „niesamowite” każe myśleć o duchach, one są jednak starsze niż wszelkie duchy. Hinduizm porył i otynkował kilka skał, ale nikt tych świątyń nie odwiedza, jak gdyby pielgrzymi, którzy na ogół szukają niecodzienności, tu znajdowali jej zbyt wiele. Kilku ascetów osiedliło się kiedyś w jednej z jaskiń, ale ich stamtąd wypędzono, nawet Budda, który musiał tędy przechodzić w drodze do Drzewa Bo* w Gya, wzdragał się przed wyrzeczeniem większym niż to, na jakie się sam zdobył, i nie pozostawił żadnej legendy o walce czy zwycięstwie w Ma-rabarze.

Grotę opisać nietrudno. Tunel mierzący osiem stóp długości, pięć wysokości, trzy szerokości prowadzi do kolistej komory

0 średnicy około dwudziestu stóp. Ten układ powtarza się raz po raz w całej grupie wzgórz i to jest wszystko, to jest Grota Marabarska. Ujrawszy jedną taką grootę, ujrawszy dwie, trzy, cztery, czternaście, dwadzieścia cztery, turysta wraca do Czandrapuru niepewny, czy było to przeżycie ciekawe, czy nudne, czy też w ogóle jakieś przeżycie. Niełatwo mu o nich rozmawiać albo posegregować je w pamięci, bo schemat zawsze jest taki sam

1 żadna rzeźba, nic, choćby gniazdo pszczoł czy nietoperz, nie odróżnia jednej grotki od drugiej. Nie wiąże się z nimi nic, absolutnie nic, a ich sława - bo mają sławę - nie jest uzależniona od mowy ludzkiej. Można by sądzić, że okalająca je równina lub przelatujące ptaki wzięły na siebie obowiązek wykrzykiwania „niezwykłe” i że to słowo zawisło w powietrzu i zostało wchłonięte przez ludzi.

Ciemne to grotki. Nawet gdy otworem są skierowane ku słońcu, bardzo mało światła przenika przez wejściowy tunel do kolistej komory. Niewiele tu jest do oglądania i nie ma oka, które by patrzyło, chyba że jakiś zwiedzający wpadnie na pięć minut

* Drzewo Bo - święte drzewo figowe (pipal) Hindusów.

120

i zapali zapałkę. Natychmiast w głębinach skały wyrasta drugi ognik i przesuwają się ku powierzchni jak uwięziony duszek: kolistą komnatę ma ściany przepięknie wypolerowane. Dwa płomyki zbliżają się do siebie i usiłują połączyć, ale nie mogą, bo jeden z nich oddycha powietrzem, drugi kamieniem. Zwierciadło inkrustowane pięknymi barwami rozdziela kochanków, wyrastają między nimi delikatne, różowoszare gwiazdy, prześliczne mgławice, cienie bledsze niż ogon komety lub księżyc w południe - całe ulotne życie granitu, tylko tu widzialne. Pięści i palce

wystrzeliwują ponad napierającą ziemię - tu wreszcie jest ich skóra, delikatniejsza niż wszelkie powłoki zwierząt, gładza od nie zmaconej wiatrem wody, bardziej zmysłowa niż miłość. Blask się wzmaga, płomyki dotykają się, całują, gasną. Grota jest znowu ciemna, jak wszystkie groty.

Tylko ściany komnaty są tak dobrze wypolerowane. Boki tunelu pozostały szorstkie, mącą, niczym późniejsza refleksja, tę we wnętrzną doskonałość. Wejście było potrzebne, więc ludzie je zrobili. Ale czy gdzie indziej, w głębszych warstwach granitu, są komnaty, które nie mają wejść? Komnaty nie otwierane od chwili przybycia bogów. Miejscowa wieść niesie, że są liczniejsze niż te, które można zwiedzać, tak jak zmarli są liczniejsi od żywych - jest ich czterysta, cztery tysiące lub milion. Nie ma w nich nic, zostały zapieczętowane przed stworzeniem morowego powietrza czy bogactw; gdyby ludzie, nagle zaciekawieni, rozpoczęli tam prace wykopaliskowe, nic, ale to nic, nie udałoby się dodać do ogólnej sumy dobra i zła. Jedna z nich, jak głosi fama, mieści się we wnętrzu ogromnego głazu, który zawisł na szczycie największej z gór; jest to grota w kształcie bańki mydlanej, bez sufitu i podłogi, odzwierciedlająca własną ciemność we wszystkich kierunkach, w nieskończoność. Jeśli głaz spadnie i roztrzaska się, grota roztrzaska się także - pusta jak wielkanocna pisanka. Głaz, ponieważ jest pusty w środku, chwieje się na wietrze, a nawet porusza się, kiedy przysiadzie na nim wrona; stąd jego imię i stąd imię jego ogromnego piedestału: Kawa Dol. *

W pewnym oświetleniu i z odpowiedniej odległości owe wzgórza wyglądają romantycznie i panna Quested, patrząc na nie któregoś dnia wieczorem z górnej werandy klubu, powiedziała do panny Derek, że chętnie by tam pojechała, że doktor Aziz obiecywał u pana Fieldinga coś zorganizować i że Hindusi wydają się ludźmi 0 słabej pamięci. Usłyszał to służący, który podawał im wermut.

Ten służący rozumiał po angielsku. I choć nie był właściwie szpiegiem, miał zawsze uszy otwarte, a Mahmud Ali, chociaż go właściwie nie przekupywał, to jednak zachęcał do odwiedzin

1 pogawędki z własnymi służącymi, i kiedy ów człowiek przyszedł, sam niby przypadkiem zbliżał się do rozmawiających. Wieść, w miarę jak się rozchodziła, nabierała dodatkowej treści emocjonalnej i Aziz usłyszał ze zgrozą, że panie są na niego głęboko obrażone i z dnia na dzień oczekują zaproszenia. Był pewien, że jego beztroska uwaga poszła w niepamięć. Obdarzony dwoma rodzajami pamięci, tymczasową i stałą, cały czas odkładał groty do pierwszej z nich. Obecnie przeniósł je na dobre do drugiej i ruszył sprawę z miejsca. Miała to być imponująca replika przyjęcia w klubie. Zaczął od zapewnienia sobie udziału Fieldinga i starego Godbole'a, a następnie poprosił Fieldinga, żeby porozmawiał z panią Moore i panną Quested, kiedy będą same - w ten sposób da się ominąć Rony'ego, ich oficjalnego opiekuna. Fielding nie był zachwycony tym zleceniem; miał dużo pracy, groty go nudziły, przewidywał trudności i wydatki, ale nie chciał odmawiać, kiedy przyjaciel po raz pierwszy zwrócił się do niego z prośbą o przysługę, i zrobił, czego odeń żądano. Panie przyjęły zaproszenie. Było to trochę niedogodne wobec nawału innych zobowiązań, miały jednak nadzieję, że poradziwszy się wpierw pana

Heaslopa jakoś się z tym uporają. Kiedy zasięgnęły jego rady, Ronny nie zgłosił zastrzeżeń, pod warunkiem, że Fielding przyjmie pełną odpowiedzialność za ich wygody w czasie wycieczki. Piknik nie wzbudzał w nim entuzjazmu, ale też nie wzbudzał go u pań - nikt nie okazywał entuzjazmu, a jednak piknik się odbył.

Aziz bardzo się denerwował. Nie była to długa wyprawa - pociąg odjeżdżał z Czandrapuru przed samym świtem, drugim

122

mogli wrócić jeszcze na lunch - ale on sam był wciąż tylko skromnym pracownikiem i nękała go obawa, że się skompromituje. Musiał poprosić majora Callendara o wolne przedpołudnie, ten zaś odmówił z uwagi na jego niedawną symulację choroby; rozpacz; ponowne zwrócenie się do majora za pośrednictwem Fieldinga i pełna pogarda, niechętna zgoda. Musiał pożyczyć sztucce od Mahmuda Ali, chociaż go nie zapraszał. A dalej sprawa alkoholi; pan Fielding pije, a może i panie, więc czy trzeba przygotować whisky z wodą sodową i porto? Był problem transportu z małej stacyjki w Marabarze do grot. Był problem profesora Godbole'a i jego jedzenia, a także profesora Godbole'a i tego, co inni będą jedli - nie jeden, tylko dwa problemy. Profesor nie przestrzegał zbyt ściśle nakazów hinduizmu - pił herbatę, wodę sodową i jadł słodczyce bez względu na to, kto je przyrządzał, a warzywa i ryż, jeżeli były ugotowane przez bramina; ale nie jadł mięsa ani ciastek, bo mogły być w nich jajka, a także nie pozwalał nikomu jeść wołowiny: płat wołowiny gdzieś daleko na talerzu zniszczyłby jego dobre samopoczucie. Ktoś inny mógł jeść baraninę, mógł jeść szynkę. Ale w sprawie szynki dochodziła do głosu i protestowała religia samego Aziza: nie lubił, kiedy inni jedli szynkę. Piętrzyły się przed nim kłopoty, albowiem rzucił wyzwanie duchowi ziemi indyjskiej, który stara się utrzymać ludzi w oddzielnych przegrodach.

I wreszcie nadszedł ów moment.

Jego przyjaciele uważali, że postępuje bardzo nierozsądnie, utrzymując kontakty z angielskimi paniami, i przestrzegali go, by za wszelką cenę starał się uniknąć niepunktualności. Wobec tego spędził całą noc na stacji. Służący siedzieli zbici w gromadkę na peronie, przykazano im, żeby się nie wałęsali. On sam przechadzał się ze starym Mohammedem Latifem, który miał pełnić funkcje majordomusa. Gnębiła go niepewność, poczucie czegoś nierze-czywistego. Zajechał samochód i Aziz miał

nadzieję, że wysiądzie Fielding i pomoże mu okrzepnąć. Ale z auta wysiadły pani Moore, panna Quested i ich goański służący. Pospieszył je powitać, nagle rozpogodzony.

- A więc jednak panie przyjechały. Jak to ładnie! - zawołał. - To najszcześniejsza chwila w moim życiu.

Panie były uprzejme. Nie była to najszcześniejsza chwila w ich

123

życiu, mimo to oczekiwały, że mile spędzą czas, jak tylko skończą się przykrości związane z tak wczesnym wyjazdem. Nie widziały Aziza od chwili zaaranżowania tej wyprawy, więc teraz podzię-kowały mu w należyty sposób.

- Nie potrzebują panie biletów, proszę zatrzymać służącego. Na bocznej linii do Marabaru nie ma biletów, to taka jej osobliwość. Proszę iść do wagonu i odpocząć, póki nie zjawi się pan Fielding. Czy wiadomo paniom, że jest tu specjalny wagon dla kobiet? Czy to się paniom spodoba?

Odpowiedziały, że bardzo im się spodoba. Nadjechał pociąg i tłumy służących zaroily się na ławkach wagonu niczym małpy. Aziz wypożyczył służących od przyjaciół, a ponadto przyprowadził trzech własnych, wobec czego co chwila wybuchały spory o to, kto jest tu od kogo ważniejszy. Służący pań stał opodal z wyrazem szyderstwa na twarzy. Zaangażowały go w Bombaju, jeszcze kiedy były globtroterkami. W hotelach czy w eleganckim towarzys- twie był znakomity, ale gdy jego panie zaczynały się zadawać z kimś, kogo uważał za coś gorszego, pozostawiał je po prostu ich hańbie.

Noc była jeszcze ciemna, ale nabierała już owego wyglądu tymczasowości, który zwiastuje jej kres. Przycupnięte na dachu wozowni kury zawiadowcy stacji śniły już teraz o kaniach, a nie sowach. Zgaszono lampy, żeby oszczędzić sobie trudu gaszenia ich później; z ciemnych kątów, gdzie skupiali się pasażerowie trzeciej klasy, płynął zapach tytoniu i dochodziły odgłosy splu- wania; obnażano głowy, czyszczono zęby gałązkami drzewa. Jeden z niższych pracowników, głęboko przeświadczony o nie- uchronnym nadejściu jeszcze jednego wschodu słońca, z entuzjaz- mem uderzył w dzwon. To wzburzyło służących. Krzycząc, że pociąg rusza, rozbiegli się na oba jego końce, żeby interweniować. Do wagonu dla kobiet musiało jeszcze wejść niejedno - skrzynia z mosiężnymi okuciami, melon z fezem na czubku, ręcznik, w który zawinięte były owoce gwajawy, drabinka i strzelba. Panie bardzo dobrze dostosowały się do sytuacji. Nie miały przesądów rasowych - pani Moore była za

stara, panna Quested zbyt tu nowa - i traktowały Aziza, jak traktowałyby każdego młodego człowieka, który okazywałby im uprzejmość w czasie wycieczki na wieś. To go głęboko wzruszało. Spodziewał się, że przyjdą

124

z panem Fieldingiem, a tymczasem okazały mu dość zaufania, żeby spędzić z nim kilka chwil sam na sam.

- Proszę odesłać służącego - zaproponował. - Jest niepotrzebny. Wtedy zostaniemy tu wszyscy razem, sami muzułmanie.

- To zresztą taki okropny służący. Antony, możesz wracać.

Nie jesteś nam potrzebny - powiedziała dziewczyna niecierpliwie.

- Pan kazał mi jechać.

- Pani każe ci wracać.

- Pan mówi, bądź przy paniach całe rano.

- Tak, ale twoje panie ciebie nie chcą. - Zwróciła się do gospodarza. - Panie doktorze, proszę się go pozbyć!

- Mohammed Latif! - zawołał Aziz.

Ubogi krewny wymienił fezy z melonem i wyjrzał z okna wagonu, nad którego anarchią sprawował pieczę.

- To mój kuzyn, pan Mohammed Latif. Ach, nie, proszę nie podawać mu ręki. To Hindus starej daty, woli złożyć ukłon.

Proszę, nie mówiłem? Mohammedzie Latif, pięknie się kłaniasz.

Widzą panie, nie zrozumiał. Nie zna angielskiego.

- Ty mówić nieprawda - powiedział starzec łagodnie.

- Ja mówić nieprawda! Fantastyczne! Czy to nie śmieszny staruszek? Będziemy mieć z nim później mnóstwo zabawy. Robi przeróżne sztuczki. Wcale nie jest taki głupi, jak panie myślą,

i strasznie biedny. To szczęście, że nasza rodzina jest duża. -

Objął czarny od brudu kark kuzyna. - Ale proszę wsiąść i rozgościć się. Tak, tak, niech się panie położą. - Słynny orientalny bałagan zdawał się wreszcie opanowany. - Wybaczą mi panie, ale pójdę teraz po naszych dwóch pozostałych gości!

Znowu zaczynał się denerwować, bo do odjazdu zostało już tylko pięć minut. Jednakże Fielding był Anglikiem, a oni nigdy nie spóźniają się na pociąg, Godbole zaś był wyznawcą hinduizmu i jako taki się nie liczył, więc uspokojony logiką tego rozumowania opanował nerwy. Antony dostał łapówkę od Mdzammeda Latifa i przyrzekł nie jechać. Aziz przechadzał się teraz po peronie z Mohammedem Latifem, rozmawiając z nim o sprawach praktycznych. Obaj byli zdania, że przesadzili ze służącymi i że dwóch albo trzech trzeba będzie zostawić na stacji w Marabarze. Aziz uprzedził go, że może zechce spłatać mu jakiegoś figla w grotach - nie przez złośliwość, tylko żeby rozśmieszyć gości.

125

Starzec przytakiwał lekkimi ruchami przechylonej w bok głowy: zawsze był gotów wystawić się na pośmiewisko i przykazał Azi-zowi, żeby go nie oszczędzał. Podniecony własną ważnością zaczął opowiadać nieprzyzwoity dowcip.

- Powiesz mi później, bracie, kiedy będę miał więcej czasu, bo teraz, jak już wyjaśniłem, musimy zatroszczyć się o rozrywkę niemuzułmanów. Troje z nich to Europejczycy, jeden jest hinduistą, o czym nie wolno zapominać. Profesorowi Godbole'owi należy okazać wszelkie względy, żeby nie czuł się gorszy od moich pozostałych gości.

- Będę z nim rozmawiał o filozofii.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Ale służba jest jeszcze ważniejsza. Nie wolno nam zdradzić braku organizacji. Tego da się uniknąć, mam nadzieję, że ty się tym zajmiesz...

Wrzaski z wagonu dla kobiet. Pociąg ruszył.

- Boże miłosierny! - zawołał Mohammed Latif. Rzucił się w stronę pociągu i wskoczył na stopień wagonu. Aziz zrobił to samo. Nie był to wielki wyczyn, bo lokalny pociąg jest nieskory do nadawania sobie pozorów szczególnej ważności.

- Jesteśmy jak małpy, proszę się nie martwić! - śmiał się, uczepiony poręczy. I nagle zawył: - Panie Fielding! Panie Fielding!

Zobaczył Fieldinga i starego Godbole'a, zatrzymanych na prze-jeździe kolejowym. Straszliwa katastrofa! Szlaban opuszczono wcześniej niż zwykle. Wskoczyli ze swojej tongo; gestykulowali, ale co z tego? Tak blisko, a jednak tak daleko! Kiedy pociąg, podskakując, przejeżdżał z wolna przez zwrotnicę, było dość czasu na kilka rozpaczliwych słów.

- Straszne, straszne. Zniszczyliście mnie.

- To pudża* Godbole'a! - krzyknął Anglik.

Bramin spuścił wzrok, zawstydził się swojej religijności. Bo istotnie to było: źle obliczył czas jednej z modlitw.

- Niech pan skacze, muszę pana tu mieć! - wrzasnął Aziz na pół oszalały.

- Dobrze, proszę mi pomóc.

- Niech nie skacze, zabije się - zaprotestowała pani Moore.

Pudża - oddawanie czci Bogu.

126

Tamten skoczył, chybił, nie zdołał chwycić ręki przyjaciela i upadł obok na tory. Pociąg, dudniąc, potoczył się dalej. Fielding podniósł się i wrzeszczał za nimi:

- Nic mi się nie stało, wam się też nic nie stanie, głowa do góry! - i znaleźli się poza zasięgiem jego głosu.

- Pani Moore, panno Quested, nasza wyprawa leży w gruzach. -

Huśtał się na stopniu, niemal we łzach.

- Niech pan wejdzie do środka, niech pan wejdzie. Zabije się pan, tak samo jak pan Fielding. Nie widzę żadnych gruzów.

- Jak to? Ach, proszę mi to wytłumaczyć! - zawołał żalosnym tonem dziecka.

- Jesteśmy teraz wszyscy razem, sami muzułmanie, jak pan przyrzekł.

Nie zrównana jak zawsze, jego droga pani Moore. Cała miłość, jaką czuł do niej w meczecie, wezbrała w nim znowu, tym świeższa, że już zapomniana. Nie było takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobił. Oddałby życie, żeby ją uszczęśliwić.

- Proszę wsiąść, panie doktorze, przyprawia nas pan o zawrót głowy! - zawołała druga pani. - Jak są na tyle niemądrzy, że się spóźniają na pociąg, to ich strata, nie nasza.

- To moja wina. Ja jestem gospodarzem.

- Nonsens, niech pan idzie do swojego wagonu. Będziemy się cudownie bawić bez nich.

Nie tak wspaniała jak pani Moore, ale bardzo szczerą i życzliwą. Cudowne panie, obie cudowne, i przez jeden bezcenny ranek są jego gośćmi. Poczul się osobą ważną i kompetentną. Nieobecność Fieldinga była osobistą stratą, jest przecież przyjacielem, i to coraz droższym, gdyby jednak Fielding pojechał, on sam pozostałby pod kuratelą. „Hindusi nie są zdolni do odpowiedzialnych zadań”, mówili urzędnicy, a niekiedy mówił to Hamidullah. Ale on pokaże tym pesymistom, że nie mają racji. Uśmiechając się, z dumą spojrzął na krajobraz, wciąż jeszcze niewidzialny, chyba tylko jako poruszanie się czegoś ciemnego w ciemności; potem w górę, gdzie rozwleczone po niebie gwiazdy Skorpiona zaczynały już błędnąć. Wreszcie dał nurka przez okno do wagonu drugiej klasy.

- Słuchaj, Mohammed Latif, co właściwie jest w tych grotach, bracie? Dlaczego wszyscy jedziemy je oglądać?

Odpowiedź na to pytanie przekraczała możliwości ubogiego

krewnego. Mógł tylko zapewnić Aziza, że wie to Bóg i okoliczni wieśniacy oraz że ci ostatni chętnie posłużą za przewodników.

Rozdział 14

Życie jest przeważnie tak nudne, że nic o nim nie można powieǳieć, a książki i opowieści, które chciałyby je przedstawić jako interesujące, są zmuszone do przesady, żeby usprawiedliwić własne istnienie. Kryty w kokonie pracy czy obowiązków społecznych duch ludzki zazwyczaj drzemie, rejestrując różnicę między przy-jemnością i bólem, ale bynajmniej nie tak czujny, jak to udajemy. W najbardziej pasjonującym dniu są chwile, kiedy nic się nie dzieje, i chociaż nie przestajemy wykrzykiwać „Świetnie się bawię” czy też „To przerażające”, jesteśmy nieszczerzy. „Jeżeli w ogóle coś odczuwam, jest to zadowolenie, przerażenie” - na-prawdę nie ma tu nic więcej i doskonale przystosowany organizm po prostu by milczał.

Tak się zdarzyło, że pani Moore i panna Quested od dwóch tygodni nie miały żadnych intensywnych przeżyć. Od chwili gdy profesor Godbole odśpiewał swą przedziwną pieśń, każda z nich była mniej lub bardziej wewnątrz własnego kokonu, a różnica między nimi polegała na tym, że starsza pani godziła się z tym swoim otepieniem, podczas gdy młodsza była na nie rozzalona. Adela wierzyła, że cały nurt wydarzeń jest doniosły i interesujący, a jeśli odczuwała znudzenie, obwiniała o to z całą surowością samą siebie i zmuszała swoje usta do entuzjastycznych wypowiedzi. Była to jedyna nieszczerłość w tej skądinąd szczerzej dziew-czynie, a w istocie był to intelektualny protest jej młodości. Teraz dręczyła się szczególnie, bo zarówno przebywała w Indiach, jak i zaręczyła się, a ta podwójna okoliczność powinna uwzniościć każdą chwilę jej życia.

Indie były niewątpliwie szare tego ranka, chociaż oglądała je pod auspicjami Hindusów. Jej pragnienie spełniło się, ale zbyt późno. Nie potrafiła przejąć się Azizem i jego przygotowaniami. Nie była ani trochę nieszczęśliwa czy przygnębiona i te przeróżne dziwne przedmioty i sprawy, które ją otaczały - komiczny wagon

„dla kobiet”, stopy koców i poduszek, toczące się melony, woń słodkich olejków, drabinka, skrzynia z mosiężnymi okuciami, nagle wtargnięcie lokaja Mahmuda Ali, który wyszedł z toalety, niosąc na tacy herbatę i sadzone jajka - były dla niej nowe i

zabawne, skłaniały ją do odpowiednich komentarzy, ale nie zapadały głębiej w jej mózg. Próbowwała więc pocieszyć się myślą, że odtąd głównym przedmiotem jej zainteresowań będzie Ronny.

- Jaki miły, wesoły służący! Co za ulga po Antonym!
- Mnie oni raczej zaskakują. To dziwne miejsce na robienie herbaty - powiedziała pani Moore, która marzyła o drzemce.
- Chcę wymówić Antony'emu. Zdecydowałam po tym jego okropnym zachowaniu się na peronie.

Pani Moore uważała, że lepsze cechy Antony'ego dojdą do głosu w Simli. Panna Quested miała wziąć ślub w Simli; zaprosili ją kuzyni, w których domu okna wychodziły wprost na Tybet.

- W każdym razie musimy mieć drugiego służącego, bo w Simli będzie pani w hotelu, a nie myślę, żeby Baldeo Ronny'ego... - strasznie lubiła robić plany.
- Bardzo dobrze, dla ciebie będzie lepszy inny służący, a ja zatrzymam Antony'ego. Przyzwyczaiałam się do jego szkaradnych manier. Pomoże mi przetrwać porę suchą.
- Nie wierzę w porę suchą. Ludzie w rodzaju majora Callendara, którzy ciągle o niej mówią... chyba po to, żeby się inni czuli przy nich niedoświadczeni i nieważni, tak samo to ich wieczne „jestem w tym kraju od dwudziestu lat”.
- Ja wierzę w porę suchą, ale nigdy nie przypuszczałam, że mnie tu uwięzi. A tak będzie. - Dzięki bowiem swej mądrej powolności Ronny i Adela nie mogli się pobrać przed majem, w związku z czym pani Moore nie mogła wrócić do Anglii natychmiast po ślubie, jak zamierzała. Do maja bariera ognia spadnie na Indie i morze u ich brzegów, ona zaś będzie musiała

czekać wysoko w Himalajach, aż świat się ochłodzi.

- Ja się nie dam uwięzić - oznajmiła dziewczyna. - Złoszczą mnie te tutejsze kobiety, które zostawiają mężów na równinach, żeby się smażyli jak na patelni. Pani McBryde nie została na równinie ani razu od dnia ślubu. Pozwala, żeby jej całkiem inteligentny mąż był sam przez pół roku, a potem się dziwi, że traci z nim kontakt.

129

- Widzisz, ona ma dzieci.

- Tak, to prawda - powiedziała panna Quested speszona.

- Dzieci to najważniejszy wzgląd. Póki nie dorosną i nie założą własnych rodzin. Potem znowu mamy prawo żyć dla siebie - na równinach czy w górach, jak komu wygodnie.

- O tak, ma pani całkowitą słuszość. Nigdy nie przemyślałam tego do końca.

- O ile nie jesteśmy wtedy za głupi i za starzy. - Starsza pani wręczyła pustą filiżankę służącemu.

- Wydaje mi się teraz, że moi kuzyni powinni znaleźć mi służącego w Simli, w każdym razie, żeby mi pomagał w okresie ślubu, bo potem Ronny zamierza przeorganizować cały swój personel. Jak na kawalera daje sobie z tym dobrze radę, ale po ślubie na pewno trzeba będzie wprowadzić różne zmiany. Jego starzy służący nie będą chcieli słuchać moich poleceń, czemu się wcale nie dziwię.

Pani Moore podniosła żaluzję i wyjrzała przez okno. Skojarzyła Ronny'ego i Adele, bo sami sobie tego życzyli, ale doprawdy nie mogła już im dłużej radzić. Odnosiła coraz silniejsze wrażenie (wizja czy koszmar?), że chociaż ludzie się liczą, stosunki między nimi nie są ważne, i że zwłaszcza robi się zbyt wiele hałasu wokół małżeństwa; całe stulecia zbliżeń cielesnych, a przecież człowiek nie jest bliższy zrozumieniu człowieka. Dzisiaj odczuwała to z taką siłą, że samo to doznanie wydało się jakby stosunkiem łączącym ją z ludźmi, jakby osobą, usiłującą ująć ją za rękę.

- Czy widać chociaż trochę wzgórze?
- Tylko różne odcienie ciemności.
- Chyba nie jesteśmy daleko od miejsca, gdzie była moja hiena. - Wpatrzyła się w odwieczny brzask. Pociąg przejeżdżał nad wąwozem. „Pom-per, pom-per, pom-per”, taki dźwięk wydawały koła, tocząc się bardzo wolno po moście. Sto jardów dalej był drugi wąwóz, potem trzeci, co wskazywało na bliskość terenów wyżynnych. - Może ten wąwóz jest mój. W każdym razie szosa biegnie równolegle do torów. - Z wypadku pozostały jej miłe wspomnienia. Na swój chłodny, uczciwy sposób uważała, że wstrząsnął nią i przekonał o prawdziwej wartości Ronny'ego. Potem wróciła do swoich planów; plany były jej pasją od dzieciństwa. Co jakiś czas składała należną daninę terażniejszości, stwier-

130

działa, jak bardzo przyjazny i inteligentny jest Aziz, jadła gwajawę, nie mogła przelknąć smażonych owoców, ćwiczyła swoje urdu na służącym. Ale jej myśli wciąż wybiegały ku dającej się kształtować przyszłości i owemu anglo-indyjskiemu życiu, w którym posta-nowiła wytrwać. I gdy tak dokonywała oceny tego życia, wraz z jego akcesoriami w postaci Turtonów i Burtonów, pociąg akom-paniował jej rozmyślaniami swoim „pom-per, pom-per”, pociąg na pół uśpiony, zmierzający właściwie donikąd i nie wiozący ani jednego znaczniejszego pasażera w żadnym ze swoich wagonów, ot, lokalny pociąg zagubiony na niskim nasypie pośród bezbarw-

nych pól. Jego posłannictwo - bo miał takowe - nie trafiło do sprawnego mózgu dziewczyny. Daleko za nią, z przeraźliwym gwizdem, który świadczył o poważnych zamysłach, pędził pociąg pocztowy, łączący miasta tak znaczne jak Kalkuta i Lahore, gdzie zachodzą ciekawe wydarzenia i można rozwinąć swą osobowość. Rozumiała to. Niestety, Indie mają niewiele znacznych miast. Indie to wieś, pola, pola, potem góry, dżungla, góry i znowu pola. Lokalny pociąg przystaje, szosa jest dostępna dla samochodów tylko do pewnego punktu, wózki zaprzężone w woły turkocą po bocznych drogach, ścieżki rozwidlają się na granicy upraw i znikają obok bryzgu czerwonej farby. Jak można objąć umysłem taki kraj? Próbowali tego pokolenia najeźdźców, ale oni żyją tu jak na wygnaniu. Znaczne miasta, które budują, są jedynie miejscami schronienia, ich spory - złym samopoczuciem ludzi, którzy nie potrafią odnaleźć drogi do ojczyzny. Indie wiedzą o ich troskach, wiedzą o troskach całego świata, znają je do głębi. Wołają: „Pójdźcie” tysiącem swoich ust, poprzez rzeczy śmieszne i do-stojne. Ale pójdźcie do czego? Tego nigdy nie określiły. Nie są obietnicą, są tylko wołaniem.

- Sprowadzę panią z Simli, jak tylko będzie dość chłodno. Po prostu wypuszczę panią z więzienia - mówiła dalej ta solidna dziewczyna. - Potem zobaczymy coś z architektury Mogołów... byłoby okropne, gdyby pani nie obejrzała Tadź Mahal! A później odwiozę panią do Bombaju. Pani ostatnie zetknięcie z tym krajem będzie naprawdę interesujące. - Ale pani Moore zasnęła, wyczer-pana wczesnym wyjazdem. Zdrowie jej nie dopisywało i nie powinna była porywać się na tę wyprawę, ale zmobilizowała się, żeby nie popsuć przyjemności innym. Jej sny były z tej samej

131

materii, ale tym razem chodziło o inne dzieci, o Ralpa i Stellę, które czegoś chciały, a ona tłumaczyła im, że nie może być w dwóch rodzinach jednocześnie. Kiedy się obudziła, Adela skoń-czyła już ze swymi planami i wychyliła się przez okno, mówiąc: -Są naprawdę cudowne.

Zdumiewające nawet z wyżyny dzielnic rządowej, Marabary w tym miejscu przypominały bogów, dla których ziemia jest tylko widmem. Kawa Dol był najbliżej. Wystrzelał w niebo pojedynczą bryłą, na której wierzchołku balansowała jedna skała - o ile tak potężną masę można nazwać jedną skałą. Za nim rozłożyły się wzgórza mieszczące inne groty, wszystkie oddzielone szerokimi pasami równiny. Było ich w sumie dziesięć, przesuwaly się nieco, kiedy pociąg pełzył koło nich, zdawały się obserwować jego przyjazd.

- Za żadne skarby nie wyrzekłabym się takiej okazji - powie-

działa dziewczyna, przesadzając w swoim entuzjazmie. - Proszę popatrzeć, słońce wschodzi - to będzie naprawdę wspaniałe - prędko, niech pani spojrzy. Za nic nie wyrzekłabym się takiej okazji. Nigdy byśmy tego nie zobaczyły, trzymając się Turtonów i ich wiecznych słoń.

Gdy wypowiadała te słowa, niebo po lewej przybrało agresywnie pomarańczową barwę. Kolor pulsował i piał się ku górze za deseniem drzew, zyskiwał na intensywności, był coraz jaskrawszy, niewiarygodnie jaskrawy, przefiltrowany z zewnątrz na tle kuli powietrza. Kobiety oczekiwały cudu. Ale w szczytowym momencie, kiedy noc powinna była umrzeć, a dzień ożyć, nic się nie stało. Zupełnie jakby cnota poniosła porażkę u niebiańskiego źródła. Barwy na wschodzie zbladły, wzgórza zdawały się ciemniejsze, choć w rzeczywistości były jaśniej oświetlone, wraz z porannym wiatrem przyszło gorzkie rozczarowanie. Czemuż to, gdy łożnica jest przygotowana, nie wszedł do niej oblubieniec przy dźwiękach trąb i piszczałek, jak oczekują tego ludzie? Słońce wstało bez cienia splendoru. Widać je teraz było, jak wlecze się żółtawe poza drzewami lub na tle bezbarwnego nieba, dotykając postaci już zajętych pracą na polu.

- Ach, to pewnie jest ten fałszywy świt... spowodowany chyba pyłem w górnych warstwach atmosfery, który nie zdołał opaść przez noc? Zdaje się, że tak mówił pan McBryde. No, ale muszę

132

przyznać, że Anglia ma te same kłopoty ze wschodami słońca. Pamięta pani Grasmere?

- Ach, moje najdroższe Grasmere! - Cała trójka przepadała za jego małymi jeziorkami i górami. Romantyczne, a przecież dośstepne, zrodzone z łagodniejszej planety. Tutaj niechlujna równina rozciągała się aż do podnóży Marabarów.

- Dzień dobry, dzień dobry, proszę włożyć hełmy tropikalne! - zawołał Aziz gdzieś z dalszego wagonu. - Proszę zaraz włożyć

hełmy, wczesne słońce jest bardzo niebezpieczne dla głowy.

Mówię jako lekarz.

- Dzień dobry, dzień dobry, niech pan włoży swój.
- Nie dla mojej twardej głowy - powiedział ze śmiechem, uderzając się po czaszce i demonstrując grubą poduszkę włosów.
- Jaki to miły człowiek - powiedziała cicho Adela.
- Proszę posłuchać - Mohammed Latif mówi teraz „dzień dobry”. - Przyszła kolej na różne płaskie żarciki.
- Panie doktorze, co się stało z pańskimi wzgórzami? Pociąg zapomniał się zatrzymać.
- Może to linia okrężna i pociąg wraca do Czandrapuru bez zatrzymania. Kto wie?

Przewędrowawszy około mili po równinie, pociąg zwolnił i zatrzymał się obok słońca. Był tam również peron, ale skurczył się do zupełnie znikomych rozmiarów. Słoń, który witał poranek, wznosząc do góry swe pomalowane czoło! - Ach, co za niespodzianka! - wykrzyknęły uprzejmie panie. Aziz nie powiedział ani słowa, ale rozsadzała go duma i uczucie ulgi. Słoń był jedynym naprawdę wspaniałym urozmaiceniem wycieczki, a tylko Bóg wiedział, co przeszedł Aziz, żeby go dostać. Zwierzę miało pół-urzędowy charakter i najłatwiej było do niego trafić przez Nawaba Bahadura, do którego najłatwiej było trafić przez Nureddina, tylko że ten nigdy nie odpowiadał na listy, ale jego matka miała na niego wielki wpływ i przyjaźniła się z Hamidullah begam, która była niezwykle dobra i przyrzekła odwiedzić ją pod warunkiem, że zepsuta żaluzja w wagonie dla kobiet powróci niedługo z Kal-kuty. To, że słoń wisiał na tak długim i delikatnym włosku, przepelniało Aziza zadowoleniem i pełnym humorem uznaniem dla Wschodu, gdzie przyjaciele przyjaciół są czymś rzeczywistym, gdzie wszystko się da wreszcie załatwić i prędzej czy później

133

każdy otrzymuje swoją część szczęścia. Zadowolony był też Mohammed Latif, bo dwóch zaproszonych gości spóźniło się na pociąg i dzięki temu mógł jechać na

grzbiecie słońca, zamiast wlec się z tyłu na wózku, a służący byli zadowoleni, bo słoń wzmagał ich szacunek dla samych siebie, więc wyrzucali bagaże na zapyłoną drogę pośród krzyków i hałasów, wydając sobie nawzajem rozkazy i wprost skręcając się z nadmiaru dobrej woli.

- Godzina jazdy w tamtą stronę, godzina z powrotem i dwie godziny na groty... no, powiedzmy trzy - rzekł Aziz, uśmiechając się czarująco. Było w nim nagle coś królewskiego. - Pociąg powrotny mamy o jedenastej trzydzięci, więc zasiądą panie do lunchu w Czandrapurze z panem Heaslopem punktualnie, o zwykłej godzinie, to jest o pierwszej piętnaście. Wiem wszystko o paniach. Cztery godziny - całkiem krótka wyprawa - i dodatkowa godzina na nieszczęśliwe przypadki, które zdarzają się raczej często wśród moich rodaków. Chciałbym planować wszystko bez radzenia się pań. Ale obie panie mogą w każdej chwili wprowadzić takie zmiany, jakich sobie życzą, nawet gdyby to miało oznaczać rezygnację z grot. Zgoda? A więc proszę dosiąść tego dzikiego zwierzęcia.

Słoń klęczał już, szary i samotny jak jeszcze jedno wzgórze. Weszły po drabince, Aziz wspiał się na grzbiet sposobem myśliwskim, stając najpierw na ostrym kancie kopyta, a potem na podwiniętym ogonie. Kiedy Mohammed Latif poszedł w jego ślady, służący, który trzymał koniec ogona, puścił go nagle, jak mu uprzednio rozkazano, i ubogi krewny zsunął się i zawisł uczepiony siatki okrywającej zad zwierzęcia. Był to mały popis dworskiego trefnisa, a to zdenerwowało panie, chociaż miało im dostarczyć rozrywki. Nie lubiły takich niemądrych żartów. Potem zwierzę dźwignęło się dwoma monstrualnymi ruchami i uniosło ich na wysokość dziesięciu stóp nad równiną. Tuż pod nimi była cała mierzwa ziemi, jaką każdy słoń gromadzi zawsze wokół swoich nóg - wieśniacy, nagie dzieci. Służący wrzucali naczynia do dwukołowych wózków. Hussan zaanektował ogiera, którego miał dosiąść Aziz, i z jego wysokości spoglądał wyzywająco na lokaja Mahmuda Ali. Bramin, wynajęty jako kucharz dla profesora Godbole'a, został usadowiony pod akacją, aby oczekiwać tam ich powrotu. Pociąg, również mający nadzieję powrotu, potoczył się

134

chwiejnie wśród pól, przy czym jego przód zwracał się raz w tę, raz w drugą stronę, jak głowa stonogi. A jedynym prócz tego śladem życia widocznym dla oka były poruszenia jakby czułków owadzich, a w rzeczywistości żurawi studzien, które, rozpylając słabiutki strumień wody, wznosiły się i opadały na swych zaślonoonych osiach po całej równinie. W łagodnym powietrzu poranka krajobraz wydawał się nawet dość przyjemny, ale mało w nim było barwy i życia.

Gdy słoń ruszył w kierunku wzgórz (blade słońce powitało je tymczasem, objęło aż do podstawy i narysowało cienie wzdłuż ich załamów), pojawiło się nowe zjawisko, duchowa cisza, która ogarniała bardziej umysł niż słuch. Życie toczyło się normalnie, ale nie miało żadnych następstw, to znaczy dźwięki nie odbijały się echem i nie rodziły się myśli. Wszystko było jakby podcięte u korzeni, a przeto skażone złudzeniem. Na przykład, tuż obok traktu widniały jakieś kopce, niskie, żłobkowane, spryskane wapnem. Czym były te kopce - grobami, piersiami bogini Parwati? Wieśniacy w dole mówili i tak, i tak. Innym razem wybuchło nieporozumienie w związku z węzem, które nigdy nie zostało wyjaśnione. Panna Quested zobaczyła na drugim brzegu strumienia cienki, ciemny kształt, sterczący pionowo ku górze, i powiedziała: -Wąż! - Wieśniacy przytaknęli i Aziz wyjaśnił: tak, to czarna kobra, bardzo jadowita, która wyprostowała się na ogniu, żeby obserwować przemarsz słońca. Ale popatrzysz przez lornetkę polową Ronny'ego dziewczyna stwierdziła, że to nie wąż, tylko uschnięty i pokręcony kikut palmy. A więc powiedziała: - To nie wąż. - Wieśniacy zaprotestowali. Zaszczepiła już to słowo w ich mózgach i nie chcieli zrezygnować. Aziz przyznał, że przez lornetkę wygląda to jak drzewo, ale upierał się przy czarnej kobrze i zaimprovizował jakieś bzdury na temat ochronnej mimikry. Nic nie zostało wyjaśnione, a jednak nie było w tym romantyzmu. Przejrzyste pasma żaru, który promieniował z urwisk Kawa Dol, wzmagaly zamęt. Nadchodziły w nieregularnych odstępach i poruszały się kapryśnie. Kawałek pola podskakiwał nagle, jakby się smażył na patelni, a potem znów leżał spokojnie. Kiedy podeszli bliżej, promieniowanie ustało.

Słoń kroczył prosto na Kawa Dol, jak gdyby chciał zapukać głową we wrota, po czym skręcił i ruszył ścieżką wokół podnóża.

135

Ściany skalne schodziły prosto w ziemię, jak skały nadmorskie w wodę, i kiedy panna Quested wypowiadała na ten temat jakąś uwagę, równina spokojnie zniknęła, odpadła, by tak rzec, niczym łuska i po obu stronach nie było już widać nic prócz granitu, martwego i cichego. Niebo górowało nad wszystkim, jak zawsze, ale zdawało się nieprzyjemnie bliskie, przylegające niby sufit do szczytów urwistych skał. Było tak, jakby wewnątrz korytarza nigdy się nie zmieniało. Przejęty własną szczodrobliwością Aziz nie dostrzegł niczego. Panie dostrzegały to i owo. Miejsce nie wydawało im się zbyt miłe czy szczególnie warte zwiedzania, pragnęły, żeby się nagle przekształciło w jakąś budowlę mahometańską, na przykład meczet, który by ich gospodarz docenił i potrafił objaśnić. Jego ignorancja stała się teraz widoczna, była doprawdy przeszkodą. Aziz był wesoły, pewny siebie i gadatliwy; ale nie miał

pojęcia, jak traktować ten szczególny aspekt Indii; bez profesora Godbole'a zagubił się tu całkowicie, podobnie jak one.

Korytarz zwięził się i następnie rozszerzył, tworząc coś w rodzaju patelni. Tu, z grubsza biorąc, był ich cel. W zniszczonym zbiorniku mieściło się trochę wody, której wystarczy dla zwierząt, a tuż nad warstwą mułu widniała czarna dziura - pierwsza z grot. Patelnię otaczały trzy wzgórza. Dwa z nich niestrudzenie ziały upałem, ale trzecie było w cieniu i tu rozbili obóz.

- Właściwie to okropne, duszne miejsce - mruknęła pod nosem

pani Moore.

- Jacy sprawni są pana służący! - wykrzyknęła panna Quested.

Albowiem obrus już był rozłożony, na środku stał wazon pełen sztucznych kwiatów, a lokaj Mahmuda Ali po raz drugi częstował gości sadzonymi jajkami i herbatą.

- Pomyślałem, że zjemy to, zanim wejdziemy do grot, a później będzie śniadanie.

- Więc to nie jest śniadanie?

- To ma być śniadanie? Czy panie sobie wyobrażają, że mógłbym je tak dziwnie potraktować? - Ostrzegano go, że Anglicy nieustannie jedzą i że powinien im dać coś do przekąszenia co dwie godziny, zanim będzie gotowy solidny posiłek.

- Jak to wszystko świetnie pomyślane.

- Powie mi to pani, kiedy wrócę do Czandrapuru. Niezależnie od tego, jak się skompromituję, panie pozostaną moimi gośćmi. -

136

Mówił to bardzo poważnie. Przez kilka godzin były zdane tylko na niego i czuł dla nich wdzięczność, że się na to zdecydowały. Jak dotąd wszystko szło dobrze; słoń jadł świeżo ściętą gałąź, dyszle tongi sterczały wysoko w powietrzu, kuchcik obierał

karto-fle, Hassan pokrzykiwał, a Mohammed Latif stał, jak powinien, z obdartą z kory witką w ręce. Wyprawa się udała i była autentycznie indyjska; nie znany nikomu młody człowiek mógł okazać grzeczność przybyszom z innego kraju, o czym marzą wszyscy Hindusi - nawet cynicy w rodzaju Mahmuda Ali - ale do czego nigdy nie mają okazji. Gościnność stała się faktem, panie były „jego” gośćmi; od ich zadowolenia zależał jego honor, a wszelka przykrość, na jaką byłyby narażone, zraniłaby jego duszę.

Jak większość ludzi Wschodu, Aziz przeceniał gościnność, biorąc ją mylnie za zażyłość i nie dostrzegając, że jest ona skażona poczuciem posiadania. Tylko kiedy znajdowała się przy nim pani Moore albo Fielding, patrzył głębiej i rozumiał, że większym szczęściem jest otrzymywać, niż dawać. Kochał ich nawet bardziej niż Hamidullahów, bo żeby ich poznać, musiał przewycięzać przeszkody, a to jest zawsze bodźcem dla szlachetnego umysłu. Ich wizerunki pozostaną gdzieś w jego duszy aż do śmierci, wzbogacą ją na zawsze. Przypatrywał jej się teraz, siedzącej na leżaku i popijającej jego herbatę, i przez chwilę odczuwał radość, która zawierała w sobie ziarno własnego rozkładu, bo miała mu nasunąć myśl: „Och, co jeszcze mógłbym dla niej uczynić?”, i w ten sposób doprowadzić znowu do nudnego opisu gościnności. Czarne paciorki jego oczu zajaśniały delikatnym, pełnym wyrazu światłem i rzekł:

- Czy wspomina pani czasem nasz meczet, pani Moore?
- Tak, tak - odparła, nagle pełna życia i młoda.
- I jak byłem wtedy szorstki i niegrzeczny, a pani taka dobra.
- I jacy byliśmy oboje szczęśliwi.
- Myślę, że przyjaźń, która zaczyna się w taki sposób, trwa najdłużej. Czy kiedykolwiek będę gościł pani inne dzieci?
- Wie pan o innych dzieciach? Ze mną pani Moore nigdy nie chce o nich mówić - powiedziała panna Quested, niechcący niewzruszając całego czar.
- Ralph i Stella, tak, wiem o nich wszystko. Ale nie zapominajmy o naszych grotach. Spełniło się jedno z marzeń mojego życia,

bo obie panie są tu moimi gośćmi. Nie wyobrażają sobie panie, jaki to dla mnie zaszczyt. Czuję się jak cesarz Babur.

- Dlaczego jak Babur? - zapytała pani Moore, wstając.

- Bo moi przodkowie przybyli tu z nim z Afganistanu. Przyłączyli się do niego w Heracie. On też miał często tylko jednego słonia, a czasem nie miał ani jednego, ale nigdy nie zapominał o nakazach gościnności. Kiedy walczył czy polował, czy uciekał, zatrzymywał się na jakiś czas wśród wzgórz, tak jak my. Nigdy nie wyrzekał się gościnności czy przyjemnych wrażeń, a jak było mało jedzenia, zawsze kazał przyrządzać je pięknie, a jak miał tylko jeden instrument, wydobywał z niego piękną melodię. Stawiam go sobie za wzór. To ubogi szlachcic, który został wielkim królem.

- Myślałam, że pana ulubionym cesarzem jest ktoś inny... nie pamiętam imienia... wspominał pan o nim u pana Fieldinga.

W mojej książce nazywa się Aurangzeb.

- Alamgir? Ach tak, on był aktualnie pobożniejszy. Ale Babur - Babur nigdy w życiu nie zdradził przyjaciela, więc dzisiaj mogę myśleć tylko o nim. Wiedzą panie, jak umarł? Poświęcił życie dla syna. To o wiele trudniejsza śmierć niż na polu bitwy. Zaskoczyły ich upały. Powinni byli wrócić do Kabulu na okres złej pogody, ale przeszkodziły im sprawy państwowe i Humajun zachorował. Babur obszedł łożę trzykrotnie i rzekł: „Uniosłem ją ze sobą”, i rzeczywiście unióś chorobę ze sobą: gorączka opuściła syna, ale przeszła na niego i umarł. Dlatego wolę Ba-

bura od Alamgira. Nie powinienem, a przecież wolę. Jednakże nie chciałbym pań zatrzymywać. Widzę, że są panie gotowe do drogi.

- Wcale nam się nie śpieszy - powiedziała Adela, siadając ponownie obok pani Moore. - Bardzo lubimy takie rozmowy. - Bo wreszcie mówił o czymś, co znał i czuł, mówił tak, jak w willi Fieldinga; znowu był owym przewodnikiem po Wschodzie, którego tak cenili.

- Zawsze się cieszę, jak mogę rozmawiać o Mogołach. To moja największa przyjemność. Widzicie, panie, każdy z tych pierwszych sześciu cesarzy był wspaniałym człowiekiem i jak tylko ktoś wspomni jednego z nich, obojętne którego, zapominam natychmiast o wszystkim z wyjątkiem pozostałych pięciu. W zad-

138

nym kraju świata nie znalazłoby się sześciu takich królów, to znaczy sześciu następujących po sobie, syn po ojcu.

- Proszę nam coś powiedzieć o Akbarze.

- Ach, słyszały panie o Akbarze. Chętnie. Hamidullah, którego panie poznają, powie, że Akbar jest największy z nich wszystkich. Ja na to: „Owszem, Akbar jest wspaniały, ale to półhinduista. Nie był prawdziwym muzułmaninem”, a wtedy Hamidullah krzyczy: „Babur też nie był, pijał wino!”. Ale Babur zawsze potem odczuwał skruchę, to ogromna różnica, natomiast Akbar nigdy nie okazywał skruchy z powodu nowej religii, którą wymyślił zamiast Koranu.

- Ale czy religia Akbara nie była bardzo piękna? Miała ogarnąć

całe Indie.

- Panno Quested, piękna, ale głupia. Niech pani zachowa swoją religię, a ja swoją. Tak jest najlepiej. Nic nie ogarnie całych Indii... nic, nic, i na tym polegała pomyłka Akbara.

- Ach, naprawdę pan tak uważa, panie doktorze? - powiedziała z namysłem. - Mam nadzieję, że pan nie ma racji. Będzie musiało powstać coś uniwersalnego w tym kraju - nie mówię, że religia, bo nie jestem religijna, ale jednak coś, bo inaczej jak da się obalić bariery?

Właściwie zalecała tylko owo powszechne braterstwo, o którym sam niekiedy marzył, ale z chwilą gdy zaczynano mówić o nim prozą, wszystko brzmiało fałszywie.

- Proszę wziąć choćby mój przypadek - mówiła dalej, bo to właśnie jej przypadek tak ją ożywił. - Nie wiem, czy pan już słyszał, ale mam wyjść za mąż za pana Heaslopa.

- Najserdeczniejsze gratulacje.

- Pani Moore, czy mogę wspomnieć doktorowi Azizowi o naszych trudnościach... Mam na myśli sprawę Anglo-Indii.

- To są wasze trudności, moja droga, nie moje.

- To prawda. Otóż poślubiając pana Heaslopa, stanę się tak zwaną Anglo-Hinduską.

Podniósł rękę na znak protestu.

- Niemożliwe. Niech pani cofnie te straszne słowa.

- Ależ tak, to nieuchronne. Nie uda mi się uniknąć tej etykiety.

Jednego natomiast mam nadzieję uniknąć: ich mentalności. Takie kobiety jak... - Przerwała, nie bardzo miała ochotę wymieniać

nazwiska; jeszcze przed dwoma tygodniami powiedziałyby śmiało

139

„pani Turton i pani Callendar”. - Niektóre kobiety są tak... och, tak małoduszne, snobistyczne wobec Hindusów, a ja umarłabym ze wstydu, gdybym się miała do nich upodobnić, ale - i na tym polega moja trudność - nie ma we mnie nic szczególnego, nic specjalnie dobrego, żadnej niezwykłej siły, która by mi pomogła oprzeć się otoczeniu i uniknąć upodobnienia się do tych kobiet. Mam bardzo przykre wady. Dlatego właśnie potrzebna mi jest „uniwersalna religia” Akbara albo jakiś jej odpowiednik, żebym mogła pozostać uczciwa i rozsądna. Czy rozumie pan, o co mi chodzi?

Jej słowa sprawiały mu przyjemność, ale jego umysł zamknął się przed nią szczelnie, bo wspomniała o swoim małżeństwie. Nie zamierzał mieszać się do tego rodzaju spraw.

- Na pewno będzie pani szczęśliwa, wchodząc do rodziny pani

Moore - powiedział ze sztywnym ukłonem.

- Och, moje szczęście to zupełnie inny problem. Chcę pana rady w sprawie tych trudności z Anglo-Indiami. Czy może mi pan coś doradzić?

- Jest pani absolutnie inna, zapewniam panią. Nie będzie pani nigdy niegrzeczna dla moich rodaków.

- Mówią mi, że wszyscy stajemy się niegrzeczni po roku.

- To kłamia! - wybuchnął, bo powiedziała prawdę, która do-
tknęła go do żywego; w tych szczególnych okolicznościach już to samo było obelgą. Opanował się natychmiast i roześmiał, ale jej nietakt przerwał rozmowę - a była to niemal sprawa ich cywilizacji - która rozsypała się niczym płatki pustynnego kwiatu, pozostawiając ich zagubionych wśród wzgórz. - Chodźmy - po-
wiedział, wyciągając do nich obu ręce. Wstały, z pewnym ocią-

ganiem, i przystąpiły do zwiedzania grot.

Pierwsza grotka była względnie wygodna. Obeszli kałużę wody, a potem wspinali się po niezbyt efektywnych gładkich, wystawiając plecy na palące promienie słońca. Z pochylonymi głowami zniknęli, jedno po drugim, we wnętrzu wzgórz. Tam, gdzie przez chwilę poruszały się ich różnorodne kształty i kolory, ziała niewielka czarna dziura. Zostali przez nią wessani jak woda do ścieku. Gładkie i nagie wznosiły się urwiska; masywna i biała indyjska kania trzepotała się między skałami z jakby zamierzoną niezdarnością. Zanim narodził się człowiek ze swoją tęsknotą do piękna,

140

planeta musiała tak wyglądać. Kania odleciała... Może przed ptakami... A potem dziura czknęła i powrócili ludzie.

Grotka Marabarska okazała się dla pani Moore czymś okropnym; starsza pani o mało nie zemdliała i niewiele brakowało, a przyznałaby się do tego, kiedy znowu wyszli na powietrze. Było to nawet zrozumiałe: zawsze miała skłonności do omdleń, a w grocie zrobiło się duszno, bo weszła tam za nimi cała świta. Zatłoczona wieśniakami i służącymi kolista komnata zaczęła cuchnąć. W ciemnościach pani Moore zgubiła Aziza i Adelę, nie wiedziała, kto jej dotyka, nie mogła oddychać i coś ohydnie nagiego uderzyło ją w twarz i osiadło na ustach jak tampon. Usiłowała wrócić do tunelu wejściowego, nagle napór wchodzących wieśniaków odpchnął ją. Uderzyła się w głowę. Przez chwilę była jak szalona, dyszała i miotła się obłąkańczo. Trwożył ją nie tylko tłok i smród; było jeszcze przerażające echo.

Profesor Godbole ani razu nie wspomniał o echu; być może nie robiło na nim wrażenia. W Indiach są różne cudowne echa; jest szept pod kopułą w Bidżapurze; w Mandu są długie, pełne zdania, które unoszą się w powietrzu i wracają nienaruszone do swego twórcy. Echo w grotach Marabaru nie przypomina tamtych, nie jest zróżnicowane. Na wszystko, co się mówi, odpowiada ten sam monotony dźwięk, który drga wśród ścian, dopóki nie wchłonie go sklepienie. Ów dźwięk brzmi jak „dum”, o ile w ogóle można go wyrazić ludzkim alfabetem, czy też „bu-um” lub „u-bum” -zupełnie nijako. Nadzieja, uprzejmość, wytarcie nosa, skrzypnięcie buta, wszystko wywołuje „bum”. Nawet zapalenie zapalniczki puszcza w ruch małego wijącego się robaczka, zbyt małego, by zatoczyć krąg, lecz nieustannie czujnego. A kiedy kilka osób mówi jednocześnie, zaczyna się wielogłose wycie, echa rodzą echa, grotę wypełnia wąż złożony z małych węży, wijących się każdy z osobna.

Po pani Moore wynurzyli się wszyscy inni. To ona dała sygnał do odpływu. Aziz i

Adela pojawili się uśmiechnięci, więc żeby przypadkiem nie przyszło mu do głowy, że jego piknik się nie udał, ona też się uśmiechnęła. W miarę jak wyłaniały się poszczególne osoby, szukała wśród nich łotra, ale nie było tam łotra i nagle zorientowała się, że cały czas przebywa wśród najłagodniejszych istot i że owym nagim tamponem było biedne malutkie

141

dziecko, siedzące okrakiem na biodrze swojej matki. W grocie nie czaiło się żadne zło, ale ona nie czuła się tam dobrze; nie, nie czuła się tam dobrze i postanowiła nie zwiedzać następnej groty.

- Widziała pani odblask jego zapalki... ładne, prawda? - spytała

Adela.

- Nie pamiętam...

- Ale on mówi, że to nie jest dobra grota, najlepsze są w Kawa Dol.

- Chyba tam nie pójde. Nie lubię się wspinać.

- Świetnie, posiedzimy sobie w cieniu, dopóki nie przygotują śniadania.

- Ale to będzie dla niego taki zawód, zadał sobie tyle trudu.

Ty powinnaś pójść, tobie to nie zaszkodzi.

- Może powinnam - odparła dziewczyna, której było obojętne, co robi, ale chciała być uprzejma.

Służący i cała reszta wlekli się z wolna z powrotem do obozu, poganiani surowymi upomnieniami Mohammeda Latifa. Aziz przyszedł, żeby pomóc gościom w drodze przez skały. Był u szczytu swoich możliwości, energiczny i pokorny, zbyt pewny siebie, żeby go mogły dotknąć słowa krytyki, toteż szczerze się ucieszył, słysząc, że panie zmieniają jego plany.

- Ależ naturalnie, panno Quested, pójdziemy we dwoje i zostawimy panią Moore tutaj, i to nie potrwa długo, chociaż nie

będziemy się śpieszyli, ponieważ wiemy, że wcale by sobie tego nie życzyła - powiedział radośnie.

- Zupełnie słusznie. Przepraszam, że nie idę z wami, ale kiepski ze mnie piechur.

- Droga pani, skoro są panie moimi gośćmi, nic poza tym nie ma znaczenia. Jestem bardzo zadowolony, że pani nie idzie, co brzmi dziwnie, ale w ten sposób traktuje mnie pani naprawdę szczerze, jak przyjaciel.

- Tak, jestem pana przyjacielem - powiedziała, dotykając jego rękawa i myśląc, mimo znużenia, jak czarujący, jak bardzo dobry to człowiek i jak bardzo ona pragnie, żeby zaznał szczęścia. -

Czy wobec tego mogę coś zaproponować? Niech pan nie pozwoli, żeby poszło z wami tyle osób. Myślę, że tak będzie lepiej.

- Słusznie, słusznie! - wykrzyknął i wpadając z jednej skraj-

142

nika, towarzyszyć panie Quested i sobie w drodze na Kawa Dol. - Czy tak dobrze? - zapytał.

- Świetnie, a teraz bawcie się wesoło. Po powrocie dokładnie mi wszystko opowiecie.
- I zatonąła w swoim leżaku.

Jeżeli dotrą do dużego skupiska grot, nie będzie ich prawie godzinę. Wyjęła blok listowy i zaczęła: „Kochana Stello, kochany Ralphie”, po czym przerwała i popatrzyła na dziwną dolinę i na tych, którzy wdarli się do niej w tak nic nie znaczący sposób. Nawet słoń stał się niczym. Przeniosła z niego wzrok na tunel wejściowy. Nie, nie pragnie powtórzyć tego doświadczenia. Im dłużej o nim myślała, tym stawało się przykrzejsze i bardziej przerażające. Dręczyło ją teraz znacznie bardziej niż wtedy, kiedy je przeżywała. O tłoku i zaduchu mogła zapomnieć, ale echo zaczynało w jakiś nieokreślony sposób osłabiać jej więź z życiem. Odezwawszy

się w chwili, kiedy odczuwała szczególne znużenie, zdołało wyszeptać: „Patos, pobożność, odwaga - one istnieją, ale są tożsame i takie jest plugastwo. Wszystko istnieje, nic nie ma wartości”. Czy ktoś mówiłby rzeczy ohydne, czy też recytował wzniosłą poezję, komentarz brzmiałby tak samo - „bum”. Czy ktoś mówiłby językami aniołów i modlił się za wszystkie niedole i omyłki na świecie, dawne, obecne i przyszłe, za wszelkie cierpienia, jakie ludzie muszą znosić bez względu na swoje opinie, swój stan, a także swoje wykrety i kłamstwa - równałoby się to temu samemu, wąż zsunąłby się po ścianie skalnej i wrócił na pułap. Diabły pochodzą z Północy. Można o nich pisać poematy, ale nikt nie zdoła uromantyczyć skał marabarskich, gdyż ograbiły one nieskończoność i wieczność z ich bezmiaru, jedynej cechy, która je godzi z ludzkością.

Próbowała pisać dalej swój list, mówiąc sobie, że jest tylko starszą kobietą, która wstała za wcześnie i odbyła zbyt daleką podróż, że rozpacz, która nią owładnęła, jest tylko jej rozpaczą, osobistą słabością i że nawet jeśli dostanie porażenia słonecznego i zwariuje, reszta świata żyć będzie dalej. Lecz nagle, gdzieś w zakątku jej mózgu, pojawiła się religia, biedne, malutkie, gadatliwe chrześcijaństwo, i starsza pani zrozumiała, że wszystkie jego boskie słowa, od „Niech stanie się światło” do „I stało się”, znaczą tyle co jedno „bum”. Wtedy jej przerażenie ogarnęło obszary większe niż dotąd; wszechświat, którego nigdy nie mogła objąć

143

umysłem, nie dawał wypoczynku duszy, nastrój ostatnich dwóch miesięcy przybrał wreszcie określony kształt i zdała sobie sprawę, że nie chce pisać do dzieci, nie chce komunikować się z nikim, nawet z Bogiem. Znieruchomiała z trwogi, a kiedy podszedł do niej stary Mohammed Latif, wydawało jej się, że zauważy w niej zmianę. Pomyślała: „Będę chora”, żeby się pocieszyć, i w końcu poddała się swojej wizji. Nic jej już nie interesowało, nawet Aziz, i mogło się zdawać, że ciepłe i szczere słowa, które do niego skierowała, nie pochodziły od niej, tylko z powietrza.

Rozdział 15

Panna Quested i Aziz w towarzystwie przewodnika kontynuowali tę nieco nudną ekspedycję. Nie rozmawiali prawie ze sobą, bo słońce stało już wysoko. Powietrze przypominało ciepłą kąpiel w wannie, do której nieustannie ciurka coraz gorętsza woda, temperatura wciąż wzrastała, głazy mówiły: „Jesteśmy żywe”, mniejsze kamienie odpowiadały: „Jesteśmy prawie żywe”. W szczelinach leżały popioły małych roślinek. Zamierzali wspiąć się aż do chybotliwego głazu na szczycie, ale było to za daleko, więc zadowolili się dużą grupą jaskiń. Po drodze napotkali kilka

osobnych grot i przewodnik namówił ich, żeby je zwiedzili, chociaż naprawdę nie było tam nic do oglądania; zapalili zapałkę, podziwiali jej odblask na gładziźnie, wypróbowali echo i wyszli na zewnątrz. Aziz „był przekonany, że lada chwila trafią na jakieś ciekawe stare rzeźby”, ale należało przez to rozumieć, że chętnie by tam ujrzał jakieś rzeźby. Jego myśli krążyły wokół śniadania. Kiedy wychodzili z obozowiska, dostrzegł pewne objawy dezorganizacji. Przebiegł w pamięci menu: śniadanie angielskie, owśianka i kotlety baranie, ale także dania indyjskie dla pobudzenia rozmowy, i potem betel. Panna Quested nigdy nie podobała mu się tak bardzo, jak pani Moore, i miał jej niewiele do powiedzenia, a już najmniej teraz, kiedy miała poślubić brytyjskiego urzędnika. Równie mało do powiedzenia miała mu Adela. Jeśli jego myśli koncentrowały się na śniadaniu, ona myślała głównie o małżeństwie. W przyszłym tygodniu wyjazd do Simli, pozbycie się

144

Antony'ego, widok na Tybet, męczące dzwony weselne, w październiku Agra, dopilnować, żeby pani Moore spokojnie odpłynęła z Bombaju - cały korowód spraw o konturach zamglonych przez upał znowu się przed nią przesunął, po czym zwróciła myśli ku sprawie poważniejszej, sprawie swojego życia w Czandrapurze. Tak, były tu istotne trudności - wady Ronny'ego, a także jej własne - ale bardzo lubiła stawiać czoło trudnościom i doszła do przekonania, że jeśli zdoła opanować swoją drażliwość (jej stały słaby punkt) i nie będzie drwiła z Anglo-Indii ani im się nie podda, ich małżeństwo powinno być szczęśliwe i korzystne dla obu stron. Nie wolno jej zbyt wiele teoretyzować; będzie rozwiązywała poszczególne problemy, w miarę jak się będą wyłaniać, i zaufa zdrowemu rozsądkowi Ronny'ego i swojemu własnemu. Na szczęście każde z nich miało mnóstwo zdrowego rozsądku i dobrej woli. Ale pokonując jakąś skałkę, która przypominała odwrócony do góry dnem talerz, pomyślała: „A miłość?” Skałkę złościł podwójny rząd stopni i one właśnie nasunęły jej to pytanie. Gdzie widziała już takie stopnie? Ach tak, podobny wzór pozostawiły w pyle drogi koła samochodu Nawaba Bahadura. Ona i Ronny... nie, oni się nie kochają.

- Czy idziemy za szybko? - zapytał Aziz, bo Adela zatrzymała się z wyrazem powątpiewania na twarzy. To odkrycie przyszło tak nagle, że poczuła się jak alpinista, któremu pękła lina. Nie kochać mężczyzny, którego ma się poślubić! I odkryć to dopiero w tym momencie! Bardziej zirytowana niż przygnębiona, stała

bez ruchu z oczami utkwionymi w iskrzącą się skałę. Był wzajemny szacunek i zwierzęcy kontakt o zmierzchu, ale zabrakło uczucia, które jest łączącym ogniwem. Czy powinna zerwać zaręczyny? Była skłonna sądzić, że nie - przysporzyłoby to zbyt wielu kłopotów innym; zresztą nie miała pewności, czy miłość jest nieodzowna dla udanego związku. Gdyby miłość była wszystkim, niewiele małżeństw przetrwałoby miodowy miesiąc.

- Nie, dziękuję, czuję się świetnie - odparła i opanowawszy wzruszenie podjęła wspinaczkę, choć czuła się rozbita. Aziz trzymał ją za rękę, przewodnik czepiał się ściany niczym jaszczurka i biegał po skałach, jakby rządził nim własny środek ciężkości.

- Czy pan jest żonaty, doktorze? - spytała, zatrzymując się znów i marszcząc brwi.

145

- Ale tak, proszę odwiedzić moją żonę... - Bo wydawało mu się, że będzie wytworniej, jeśli przywoła swą małżonkę na chwilę do życia.

- Dziękuję - powiedziała w roztargnieniu.

- Nie ma jej teraz w Czandrapurze.

- A ma pan dzieci?

- Ależ tak, troje - odrzekł pewniejszym głosem.

- Czy sprawiają panu doży radości?

- Ach, oczywiście, uwielbiam je - roześmiał się.

- Tak przypuszczałam. - Jaki przystojny ten mały Azjata,

niewątpliwie jego żona i dzieci też są piękne, bo ludzie zwykle otrzymują to, co już posiadają. Jej podziw pozbawiony był osobistego ciepła, bo nie miała w sobie nic z poszukiwaczki przygód, ale domyślała się, że Aziz może być pociągający dla kobiet swojej rasy i pozycji, i żałowała, że ani ona, ani Ronny nie mają fizycznego wdzięku. To się jednak liczy w stosunkach między ludźmi - uroda, gęste włosy, delikatna skóra. Prawdopodobnie ten człowiek ma kilka żon - muzułmanie zawsze upierają się przy pełnej czwórce, jak twierdziła pani Turton. I nie mając nikogo innego do rozmowy na tej odwiecznej skale, dała się ponieść myślom o małżeństwie i spytała w swój szczerzy, uczciwy sposób: - Ma pan jedną żonę czy więcej?

Młody człowiek był wstrząśnięty tym pytaniem. Godziło ono w nowe wierzenia jego społeczności, a nowe wierzenia są delikatniejsze od starych. Gdyby spytała: „Czy pan jednego Boga czy kilku?”, nie miałby nic przeciwko temu. Ale pytać wykształconego mahometanina w Indiach, ile ma żon - to przerażające, ohydne! Nie wiedział, jak ukryć zmieszanie.

- Jedną, jedną, jeżeli chodzi konkretnie o mnie - wybełkotał i puścił jej dłoń. Na końcu ścieżki było sporo grot, więc pochylił się i powiedział: „Niech diabli wezmą Anglików, nawet tych najlepszych”, dał nurka w jedną z nich, żeby odzyskać równowagę. Adela szła dalej bez pośpiechu, najzupełniej nieświadoma, że powiedziała coś niewłaściwego, a ponieważ go nie widziała, również weszła do jakiejś groty, jedną połową mózgu myśląc: „Zwiedzanie mnie nudzi”, a drugą zastanawiając się nad swoim małżeństwem.

Rozdział 16

Przeczekał chwilę w grocie i zapalił papierosa, żeby móc rzucić od niechcenia, kiedy się znowu spotkają: „Skoczyłem tam, bo chciałem uniknąć przewiewu”, czy coś w tym sensie. Kiedy wrócił, zastał przewodnika samego, z głową przekrzywioną na bok. Powiedział, że słyszy jakiś hałas, a po chwili Aziz też usłyszał: warkot samochodu. Byli teraz na zewnętrznej krawędzi Kawa Dol i po przebyciu z trudem jeszcze dwudziestu jardów ujrzeli skrawek równiny. Szosą czandrapurską zmierzał w stronę gór samochód. Ale nie mogli mu się dobrze przyjrzeć, bo urwisty bastion wybrzuszał się na samym szczycie w taki sposób, że trudno było dostrzec jego podstawę, i samochód zniknął, kiedy był już zupełnie blisko. Na pewno zatrzyma się dokładnie pod nimi, tam gdzie prawdziwa szosa wyradzała się w nędzną ścieżkę i gdzie słoń skręcił, żeby wsunąć się między wzgórza.

Aziz pośpieszył z powrotem, bo chciał zakomunikować tę dziwną nowinę swojemu gościowi.

Przewodnik wyjaśnił, że pani weszła do groty.

- Do której?

Nieokreślony gest w kierunku skupiska jaskiń.

- Nie należało tracić jej z oczu, to był twój obowiązek -

powiedział Aziz surowo. - Tu jest co najmniej dwanaście grot.

Skąd mam wiedzieć, w której znajduje się mój gość? A w której grocie ja byłem?

Ten sam nieokreślony gest. A kiedy Aziz spojrział raz jeszcze, nie był nawet pewien, czy wrócił do tej samej grupy jaskiń. Groty widniały wszędzie, we wszystkich kierunkach - wydawało się, że tu właśnie zaczęły się niegdyś rozmnażać - a otwory były zawsze tej samej wielkości. Pomyślał: „Mój Boże, panna Quested za-błądziła”, ale opanował się i spokojnie rozpoczął poszukiwania.

- Krzycz! - rozkazał przewodnikowi.

Pokrzykiwali przez jakiś czas, aż wreszcie przewodnik wy-tłumaczył, że nie ma sensu krzyczeć, bo Groty Marabarskie słyszą tylko swoje własne dźwięki. Aziz otarł czoło, pot zaczął mu spływać po ciele. To miejsce mogło przyprawić o zawrót głowy: ni to taras, ni to płyta schodząca w dół zygzakiem, na domiar

złego było zryte rowkami, które prowadziły w różne strony, jak ślady węża. Próbował iść kolejno każdym z nich, ani razu nie mógł spamiętać, z którego miejsca wyruszył. Groty wyrastały jedna za drugą albo łączyły się parami, a niektóre leżały u wejścia do wąwozu.

- Chodź tu! - zawołał łagodnie, a kiedy przewodnik znalazł się w zasięgu jego ręki, uderzył go za karę w twarz. Mężczyzna uciekł i Aziz został sam. Pomyślał: „To koniec mojej kariery, mój gość się zgubił”. I wtedy wpadł na najprostsze i rozsądne wyjaśnienie tej tajemnicy.

Panna Qusted wcale nie zablądziła. Poszła do pasażerów samo-chodu - to na pewno jej znajomi, może pan Heaslop. Dostrzegł ją nagle w przelocie, gdzieś daleko w dole wąwozu - tylko w przełocie, ale widział ją całkiem wyraźnie w obramowaniu skał, rozmawiającą z jakąś panią. Poczul tak wielką ulgę, że postępowanie dziewczyny nie wydało mu się dziwaczne. Przyzwyczajony do nagłej zmiany planów przypuszczał, że zbiegła z Kawa Dol pod wpływem impulsu, w nadziei na małą przejażdżkę. Ruszył samotnie w stronę obozowiska i prawie natychmiast zobaczył coś, co jeszcze przed chwilą bardzo by go zaniepokoiło: lornetkę panny Qusted. Leżała na skraju jednej z grot, w połowie tunelu wejściowego. Próbował przewiesić ją przez ramię, ale pasek był zerwany, więc wsadził lornetkę do kieszeni. Zrobił kilka kroków, kiedy przyszło mu na myśl, że może panna Qusted jeszcze coś zgubiła, i wobec tego zawrócił, żeby sprawdzić. Ale wtedy pojawiła się ta sama trudność: nie mógł rozpoznać groty. Z równiny dobiegł go warkot zapuszczanego silnika, ale tym razem nie dostrzegł samochodu. Zaczął więc schodzić opadającym ku dolinie zboczem wzgórza, w stronę pani Moore - i tu miał więcej szczęścia, bo wkrótce wynurzył się przed nim, barwny i pełen zamętu, jego mały obóz, a w nim ujrzał angielski hełm tropikalny, pod którym - o radości! - uśmiechał się nie Heaslop, tylko Fielding.

- Fielding! Ach, tak mi ciebie brakowało! - zawołał, po raz pierwszy opuszczając słowo „pan”.

A jego przyjaciel pośpieszył mu na spotkanie, tak miły i wesoły, bez śladu wyniosłości, i tłumaczył się, i przepraszał za spóźnienie na pociąg. Fielding

przyjechał tym samochodem - samochodem panny Derek - ta druga pani to była panna Derek. Ogólna pap-

148

lanina, służący przerwali gotowanie, żeby też posłuchać. Wspaniała ta panna Derek. Spotkała Fieldinga przypadkiem na poczcie, spytała: „Dlaczego nie pojechał pan do Marabaru?“, a usłyszawszy, że spóźnił się na pociąg, zaproponowała, że zaraz go tam zawiezie. Jeszcze jedna przemiła Angielka. A gdzie ona jest? Została z szo-ferem, a Fielding tymczasem odszukał obóz. Samochód nie mógł wjechać na górę - ach, nie, oczywiście, że nie - setki ludzi musiały zejść na dół, żeby towarzyszyć pannie Derek i wskazać jej drogę. Słoń we własnej osobie...

- Aziz, dostanę coś do picia?
- Mowy nie ma. - I poleciał po trunek.
- Panie Fielding! - zawołała pani Moore ze swego miejsca w cieniu. Nie zamienili jeszcze ani słowa, bo jego przybycie zbiegło się z nawałnicą, która spłynęła ze wzgórza.
- Dzień dobry po raz drugi! - krzyknął Fielding, czując ulgę, że zastał wszystko w porządku.
- Panie Fielding, czy widział pan pannę Quested?
- Przecież w tej chwili przyjechałem. Gdzie ona jest?
- Nie wiem.
- Aziz! Gdzieś schował pannę Quested?

Aziz, który wracał ze szklanką w ręce, musiał chwilę pomyśleć. Serce miał znów pełne szczęścia. Po kilku niemiłych zgrzytach piknik przekształcił się w coś, co przeszło jego najśmielsze marzenia, bo Fielding nie tylko sam się zjawił, ale przywiózł niespodziewanego gościa. - Och, wszystko w porządku - powiedział. - Zeszła na dół do panny Derek. No, nasze zdrowie! Czin-czin!

- Nasze zdrowie, ale nie czin-czin - zaśmiał się Fielding, który nie znosił tego powiedzenia. - Zdrowie Indii!

- Nasze zdrowie i za pomyślność Anglii!

Szofer panny Derek zatrzymał kawalkadę, która wyruszyła, żeby przyprowadzić jego panią, i oświadczył, że odjechała z drugą młodą damą do Czandrapuru; przysłała go, żeby przekazał tę wiadomość. Sama prowadzi samochód.

- Ach tak, to zupełnie możliwe - powiedział Aziz. - Przypuszczałem, że wybiorą się na małą przejażdżkę.

- Do Czandrapuru? Ten człowiek się pomylił! - zawołał Fielding.

149

- Nie, dlaczego? - Aziz był rozczarowany, jednakże traktował sprawę dość lekko. Wolałby mieć na śniadaniu całą czwórkę, ale goście muszą robić to, co chcą, inaczej stają się więźniami.

Odszedł w dobrym humorze, żeby dopatrzeć owsianki i lodu.

- Co się stało? - zapytał Fielding, który miał uczucie, że dzieje się tu coś dziwnego. Przez całą drogę panna Derek trajkotała na temat pikniku, nazwała go nieoczekiwaną fundą i stwierdziła, że woli Hindusów, którzy nie zapraszają jej na przyjęcia, od tych, którzy to robią. Pani Moore siedziała, kołysząc nogą, robiła wrażenie nadąsanej i otepiałej. Powiedziała:

- Panna Derek jest osobą bardzo trudną i niespokojną, zawsze się śpieszy, chce czegoś nowego. Gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie wracać do indyjskiej maharani, która jej płaci.

Fielding, który nawet dość lubił pannę Derek, odpowiedział:

- Nie śpieszyła się, kiedy odchodziłem. Nie było mowy o powrocie do Czandrapuru. Wygląda mi na to, że pośpieszyła się

panna Quested.

- Adela? Ona się nigdy nie spieszy - rzuciła ostro starsza pani.
- Moim zdaniem, okaże się, że to było życzenie panny Quested, właściwie jestem tego pewien - obstawał przy swoim nauczyciel. Był zirytowany, przede wszystkim na samego siebie. Najpierw spóźnił się na pociąg - grzech, którego nigdy dotąd nie popełnił - a teraz, kiedy już przyjechał, po raz drugi pokrzyżował plany Azizowi. Chciał zrzucić na kogoś część winy i groźnie spoglądał na panią Moore, jak prawdziwy belfer. - Aziz to czarujący człowiek - oznajmił.
- Wiem - odpowiedziała, ziewając.

- Zadał sobie mnóstwo trudu, żeby ten piknik dobrze wypadł.

Znali się bardzo mało i czuli się trochę nieswojo na myśl, że

ich zetknięcie jest dziełem Hindusa. Problem rasowy może przybrać bardzo wyrafinowane kształty. W ich przypadku zrodził jakby zazdrość, wzajemne podejrzenia. On usiłował wnieść w niej entuzjazm, ona prawie się nie odzywała. Aziz poprosił ich na śniadanie.

- Z panną Quested to zupełnie normalna sprawa - zauważył, bo jakiś czas obracał owo zdarzenie w myślach, usiłując oczyścić je z ostrych kantów. - Prowadziliśmy bardzo interesującą rozmowę z naszym przewodnikiem, potem pokazał się samochód, więc

150

postanowiła zejść na dół do swojej przyjaciółki. - Był nieuleczalnie nieprecyzyjny, więc już sądził, że tak właśnie było. Był nie-precyzyjny, ponieważ był wrażliwy. Wolał nie pamiętać słów panny Quested o poligamii, słów niegodnych gościa, więc usunął je ze swoich myśli, a wraz z nimi wspomnienie o tym, jak schował się do groty, żeby od niej uciec. Był nieprecyzyjny, ponieważ pragnął ją uczcić, a skoro

fakty tak się pogmatwały, musiał uładzić je wokół niej, jak porządkuje się grządkę po wyrwaniu chwastów. Zanim śniadanie dobiegło końca, zdążył całkiem sporo nakłamać. -Ona pobiegła do swojej przyjaciółki, a ja do swojej - mówił dalej z uśmiechem. - A teraz jestem z moimi przyjaciółmi, a oni są ze mną i ze sobą, i to właśnie jest szczęście.

Ponieważ kochał ich oboje, spodziewał się, że i oni się Kochają. Ale oni nie chcieli się kochać. Fielding myślał niechętnie: „Wiedziałem, że te baby narobią kłopotów”, pani Moore myślała: „Ten człowiek spóźnił się na pociąg i próbuje zwalić winę na nas”. Ale jej umysł pracował kiepsko; od chwili zasłabnięcia w grocie była pogrążona w apatii i cynizmie. Cudowne Indie z pierwszych tygodni pobytu, Indie chłodnych nocy i mile widzianych prześwytów nieskończoności zniknęły bezpowrotnie.

Fielding pobiegł obejrzeć jedną grocie. Nie zrobiła na nim wrażenia. Potem wdrapali się na słońca i wycieczka zaczęła sunąć z powrotem przez skalny korytarz, a następnie przemknęła pod urwiskiem w kierunku stacji kolejowej, ścigana kłującymi porożkami rozgrzanego powietrza. Dotarli do miejsca, w którym Fielding oddalił się od samochodu. Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl i zapytał:

- Aziz, gdzie i w jaki sposób rozstałeś się z panną Quested?
- Tam w górze. - Z radosną miną wskazał Kawał Dol.
- Ale jak... - Między skałami widać było coś w rodzaju wąwozu czy raczej szczeliny pokrytej zbitą masą kaktusów. - Chyba prześwyt wodnik jej pomagał.
- Tak, naturalnie, był bardzo pomocny.
- Czy ze szczytu prowadzi jakaś ścieżka?
- Milion ścieżek, mój drogi.

Fielding nie mógł dostrzec nic prócz owej szczeliny. Wszędzie indziej oślepiający granit zanurzał się wprost w ziemię.

- Ale widziałeś, że zeszli na dół bezpiecznie?

151

- Tak, tak, ona i panna Derek, i widziałem, jak odjechały

samochodem.

- Potem przewodnik wrócił do ciebie?
- Właśnie. Dasz papierosa?
- Mam nadzieję, że nie zachorowała - ciągnął Anglik. Szczelina przechodziła na równinie w długie koryto, którym ściekała woda do Gangesu.
- Gdyby była chora, potrzebowałaby mojej pomocy.
- Tak, to brzmi rozsądnie.
- Widzę, że się martwisz, pomówmy o czym innym - powiedział łagodnie Aziz. - Panna Quested miała robić tylko to, na co ma ochotę, taka była nasza umowa. Widzę, że martwisz się ze względu na mnie, ale ja się naprawdę nie przejmuję, nigdy nie zwracam uwagi na drobiazgi.
- Istotnie martwię się ze względu na ciebie. Uważam, że obie zachowały się niegrzecznie! - powiedział Fielding zniżając głos. - Ona nie miała prawa uciekać z twojego przyjęcia, a panna Derek nie miała prawa jej do tego namawiać.

Aziz, zazwyczaj tak drażliwy, wydawał się niedosięgly. Skrzydła podtrzymujące go na wyżynach nawet nie drgnęły, był bowiem cesarzem z dynastii Mogołów, który spełnił swój obowiązek. Usadowiony na grzbiecie słonia, patrzył, jak oddalają się Wzgórza Marabarskie, i widział znowu - a wszystko to były prowincje jego królestwa - ponurą, niechlujną równinę, gorączkowe i ledwie widoczne ruchy wiader przy studniach, białe świątynie, płytkie groby, łagodne niebo, węża, który wyglądał jak drzewo. Ofiarował swoim gościom najlepszą rozrywkę, na jaką go było stać, a to, że przyszli za późno albo odeszli za wcześnie, już go nie dotyczyło. Pani Moore spała, kołysząc się i uderzając o pręty haudy *, Moham-med Latif otaczał ją ramieniem usłużnie i z szacunkiem, a u boku Aziza siedział Fielding, którego zaczął już w myślach nazywać „Cyrylem”.

- Aziz, obliczyłeś, ile cię będzie kosztować ten piknik?

- Psst! mój drogi, nie wspominaj o tym. Grube setki rupii.

Ostateczny rachunek będzie straszny. Służący moich przyjaciół

* Hauda - palankin.

152

kradną na lewo i prawo, a słoń zre chyba złoto. Ufam, że nie powtórzysz tego nikomu. M.L. - używamy inicjałów, on słucha -jest najgorszy ze wszystkich.

- Mówiłem ci, że jest nic niewart.

- Jest dużo wart, ale dla siebie. Jego nieuczciwość mnie zrujnuje.

- To okropne, Aziz!

- Właściwie jestem nim zachwycony, zapewnił wygody moim gościom. Zresztą zatrudnianie go jest moim obowiązkiem, to mój kuzyn. Pieniądz odchodzi, pieniądz przychodzi. Pieniądz zostaje, przychodzi śmierć. Słyszałeś kiedy to pożyteczne przysłowie w urdu? Chyba nie, bo je właśnie w tej chwili wymyśliłem.

- Ja mam inne przysłowia: oszczędnością i pracą ludzie się bogacą; zaszyj dziurkę, póki mała; zanim coś zrobisz, pomyśl dwa razy. Na nich opiera się Imperium Brytyjskie. Nigdy nas stąd nie wyrzucicie, dopóki będziecie zatrudniali takich M.L.-ów i im podobnych.

- Wyrzucać was? A po cóż ja miałbym się zajmować taką brudną robotą? Zostaw to politykom... No nie, jak byłem studentem, naturalnie wściekałem się na twoich przeklętych rodaków. Ale teraz, skoro pozwalają mi wykonywać mój zawód i nie są zbyt niegrzeczni w stosunkach oficjalnych, naprawdę nie żądam nic

więcej.

- Owszem, żądasz. Zabierasz ich na piknik.
- Ten piknik nie ma nic wspólnego z Anglikami czy Hindusami.

To wycieczka przyjaciół.

I tak kawalkada, po części przyjemna, po części mniej miła, dobiegła końca. Zabrano bramińskiego kucharza, nadjechał pociąg z trudem pchający swoją płonąca gardziel po równinie i dwudziesty wiek przyjął pałeczkę od wieku szesnastego. Pani Moore zajęła miejsce w swoim wagonie, trzech mężczyźni ulokowali się w swoim, opuścili żaluzje, włączyli elektryczny wiatrak i spróbowali zasnąć. W półmroku wszyscy przypominali trupy, sam pociąg, chociaż się poruszał, wyglądał jak martwy - jak trumna z uczonej północy, cztery razy dziennie naruszająca w przykry sposób krajobraz. W miarę jak się oddalał od Marabarów, ich obmierzły maleńki świat zanikał, ustępując miejsca Marabarom widzianym z daleka, skończonym i nawet romantycznym. Pociąg zatrzymał się raz pod

153

pompą, żeby zwilżyć zapas węgla w tendrze. I wtedy dostrzegł w oddali główną linię, nabrał odwagi i skoczył do przodu, okrążył dzielnicę rządową, pokonał skrzyżowanie (szyny były już rozpalone do białości) i stanął ze szczękiem. Czandrapur, Czandrapur! Wyprawa dobiegła końca.

A kiedy się skończyła, kiedy dźwignęli się z ławek i w mroku przygotowywali do podjęcia codziennego życia, długotrwała dziwaczność poranka nagle pękła. Pan Haq, inspektor policji, z trzaskiem otworzył drzwi ich przedziału i powiedział piskliwym głosem:

- Doktorze Aziz, mam niezwykle przykry obowiązek aresztować pana.
- Dzień dobry, to jakaś pomyłka - powiedział Fielding, natychmiast obejmując dowództwo.
- Takie mam instrukcje, proszę pana. Ja nic nie wiem.
- Pod jakim zarzutem pan go aresztuje?
- Mam instrukcje, żeby nie mówić.

- Niech mi pan nie odpowiada w taki sposób. Proszę pokazać nakaz aresztowania.

- Niech mi pan wybaczy, ale w tych szczególnych okolicznościach nakaz nie jest potrzebny. Proszę się zwrócić do pana McBryde'a.

- Doskonale, zrobimy to. Aziz, chodź ze mną, stary. Nie ma się czym przejmować, to jakaś pomyłka.

- Doktorze Aziz, zechce pan łaskawie wysiąść. Zamknięty powóz stoi w pogotowiu.

Młody człowiek załkał - był to pierwszy dźwięk, jaki wydał z siebie - i próbował wyskoczyć na tory przez drzwi po przeciwnej stronie.

- Będę musiał użyć siły - jęknął pan Haq.

- Na miłość boską!... - zawołał Fielding, sam bliski załamania nerwowego w tej atmosferze, i wciągnął go do środka, zanim zdążył wybuchnąć skandal, po czym potrząsnął nim jak dzieckiem. Jeszcze sekunda, a Aziz byłby na zewnątrz, a potem gwizdki, pościg... - Mój drogi, idziemy razem do McBryde'a i dowiemy się, skąd to całe nieporozumienie... to bardzo przyzwoity facet, tu nie ma złej woli... na pewno cię przeprosi. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie zachowuj się jak przestępca.

154

- Moje dzieci, moje nazwisko! - wykrztusił Aziz. Jego skrzydła zwiślały złamane.

- Nonsens. Popraw kapelusz i weź mnie pod rękę. Ja cię przeprowadzę.

Trzymając się pod rękę, wyszli w upał południa. Na stacji wrzało. Pasażerowie i tragarze wypadali biegiem ze wszystkich zakamarków, wszędzie mnóstwo urzędników i jeszcze więcej policji. Ronny wyprowadzał panią Moore. Mohammed Latif głośno lamentował. Zanim zdążyli przebić się przez tę gęstwinę, Turton odwołał rozkazującym głosem Fieldinga i Aziz powędrował samotnie do więzienia.

Rozdział 17

Zarządca przyglądał się aresztowaniu z poczekalni dworcowej, po czym otworzył na oścież jej drzwi z perforowanej blachy cynkowej i objawił się na kształt boga w świątyni. Kiedy Fielding wszedł do środka, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, na straży przy nich stanął służący, a wielki wachlarz, pankha, jakby dla podkreślenia ważności chwili, trzepotał niczym brudne halki nad ich głowami. W pierwszym momencie zarządca nie mógł dobyć głosu. Jego twarz była blada, fanatyczna, niemal piękna - wszystkie angielskie twarze w Czandrapurze miały przybrać ten wyraz na wiele dni. Zawsze odważny i bezinteresowny, dziś jakby płonął białym i szlachetnym żarem; bez wątpienia zadałby sobie śmierć, gdyby uznał, że tak należy postąpić. Wreszcie przemówił.

- Zdarzyła się najgorsza rzecz w całej mojej karierze. Panna

Qusted została znieważona w jednej z Grot Marabarskich.

- Och, nie, och nie, nie! - wyjąkał Fielding, czując zbierające mdłości.

- Uciekła... dzięki łasce niebios.

- Nie, nie, przecież nie Aziz... nie Aziz...

Zarządca skinął głową.

- To zupełnie niemożliwe, to absurd.

- Chciałem uchronić pana przed odium, które by na pana spadło, gdyby widziano, że mu pan towarzyszy w drodze do

755

komisariatu - rzekł Turton, nie zwracając uwagi na jego protesty, właściwie ich nie

słyszając.

A Fielding powtarzał „Och, nie”, jak głupiec. Nie umiał znaleźć innych słów. Czuł, że oto szaleństwo powstało w całym swym ogromie i usiłuje pochłonąć ich wszystkich; trzeba zapędzić je z powrotem tam, skąd wyszło, ale nie wiedział jak, bo nie rozumiał szaleństwa, zawsze postępował rozsądnie i spokojnie, dopóki nie przewyciężył tej czy innej trudności.

- Kto złożył to nikczemne oskarżenie? - zapytał, opamiętując się nagle.

- Panna Derek i... sama ofiara... - Zarządca nieomal się załamał, tak trudno mu było powtórzyć nazwisko młodej kobiety.

- Panna Quested sama oskarża go wyraźnie o...

Tamten przytaknął i odwrócił twarz.

- Więc zwariowała.

- Nie mogę puścić płazem tej uwagi - powiedział zarządca, uprzytamniając sobie, że różnią się w poglądach, i aż dygocąc z wściekłości. - Odwoła pan ją natychmiast. Właśnie na tego rodzaju uwagi pozwala pan sobie od chwili przybycia do Czandrapuru.

- Jest mi niezmiernie przykro, panie zarządco. Oczywiście cofam te słowa bez żadnych zastrzeżeń. - Przecież ten człowiek sam jest na pół szalony.

- Panie Fielding, dlaczego mówi pan ze mną takim tonem?

- Wiadomość naprawdę mną wstrząsnęła, więc proszę o wybaczenie. Nie mogę uwierzyć, że doktor Aziz jest winny.

Turton rąbnął pięścią w stół.

- To... to powtórzenie tej obelgi w ostrzejszej formie.

- Pozwolę sobie powiedzieć, że tak nie jest - rzekł Fielding, błędna, ale upierając się przy swoim zdaniu. - Nie podważam dobrej wiary obu pań, ale oskarżenie, jakie wnoszą przeciwko Azizowi, polega na jakiejś pomyłce i wystarczy pięć minut, żeby ją wyjaśnić. Ten człowiek zachowuje się zupełnie naturalnie. Zresztą znam go i wiem, że jest niezdolny do żadnej podłości.

- Istotnie to wszystko polega na pomyłce - zabrzmiał cieni, zgryźliwy głos zarządcy. - Istotnie. Znam ten kraj od dwudziestu pięciu lat - tu przerwał i wydawało się, że „dwadzieścia pięć lat” nappełniło poczekalnię całą swą stęchlizną i małością - i w ciągu tych dwudziestu pięciu lat przekonywałem się nieodmiennie, że

756

wszelkie próby zażyłości towarzyskiej między Anglikami i Hindusami prowadzą do katastrofy. Stosunki towarzyskie, tak. Uprzejmość, jak najbardziej. Zażyłość - nigdy! Sprzeciwiam się temu całą mocą mego autorytetu. Od sześciu lat sprawuję rządy w Czandrapurze i jeśli wszystko szło dotąd gładko, jeżeli panował tu wzajemny szacunek i poważanie, działo się tak dlatego, że obie narodowości przestrzegały tej prostej zasady. Nowi przybysze lekceważą nasze tradycje i natychmiast zdarza się to, co pan widzi, wieloletnia praca idzie na marne, a mój okręg traci dobre imię na okres co najmniej jednego pokolenia. Ja... ja, panie Fielding, nie umiem przewidzieć, jak skończy się ten dzień. Pan, który przesiąkł nowoczesnymi ideami... pan niewątpliwie potrafi. Żałuję, że dożyłem chwili, kiedy się ten dzień zaczął, tego jestem pewny. To mój koniec. To, że kobieta, młoda osoba zaręczona z moim najbardziej cenionym podwładnym... że ona... młoda Angielka prosto z Anglii... że ja dożyłem...

Uwikłany w swoje wzruszenia, ostatecznie się załamał. Jego słowa były jednocześnie żalose i pełne godności, ale czy miały coś wspólnego z Azizem? O ile Fielding się nie mylił, absolutnie nie. Jest niemożliwością patrzeć na tragedię z dwóch punktów widzenia; podczas gdy Turton postanowił pomścić dziewczynę, on miał nadzieję uratować Aziza. Chciał się stąd wydostać i rozmówić z McBryde'em, który zawsze okazywał mu przyjaźń i był na ogół człowiekiem rozsądnym, a w każdym razie

można było ufać, że zachowa spokój.

- Przyjechałem tu głównie ze względu na pana... ten biedak Heaslop odwoził w tym czasie swoją matkę. Uważałem, że nie mogę lepiej okazać mojej życzliwości. Chciałem też panu powiedzieć, że dziś wieczór odbędzie się w klubie nieoficjalne zebranie poświęcone omówieniu sytuacji, ale wątpię, czy zechce pan przyjść.

Nieczęsto pan tam składa wizyty.

- Przyjdę na pewno, panie zarządcu, i jestem panu niezmiernie wdzięczny za cały trud, jaki pan dla mnie podjął. Jeśli wolno spytać... gdzie znajduje się teraz panna Quedstedt?

Tamten odpowiedział gestem: jest chora.

- Coraz gorzej, fatalnie - rzucił Fielding, szczerze przejęty.

Ale zarządca spojrzał na niego surowo, bo ten człowiek nie tracił głowy. Nie wpadł w furję na słowa „młoda Angielka prosto

157

z Anglii", nie pospieszył pod sztandary rasy. Nadal domagał się faktów, mimo że stado wybrało emocję. Nic bardziej nie roz-wściecza Anglo-Indii niż pochodnia rozumu, jeśli ktoś trzyma ją w górze choć przez chwilę po tym, jak zapadło postanowienie, żeby ją zgasić. Tego dnia w całym Czandrapurze Europejczycy rezygnowali ze swoich indywidualnych istnień i zatapiali się w społeczności. Przepelniała ich litość, gniew, bohaterstwo, ale stracili zdolność obliczenia, ile jest dwa plus dwa.

Skończywszy rozmowę zarządca wyszedł na peron. Zamęt, jaki tam panował, był odrażający. Jeden z czaprasich* Ronny'ego otrzymał rozkaz przyniesienia drobiazgów należących do pań i teraz przywłaszczał sobie różne przedmioty, do których nie miał prawa; był maruderem wlokącym się za wojskami gniewnych Anglików. Mohammed Latif nawet nie próbował mu się przeciwstawić. Hassan zerwał z głowy turban i płakał. Wszystkie tak szczerze ofiarowane przysmaki walały się po ziemi i niszczały w słońcu. Zarządca błyskawicznie zorientował się w

sytuacji i chociaż był na pół obłąkany z gniewu, odezwało się w nim poczucie sprawiedliwości. Wydał odpowiednie rozkazy i grabież ustała. Potem odjechał do swojej willi i ponownie dał upust namiętnościom. Widząc śpiących w rowach kulisów czy sklepikarzy, którzy wstawali, żeby mu się uklonić, powiedział do siebie: „Wiem wreszcie, jacy jesteście; zapłacicie mi za to, będziecie płakać”.

Rozdział 18

McBryde, okręgowy nadinspektor policji, był najrozumniejszym i najbardziej wykształconym urzędnikiem w Czandrapurze. Dużo kiedyś przeczytał i przemyślał, a dzięki niezbyt szczęśliwemu małżeństwu zbudował filozoficzną teorię życia. Miał sporo z cynika, ale nic z tyrańcy; nigdy nie tracił panowania nad sobą ani nie stawał się brutalny, więc przyjął Aziza uprzejmiwie, nieomal go uspokajał.

* Czaprasi - posługacz, woźny.

158

- Muszę pana zatrzymać do chwili zwolnienia za kaucją -
powiedział - ale na pewno pana przyjaciele wystąpią o to i naturalnie
nie będą mogli pana odwiedzać, w ramach przepisów. Otrzymałem
 pewne informacje i muszę na tej podstawie podjąć odpowiednie
 kroki. Nie jestem pana sędzią.

Aziz płakał, kiedy go wyprowadzano. McBryde był wstrząśnięty jego klęską, ale żaden Hindus nie mógł go nigdy zadziwić, bo miał własną teorię stref klimatycznych. Teoria brzmiała, jak następuje: „Wszyscy ci nieszczęśni krajowcy są w głębi serca prześcępcami, gdyż żyją na południe od trzydziestego równoleżnika. Nie wolno ich potępiać, po prostu nie mają ani cienia szansy - my bylibyśmy tacy sami, gdybyśmy osiedlili się tutaj”. Urodzony w Karaczi, sam zdawał się zaprzeczać własnej teorii, i niekiedy przyznawał to ze smutnym uśmiechem.

„Jeszcze jeden z nich zdemaskowany”, pomyślał, zasiadając do pracy nad raportem dla sędziego.

Przerwało mu przybycie Fieldinga.

Zakomunikował mu wszystko, co wiedział, bez zastrzeżeń. Panna Derek sama przyprowadziła swój mudkulski samochód mniej więcej przed godziną, przy czym i

ona, i panna Quested były w straszliwym stanie. Zajechały prosto do jego willi, gdzie się akurat znajdował, i tam od razu przyjął ich skargę i zarządził aresztowanie na stacji.

- Jak właściwie brzmi skarga?

- Że poszedł za nią do groty i zaczął się jej narzucać w obraźliwy sposób. Uderzyła go lornetką, on pociągnął za tę lornetkę, pasek się zerwał i wtedy on uciekł. Kiedyśmy go przed chwilą rewidowali, miał lornetkę w kieszeni.

- Och, nie, nie. To się wyjaśni w ciągu pięciu minut - wybuchnął ponownie Fielding.

- Niech pan spojrzy.

Pasek był świeżo zerwany, jedna z soczewek uszkodzona. Dowody rzeczowe mówiły: „Winien”.

- Czy powiedziała coś jeszcze?

- Było tam echo, którego się chyba przelekła. Czy pan wchodził do tych grot?

- Widziałem jedną. Było echo. Czy bardzo ją zdenerwowało?

- Nie mogłem męczyć jej zanadto pytaniami. Będzie musiała

159

przejsć niejedno na sali sądowej. Trudno wprost myśleć o tych nadchodzących tygodniach. Chciałbym, żeby Wzgórza Marabar-skie i wszystko, co w nich jest, znalazło się na dnie morza. Przez wiele wieczorów patrzyliśmy na nie z klubu i były tylko nieszkodliwą nazwą... No tak, już się zaczyna. - Bo przyniesiono mu bilet wizytowy; Vakil Mahmud Ali, adwokat oskarżonego, prosił, żeby mu zezwolono na widzenie. McBryde westchnął, udzielił zezwolenia i mówił dalej: - Dowiedziałem się jeszcze tego i owego od panny Derek... to nasza stara znajoma i chętnie opowiada. Otóż według niej pan odszedł na poszukiwanie obozowiska, a ona prawie zaraz usłyszała odgłos spadających kamieni na Kawa Dol i zobaczyła, jak panna Quested zbiega w dół zbocza. Tak. Wcięła się do niej coś w rodzaju żlebu i znalazła ją

właściwie ledwie żywą... bez hełmu...

- Nie było przy niej przewodnika? - przerwał Fielding.

- Nie. Wpadła między kaktusy. Panna Derek uratowała jej życie, że właśnie wtedy nadeszła, bo tamta zaczynała się już miotać jak obłąkana. Pomogła jej zejść do samochodu. Panna Quested nie mogła znieść widoku indyjskiego szofera, krzyczała: „Zabierzcie go!” - i to właśnie naprowadziło naszą przyjaciółkę na trop całego zajścia. Przyjechały prosto do naszej willi i są tam jeszcze. Tak wygląda sprawa - z tego, co dotąd wiem. Panna Derek odesłała kierowcę do was. Uważam, że zachowała się bardzo rozsądnie.

- Czy jest możliwe, abym zobaczył pannę Quested? - spytał nagle Fielding.

- Wątpię, czyby to miało sens. Raczej nie.

- Bałem się, że to powiesz. Bardzo bym chciał ją zobaczyć.

- Jest w takim stanie, że nie może się z nikim widzieć. Zresztą nie znasz jej zbyt dobrze.

- Prawie wcale jej nie znam... Ale widzisz, ja uważam, że ona padła ofiarą jakiegoś fatalnego złudzenia i że ten nieszczęsny chłopak jest niewinny.

Stróż prawa aż drgnął, tak był zdumiony, a po jego twarzy przemknął cień, bo nie mógł ścierpieć, kiedy kwestionowano jego zarządzenia.

- Nie przypuszczałem, że to masz na myśli - powiedział i jakby szukając poparcia, spojrzął na podpisane zeznanie przed nim.

- Ta lornetka wytrąciła mnie na chwilę z równowagi, ale potem zacząłem myśleć: jest wprost niemożliwe, żeby najpierw próbował zaatakować pannę Qusted, a potem schował do kieszeni jej lornetkę.

- Obawiam się, że to całkiem możliwe. Kiedy Hindus schodzi na złą drogę, jest nie tylko bardzo nikczemny, ale i bardzo dziwny.

- Nie rozumiem.

- Bo jak możesz zrozumieć? Kiedy myślisz o przestępstwie, myślisz o przestępstwie angielskim. Tu psychologia jest zupełnie inna. Na pewno powiesz mi za chwilę, że Aziz był całkiem normalny, kiedy zszedł ze wzgórza, żeby cię przywitać. Nie ma powodu, żeby nie był normalny. Poczytaj trochę opisów rebelii. To one, a nie Bhagawadgita*, powinny być twoją biblią w tym kraju. Chociaż nie dałbym głowy, że jedno i drugie ściśle się ze sobą nie łączy. Jestem nieludzki? Ale widzisz, Fielding, jak ci to już raz powiedziałem, jesteś nauczycielem i w związku z tym znasz tych ludzi z ich najlepszej strony. I to cię właśnie gubi. Jako chłopcy potrafią być czarujący. Ale ja znam ich takimi, jacy są naprawdę, kiedy już przekształcą się w dorosłych mężczyzn. Na przykład popatrz na to. - Wziął ze stołu portfel Aziza. - Prze-

glądam właśnie zawartość. Nie jest budująca. Jest tu list od znajomego, który najwyraźniej prowadzi dom publiczny.

- Nie chcę znać jego prywatnych listów.

- Ten będzie cytowany w sądzie, jako coś, co rzuca światło na moralność tego człowieka. Załatwił wizytę u dziewcząt w Kal-

kucie.

- Och, dosyć już, dosyć.

McBryde przerwał, naiwnie zdumiony. Wydawało mu się to zrozumiałe, że dwaj sahibowie dzielą się wszystkim, co wiedzą o Hindusie, i nie potrafił zrozumieć, skąd biorą się te obiekcje.

- Na pewno masz prawo kamienować młodego człowieka, który to robi, ale ja nie mam. Robiłem to samo w jego wieku.

Nadinspektor policji robił to także, ale uznał, że rozmowa przyjęła niepożądany obrót. Nie podobała mu się również następna uwaga Fieldinga.

* Bhagawadgita - słynny sanskrycki poemat religijno-filozoficzny.

161

- Naprawdę nie można zobaczyć panny Quested? Wiesz to z całą pewnością?

- Nie wyjaśniłeś mi jeszcze, co masz właściwie na myśli? Dlaczego, u licha, chcesz ją zobaczyć?

- Bo jest znikoma szansa, że odwoła wszystko, zanim wyślesz swój raport, a jego postawią przed sądem i całą sprawę diabli wezmą. Nie upieraj się, stary, i z dobroci serca zadzwoń po prostu do swojej żony albo panny Derek, i spytaj. To przecież nic nie kosztuje.

- Nie ma po co do nich dzwonić - odpowiedział McBryde, sięgając już po słuchawkę. - O tego rodzaju sprawach decyduje, jak wiadomo, Callendar. Nie zdajesz sobie sprawy, że ona jest poważnie chora.

- Callendar na pewno odmówi, tylko po to żyje.

Wkrótce przyszła oczekiwana odpowiedź: major nie chce słyszeć o tym, żeby

niepokojono pacjentkę.

- Miałem zamiar tylko ją spytać, czy jest pewna, absolutnie pewna, że to Aziz poszedł za nią do tej groty.
- O to ewentualnie mogłaby ją spytać moja żona.
- Ale to ja chciałbym ją spytać. Chcę, żeby zadał jej pytanie ktoś, kto wierzy w Aziza.
- A co to za różnica?
- Jest otoczona ludźmi, którym brak wiary w Hindusów.
- No cóż, przecież podaje własną wersję zdarzenia, prawda?
- Owszem, ale podaje ją wam.

McBryde uniósł lekko brwi i mruknął:

- Trochę to za subtelne. Tak czy inaczej Callendar nie chce nawet słyszeć o twojej wizycie. Przykro mi to mówić, ale właśnie przed chwilą wydał dość pesymistyczną opinię. Powiada, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło.

Zapanowało milczenie. Do biura przyniesiono bilet wizytowy Hamidullaha. Armia przeciwnika ściągnęła pod sztandary.

- Muszę teraz przesłać ten raport.
- Wolałbym, żebyś tego nie robił.
- Jak mogę tego nie zrobić?
- Uważam, że sprawy wyglądają bardzo niewesoło, a w dodatku groźnie. Zmierzamy do straszliwej katastrofy. Mogę chyba zobaczyć twój więzienie?

L

Tamten zawahał się.

- Jego rodacy już się z nim skontaktowali.
- No to wejdę, jak oni sobie pójdą.
- Nie chodzi o to, żebyś czekał. Ach, Boże, masz oczywiście pierwszeństwo przed każdym Hindusem. Miałem na myśli coś innego: po co? Po co się mieszać do tych brudów?
- Ja twierdzę, że on jest niewinny...
- Winny czy niewinny, po co się mieszać? Po co?
- Och, po co, po co! - wybuchnął Fielding, czując, że ziemia się zatrzymuje. - Człowiek musi czasem odetchnąć, przynajmniej ja muszę. Nie wolno mi zobaczyć panny Quested, teraz znów nie wolno mi zobaczyć jego. Przyrzekłem mu, że przyjdę razem z nim do ciebie, ale Turton mnie odwołał, zanim zdążyłem przejść dwa kroki.
- Biali z białymi, to w stylu zarządcy - westchnął sentymentalnie McBryde. I starając się nie mówić tonem zbyt protekcyjnym, wyciągnął dłoń przez stół i rzekł: - Obawiam się, że wszyscy będziemy musieli trzymać się razem, mój stary. Jestem od ciebie młodszy wiekiem, to prawda, ale dużo starszy służbą. Nie znasz tego jadowitego kraju tak dobrze jak ja i musisz mi wierzyć na słowo, że ogólna sytuacja w Czandrapurze będzie w ciągu najbliższych kilku tygodni poważna, naprawdę poważna.

- To samo mówiłem ci przed chwilą.
- Ale w takim momencie nie ma miejsca na... hm... poglądy osobiste. Kto się wyłamuje, jest zgubiony.
- Rozumiem, co chcesz powiedzieć.
- Wcale nie rozumiesz. Nie tylko gubi samego siebie, ale osłabia też przyjaciół. Kiedy opuszczasz szereg, zostawiasz w tym szeregu lukę. A ci szakale - wskazał na bilety wizytowe adwokatów - wypatrują sobie oczy, żeby tylko znaleźć jakąś lukę.
- Czy mogę odwiedzić Aziza? - zapytał Fielding.
- Nie. - Dowiedziawszy się o stanowisku Turtona nadinspektor nie miał już wątpliwości. - Możesz go zobaczyć za zgodą sędziego, ale sam nie czuję się upoważniony do wzięcia za to odpowiedzialności. Mogłoby to doprowadzić do dalszych komplikacji.

Fielding milczał chwilę, uświadamiając sobie, że gdyby miał

163

dziesięć lat mniej lub był o dziesięć lat dłużej w Indiach, usłuchałby wezwania McBryde'a. Tłumiąc bezsilny gniew, powiedział:

- Do kogo mam się zwrócić z prośbą o zezwolenie?
- Do sędziego dla miasta Czandrapur.
- To brzmi zachęcająco!
- Tak, nie bardzo można zawracać głowę biednemu Heaslopowi.

W tym momencie zjawiły się dalsze „dowody rzeczowe” -szuflada biurka Aziza, wniesiona triumfalnie przez kaprała.

- Fotografie kobiet. A!
- To jego żona - powiedział Fielding, krzywiąc się boleśnie.
- Skąd wiesz?
- Powiedział mi.

McBryde uśmiechnął się leciutko, z niedowierzaniem, i zaczął grzebać w szufladzie. Jego twarz miała wyraz inkwizytorski, trochę bestialski. „Żona, akurat, znam ja te żony”, myślał.

- No, musisz już uciekać, mój stary - rzekł głośno. - Niech

Bóg nam dopomoże, niech Bóg dopomoże nam wszystkim...

Jak gdyby jego modlitwa została wysłuchana, odezwał się zgiełkliwie jeden z dzwonekó w świątynnych.

Rozdział 19

Następnym stadium była rozmowa z Hamidułlahem. Czekał przed drzwiami gabinetu i na widok Fieldinga z szacunkiem zerwał się z krzesła. Na porywczą uwagę Anglika:

- To wszystko pomyłka - odpowiedział: - Ach, ach, czy są jakieś dowody?

- Będą - rzekł Fielding, przytrzymując jego dłoń.

- Ach tak, panie Fielding. Ale kiedy Hindus raz zostanie aresz-

towany, nie wiadomo, czym się to skończy. - Okazywał mu

wielką uwagę. - Bardzo ładnie pan postąpił, witając się ze mną

na oczach wszystkich, potrafię to docenić. Jednakże, panie Fielding,

sędziego przekonać mogą tylko dowody. Czy pan McBryde po-

wiedział coś, kiedy doręczono mu mój bilet? Nie sądzi pan, że

moja prośba go zirytowała, że mogłaby go uprzedzić do mojego

przyjaciela? Jeżeli tak, chętnie się usunę.

164

- Nie jest zirytowany, a jeżeli nawet, jakie to ma znaczenie?

- Ach, panu łatwo tak mówić, ale my musimy żyć w tym kraju.

Czołowy adwokat Czandrapuru, człowiek o nienagannych

manierach i z dyplomem uniwersytetu w Cambridge, był głęboko wstrząśnięty. On także kochał Aziza i wiedział, że jego przyjaciel padł ofiarą kalumnii; ale to nie wiara rządziła jego sercem i paplał o „linii postępowania” i „dowodach” w sposób, który zasmucił Anglika. Fielding też miał pewne obawy - nie podobała mu się sprawa lornetki i rozbieżność co do przewodnika - ale spychał je na margines świadomości, nie pozwalając, żeby zaatakowały jej jądro. Aziz jest niewinny, na tym muszą się opierać wszystkie działania, a ludzie, którzy mówią, że jest winien, nie mają racji i wszelkie próby zjednania ich sobie są sprawą beznadziejną. W chwili gdy decydował się dzielić los Hindusów, uświadomił sobie całą głębię przepaści, jaka go od nich dzieliła. Zawsze robią coś niemądrego. Aziz próbował uciec przed policją, Mohammed Latif nie zapobiegł grabieży. A teraz Hamidul-lah! Zamiast wściekać się i demaskować oszczerców, gra na zwłokę. Czy Hindusi są tchórzliwi? Nie, ale źle wychodzą ze startu i czasem stają dęba. Strach kryje się wszędzie; opiera się na nim całe brytyjskie panowanie; szacunek i uprzejmość, jakie są udziałem jego samego, to tylko nieświadome akty prześlągnięcia. Powiedział Hamidullahowi, żeby nie tracił ducha, bo wszystko dobrze się skończy, a Hamidullah istotnie odzyskał animusz i stał się wojowniczy i rozsądny. Słowa McBryde'a: „Kiedy opuszczasz szereg, zostawiasz w nim lukę”, znalazły dobrą ilustrację.

- Przede wszystkim sprawa kaucji...

Jeszcze dziś po południu należy złożyć wniosek. Fielding chciał wystąpić jako poręczyciel. Hamidullah uważał, że powinni zwrócić się do Nawaba Bahadura.

- Ale właściwie po co go w to wciągać?

Otóż adwokatowi właśnie o to chodzi, żeby wciągać wszystkich. Stwierdził następnie, że prawnik prowadzący sprawę powinien być wyznawcą hinduizmu; obrona spotkałaby się wówczas ze znacznie szerszym odzewem. Wymienił kilka nazwisk - ludzi z dalekich stron, których nie zastraszą stosunki miejscowe - i oświadczył, że najlepszy byłby Amritrao, adwokat z Kalkuty,

165

który cieszy się znakomitą opinią tak pod względem zawodowym, jak osobistym, ale jest notorycznie antybrytyjski.

Fielding zaprotestował; uważał, że w ten sposób wpadliby w drugą ostateczność.

Aziz musi wyjść z tego czysty, przy minimum nienawiści rasowej. Amritrao jest znienawidzony w klubie. Zaangażowanie go zostałoby uznane za akt politycznej wrogości.

- O nie, musimy uderzyć z całą siłą. Kiedy przed chwilą zobaczyłem prywatne papiery mojego przyjaciela w rękach brudnego policjanta, powiedziałem sobie: „Człowiekiem, który to może rozwikłać, jest Amritrao”.

Nastąpiła chwila żałobnej ciszy. Świątynny dzwon pobrzękiwał nadal chrapliwie. Wlokący się w nieskończoność tragiczny dzień dobiegał zaledwie popołudnia. Nieustające w swym trudzie tryby maszyny władzy pchnęły teraz konnego posłańca od nadinspektora do sędziego z oficjalnym meldunkiem o aresztowaniu.

- Nie komplikujmy, niech karty grają same - błagał Fielding, patrząc, jak jeździec znika w tumanach kurzu. - Musimy wygrać, po prostu nie może być inaczej. Ona nigdy nie zdoła przeprowadzić dowodu winy.

To dodało otuchy Hamidullahowi, który zauważył naprawdę szczerze:

- W momencie kryzysu Anglicy są niezrównani.

- A więc do zobaczenia, drogi Hamidullahu (musimy teraz skończyć z „panem”). Jak zobaczysz Aziza, pozdrów go serdecznie ode mnie i powiedz, że musi zachować spokój, spokój, spokój.

Wracam teraz do college'u. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, zadzwoń. Jeżeli nie, nie dzwoń, bo będę bardzo zajęty.

- Do zobaczenia, mój drogi. Więc naprawdę jesteś po naszej stronie przeciwko własnym rodakom?

- Tak, zdecydowanie.

Żałował, że musi się opowiadać po tej czy innej stronie. Jego celem było prześliznąć się przez Indie bez żadnej etykiety. Odtąd będą o nim mówić „antybrytyjski”, „buntownik”; te określenia nudziły go i zmniejszały jego użyteczność w tym kraju.

Przewidywał nie tylko tragedię, lecz także zamęt; już teraz dostrzegał przykre drobne trudności, a ilekroć wracał ku nim wzrokiem, wydawały się większe. Urodzony jako człowiek wolny, nie bał się zamętu, ale wiedział, że istnieje.

766

Tę część dnia zakończyła dziwna i niejasna rozmowa z profesorem Godbole'em. Chodziło znowu o nie kończącą się sprawę żmii Russella. Przed kilkoma tygodniami jeden z nauczycieli college'u, nie lubiany Pars, znalazł żmiję Russella pełzającą po jego klasie. Może wpełzła tam sama, a może nie, i ciało pedagogiczne wciąż jeszcze wypytywało o nią dyrektora i zajmowało mu czas swoimi teoriami. Gad jest tak jadowity, że Fielding nie chciał ucinać tych rozmów, a oni o tym wiedzieli. Choć więc głowa mu pękała od innych trosk i rozważał w myślach, czy ma zaapelować listownie do panny Quested, musiał wysłuchiwać przemówienia, w którym brakowało zarówno przesłanek, jak wniosków, i które rozpływało się w powietrzu. Na zakończenie Godbole powiedział:

- Czy mogę się teraz oddalić? - co zawsze wskazywało, że jeszcze nie dotarł do sedna sprawy. - Odchodząc, muszę panu powiedzieć, jak bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że mimo wszystko dotarł pan do Marabaru. Lękałem się, że moja niepunktualność przeszkodziła w tym panu, ale pojechał pan (co było znacznie przyjemniejsze) samochodem panny Derek. Mam nadzieję, że wyprawa się powiodła.

- Widzę, że nie przekazano panu jeszcze wiadomości.

- O, tak.

- Nie. Zdarzyło się coś strasznego z Azizem.

- O, tak. Mówią o tym wszyscy w college'u.

- No cóż, wyprawy, na której zdarza się taka rzecz, nie można chyba nazwać udaną - rzekł Fielding, wpatrując się w Godbole'a ze zdumieniem.

- Trudno mi powiedzieć. Nie byłem tam obecny.

Fielding znowu wytrzeszczył oczy - ale był to całkowicie bezużyteczny wysiłek, bo żadne oko nie zdołałoby dostrzec, co kryje się w mózgu bramina, a przecież miał on mózg, i także serce, i wszyscy przyjaciele ufali mu, nie wiedząc dlaczego.

- Jestem strasznie roztrzęsiony - powiedział.

- Zauważyłem to, wchodząc do pana gabinetu. Nie chciałbym pana zatrzymywać, ale mam pewien drobny kłopot osobisty i potrzebna mi pańska pomoc. Jak panu wiadomo, wkrótce kończę tu pracę.

- Tak, niestety!

- I wracam do rodzinnego miasta w Indiach Centralnych, żeby

167

tam kierować oświatą. Zamierzam zorganizować college według dobrych angielskich wzorów i chciałbym, żeby w miarę możliwości był podobny do tutejszego college'u.

- Tak? - westchnął Fielding, starając się okazać zainteresowanie.

- Obecnie w Mau nauka odbywa się tylko w języku miejscowym. Poczytuję za swój obowiązek wszystko zmienić. Doradzę Jego Wysokości, żeby wyraził zgodę na co najmniej jeden college w stolicy i jeśli to będzie możliwe, po jednym w każdej parganie*.

Fielding zwiesił głowę; Hindusi bywają czasem naprawdę nie-znośni.

- Otóż potrzebuję pańskiej pomocy w następującej sprawie: czyje imię należy nadać tej szkole?

- Imię? Imię dla szkoły? - powiedział Fielding, czując lekki przyływ mdłości, jak przedtem w poczekalni dworcowej.

- Tak, imię, odpowiednią nazwę, pod którą byłaby powszechnie

znana.

- Doprawdy... nie przychodzą mi do głowy żadne imiona dla szkół. Nie potrafię myśleć o niczym innym z wyjątkiem naszego biednego Aziza. Czy pan zdaje sobie sprawę, że on w tej chwili jest w więzieniu?

- O, tak. Ależ nie oczekuję odpowiedzi na moje pytanie właśnie w tej chwili. Chodziło mi tylko o to, że kiedy pan będzie miał trochę wolnego czasu, przemyśli pan może tę sprawę i zaproponuje kilka ewentualnych nazw dla szkół. Sam myślałem o College'u im. Fieldinga, a jeśli nie, to „Im. króla i cesarza Jerzego Piątego”.

- Godbole!

Stary splótł dłonie z wyrazem chytrych i uprzejmego wdzięku.

- Czy Aziz jest winny, czy niewinny?

- O tym zadecyduje sąd. Wyrok będzie oparty wyłącznie na dowodach, w co nie wątpię.

- Tak, tak, ale chodzi o pana osobisty pogląd. Oto człowiek, którego obaj lubimy, cieszący się powszechnym szacunkiem. Żyje tu spokojnie, zajmuje się swoją pracą. I jaki można z tego wyciągnąć wniosek? Mógłby zrobić coś takiego czy nie?

* Pargana - jednostka administracyjna składająca się z kilku wsi.

168

- A, to już zupełnie inne pytanie niż to, które pan zadał poprzednio, i o wiele trudniejsze. To znaczy trudniejsze w świetle naszej filozofii. Doktor Aziz jest niezwykle wartościowym czło-

wiekiem, mam dla niego dużo szacunku. Ale wydaje mi się, że pan mnie pyta, czy jednostka może popełniać dobre czyny lub złe czyny, a to jest dla nas pytanie bardzo trudne. - Mówił beznamiętnie, krótkimi, urywanymi sylabami.

- Pytam pana: zrobił to czy nie? Czy wyrażam się jasno? Wiem, że tego nie zrobił, i to jest mój punkt wyjścia. W ciągu dwóch dni zamierzam znaleźć prawdziwe wyjaśnienie. Teraz mi się zdaje, że to przewodnik, który szedł tam z nimi. Zła wola ze strony panny Quested - to chyba niemożliwe, chociaż Hamidullah właśnie tak uważa. Z całą pewnością miała jakieś straszliwe przeżycie. Ale pan mi mówi: och, nie, bo dobro i zło jest tym samym.

- Nie, niezupełnie, według naszej filozofii. Ponieważ nic nie może być dokonane w izolacji. Wszyscy dokonują czynu dobrego, jeżeli dobry czyn został dokonany, a kiedy zostaje popełniony zły czyn, wszyscy go popełniają. Zilustruję panu moją myśl na przykładzie sprawy, o której mowa. Dowiaduję się, że na Wzgórzach Marabarskich popełniono zły czyn i że w rezultacie pewna godna szacunku dama z Anglii jest teraz poważnie chora. Odpowiadam na to: ten czyn popełnił doktor Aziz. - Przerwał i wciągnął chude policzki. - Ten czyn został popełniony przez przewodnika. - Przerwał ponownie. - Przez pana. - Na jego twarzy malowała się teraz odwaga i jednocześnie onieśmienie. - Został popełniony przeze mnie. - Zerknął nieśmiało na rękaw swego płaszcza. - I przez moich uczniów. Został popełniony przez nią samą. Gdy wydarza

się zło, jest ono wyrazem całości wszechświata. Podobnie, gdy wydarza się dobro.

- I podobnie, gdy wydarza się cierpienie, i tak dalej, i dalej, i wszystko jest wszystkim innym, a nic jest czymś - mruknął Fielding z irytacją, bo był mu potrzebny solidniejszy grunt.

- Proszę wybaczyć, ale znowu zmienia pan podstawowy temat naszej dyskusji. Rozpatrywaliśmy dobro i zło. Cierpienie jest sprawą jednostki. Jeżeli jakaś młoda dama zachoruje z powodu porażenia słonecznego, jest to rzecz bez znaczenia dla wszechświata. O, tak, bez najmniejszego znaczenia. O, tak, bez żadnego

169

znaczenia. Jest to sprawa odosobniona, dotyczy tylko jej samej. Gdyby uznała, że nie ma bólu głowy, nie byłaby chora i na tym koniec. Ale rzecz wygląda zupełnie inaczej w przypadku dobra i zła. Nie są one tym, za co je uważamy, są tym, czym są, a każdy z nas przyczynia się do istnienia jednego i drugiego.

- Głosi pan, że dobro i zło są tym samym.

- O nie, raz jeszcze proszę mi wybaczyć. Dobro i zło różnią się, jak wskazują na to ich nazwy. Ale moim skromnym zdaniem są one, jedno i drugie, aspektami mojego Boga. Jest on obecny w jednym, nieobecny w drugim, a różnica między obecnością i nieobecnością jest wielka, tak wielka, jak może to objąć mój słaby umysł. Jednakże nieobecność zawiera w sobie pojęcie obecności, nieobecność nie jest nieistnieniem, i dlatego mamy prawo powtarzać: „Przybądź, przybądź, przybądź”. - I jednym tchem, jakby pragnąc zatrzeć ślad wszelkiego piękna, jakie mogły zawierać jego słowa, dodał: - Ale czy miał pan czas zwiedzić któryś z cie-

kawych zabytków marabarskich?

Fielding milczał, chciał się chwilę zastanowić i dać wytchnienie myślom.

- Nie widział pan nawet zbiornika tuż przy miejscu, gdzie wycieczki zwykle rozbijają obóz? - ciągnął natrętnie Godbole.

- Tak, tak - odparł Fielding, myślami krążąc wokół wielu spraw naraz.

- To dobrze, w takim razie widział pan Zbiornik Sztyletu. - I przytoczył legendę, nadającą się może do wysłuchania, gdyby ją opowiedział na przyjęciu przed dwoma tygodniami. Dotyczyła pewnego hinduskiego radży, który zabił syna swej siostry, po czym sztylet służący za narzędzie zbrodniczego czynu trwale przywarł mu do dłoni, aż wreszcie, po wielu latach, radża trafił znów na Wzgórza Marabarskie, gdzie poczuł pragnienie i chciał się napić, ale zobaczywszy spragnioną krowę rozkazał ją najpierw napić, a kiedy to się stało, „sztylet wypadł mu z ręki”, więc dla upamiętnienia tego cudu radża zbudował zbiornik. Krowa była często tematem gawęd profesora Godbole'a. Tę opowieść Fielding przyjął w ponurym milczeniu.

Po południu otrzymał przepustkę i poszedł do Aziza, ale stwierdził, że rozpacz uczyniła go nieprzystępnym. - Opuściłeś mnie -brzmiała jego jedyna jako tako składna uwaga. Fielding odszedł,

770

żeby napisać list do panny Quested. Nawet jeśli list do niej dotrze, nie na wiele się to przyda, a prawdopodobnie McBryde'owie go zatrzymają. Panna Quested rzeczywiście zaskoczyła Fieldinga. Taka trzeźwa, rozsądna dziewczyna, bez cienia złośliwości; ostatnia chyba osoba w Czandrapurze, która chciałaby niesłusznie oskarżyć Hindusa.

Rozdział 20

Jakkolwiek panna Quested nie zyskała wielkiej popularności wśród Anglików, wydobyła teraz na światło dzienne wszystkie ładne cechy ich charakteru. Przez kilka godzin wprost tryskali naj-wznioślejszymi uczuciami, które kobiety przeżywały jeszcze silniej od mężczyzn, acz nie tak długo. „Co możemy uczynić dla naszej siostry?” Ta myśl nie opuszczała pani Callendar i pani Lesley, kiedy jechały w dokuczliwym upale dowiedzieć się o jej zdrowie. Spośród odwiedzających jedynie panią Turton wpuszczono do pokoju chorej. Wyszła stamtąd uszlachetniona bezinteresownym żalem. - To jakby moja własna ukochana córeczka - brzmiały jej słowa, po czym, przypomniawszy sobie, jak to kiedyś powiedziała o niej, że „nie jest pakka” i była przeciwna jej zaręczynom z młodym Heaslopem, zaczęła płakać. Nikt dotąd nie widział żony zarządcy płaczącej. Owszem, potrafiła ronić łzy, ale rezerwowała je na jakąś stosowną okazję i oto nadarzyła się okazja. Ach, dlaczego wszyscy nie okazali tej obcej więcej dobroci, więcej cierpliwości, dlaczego nie dali jej prócz gościnności także swoich serc? I pod wpływem wyrzutów sumienia na krótki czas otworzyły się dla niej ich serca. Jeżeli to już koniec (jak napomykał mgliście major Callendar), to trudno, to już koniec i nic się nie da zrobić, ale przyjmowali jakąś część odpowiedzialności za jej bolesną krzywdę, odpowiedzialności, której nie umieli zdefiniować. Jeżeli nie była jedną z nich, powinni byli tak postępować, żeby się nią stała, ale teraz nie będą mogli już tego uczynić, znalazła się poza zasięgiem ich zaproszenia. - Dlaczego nie myśli się więcej o in-nych ludziach? - wzdychała żądna zabaw panna Derek. Te żale przetrwały w czystej postaci jedynie przez kilka godzin. Jeszcze

171

nim słońce zaszło, zanieczyściły je inne względy i poczucie winy (w tak dziwny sposób towarzyszące naszemu pierwszemu zetknięciu z wszelkim cierpieniem) zaczęło się zacierać.

Ludzie zjeżdżali się do klubu z wyszukanyim spokojem -owym truchtem szlachty wiejskiej wśród zieleniejących żywopłotów - bo tubylcy nie powinni się domyślić, że Anglicy są poruszeni. Popijali te same co zawsze trunki, ale wszystko smakowało inaczej, i spoglądali na palisadę kaktusów, wrzynających się w purpurową gardziel nieba; zdawali sobie sprawę, że są oddaleni o tysiące mil od wszelkiego zrozumiałego dla nich krajobrazu. W klubie było pełniej niż zwykle, niektórzy rodzice przyprowadzili nawet dzieci do pokoiów zarezerwowanych dla dorosłych, na skutek czego atmosfera przypominała rezydencję w Lakhnau w dniach Wielkiej

Rebelii. Jedna młoda matka - głupia, ale bardzo piękna kobieta - siedziała na niskiej otomanie w palarni, tuląc w ramionach niemowlę. Jej mąż wyjechał na teren okręgu, a ona nie miała odwagi wrócić do swojej willi, bo „czarnuchy mogą zaatakować”. Jako żona drobnego urzędnika kolejowego była na ogół traktowana lek-ceważąco, ale tego wieczoru, ze swą bujną sylwetką i gęstwiną włosów koloru dojrzałej pszenicy, symbolizowała wszy-stko, za co warto walczyć i umrzeć; i był to może symbol trwalszy niż biedna Adela. - Niech się pani nie martwi, pani Blakiston, ten odgłos bębnow to tylko Moharram - pocieszali ją mężczyźni. - Więc już zaczęli - zaszlochala, przyciskając do piersi niemowlę i mówiąc sobie w duchu, że dzieciak nie powinien ślinić się tak obficie w takiej chwili. - Nie, skądże, a w każdym razie nie wybierają się do klubu. - I nie wybierają się do willi Bara Sahiba, moja droga, a tam właśnie pani i pani synek będziecie spali tej nocy - dodała pani Turton, górując nad nią niczym Pallas Atena i jednocześnie postanawiając, że w przyszłości nie będzie taką snobką.

Zarządca kłaśnięciem w dłonie poprosił o ciszę. Był znacznie spokojniejszy niż rano, kiedy wściekł się na Fieldinga. Właściwie zawsze był spokojniejszy, przemawiając do grupy osób, niż pod-czas rozmowy w cztery oczy.

- Chcę się zwrócić specjalnie do pań - powiedział. - Nie ma najmniejszego powodu do obaw. Proszę zachować spokój, spokój.

172

Niech panie nie wychodzą częściej niż to konieczne, proszę nie chodzić do miasta i nie prowadzić rozmów w obecności służby. To wszystko.

- Harry, czy są jakieś nowe wieści z miasta? - spytała jego

żona, która stała w pewnej odległości od niego; w głosie jej

również przebijała troska o „bezpieczeństwo publiczne”. Reszta

zachowała milczenie przez cały czas tej poważnej rozmowy.

- Wszystko w absolutnym porządku.

- Tak przypuszczałam. Te bębny to oczywiście tylko Moharram.

- Jedynie przygotowania. Procesja odbędzie się dopiero w przy-

szłym tygodniu.

- Słusznie, dopiero w poniedziałek.
- Jest tam pan McBryde przebrany za świętego męża - wtrąciła pani Callendar.
- Właśnie takich rzeczy nie należy mówić - zauważył zarządca, wskazując na nią. - Pani Callendar, proszę, niech pani będzie ostrożniejsza, zwłaszcza w tych czasach.
- Ja... ależ ja... - Nie była urażona, jego surowość dała jej poczucie bezpieczeństwa.
- Są jeszcze jakieś pytania? Niezbędne pytania.
- Czy ten... gdzie on jest... - zaczęła trwożnie pani Lesley.
- W więzieniu. Odmówiono mu zwolnienia za kaucją.

Następny odezwał się Fielding. Chciał wiedzieć, czy o zdrowiu panny Quested wydano oficjalny komunikat, czy też wszystkie złe wiadomości opierają się na plotkach. Jego słowa zrobiły niedobre wrażenie, częściowo dlatego, że wypowiedział głośno jej nazwisko; podobnie jak o Azizie, napomykano o niej tylko ogródkowe

- Mam nadzieję, że Callendar już wkrótce będzie mógł nas poinformować, jak się przedstawia sytuacja.
- Nie bardzo rozumiem, jak to ostatnie pytanie można nazwać pytaniem niezbędnym - rzekła pani Turton.
- Prosiłbym wszystkie panie, żeby zechciały teraz opuścić palarnię! - zawołał zarządca, ponownie klasnąwszy w dłonie. - I proszę pamiętać, co powiedziałem. Oczekujemy od pań pomocy w przetrwaniu trudnego okresu, a panie mogą nam pomóc, zachowując się tak, jakby wszystko szło normalnie. O nic więcej nie proszę. Czy mogę na panie liczyć? ,

- Tak, oczywiście, ależ tak - rozległy się głosy pań o wydłużonych, stroskanych twarzach. Wyszyły z pokoju uciszone, lecz w dziwnym uniesieniu, a pani Blakiston kroczyła pośrodku niby święty płomień. Proste słowa zarządcy przypomniały im, że są forpocztą imperium. Obok współczującej miłości ku Adeli zrodziło się w nich inne uczucie, które w końcu miało tę miłość zdławić. Jego pierwsze oznaki były prozaiczne i niewielkie. Pani Turton wygłaszała przy brydżu swoje głośne, nieporadne żarty, pani Lesley zaczęła robić wełniany szalik na drutach.

Kiedy palarnia opustoszała, zarządca przysiadł na krawędzi stołu, zyskując w ten sposób pozycję dominującą bez zbędnej etykiety. W głowie wirowały mu sprzeczne impulsy. Chciał pomścić pannę Quested i ukarać Fieldinga, a jednocześnie zachować absolutną bezstronność. Chciał wychłostać każdego tubylca, jakiego spotka, ale nie chciał zrobić czegoś, co by doprowadziło do rozruchów albo do interwencji wojskowej. Strach przed koniecznością wezwania wojska był w nim szczególnie żywy; żołnierze naprawiają jedną rzecz, ale psują dziesiątki innych, a poza tym bardzo lubią upokarzać administrację cywilną. Tego wieczoru w pokoju znalazł się jeden wojskowy -jakiś zablakany tu niższy oficer z pułku Gurkhów; był trochę pijany i uważał swoją obecność w klubie za zrządzenie opatrności. Turton westchnął. Nie pozostało mu chyba nic poza starą, żmudną metodą kompromisu i umiarkowania. Tęsknie wspominał dawne dobre czasy, kiedy Anglik mógł bronić swojego honoru i nikt go o nic potem nie pytał. Biedny Heaslop zrobił pewien krok w tym kierunku, odmawiając zwolnienia za kaucją, ale zarządca nie mógł jakoś przyznać, że było to mądre ze strony biednego Heaslopa. Taka rzecz nie tylko budzi gniew Nawaba Bahadura i innych, ale sam rząd Indii czuwa i obserwuje - a za nim stoi ta klika dziwaków i tchórzów, Parlament brytyjski. Musiał nieustannie napominać sam siebie, że w oczach prawa Aziz jest jeszcze niewinny, i ten wysiłek go nużył.

Inni, obciążeni mniejszą odpowiedzialnością, mogli się zachowywać w sposób naturalny. Zaczął mówić o „kobietach i dzieciach” - a frazes ten, kiedy powtórzy się go kilka razy, może pozbawić zdrowego rozsądku każdego mężczyznę. Wszyscy czuli,

że gra toczy się o to, co ukochali najbardziej na świecie, domagali się zemsty i byli przepełnieni jakimś bynajmniej nie przykrym żarem, w którym chłodne i ledwo znane rysy panny Quested z wolna się roztopiały, aby ustąpić miejsca wszystkiemu

co najmilsze i najdroższe w prywatnym życiu człowieka. „Ależ tu chodzi o kobiety i dzieci!” wołali jeden przez drugiego, a zarządca wiedział, że powinien przerwać to ich samoodurzanie się, ale po prostu nie miał serca. „Należy zmusić tych ludzi do dania zakładników” i tak dalej. Wiele spośród rzeźzonych kobiet i dzieci miało za kilka dni wyjechać w góry, wobec czego ktoś zaproponował, żeby je wyekspediować natychmiast specjalnym pociągiem.

- Świetna propozycja! - zawołał młody oficer. - Prędzej czy później armia musi wkroczyć. (Pociąg specjalny był w jego mózgu nieodłączny od wojska). To by się nigdy nie stało, gdyby Wzgórze Barabas było pod kontrolą wojskową. Wystarczy umieścić kilku Gurkhów u wejścia do grotty.

- Pani Blakiston mówiła, że przydałoby się tu choć kilku naszych żołnierzy - zauważył ktoś z obecnych.

- Anglicy do niczego! - wykrzyknął tamten, nie bardzo już wiedząc, komu ma okazywać lojalność. - W tym kraju dobre tylko oddziały tubylcze. Nie ma to jak odważny tubylec, jak Gurkhowie, Radżputowie, jak Dżatowie, jak ludzie z Pendżabu i Sikhowie, nie mając Marathowie, Bhilowie, Afridi i Pathanowie*, a jak już przyjdzie co do czego, możecie mi dać nawet najgorszy motłoch z bazaru. Oczywiście, jeżeli się nim odpowiednio dowodzi. Poprowadziłbym ich wszędzie...

Zarządca skinął mu głową i powiedział do swoich rodaków:

- Nie zaczynajcie przypadkiem chodzić po mieście z bronią. Chcę, żeby wszystko wyglądało tak jak zwykle, dopóki nie będzie powodu do zmian. Kobiety wyślijcie w góry, ale proszę to zrobić po cichu i, na miłość boską, ani słowa więcej o specjalnych pociągach. Nieważne, co myślicie czy odczuwacie. Być może ja

też coś odczuwam. Jeden jedyny Hindus usiłował... jest oskarżony o usiłowanie przestępstwa. - Prztyknął się mocno palcem w czoło

* Gurkhowie, Radżputowie... - nazwy indyjskich wspólnot kastowych i etnicznych zamieszkujących obszary dzisiejszych Indii, Pakistanu i Nepalu.

175

i wszyscy zrozumieli, że odczuwa całą rzecz równie silnie jak oni, i obdarzyli go swoją miłością, i postanowili nie przysparzać mu kłopotów. - W swoim postępowaniu liczcie się tylko z tym faktem, póki nie będzie innych faktów - zakończył zarządca. - Przyjmijcie, że każdy Hindus to anioł. Rozległy się szepty:

- Słusznie, tak zrobimy... Anioły... Właśnie...
- Przecież właśnie to mówiłem - odezwał się młody oficer. -

Tubylec może być całkiem do rzeczy, jeżeli jest sam. Lesley!

Lesley! Pamiętasz tego, z którym grałem w zeszłym miesiącu

na waszym majdanie? Był całkiem do rzeczy. Każdy tubylec,

który umie grać w polo, jest do rzeczy. Ale te warstwy oświe-

cone trzeba trzymać za łeb i raczcie zauważyć, że dobrze wiem,

co mówię.

Drzwi palarni otworzyły się i dobiegł przez nie gwar kobiecych głosów. Pani Turton zawołała: - Nastąpiła poprawa! - i w obu grupach dało się słyszeć westchnienie radości i ulgi. Naczelnny lekarz, który przyniósł tę wiadomość, wszedł do pokoju. Jego nalana, ziemista twarz wyrażała irytację. Rozejrzał się dokoła, zobaczył Fieldinga przycupniętego tuż obok na otomanie, i po-wiedział: - Hm! - Wszyscy zaczęli dopytywać się o szczegóły. -W tym kraju niebezpieczeństwo nigdy nie mija, póki chory ma gorączkę - brzmiała jego odpowiedź. Wydawało się, że jest niezadowolony z poprawy stanu pacjentki i nikt, kto znał starego majora Callendara i jego sposób bycia, ani trochę się temu nie dziwił.

- Klapnij gdzieś, Callendar, i opowiedz dokładnie.
- To by zajęło sporo czasu.
- Co u starszej pani?

- Gorączka.
- Moja żona słyszała, że ona niknie w oczach.
- Niewykluczone. Za nic nie gwarantuję. Naprawdę, Lesley, nie zadrećzaj mnie pytaniami.
- Przepraszam, stary.
- Zaraz będzie tu Heaslop.

Na dźwięk tego nazwiska wszystkie twarze przybrały ponownie wyraz szlachetności i piękna. Panna Qusted była tylko ofiarą, natomiast młody Heaslop był męczennikiem; był odbiorcą całego

776

zła, jakie zamierzał im wyrządzić kraj, któremu starali się służyć; dźwigał krzyż sahiba. I gryźli się teraz, że nie mogą zrobić dla niego nic w zamian; uważali się po prostu za tchórzów, siedzących z założonymi rękami i przyglądających się wymiarowi sprawiedliowości.

- Nie mogę odżałować, że dałem urlop tej perle, mojemu asystentowi. Prędzej powinienem był uciąć sobie język. Czuję się odpowiedzialny i to mnie tak gnębi. Z początku odmówić, a potem ustąpić pod presją! Właśnie tak zrobiłem, chłopcy, właśnie tak zrobiłem.

Fielding wyjął fajkę z ust i spojrzał na nią w zamyśleniu. Przypuszczając, że nauczyciel się boi, tamten mówił dalej:

- Jak zrozumiałem, Anglik miał towarzyszyć tej wyprawie. Stąd moje ustępstwo.
- Nikt pana nie wini, drogi majorze - powiedział zarządca, spuszczając wzrok. - W pewnym sensie wszyscy jesteśmy winni, bo mogliśmy się zorientować, że wyprawa jest niedostatecznie zabezpieczona i mogliśmy do niej nie dopuścić. Sam o wszystkim

wiedziałem, pożyczylimy rano nasz samochód, żeby zawiózł panie na stację. W tym sensie każdy z nas jest w to zamieszany, ale na panu osobiście nie ciąży nawet najmniejsze źdźbło winy.

- Nie tak to odczuwam. A chciałbym. Odpowiedzialność to straszna rzecz i gardzi ludźmi, którzy się od niej uchylają. - Jego wzrok był skierowany na Fieldinga. Ci, którzy wiedzieli, że Fielding podjął się towarzyszyć wycieczce i spóźnił się na poranny pociąg, bardzo mu współczuli; właśnie tego należy oczekiwać, kiedy człowiek wda się w towarzystwo tubylców - kończy się to zawsze jakąś zniewagą. Zarządca, który wiedział więcej, zachował milczenie, bo w swojej urzędniczej duszy wciąż wierzył, że Fielding się podporządkuje. Rozmowa zesłała ponownie na kobiety i dzieci i korzystając z tego, major Callendar porozumiał się z młodym oficerem i poszczuła go na nauczyciela. Udając bardziej pijanego, niż był w istocie, wojskowy zaczął robić na wpół obraźliwe uwagi.

- Słyszeliście o służącym panny Quested? - przyszedł mu z pomocą major.

- Nie, a co?

- Wczoraj wieczorem Heaslop przestrzegaa służącego panny Quested, że nie wolno mu ani na chwilę stracić jej z oczu.

177

Oskarżony dowiedział się o tym i jakoś zdołał się go pozbyć. Przekupił go. Heaslop dopiero co ustalił wszystkie szczegóły, z nazwiskami i wysokością łapówek. Pieniądze dał znany rajfur tych ludzi, nazwiskiem Mohammed Latif. Tyle na temat służącego. A co z Anglikiem - obecnym tu naszym znajomym? W jaki sposób pozbyli się go? Znowu pieniądze.

Fielding zerwał się, wsparty chórem szeptów i okrzyków, bo nikt dotąd nie podawał w wątpliwość jego uczciwości.

- Och, zostałem źle zrozumiany, przepraszam - rzucił obraźliwie major. - Nie chciałem przez to powiedzieć, że przekupili pana Fieldinga.

- Więc co pan chciał przez to powiedzieć?

- Opłacili tego drugiego Hindusa, żeby spowodował opóźnienie... tego Godbole'a. Odmawiał modlitwy. Znam ja te modlitwy!

- To śmieszne... - Fielding usiadł z powrotem, dygocąc z wściekłości; coraz więcej osób wciągano w bagno.

Wypuściwszy tę zatrutą strzałę, major przygotował następną.

- Heaslop dowiedział się jeszcze czego innego od swojej matki.

Aziz dał pieniądze bandzie tubylców, żeby ją przydusili w jednej z grot. To ją wykończyło, a razej wykończyłoby, gdyby się nie wydostała na zewnątrz. Ładnie pomyślane, co? Bardzo zgrabnie.

Potem mógł iść dalej z dziewczyną. On, ona i przewodnik, którego dostarczył ten sam Mohammed Latif. Przewodnika nie można teraz odszukać. Dobrze, co?! - Jego głos przeszedł w ryk. - Nie pora siedzieć z założonymi rękami. Pora działać. Trzeba wezwać wojsko i oczyścić bazy.

Na wybuchy majora nie zwracano nigdy uwagi, ale tym razem wzbudził we wszystkich niepokój. Zbrodnia wyglądała jeszcze gorzej, niż przypuszczali - sięgnęła granic ohydneho cynizmu, nie znanego od roku 1857. Fielding zapomniał o gniewie, jakim ujął się w imieniu biednego starego Godbole'a, i milczał pogrążony w myślach; zło rozprzestrzeniało się na wszystkie strony, żyło jakby własnym życiem, niezależnie od tego wszystkiego, co robiły lub mówiły jednostki, i Fielding rozumiał teraz lepiej, dlaczego zarówno Aziz, jak Hamidullah byli skłonni położyć się i umrzeć. Jego adwersarz widział, że Fielding jest zakłopotany, i pozwolił sobie na uwagę:

- Chyba nic z tego, co się mówi w klubie, nie wyjdzie na zewnątrz? - cały czas mrugając do Lesleya.

178

- A dlaczego miałyby wyjść? - zareplikował Lesley.

- Ach, nieważne. Słyszałem tylko plotki, że pewien członek klubu, który jest tu obecny, po południu odwiedził oskarżonego.

Nie można służyć dwóm panom, w każdym razie nie w tym kraju.

- Czy ktoś z obecnych ma taki zamiar?

Fielding był zdecydowany nie dać się ponownie sprowokować. Miał coś do powiedzenia, ale uznał, że zrobi to w momencie, który sam wybierze. Atak spełził na niczym, bo zarządca go nie poparł. Uwaga obecnych skierowała się w inną stronę. Potem znowu zaterkotały kobiece głosy. Tym razem drzwi otworzył Ronny.

Widać było, że młody człowiek jest wyczerpany i udręczony, ale też łagodniejszy niż zwykle. Zawsze okazywał szacunek przełożonym, teraz jednak płynął on wprost z jego serca. Zdawał się apelować do nich o opiekę w tej zniewadze, jaką mu wyrządzono, oni zaś w instynktownym hołdzie powstali ze swych miejsc. Ale na Wschodzie każdy ludzki uczynek jest skażony urzędową rutyną, toteż honorując Ronny'ego, potępiali jednocześnie Aziza i Indie. Fielding zdawał sobie z tego sprawę i nie wstał. Był to z jego strony postępek nieuprzejmy, wręcz gburowaty, może nawet nieślusny, ale on czuł, że zbyt długo zachowuje się biernie i jeśli nie stawi oporu, może zostać wciągnięty w niewłaściwy nurt. Ronny, który go nie zauważył, powiedział ochryłym głosem:

- Och, proszę... proszę, żeby wszyscy usiedli. Chcę tylko usłyszeć, co postanowiono.

- Heaslop, mówię im właśnie, że jesteś przeciwny wszelkim popisom siły - zwrócił się do niego zarządca tonem usprawiedliwienia. - Nie wiem, czy podzielisz mój pogląd, ale tak ja to widzę. Kiedy zapadnie wyrok, sprawa będzie wyglądała inaczej.

- Pan z pewnością wie najlepiej. Ja nie mam doświadczenia,

trudno mi coś powiedzieć.

- Jak się ma twoja matka, chłopcze?
- Lepiej, dziękuję. Chciałbym, żeby wszyscy usiedli.
- Niektórzy w ogóle nie wstawali - powiedział młody woj-
skowy.
- Major ma pocieszające wiadomości o stanie zdrowia panny
Quested - mówił dalej Turton.
- Tak, tak, jestem zupełnie zadowolony.

179

- Ale początkowo niepokoił się pan o nią, prawda, panie ma-
jorze? Dlatego odmówiłem zwolnienia za kaucją.

Callendar roześmiał się z przyjazną poufałością i rzekł:

- Heaslop, Heaslop, następnym razem, jak ktoś będzie chciał
zwolnienia za kaucją, zanim się zgodzisz, zadzwoń do starego
doktora. On ma szerokie ramiona, ale mówiąc w największym
zaufaniu, nie bierz jego opinii zbyt poważnie. Stary doktor to
skończony idiota, z tym zawsze możemy się zgodzić, ale robi, co
tylko będzie mógł, żeby zatrzymać w pace tego... - Przerwał
z afektowaną uprzejmością. - Och, ale jest tu jeden zjego przyjaciół.
- Wstań, ty świni! - wrzasnął młody oficer.
- Panie Fielding, dlaczego pan nie wstał, co było tego powo-
dem? - spytał zarządca, przyłączając się wreszcie do walki. To
był właśnie atak, na który Fielding czekał i na który musiał
odpowiedzieć.

- Panie zarządczo, czy mogę złożyć pewne oświadczenie?
- Naturalnie.

Dojrzały i niezależny, wolny od żarliwego nacjonalizmu i zażwoń młodości, nauczyciel zrobił coś, co było dla niego rzeczą stosunkowo łatwą. Wstał i powiedział:

- Uważam, że doktor Aziz jest niewinny.
- Jeśli to panu odpowiada, ma pan prawo do takiego poglądu, ale czy to powód, żeby obrażać pana Heaslopa?
- Mogę skończyć moje oświadczenie?
- Oczywiście.
- Czekam na wyrok sądu. Jeżeli ten człowiek jest winien, porzucam pracę i wyjeżdżam z Indii. Już teraz występuję z klubu.
- Brawo, brawo! - odezwały się głosy, nie tak całkiem wrogie, bo zebrany spodobalo się, że Fielding mówił głośno to, co myśli.
- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego pan nie wstał, kiedy Heaslop wszedł do pokoju?
- Z całym szacunkiem, proszę pana, nie jestem tu po to, żeby odpowiadać na pytania, tylko żeby złożyć pewną deklarację osobistą. Właśnie ją złożyłem.
- Pozwolę sobie zapytać, czy pan przejął kierownictwo tego okręgu?

Fielding ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę, panie Fielding. Proszę jeszcze nie odchodzić.

180

Zanim opuści pan klub, z którego pan bardzo słusznie występuje, zechce pan dać wyraz swojemu potępieniu tej zbrodni, a także przeprosić pana Heaslopa.

- Czy pan mówi do mnie oficjalnie, panie zarządco?

Zarządca, który nigdy nie mówił inaczej, był tak rozwścieczony, że stracił głowę. Wrzasnął:

- Niech pan stąd wyjdzie... głęboko żałuję, że wyszedłem po pana na stację, bo to mnie poniża! Stoczył się pan do poziomu swoich współników. Jest pan słaby, słaby, to jest pana nieszczęście...

- Chcę wyjść z pokoju, ale nie mogę, bo ten pan mi nie daje - rzucił Fielding swobodnie. Drogę zagroził mu młody oficer.

- Proszę go puścić - rzekł Ronny, niemal ze łzami.

Tylko to wezwanie mogło uratować sytuację. Trzeba zrobić wszystko, czego życzy sobie Heaslop. Nastąpiło lekkie szamotanie przy drzwiach, z których Fielding wypadł z szybkością trochę większą od naturalnej wprost do pokoju, gdzie panie grały w karty. „Gdybym tak runął albo się rozgniewał”, pomyślał. Naturalnie był trochę zły. Nigdy dotąd nie spotkał się z próbą przemocy ze strony równych sobie, ani też nikt z nich nie nazwał go słabym, a ponadto Heaslop odplacił mu dobrem za zło. Żałował, że wdał się w spór o nieszczęsnego, zbolełego Heaslopa, skoro pod ręką było tyle istotniejszych kwestii spornych.

No, ale stało się i już się nie odstanie, jakoś przez to przebrnął, więc żeby ochłonać i odzyskać równowagę psychiczną, poszedł na chwilę na górną werandę, a tam natychmiast wynurzyły się przed nim Wzgórza Marabarskie. Z tej odległości i o tej godzinie osiągały piękno. Były Monsalwatem, Walhallą, wieżami katedry, zaludniali je święci i herosi, porastały kwiaty. Kim jest ów łotr, który się w nich czaił, a którego miały teraz wykryć działania aparatu prawa? Kto był przewodnikiem i czy już go odnaleziono? Czym jest „echo”, na które skarżyła się dziewczyna? Nie wiedział, ale wkrótce się dowie. Albowiem potężna jest wiedza i jej będzie zwycięstwo. Były to ostatnie chwile światła i gdy Fielding spogłądał na Wzgórza Marabarskie, one zdawały się sunąć ku niemu z wdziękiem łaskawej monarchii, a ich czar udzielał się niebu. W chwili gdy zniknęły, były wszędzie, spłynęło chłodne błogo-sławieństwo nocy, zaiskrzyły się gwiazdy i cały wszechświat stał się wzgórzem. Piękna, cudowna chwila - ale przemknęła obok

Anglika z odwróconym obliczem i na chyżych skrzydłach. On sam nie odczuwał nic; było tak, jak gdyby ktoś mu powiedział, że jest taka chwila, a on czuł się zobowiązany w to uwierzyć. I nagle ogarnęło go zwątpienie i rozgoryczenie i zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście i prawdziwie jest udanym okazem rodzaju ludzkiego. Po czterdziestu latach doświadczeń nauczył się kierować swoim życiem i robić z niego najlepszy użytek według postępowych europejskich wzorów, wszechstronnie rozwijał swoją osobowość, analizował wady, opanowywał namiętności - a wszystko to robił, nie stając się ani pedantem, ani światowcem. Chlubne to osiągnięcia, ale gdy chwila refleksji minęła, wydało mu się, że powinien był przez cały ten czas pracować nad czymś innym -nie wiedział nad czym, nigdy się nie dowie, nigdy nie będzie mógł tego wiedzieć, i dlatego ogarnął go smutek.

Rozdział 21

Ponieważ tych żalów, jako niestosownych w obliczu aktualnej sprawy, odjechał do swoich nowych sojuszników, tak kończąc ów dzień. Był zadowolony, że zerwał z klubem, bo słyszałby tam różne plotki i powtarzał je w mieście, więc cieszył się, że pozbawiono go tej możliwości. Będzie mu brak bilardu i od czasu do czasu tenisa, i dowcipkowania z McBryde'em, ale to właściwie wszystko, tak niewielki był jego życiowy balast. U wejścia do bazarów jego koń przestraszył się tygrysa - chłopca przebranego za tygrysa, z ciałem pomalowanym w brązowe i żółte pręgi i maską na twarzy. Moharram nabierał rozpędu. Miasto robiło dużo wrzawy, ale wydawało się dobroduszne. Zaproszono go, żeby obejrzał niewielką tazia - byle jak skleconą i trochę frywolną konstrukcję, podobną raczej do krynoliny niż do grobu wnuka proroka, zabitego w Kerbeli. Rozgorączkowane dzieci oblepiały jej szkielet kolorowym papierem. Resztę wieczoru spędził w towarzystwie Nawaba Bahadura, Hamidullaha, Mahmuda Ali i innych członków przymierza. Kampania również nabierała rozpędu. Wysłano telegram do słynnego Amritrao, nadeszła jego zgoda. Zamierzano ponownie wystąpić o zwolnienie za kaucją - teraz,

182

kiedy pannie Quested już nic nie groziło, odmowa wydawała się niemożliwa. Narada była poważna i rozsądna, ale psuła ją grupa wędrownych grajków, którym pozwolono zagrać w ogrodzie. Każdy z nich trzymał duży gliniany dzban pełen drobnych kamyczków i potrząsał nim w takt żalosego zawodzenia. Zdenerwowany hałasem Fielding zaproponował, żeby ich odprawić, ale Nawab Bahadur sprzeciwił się temu; oświadczył, że muzycy, którzy przebyli pieszo wiele mil, mogą im przynieść szczęście.

Późnym wieczorem Fieldinga opanowała chęć opowiedzenia profesorowi Godbole'owi o taktycznym i moralnym błędzie, jaki popełnił, zachowując się niegrzecznie wobec Heaslopa, i zapragnął wysłuchać jego opinii.

Ale stary pan poszedł wcześniej do łóżka, a po kilku dniach wymknął się nie nagabywany przez nikogo do swojej nowej pracy; taki miał już dar, że wymykał się niepostrzeżenie.

Rozdział 22

Adela leżała przez wiele dni w willi McBryde'ów. Miała porażenie słoneczne, a ponadto z jej ciała trzeba było wydobyć setki kolców kaktusa. Całymi godzinami panna Derek i pani McBryde badały ją przez szkło powiększające, coraz to napotykając nowe kolonie mikroskopijnych włosków, które mogły, jeśli się je zlekceważyło, skruszyć się i dostać do krwi. Biernie poddawała się ich palcom i to pogłębiało jeszcze ów szok, którego doznała w grocie. Dotąd było jej właściwie obojętne, czy ktoś jej dotyka, czy nie: zmysły miała otępiałe, jedyny kontakt z ludźmi, jakiego oczekiwała, dotyczył sfery psychicznej. Teraz wszystko przeniosło się na powierzchnię jej ciała, które zaczęło brać odwet i zasilać się w sposób niezdrowy. Ludzie zdawali się bardzo do siebie podobni, tyle że jedni byli blisko, a inni trzymali się z dala. „W przestrzeni rzeczy się stykają, w czasie rzeczy się rozchodzą”, powtarzała sobie, kiedy wyciągano z niej kolce - a jej umysł był tak osłabły, że nie potrafiła rozstrzygnąć, czy to zdanie jest filozofią, czy grą słów.

Byli dla niej dobrzy, ba, aż za dobrzy - mężczyźni okazywali

183

zbyt wiele szacunku, kobiety zbyt wiele współczucia; natomiast pani Moore, jedyna osoba, którą chciała zobaczyć, trzymała się z daleka. Nikt nie rozumiał jej problemu, nikt nie wiedział, dlaczego oscyluje między zdrowym rozsądkiem i histerią. Zaczynała swoją opowieść, jakby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. - Weszłam do tej obrzydliwej groty - mówiła sucho - i pamiętam, jak po- drapałam ścianę paznokciem, żeby wywołać echo, a potem, jak już mówiłam, zjawił się ten cień, czy coś w rodzaju cienia, u wejścia do tunelu i odciał mi drogę. Wydawało się, że trwa to całe wieki, ale przypuszczam, że naprawdę wszystko nie mogło trwać dłużej niż trzydzieści sekund. Uderzyłam go lornetką, on ciągnął mnie dookoła groty za ramię, ramię pękł, uciekłam i to już wszystko. Właściwie ani razu mnie nie dotknął. To wszystko wygląda na taką bzdurę. - Potem jej oczy napełniały się łzami. - Naturalnie jestem zdenerwowana, ale to przejdzie. - Wtedy załamywała się zupełnie i

kobiety czuły, że jest naprawdę jedną z nich, i też płakały, a mężczyźni w sąsiednim pokoju pomrukiwali: „Mój Boże, mój Boże!”. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że uważała łzy za coś nikczemnego, za degradację znacznie głębszą niż wszystko, co przeżyła w Marabarze; że były zaprzeczeniem jej nowoczesnego światopoglądu i wrodzonej rzetelności intelektu. Adela wciąż starała się „przemyśleć ten incydent”, wciąż mówiła sobie, że nic złego się nie stało. Był „szok”, ale cóż to znaczy? Na jakiś czas dawała się przekonać własnej logice, potem znowu słyszała echo, płakała, oświadczała, że jest niegodna Ronny'ego, i wyrażała nadzieję, że napastnik otrzyma najwyższą karę. Po jednym takim ataku zapragnęła pójść do dzielnicy bazarów i prosić o przebaczenie każdego, kogo spotka, bo miała niejasne uczucie, że zostawia ten świat gorszym, niż go zastała. Czuła, że jest to jej zbrodnia, aż w końcu rozum, budząc się znowu, pod-szepnął jej, że popełnia tutaj błąd, i raz jeszcze skazał ją za bezpłodne poszukiwana.

Gdyby tylko mogła zobaczyć panią Moore! Stara pani ostatnio też nie czuła się dobrze i niechętnie wychodziła z domu, donosił Ronny. I w rezultacie echo natężyło się, drgało szaleńczo niczym nerw w jej zmyśle słuchu, a hałas w grocie, tak błahy intelektualnie, zdawał się wypełniać całe jej życie. Uderzyła w wygładzoną ścianę - bez powodu - i nim przebrzmiała odpowiedź, on poszedł

184

za nią, a punktem szczytowym wszystkiego było zgubienie lornetki. Ów dźwięk wytrysnął za nią, kiedy uciekała, i płynął dalej jak rzeka, która stopniowo zatapia równinę. Tylko pani Moore mogła go odegnąć z powrotem do źródła i zatkać pęknięty rezerwuar. Zło zerwało się z uwięzi... słyszała nawet, jak wdziera się do życia innych... I Adela spędzała dni w atmosferze smutku i przygnębienia. Jej przyjaciele poprawiali sobie nastrój, domagając się masakry tubylców, ale ona była na to zbyt strapiona i słaba.

Kiedy wszystkie kolce zostały usunięte i temperatura spadła, Ronny przyjechał, żeby zabrać Adelę do domu. Był wyniszczony gniewem i cierpieniem, a ona bardzo pragnęła go pocieszyć, ale ich bliskość zdawała się zadawać samej sobie kłam i im dłużej rozmawiali, tym byli nieszczęśliwsi i bardziej skrupowani. Najmniej bolesna była rozmowa o sprawach bieżących, więc on i McBryde opowiedzieli jej kilka rzeczy, które podczas kryzysu ukrywali przed nią na polecenie lekarza. Po raz pierwszy usłyszała o kłopotach z Moharramem. O mało nie doszło do rozruchów. Ostatniego dnia uroczystości wielka procesja zboczyła z oficjalnej trasy i próbowała wejść do dzielnicy rządowej, a poza tym przecięto kabel telefoniczny, bo zawadzał

przy przejeździe jednej z większych papierowych wież. McBryde i jego policjanci zaprowadzili porządek - dobra robota. Następnie poruszyli inny i bardzo bolesny temat: proces. Będzie musiała stawić się w sądzie, zidentyfikować oskarżonego i poddać się krzyżowemu ogniowi pytań indyjskich adwokatów.

- Czy pani Moore może być tam ze mną? - brzmiały jedyne jej słowa.

- Oczywiście, jak też tam będę - odparł Ronny. - Nie rozpatruję tej sprawy. Tamci zaprotestowali z uwagi na moje powiązania.

Proces ma się odbyć w Czandrapurze... w pewnym momencie myśleliśmy, że będzie przeniesiony gdzie indziej.

- Panna Qusted orientuje się zapewne, co to znaczy - powiedział McBryde ze smutkiem. - Sprawę będzie sędził Das.

Das był zastępcą Ronny'ego, rodzonym bratem pani Bhatta-charya, której powóz sprawił im taki zawód przed miesiącem. Był uprzejmy i inteligentny, i na podstawie materiału dowodowego mógł dojść tylko do jednej konkluzji; ale to, że miał być sędzią w sprawie młodej Angielki, przyprawiło dzielnicę rządową

185

0 wściekłość, a kilka pań wysłało nawet w tej sprawie telegram do lady Mellanby, żony gubernatora.

- Ktoś musi sędzić.

- To... to jest właściwa postawa. Zuch z pani, panno Qusted. -

Był bardzo rozgoryczony tą sytuacją i nazwał ją „owocem demokracji”. W dawnych dobrych czasach Angielka nie musiałaby

stawać w sądzie ani też żaden Hindus nie ośmieliłby się roztrząsać jej prywatnych spraw. Złożyłaby zeznania i ogłoszono by wyrok.

Przepraszał ją za stan, w jakim znajdują się Indie, i w rezultacie dostała jednego ze swoich nagłych i krótkich ataków płaczu.

A gdy płakała, Ronny wędrował przygnębiony z kąta w kąt, deptając kwiaty kaszmirskiego dywanu lub bębniąc palcami po mosiężnych misach z Benares.

- Z każdym dniem zdarza mi się to rzadziej, niedługo poczuję się zupełnie dobrze - powiedziała Adela, wycierając nos i czując się przy tym okropnie. - Brakuje mi jakiegoś zajęcia. Dlatego nie mogę skończyć z tym śmiesznym płaczem.

- Wcale nie jest śmieszny, uważamy, że pani jest nadzwyczajna - powiedział nadinspektor bardzo szczerze. - Martwi nas tylko, że nie możemy pani więcej pomóc. To, że pani się u nas zatrzymała... w takim momencie... jest największym zaszczytem, jaki ten dom... - Jego też opanowało wzruszenie. - Ale, ale, w czasie pani choroby przyszedł list - mówił dalej. - Otworzyłem go... trochę to dziwne wyznanie z mojej strony. Czy pani mi wybaczy? Okoliczności są niecodzienne. To od Fieldinga.

- Ale dlaczego on do mnie pisze?

- Zdarzyła się rzecz godna pożałowania. Obrona go skaptowała.

- To dziwak, dziwak - powiedział lekceważąco Ronny.

- Ty tak ujmujesz tę sprawę, ale człowiek może być dziwakiem, nie będąc jednocześnie łotrem. Panna Quested powinna wiedzieć, jak się zachował wobec ciebie. Jeżeli ty jej nie powiesz, powie kto inny. - I powiedział jej. - Nie muszę chyba dodawać, że jest teraz filarem obrony. Jedyne sprawiedliwy Anglik wśród całej hordy tyranów. Przyjmuje delegacje z bazaru, wszyscy żują betel

1 smarują jeden drugiemu ręce wonnościami. Niełatwo spenetrować

umysł takiego człowieka. Jego uczniowie strajkują - w swoim entuzjazmie dla niego nie odrabiają lekcji. Gdyby nie Fielding, nie byłoby kłopotów w czasie Moharramu. Wyświadczył bardzo

186

złą przysługę całej społeczności. Ten list leżał tu ze dwa dni, czekając, aż pani poczuje się lepiej, i wreszcie sytuacja stała się tak poważna, że otworzyłem go, bo mógł się okazać użyteczny.

- I jest? - spytała słabym głosem.
- Ani trochę. On ma tupet twierdzić, że pani się pomyliła.
- Oby tak było! - Przejrzała list, który w doborze słów był bardzo staranny i oficjalny. - Doktor Aziz jest niewinny - przeczytała. Potem głos jej znów zaczął drżeć. - Ale pomyśl tylko, jak on się zachował wobec ciebie, Ronny. Kiedy i tak już tyle przeze mnie wycierpiałeś! To okropne z jego strony. Mój drogi, jak ci to wynagrodzę? Jak można coś wynagrodzić, skoro nie ma się nic do dania? Jaki jest pożytek ze związków między ludźmi, jeśli każdy coraz mniej do nich wnosi? Uważam, że wszyscy powinniśmy wrócić na pustynię na całe stulecia i starać się odnaleźć w sobie dobro. Chcę zacząć od początku. To wszystko, czego się we własnym pojęciu nauczyłam, jest tylko przeszkodą, to nie jest w ogóle żadna wiedza. Nie nadaję się do międzyludzkich związków. No cóż, chodźmy, chodźmy. Oczywiście list pana Fieldinga się nie liczy. Ten człowiek może myśleć i pisać, co mu się podoba, tylko nie powinien był zachować się niegrzecznie wobec ciebie, kiedy tyle musiałeś znosić. Tylko to ma znaczenie... Nie bierz

mnie pod ramię, jestem wspaniałym piechurem, więc nie dotykaj mnie, proszę.

Pani McBryde pożegnała ją czule - kobieta, z którą nie miała nic wspólnego, której bliskość bardzo ją przygnębiała. Teraz będą się musiały widywać przez całe lata, aż jeden z ich mężów doczekała się emerytury. Zaiste, Anglo-Indie mocno schwytały ją w swoje szpony i może to jej się należało za próbę pójścia własną drogą. Z pokorą, lecz także z odrazą, wypowiedziała słowa podziękowania. - Och, musimy sobie pomagać, musimy umieć godzić się z przeciwnościami życia - powiedziała pani McBryde. Była przy tym panna Derek, która wciąż sypała żartami na temat swojego komicznego maharadży i jego rani. Ponieważ miała wystąpić jako świadek na procesie, nie zgodziła się odesłać mud-kulskiego auta; oboje będą strasznie źli. Zarówno pani McBryde, jak panna Derek wyczuwały Adelę i mówiły do niej po imieniu. Potem Ronny ją odwiózł. Był wczesny ranek, bo wraz ze zbliżaniem się pory suchej dzień pęczniał na obu końcach niczym

187

monstrualny stwór, pozostawiając coraz mniej miejsca na ruchy śmiertelników.

Kiedy zbliżali się do jego willi, Ronny powiedział:

- Matka bardzo się cieszy, że cię zobaczy, ale jest stara, nie należy o tym zapominać. Moim zdaniem, starzy ludzie nigdy nie biorą niczego tak, jak by człowiek oczekiwał. - Zdawało się, że chce ją ostrzec przed bliskim rozczarowaniem, ale nie zwróciła na to uwagi. Jej przyjaźń z panią Moore była tak głęboka, tak prawdziwa, że na pewno przetrwa, cokolwiek miałyby się zdarzyć.
- Jak mogę ci pomóc, ulżyć? Ty jesteś najważniejszy.
- Jesteś dobra i kochana, że tak mówisz.
- Ty jesteś dobry i kochany. - A potem wykrzyknęła: - Ronny, czy ona też jest chora?!

Uspokoił ją. Major Callendar nie był niezadowolony ze stanu jej zdrowia.

- Ale zobaczysz, że jest... przewrażliwiona. Jesteśmy przewrażliwioną rodziną. Zresztą sama się przekonasz. Niewątpliwie moje nerwy nie są w porządku i kiedy wracałem z biura, oczekiwałem od matki więcej, niż była gotowa mi dać. Na pewno dla ciebie zdobędzie się na specjalny wysiłek, ale mimo to nie chcę, żeby powrót do domu sprawił ci rozczarowanie. Nie oczekuj zbyt wiele.

Widać już było dom. Był wierną kopią willi, z której przed chwilą wyjechała. Pani Moore, z twarzą nalaną, czerwona i dziwnie surowa, siedziała na sofie. Nie wstała, kiedy weszli, co tak zdumiało Adelę, że otrząsnęła się z własnych trosk.

- Wróciliście oboje - brzmiało jedyne powitanie.

Adela usiadła i wzięła ją za rękę. Tamta cofnęła dłoń i dziewczyna poczuła, że podobnie jak budzą w niej odrazę inni, tak ona budzi odrazę w pani Moore.

- Dobrze się czujesz? Jak wychodziłem, wyglądałaś zupełnie dobrze - powiedział Ronny, starając się mówić bez gniewu, chociaż przed wyjściem poinstruował ją, żeby przyjaźnie powitała dziewczynę, i teraz nie mógł nie odczuwać pewnej irytacji.

- Czuję się dobrze - odparła posępnym głosem. - Prawdę mówiąc, oglądałam bilet powrotny. Jest wymienny, więc mam o wiele więcej statków do wyboru, niż myślałam.

- Tym możemy się zająć później, dobrze?

188

- Ralph i Stella chcieliby chyba wiedzieć, kiedy przyjeżdżam.

- Jest mnóstwo czasu na te plany. Co sądzisz o wyglądzie naszej Adeli?

- Liczę, że pani mi pomoże przebrnąć przez to wszystko. To

dobrodziejstwo, że mogę znów być z panią, wszyscy inni są mi obcy - rzuciła pośpiesznie dziewczyna.

Ale pani Moore nie okazała się skłonna do udzielania pomocy. Emanowało z niej coś, co można by nazwać urazą. Zdawała się mówić: „Czy wiecznie ktoś mi będzie zawracał głowę?”. Jej chrześcijańska wrażliwość ulotniła się czy może przerodziła w pełną zawziętość, w słuszny gniew na cały rodzaj ludzki. Nie zainteresowało jej aresztowanie Aziza, nie zadawała prawie żadnych pytań, nie chciała wstać z łóżka tej straszliwej, ostatniej nocy Moharramu, kiedy spodziewano się napaści na ich willę.

- Wiem, że to wszystko nie ma znaczenia. Muszę być rozsądna, naprawdę usiłuję... - mówiła dalej Adela, znów wprawiając się w stan bliski łez. - Nic bym sobie z tego nie robiła, gdyby się to zdarzyło gdziekolwiek indziej. Zresztą ja naprawdę nie wiem, gdzie to się zdarzyło.

Ronny przypuszczał, że wie, o co jej chodzi: nie umiała zidentyfikować ani opisać tej szczególnej groty, właściwie można by powiedzieć, że nie chciała mieć jasnego poglądu w tej sprawie, a wiadomo było, że obrona postara się wykorzystać to w czasie procesu. Uspokoił ją: wszyscy wiedzą, że Groty Marabarskie są identyczne, ba, w przyszłości mają być ponumerowane białą farbą.

- Tak, o to mi chodzi, w każdym razie nie mogłabym jej opisać dokładnie. Ale jest jeszcze to echo, które ciągle słyszę.

- A co z tym echem? - spytała pani Moore, po raz pierwszy zwracając na nią uwagę.

- Nie mogę się od niego uwolnić.

- Myślę, że się nigdy nie uwolnisz.

Ronny z naciskiem uprzedzał matkę, że Adela wróci w stanie chorobliwego podniecenia, ale starsza pani była zdecydowanie złośliwa.

- Proszę pani, czym jest to echo?

- Nie wiesz?

- Nie... czym ono jest? Och, proszę mi powiedzieć! Czułam, że pani będzie mogła wyjaśnić... to mi przyniesie ulgę...

189

- Jak nie wiesz, to nie wiesz. Ja ci nie mogę powiedzieć.

- Jest pani trochę niedobra, że nie chce pani mówić.

- Mówić, mówić, mówić - rzuciła gorzko stara kobieta. - Jak gdyby można było w ogóle coś powiedzieć! Spędziłam życie, mówiąc albo słuchając mówienia. Za dużo słuchałam. Czas, żeby mnie zostawiono w spokoju. Nie po to, żebym umarła - dodała kwaśno. - Na pewno spodziewacie się mojej śmierci, ale kiedy doczekam się twojego ślubu z Ronnym i zobaczę tamtych dwoje, i będę wiedziała, czy chcą się pobrać, wtedy schronię się do mojej własnej groty. - Uśmiechnęła się, żeby sprowadzić swoje słowa na płaszczyznę codziennego życia i w ten sposób wzmóc jeszcze ich gorycz. - Gdzieś, gdzie nie będą się zjawiali młodzi ludzie zadający pytania i oczekujący odpowiedzi. Na jakąś półkę.

- Rozumiem, ale tymczasem czeka nas proces - zachnął się jej syn - i większość z nas uważa, że powinniśmy raczej współdziałać i pomagać jedni drugim, a nie robić sobie przykrości. Czy zamierzasz mówić w taki sposób, kiedy będziesz świadkiem?

- Dlaczego mam być świadkiem?

- Żeby potwierdzić pewne punkty naszego oskarżenia.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z waszymi śmiesznymi sądami - rzekła rozgniewana. - Za nic nie dam się w to wciągnąć.

- Ja też nie chcę, żeby panią w to wciągano. Nie chcę żadnych nowych przykrości z mojego powodu! - zawołała Adela i znowu ujęła dłoń, która się znowu cofnęła. - Pani zeznania są zupełnie nieistotne.

- Myślałem, że matka będzie chciała je złożyć. Nikt nie ma do ciebie pretensji, mamó, ale fakt jest faktem, że zostałeś przy pierwszej grocie i zachęcałaś Adele, żeby poszła z nim dalej sama, a gdybyś czuła się na siłach iść z nimi, nic by się nie zdarzyło. On tak to sobie zaplanował, wiem. Mimo to wpadłaś w pułapkę, podobnie jak Fielding i Antony przed tobą... Wybacz, że mówię tak bez ogródek, ale nie masz prawa przyjmować tej wyniosłej postawy wobec sądów. Jeżeli jesteś chora, to co innego. Ale mówisz, że czujesz się dobrze, i dobrze wyglądasz, więc myślałem, że zechcesz wziąć udział w rozprawie, naprawdę tak myślałem.

- Nie pozwolę ci jej dręczyć, czy jest zdrowa, czy chora - powiedziała Adela, wstając z sofy i biorąc go za ramię: nagle puściła je z westchnieniem i znowu usiadła. Ale jemu zrobiło

190

przyjemność, że się do niego zbliżyła, i protekcjonalnie spojrzał na matkę. Nigdy nie czuł się z nią naprawdę swobodny. Nie była bynajmniej tą przemiłą staruszką, za jaką uważali ją obcy, a Indie ujawniły wszystkie jej cechy.

- Będę na waszym ślubie, ale nie na waszym procesie - zakomunikowała, klepiąc się dłonią po kolanie. Była teraz wyraźnie zniecierpliwiona i niegrzeczna. - Potem wracam do Anglii.

- Nie możesz jechać do Anglii w maju, sama się z tym zgo-

działaś.

- Zmieniłam zamiar.

- Lepiej chyba skończmy tę niepotrzebną kłótnię - powiedział młody człowiek, dużymi krokami przemierzając pokój. - Zdaje się, że chcesz trzymać się z dala od wszystkiego i to nam wystarczy.

- Moje ciało, moje nieszczęsne ciało - westchnęła. - Dlaczego nie jest silne? Dlaczego nie mogę odejść i zniknąć? Dlaczego nie mogę uwolnić się wreszcie od obowiązków i zniknąć? Dlaczego przy chodzeniu dostaję bólu głowy i sapię? I cały czas rób to i rób tamto, i rób to, jak ty chcesz, i rób tamto, jak ona chce, i wciąż tylko współczucie i zamieszanie, i wzajemne dźwiganie nie swoich ciężarów. Dlaczego to czy tamto nie może być zrobione, jak ja tego chcę... a gdyby było zrobione, miałabym wreszcie spokój? Nie rozumiem, dlaczego w ogóle coś musi być zrobione? Po co to całe małżeństwo, małżeństwo?... Rodzaj ludzki stałby się jedną osobą już przed wiekami, gdyby z małżeństwa był jakiś pożytek. I te wszystkie bzdury na temat miłości, miłość w kościele, miłość w jaskini, jakby to była jakaś różnica, a mnie się odrywa od moich spraw dla takich drobiazgów!

- Czego właściwie chcesz? - powiedział z pasją. - Czy mogłabyś to wyłożyć prostym językiem? Jeżeli tak, mów.

- Chcę wziąć moje karty do pasjansa.

- Świetnie, weź je.

Jak się tego spodziewał, biedna dziewczyna płakała. I jak zwykle, pod oknem stał Hindus, tym razem mali *, łowiący uchem każdy dźwięk. Bardzo zdenerwowany siedział chwilę w milczeniu, rozmyślając o swojej matce i jej starczym natręctwie. Żałował, że

* Mali - ogrodnik.

191

ją kiedykolwiek prosił, by przyjechała do Indii, i że ma wobec niej jakieś zobowiązania.

- No cóż, moja miła, nienadzwyczajnie wypadł te powrót do domu - powiedział wreszcie. - Nie miałem pojęcia, że ona trzyma w zanadrzu coś takiego.

Adela przestała płakać. Na jej twarzy pojawił się niezwykle wyraz ni to ulgi, ni to zgrozy. Powtarzała:

- Aziz, Aziz.

Wszyscy unikali wymawiania tego nazwiska. Stało się synoni-mem złych mocy. Był „oskarżonym”, „tym, o którym mowa”, „obroną” i teraz zabrzmiało ono jak pierwszy ton nowej symfonii.

- Aziz... czy ja się pomyliłam?

- Jesteś przemęczona - powiedział bez specjalnego zdziwienia.

- Słuchaj, on jest niewinny, popełniałam straszną pomyłkę.

- Dobrze, dobrze, w każdym razie usiądź. - Rozejrzał się po pokoju, ale tylko dwa wróble uganiały się pod sufitem. Adela usłuchała i wzięła go za rękę. On pogłaskał je dłoń, dziewczyna uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko, jakby wydobywając się na powierzchnię wody, potem dotknęła swego ucha.

- Z moim echem jest lepiej.

- To dobrze. Za kilka dni będziesz zupełnie zdrowa, ale musisz zbierać siły na proces. Das to bardzo porządny facet, wszyscy będziemy przy tobie.

- Ale Ronny, mój miły Ronny, może nie powinno być procesu?
- Nie bardzo wiem, co chcesz powiedzieć, i nie myślę, żebyś sama wiedziała.
- Jeżeli doktor Aziz tego nie zrobił, powinno się go wypuścić.

Przeszedł po nim dreszcz jak zapowiedź bliskiej śmierci.

- Był na wolności - odparł pośpiesznie - aż do rozruchów w czasie Moharramu, kiedy trzeba go było znowu zamknąć. - Żeby zmienić tok jej myśli, opowiedział historyjkę, którą wszyscy uważali za śmieszna. Nureddin ukradł samochód Nawaba Bahadura i w ciemnościach wjechał z Azizem do rowu. Obaj wypadli z auta, a Nureddin miał pokiereszowaną całą twarz. Ich jęki utonęły w krzyku wiernych i upłynęło sporo czasu, zanim policja wybawiła ich z opresji. Nureddina zabrano do szpitala, Aziza z powrotem do więzienia, obciążając go dodatkowo zarzutem zakłócenia po-

192

rzędu publicznego. - Chwileczkę - powiedział skończywszy tę opowieść i poszedł do telefonu. Chciał poprosić Callendara, żeby wpadł do nich, jak tylko będzie mógł, bo Adela nie bardzo dobrze zniosła podróż.

Kiedy wrócił, miała atak nerwowy, ale tym razem wyglądało to inaczej - przytuliła się do niego i łkała:

- Pomóż mi zrobić to, co powinnam. Aziz jest dobry. Słyszałaś, jak twoja matka to mówiła.
- Co słyszałem?
- Jest dobry. Tak go niesprawiedliwie oskarżyłam.
- Mama nigdy tego nie mówiła.
- Naprawdę? - spytała, już znowu rozsądna, a w każdym razie

gotowa wysłuchać wszelkich sugestii.

- Ani razu nie wymieniła tego nazwiska.
- Ależ Ronny, ja słyszałam.
- Zwykle złudzenie. Chyba nie jesteś jeszcze zdrowa, skoro zmyślasz taką rzecz.
- Chyba nie. Jakie to dziwne!
- Słyszałam wszystko, co mówiła, jeżeli w ogóle można było tego słuchać. Zaczyna mówić bardzo chaotycznie.
- Zniżyła głos i powiedziała... pod koniec, kiedy wspomniała o miłości... o miłości... nie mogłam dokładnie zrozumieć, ale właśnie wtedy powiedziała: „Doktor Aziz tego nie zrobił”.
- Wypowiedziała te słowa?
- Raczej myśl niż słowa.
- Nic podobnego, kochanie. Najzwyczajniejsze złudzenie. Nikt nie wymienił jego nazwiska. Słuchaj, to ci się pomieszało z listem Fieldinga.
- Ach tak, tak! - wykrzyknęła z uczuciem ulgi. - Pamiętam, że gdzieś słyszałam to nazwisko. Jestem ci taka wdzięczna, żeś to wyjaśnił... takie pomyłki najbardziej mnie martwią, bo dowodzą, że nerwy mam nie w porządku.
- Więc już nie będziesz twierdziła, że on jest niewinny, dobrze? Bo każdy służący w tym domu jest szpiegiem. - Podeszedł do okna. Mali zniknęli, a raczej przedzierzgnął się w dwoje małych dzieci - niemożliwe, żeby znały angielski, ale je przegnał. - Oni wszyscy nas nienawidzą - dodał. - Po wyroku wszystko będzie

dobrze, bo muszę im oddać sprawiedliwość, że uznają fakty

193

dokonane, ale tymczasem sypią pieniędzmi jak piaskiem, żeby nas złapać na jakimś potknięciu, i czyhają na coś takiego jak ta twoja uwaga. To by im pozwoliło oświadczyć, że cała sprawa została wyreżyserowana przez nas, urzędników. Rozumiesz, co mam na myśli.

Pani Moore wróciła do pokoju z tą samą poirytowaną miną i ciężko osunęła się na krzesło przy stoliku do kart. Żeby wyjaśnić nieporozumienie, Ronny spytał ją wprost, czy wymieniła nazwisko oskarżonego. Nie zrozumiała pytania i musiał wyjaśnić, dla czego pyta.

- Ani razu nie wymieniłam jego nazwiska - odpowiedziała

i zaczęła układać pasjansa.

- Myślałam, że powiedziałaś „Aziz jest niewinny”, ale to było w liście pana Fieldinga.

- Oczywiście, że jest niewinny - odparła obojętnie. Po raz pierwszy wyraziła jakiś pogląd w tej sprawie.

- Widzisz, Ronny, miałam rację - rzekła dziewczyna.

- Nie miałaś racji, wcale tego nie mówiła.

- Ale tak myśli.

- Co za różnica, co myśli.

- Czerwona dziewiątka na czarną dziesiątkę... - dobiegło od stolika.

- Może sobie tak myśleć i Fielding też, ale chyba istnieje coś, co się nazywa dowodami rzeczowymi.

- Wiem, ale...

- Czy znowu mam obowiązek mówić? - spytała pani Moore, podnosząc wzrok znad kart. - Na to wygląda, skoro mi ciągle

przeszkadzacie.

- Tylko pod warunkiem, że masz coś rozsądnego do powiedzenia.

- Ach, jakie to nudne... trywialne... - i jak wtedy, kiedy szczyła z miłości, miłości, miłości, jej myśli zdawały się płynąć ku nim z oddali i z głębi mroku. - Ach, dlaczego wszystko jest w dalszym ciągu moim obowiązkiem? Kiedy będę wolna od tej waszej krzątaniny? Czy on był w grocie i czy ty byłaś w grocie, i tak w kółko... i „Oto syn się nam narodził, oto Dziecię jest nam dane...” i czy ja jestem dobra, a on jest zły, i czy jesteśmy zbawieni? I wszystko kończy się echem.

194

- Już go nie słyszę tak często - rzekła Adela, zbliżając się do niej. - Pani je oddała, pani czyni tylko dobro, pani jest taka dobra.

- Nie jestem dobra, o nie, jestem zła. - Mówiła teraz spokojniej i znowu wzięła karty, a wykładając je, powiedziała: - Zła stara kobieta, zła, zła, wstrętna. Byłam kiedyś dobra dla dzieci, kiedy rosły, i jak spotkałam tego młodego człowieka w jego meczecie, chciałam, żeby był szczęśliwy. Dobrzy, szczęśliwi, mali ludkowie. Oni nie istnieją, byli snem... Ale nigdy wam nie pomogę dręczyć go za to, czego nie zrobił. Są różne drogi zła, a ja wolę moją od waszej.

- Czy masz jakieś dowody przemawiające za oskarżonym? - powiedział Ronny tonem sprawiedliwego sędziego. - Jeśli tak, jest twoim świętym obowiązkiem wystąpić jako jego świadek,

a nie nasz. Nikt cię nie będzie powstrzymywał.

- Znamy te „reputacje” ludzi, jak wy to nazywacie - odcięła się pogardliwie, jak gdyby naprawdę wiedziała o czymś więcej niż o reputacji, ale nie mogła tego przekazać. - Mówili o nim dobrze i Anglicy, i Hindusi, sama słyszałam i czułam, że on nie zrobiłby takiej rzeczy.

- To słabe, mamó, słabe.

- Bardzo słabe.

- I bardzo nieuprzejme wobec Adeli.

- Byłoby straszne, gdybym się myliła. Odebrałabym sobie życie - powiedziała Adela.

- Przed czym cię dopiero co ostrzegałem? - skoczył na nią gwałtownie. - Wiesz, że się nie mylisz, i wiedzą to wszyscy w dzielnicy rządowej.

- Tak, on... To jest straszne, naprawdę straszne. Jestem w dalszym ciągu pewna, że poszedł za mną... tylko... czy nie dałoby się wycofać sprawy? Coraz bardziej mnie przeraża myśl o znawaniu w sądzie, a wy wszyscy tu jesteście tacy dobrzy dla kobiet i macie o tyle więcej władzy niż w Anglii... weź na przykład samochód panny Derek. Och, naturalnie, to jest niemożliwe, wstyd mi, że o tym wspomniałam. Przebacz mi, proszę.

- W porządku -brzmiała jego niezbyt zadowolająca odpowiedź. - Oczywiście przebaczam ci, jak to nazywasz. Ale sprawa musi być rozpatrzona przez sędziego. Naprawdę musi, machina poszła w ruch.

- To ona puściła machinę w ruch. I machina będzie pracować

do końca.

195

Po tej przykrew uwadze Adela była bliska łez, a Ronny wziął do ręki rozkład rejsów statków parowych, bo przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. Jego matka musi natychmiast wyjechać z Indii: nie przynosi pożytku ani sobie, ani nikomu innemu w tym kraju.

Rozdział 23

Lady Mellanby, małżonce gubernatora prowincji, sprawił dużą przyjemność apel wystosowany do niej przez panie z Czandrapuru. Nie mogła nic uczynić, zresztą odpływała właśnie do Anglii; pragnęła jednak, żeby ją zawiadomiono, czy może w jakiś inny sposób dać wyraz swemu współczuciu. Pani Turton odpowiedziała, że matka pana Heaslopa stara się właśnie o bilet, ale zwlekała zbyt długo i wszystkie statki są już przepelnione; czy lady Mellanby mogłaby użyć swoich wpływów? Nawet lady Mellanby nie potrafiła powiększyć rozmiarów statku pasażerskiego, ale będąc naprawdę bardzo, bardzo miłą kobietą oddepeszowała, że proponuje nieznajomej i nikomu nie znanej starej damie miejsce w za-rezerwowanej dla siebie kabynie. Był to istny dar niebios. Pełen pokory i wdzięczności Ronny nie mógł się powstrzymać od refleksji, że za wszelkie niedole otrzymuje się zadośćuczynienie. Dzięki biednej Adeli jego nazwisko było już znane w Urzędzie Gubernatorskim, a teraz pani Moore wyrzyje je w pamięci lady Mellanby podczas wspólnej podróży przez Ocean Indyjski i po Morzu Czerwonym. Powróciła w nim nagle czułość dla matki, jak zdarza się nam w stosunku do krewnych, których spotykają świetne i niespodziewane zaszczyty. Nie była osobą bez znaczenia, umiała jeszcze zwrócić na siebie uwagę żony wysokiego urzędnika. Pani Moore miała więc wszystko, czego pragnęła; uciekała od procesu, ślubu i pory gorącej; ma powrócić do Anglii wygodnie i z godnością, żeby zobaczyć swoje pozostałe dzieci. Na propozycję syna i na własne życzenie istotnie odjechała. Ale przyjęła ten uśmiech losu bez entuzjazmu. Osiągnęła już stan, w którym dostrzega się jednocześnie grozę wszechświata i jego małość - ów półmrok podwójnego widzenia, w jakim pogrąża się wielu starych

196

ludzi. Jeśli ten świat nie jest nam do smaku, cóż, istnieje w każdym razie Niebo, Piekło, Unicestwienie - taka czy inna z tych wielkich spraw, owo potężne teatralne tło gwiazd, płomieni, błękitnych lub czarnych przestworzy. Wszelkie heroiczne dążenia i

wszystko, co znamy pod imieniem sztuki, zakłada, że istnieje takie tło, podobnie jak wszelkie zabiegi praktyczne, kiedy świat przypadł nam do smaku, zakładają, że świat jest wszystkim. Ale w półmroku podwójnego widzenia powstaje duchowa gmatwanina, dla której nie sposób znaleźć żadnych szumnych słów; nie możemy ani działać, ani powstrzymać się od działania, nie potrafimy ani zlekceważyć, ani uszanować nieskończoności. Pani Moore zawsze skłaniała się ku rezygnacji. Zaraz po wylądowaniu w Indiach rezygnacja wydała jej się czymś dobrym, a gdy widziała wodę przepływającą przez zbiornik w meczecie czy Ganges, czy księżyc schwytyany w chustę nocy wraz z wszystkimi gwiazdami, rezygnacja wydawała się jej celem pięknym i jakże łatwym. Zjednoczyć się z wszechświatem! To takie godne i proste. Ale zawsze trzeba było najpierw spełnić jakąś drobną powinność, zawsze znalazła się jakaś nowa karta, którą należało wyłożyć z coraz mniejszej talii i umieścić w odpowiednim miejscu, a kiedy tak traciła czas na głupstwa, Marabar uderzył w swój gong.

Co przemówiło do niej w jamie wydrążonej w granicie? Co mieszkało w pierwszej z tych grot? Coś bardzo starego i bardzo małego. Istniało przed początkiem czasu, a także nim poczęła się przestrzeń. Coś perkatego, niezdolnego do szlachetności - nieśmiertelny czerw we własnej postaci. Odkąd usłyszała jego głos, nie zdobyła się choćby na jedną szlachetną myśl, była właściwie zazdrosna o Adelę. Tyle zamieszania z powodu jednej przerażonej dziewczyny! Nic się przecież nie stało, „a gdyby nawet”, pomyślała nagle z cynizmem dawno zwiędłej kapłanki, „gdyby się nawet stało, są klęski gorsze od miłości”. Ow ohydny zamach jawił się jej jako miłość: w grocie, w kościele. - Bum - to wychodzi na jedno. Podobno wizje dają poczucie głębi, ale... Poczekaj, aż sam będziesz miał wizję, miły czytelniku! Otchłań może się też okazać płyciutka, przedwieczny wąż może się składać z czerw. Stale nawiedzała ją jedna myśl: „Mniej uwagi powinno się poświęcać mojej przyszłej synowej, a więcej mnie, nie ma takich trosk jak

197

moje troski”, chociaż kiedy poświęcano jej uwagę, odrzucała ją z rozdrażnieniem.

Jej syn nie mógł pojechać z nią do Bombaju, bo sytuacja wciąż była napięta i urzędnicy otrzymali polecenie nieopuszczania swoich posterunków. Antony też nie mógł jechać, bo obawiano się, że nie wróci, żeby złożyć zeznania. Podróżowała więc sama, nie było przy niej nikogo, kto by jej przypominał przeszłość. Przyniosło jej to ulgę. Upał zelżał nieco przed kolejnym natarciem i podróż nie była nieprzyjemna. Gdy odjeżdżała z Czandrapuru, księżyc, znów w pełni, świecił nad Gangesem,

przemieniając wysychające kanały w nitki srebra, potem przesunął się i zaglądał w jej okno. Szybki i wygodny pociąg pocztowy prześliznął się z nią przez noc, a cały następny dzień mknęła przez Indie Centralne, pośród krajobrazów spieczonych i wyblakłych, które nie były jednak nasycone beznadziejną melancholią równiny. Przyglądała się nie-zniszczalnemu żywotowi człowieka i jego zmiennym obliczom, i domom, jakie zbudował dla siebie i dla Boga, i widziała to wszystko nie przez pryzmat własnych trosk, lecz jako rzeczy do oglądania. Było na przykład miejsce zwane Asirgarh, które mijala o zachodzie i zidentyfikowała na mapie - olbrzymia forteca pośród zalesionych wzgórz. Nikt nigdy nie mówił jej o Asirgarh, ale miało ono potężne i wyniosłe bastiony, a w prawo od nich widniał meczet. Zapomniała o tym. Po dziesięciu minutach Asirgarh pojawiło się znowu. Tym razem meczet był na lewo od bastionów. Zjeżdżając ze stoków gór Windhja, pociąg zatoczył półkole wokół Asirgarh. Z czym mogło jej się kojarzyć to miejsce oprócz swego własnego imienia? Z niczym. Wiedziała, że nie mieszka tam nikt z jej znajomych. Ale spojrzęło na nią dwukrotnie i zdawało się mówić: „Nie znikam”. Przestraszona obudziła się w środku nocy, bo pociąg przetaczał się na drugą stronę zachodniego łańcucha skał. Zalane blaskiem księżycy szczyty podbiegały ku niej jak morskie fale; potem krótki etap równiny, prawdziwe morze i bre-jowaty świt Bombaju. „Nie widziałam właściwych miejsc”, pomyślała, przyglądając się na Dworcu Wiktorii uwięzionym w peronach końcom szyn, które przewiozły ją przez cały kontynent i nigdy już nie będą mogły zawieźć jej z powrotem. Nigdy nie zobaczy Asirgarh ani innych nie odwiedzonych miejsc; ani Delhi czy Agry, ani miast Radżputany czy Kaszmiru, ani tych mniej znanych

198

wspaniałości, których blask przebijał niekiedy przez słowa ludzi: inskrypcji naskalne z Girnaru, posągu Śri Belgoli, ruin Mandu i Hampi, świątyń Khadzuraho, ogrodów Śalimaru. Przejeżdżając przez olbrzymie miasto, które Zachód zbudował i opuścił z gestem zniechęcenia, zapragnęła się tam zatrzymać, choć był to tylko Bombaj, i rozplatać owe setki Indii, które mijaly się na ulicach. Ale nogi koni poniosły ją dalej i teraz statek już odpływał, a tysiące palm kokosowych ukazało się dokoła przystani i wspięło się na wzgórze, by pomachać jej na pożegnanie. „A więc myślałaś, że echo to Indie; uznałaś Groty Marabarskie za coś ostatecznego?”, śmiały się. „Cóż my mamy z nimi wspólnego lub one z Asirgarh! Do widzenia!”. Następnie parowiec okrążył Kolab, kontynent raptownie się obrócił, skały Ghatów wtopiły się w lekką mgłę tropikalnego morza. Przyszła lady Mellanby i doradziła jej, żeby nie przebywała na słońcu.

- Szczęśliwie wydostałyśmy się z patelni - powiedziała lady Mellanby - i nie miałyby sensu wpadać teraz do ognia.

Rozdział 24

Po wyjeździe pani Moore upał zmienił tempo i zbliżał się z coraz większą szybkością, aż w końcu trzeba było znosić trudy żywota i karać zbrodnie w temperaturze stu dwunastu stopni. Wiatraczki elektryczne szumiały i pluły, woda bryzgała na parawany, lód pobrzękiwał w szklankach, a poza tymi obronnymi sztańcami, między szarawym niebem i żółtawą ziemią, poruszały się niezdeterminowane chmury pyłu. W Europie życie chroni się przed zimnem, dzięki czemu powstały cudowne mity ogniska domowego - Baldur, Persefona - ale ta ucieczka jest ucieczką od samego źródła życia, zdrażliwego słońca, i nie ozdabia jej żadna poezja, ponieważ utrata złudzeń nie może być piękna. Ludzie tęsknią za poezją, choć mogą się do tego nie przyznawać: pragną, by radość była pełna wdzięku, a troska dostojna, i by nieskończoność miała kształt, ale Indie nie chcą spełnić ich pragnień. Coroczny zamęt kwietnia, kiedy rozdrażnienie i namiętności szerzą się jak rakowata narośl, jest jednym z komentarzy Indii na temat

uładzonych nadziei ludzkości. Ryby radzą sobie lepiej; kiedy wysychają zbiorniki, ryby wkręcają się w muł i czekają na deszcz, by zmył z nich tę powłokę. Ale ludzie starają się żyć harmonijnie przez cały rok i wyniki tego bywają niekiedy katastrofalne. Triumfująca machina cywilizacji może się nagle zaciąć i znieruchomiła upodobnić do samochodu z kamienia, a w takich chwilach los ludzi z Anglii zdaje się przypominać losy ich poprzedników, którzy też przybyli do tego kraju z zamiarem przekształcenia go, ale zostali wciągnięci w jego tryby i przysypani jego pyłem.

Adela, po latach intelektualizmu, znowu zaczęła co rano od-dawać hołd chrześcijaństwu. Wydawało się ono czymś nieszkodliwym, było najkrótszą i najłatwiejszą drogą do świata niewidzialnego i mogła mu powierzyć wszystkie swoje troski. Tak jak hinduscy urzędnicy prosili Lakszmi o podwyżkę pensji, tak ona błagała Jehowę o przychylny wyrok. Bóg, który chroni króla, udzieli chyba poparcia policji. Jej bóstwo udzieliło odpowiedzi kojącej, ale zanurzanie twarzy w dłoniach

spowodowało wysypkę od potu i Adela miała uczucie, że połyka i wykrztusza ten sam mdły w smaku haust powietrza, który tkwił w jej płucach przez całą noc. Wyprowadzał ją też z równowagi głos pani Turton.

- Czy jesteś już gotowa, młoda osóbkó? - zaćwierkała z sąsiedniego pokoju.

- Chwileczkę - odparła cicho. Turtonowie wzięli ją do siebie po wyjeździe pani Moore. Ich życzliwość była bezgraniczna, ale wzruszała ich jej sytuacja, a nie osobowość; była młodą Angielką, która przeżyła straszny wstrząs i dla której niewiele dało się zrobić. Nikt prócz Ronny'ego nie miał pojęcia o tym, co dzieje się w jej duszy, zresztą on miał tylko bardzo mgliste pojęcie, bo jeśli najważniejsze są sprawy urzędowe, cierpią na tym stosunki międzyludzkie. Pełna smutku powiedziała mu: - Masz ze mną same zmartwienia. Wiedziałam, co mówię na majdanie. Byłoby lepiej, gdybyśmy byli po prostu przyjaciółmi - ale on zaproteutował, bo im dotkliwej cierpiała, tym wyżej ją cenił. Czy go kochała? Na tym pytaniu zaciążył cień Marabaru, nurtowało ją ono, kiedy wchodziła do fatalnej groty. Czy była zdolna kochać kogokolwiek?

- Panno Quested, Adelo, czy jak chcesz, żebyśmy cię nazywali,

200

jest wpół do ósmej. Czas pomyśleć o wyruszeniu do sądu, jeżeli jesteś gotowa.

- Ona odmawia pacierz - dał się słyszeć głos zarządcy.

- Och, przepraszam, kochanie. Nie śpiesz się... Smakowała ci chzota hazari*?

- Nie mogę jeść. Czy mogłabym dostać trochę koniaku? -
spytała, porzucając Jehowę.

B Gdy przyniesiono trunek, zadrżała i powiedziała, że jest gotowa do drogi.

- Proszę wypić do dna. Jeden kieliszek to dobra myśl.

- Wątpię, czy mi pomoże, bara sahib.

- Kazałaś posłać brandy do sądu, Mary?

- Chyba tak, i szampana.

- Podziękuję państwu wieczorem, teraz jestem zupełnie roz-

bita - powiedziała dziewczyna, starannie wymawiając każdą sylabę, jak gdyby jej troski miały stać się mniejsze, jeżeli będą precyzyjnie zdefiniowane. Lękała się powściągliwości w słowach, bo w jej cieniu mogłoby przybrać realne kształty coś, czego sama dotąd nie dostrzegła, i w dziwaczny, afektowany sposób odegrała z panią McBryde swoją straszliwą przygodę - jak ów człowiek właściwie ani razu jej nie dotknął, ale włókł ją za sobą dokoła grotty i tak dalej. Tego ranka postawiła sobie za cel poinformować ich z całą sumiennnością, że napięcie jest nie do wytrzymania i że prawdopodobnie załamię się w krzyżowym ogniu pytań pana Amritrao i skompromituje swoich przyjaciół. - Moje echo znów mnie bardzo męczy - oświadczyła.

- Może aspirynę?

- To nie ból głowy, to echo.

Nie mogąc zlikwidować brzęczenia w jej uszach, major Cal-lendar uznał je za urojenie, któremu nie należy pobłażać, więc Turtonowie zmienili temat. Nad ziemią powiało lekkie tchnienie wiatru, oddzielając noc od dnia; ucichnie za dziesięć minut, ale mogliby z niego skorzystać i pojechać do miasta.

- Na pewno się załamie - powtarzała.

* Czchota hazari - małe śniadanko, przekąska.

201

- Nie załamie się pani - powiedział zarządca głosem przepę-
nionym czułością.

- Jasne, że się nie załamie, to naprawdę dzielna dziewczyna.

- Ale, pani Turton...

- Tak, moje dziecko?

- Jeżeli jednak się załamie, to nie będzie miało znaczenia.

Miałoby znaczenie w innych sprawach, ale nie w tej. Wyobrażam
to sobie tak: mogę się naprawdę zachowywać, jak zechcę, płakać,
mówić głupstwa, i mimo to uzyskam swój wyrok, chyba że pan
Das jest człowiekiem strasznie niesprawiedliwym.

- Na pewno pani wygra - powiedział zarządca spokojnie, ale
nie przypomniał jej, że na pewno będzie apelacja. Nawab Bahadur
finansował obronę i prędzej by się zrujnował, niż dopuścił do
„zguby niewinnego muzułmanina”, a na dalszym planie czyły się
mniej chlubne intencje. Sprawa mogła iść do wyższych instancji,
z sądu do sądu, i żaden urzędnik nie zdoła przewidzieć jej kon-
sekwencji. Nastroje w Czandrapurze zmieniały się dosłownie na
jego oczach. Kiedy samochód wyjeżdżał za bramę, o lakier stuknął
pocisk niemądrego gniewu - kamyk rzucony ręką dziecka. Kilka
większych kamieni spadło w pobliżu meczetu. Na majdanie czekał
pluton tubylczej policji na motocyklach, żeby ich eskortować

przez dzielnicę bazarów. Zarządca był poirytowany i mruknął: - McBryde to stara baba. - Ale pani Turton rzekła: - Doprawdy, po Moharramie pokaz siły nic by nie zaszkodził. To śmieszne udawać, że oni nie czują do nas nienawiści, skończ raz z tą farsą. - Odpowiedział dziwnie smutnym głosem: - Ja nie żywię do nich nienawiści, sam nie wiem dlaczego - i rzeczywiście nie czuł do nich nienawiści, bo gdyby ich nienawidził, musiałby ocenić ujemnie całą swoją karierę jako nieudaną inwestycję. Zachował pogardliwą sympatię dla pionków, którymi manipulował przez tyle lat; muszą być warte jego trudu. - „Właściwie to nasze kobiety wszystko nam tu utrudniają”, pomyślał w głębi duszy, widząc jakieś plugastwa wypisane na długim, czystym murze, a pod powierzchnią jego rycerskości wobec panny Quested czaiła się czekająca na swój moment ukryta uraza - być może we wszelkiej rycerskości tkwi ziarno urazy. Przed Sądem dla miasta Czandrapur zgromadzili się studenci - rozhisteryzowani chłopcy, którym stawiliby czoło, gdyby był sam, teraz jednak kazał kierowcy

202

podjechać na tyły budynku. Studenci zaczęli szydzić, a Rafi (ukryty za kolegą, żeby go nie rozpoznano) krzyknął, że Anglicy to tchórze.

Dotarli do gabinetu Ronny'ego, gdzie zebrała się grupa ich współrodaków. Nikt nie zachowywał się tchórzliwie, ale wszyscy byli zdenerwowani, bo nadchodziły dziwne wieści. Zastrajkowali właśnie czyściciele i w konsekwencji połowa toalet w Czandrapurze była pozbawiona opieki - tylko połowa, a czyściciele z okręgu, którzy nie byli tak niezbitnie przekonani o niewinności doktora Aziza, mieli przyjechać po południu i wystąpić w charakterze łamistrajków, ale czy ten groteskowy incydent powinien być w ogóle się zdarzyć? A ponadto kilka muzułmańskich kobiet

przysięgło, że nie tkną jada, póki więzień nie zostanie uniewinniony; ich śmierć nie miałyby większego znaczenia, bo w rzeczy samej skoro były niewidoczne i tak zdawały się już nie żyć, niemniej budziło to niepokój. W mieście panował jakby nowy duch, nastąpiło przetasowanie, którego nikt w tej surowej małej grupce białych nie potrafił wyjaśnić. Skłaniano się do podejrzeń, że to robota Fieldinga. Pogląd, że jest człowiekiem słabym i zdiwaczałym, poszedł w niepamięć. Szkalowali go z całą energią: ktoś go widział w powozie z obu obrońcami, Amritrao i Mah-mudem Ali; dla celów wywrotowych popiera ruch skautowski; otrzymuje listy z zagranicznymi znaczkami i prawdopodobnie jest japońskim szpiegiem. Dzisiejszy wyrok pogiębi renegata, ale wyrządził on swojemu krajowi oraz imperium nieobliczalne szkody. Kiedy go tak demaskowali, panna Quested wpołzła na fotelu, z rękami na poręczach i zamkniętymi oczami, oszczędzając siły na później. Zauważyli ją po jakimś czasie i zawstydzili się, że tak hałasują.

- Czy naprawdę nie moglibyśmy ci jakoś pomóc? - spytała panna Derek.

- Chyba nie, Nancy, i zdaje się, że ja sama też nie mogę sobie pomóc.

- Pod żadnym pozorem nie wolno ci tak mówić. Jesteś wspólniakiem.

- Tak, istotnie - zabrzmiał pełen szacunku chór.

- Mój stary Das to porządny facet - powiedział Ronny cichym głosem, poruszając nowy temat.

203

- Żaden z nich nie jest porządny - sprzeciwił się major Calendar.

- Das jest, naprawdę.

- Chcesz powiedzieć, że bardziej boi się uniewinnić niż skazać, bo jeżeli uniewinni, mógłby stracić posadę - odezwał się Lesley, parszkając krótkim, chytrym śmiechem.

Ronny rzeczywiście chciał to powiedzieć, ale miał pewne „złudzenia” co do swoich podwładnych (opierając się na lepszych tradycjach swojej pracy w tym kraju) i chętnie twierdził, że jego stary Das istotnie posiada odwagę moralną, godną wychowanków ekskluzywnych szkół w Anglii. Zwrócił uwagę, że - z pewnego punktu widzenia - to dobrze, że sprawę prowadzi Hindus. Wyrok skazujący jest nieunikniony; więc lepiej niech go feruje Hindus, na dłuższą metę to się opłaci. Tak go pochłoneły te wywody, że postać Adeli zatarła się nieco w jego umyśle.

- Prawdę mówiąc, nie pochwała pan apelu, który skierowałam do lady Mellanby - powiedziała pani Turton dość gwałtownie. -

Błagam, panie Heaslop, niech pan nie przeprasza. Przywykłam do tego, że nie mam racji.

- Wcale nie chciałem...

- W porządku. Powiedziała, żeby pan nie przepraszał.

- Te świnię stale czyhają na jakiś powód do skargi - wtrącił Lesley, żeby ją ułagodzić

- Świnię, słusznie, świnię - podchwycił major. - I wiecie co, powiem wam coś więcej. To, co się stało, to właściwie świetna rzecz, naturalnie pomijając jej odniesienie do tu obecnych. Będą potem kwiczeć i czas, żeby kwiczeli. Ja w każdym razie nauczyłem ich w szpitalu bojaźni bożej. Szkoda, że nie widzieliście wnuka naszego czołowego lojalisty. - Z sadystycznym chichotem opisał obecny wygląd biednego Nureddina. - Jego urodę diabli wzięli, pięć górnych zębów, dwa dolne i jedno nozdrze... Stary Panna Lal przyniósł mu wczoraj lusterko i mały się rozbeczał... Ja się śmiałem. Śmiałem się, mówię wam, i wy byście się też śmieli. To był jeden z tych czarnych lalusiów, pomyślałem sobie, a teraz jest cały w ropie. Niech go diabli, niech go piekło pochłonie... zdaje się, że był skandalicznie niemoralny... - umilkł, bo ktoś go

trącił łokciem, ale dodał: - Szkoda, że nie mogłem pokrajać

204

również mojego dawnego asystenta. Dla tych ludzi nie ma rzeczy zbyt okropnych.

- Nareszcie ktoś mówi z sensem! - zawołała pani Turton, ku wielkiemu niezadowoleniu męża.

- Ja właśnie tak twierdzę. Twierdzę, że po czymś takim nic z naszej strony nie jest okrucieństwem.

- Właśnie, i wy mężczyźni zapamiętajcie to sobie na przyszłość.

Jesteście słabi, słabi, słabi. Przecież oni powinni się czołgać na czworakach stąd aż do grot na widok każdej Angielki, nie powinno się z nimi rozmawiać, powinno się na nich pluć, powinno się ich wdeptywać w piach, byliśmy dla nich o wiele za dobrzy, z tym naszym budowaniem mostów i tak dalej.

Przerwała. Wyciągając korzyść z jej gniewu, upał zaatakował ją nagle.

Skapitulowała, szukając ratunku w szklance wody z cytryną, i pomrukiwała: - Słabi, słabi - między jednym łykiem a drugim. I wszystko przebiegało jak zwykle.

Problemy, które wysunęły się na pierwszy plan dzięki pannie Quested, były o tyle ważniejsze od niej samej, że ludzie nieuchronnie zapominali o jej istnieniu.

Wreszcie wywołano sprawę.

Krzesła poprzedziły ich w drodze do sali sądowej, bo było istotne, żeby wyglądali godnie. A kiedy służba przygotowała już wszystko, wkroczyli jedno za drugim do obdrapanej sali, zachowując się protekcjonalnie, jakby to była buda jarmarczna. Siadając, zarządca pozwolił sobie na mały urzędowy żarcik, który jego otoczenie powitało uśmiechem, a Hindusi, nie usłyszawszy, co powiedział, przypuszczali, że szykuje się jakieś nowe okrucieństwo, bo inaczej sahibowie tak by nie chichotali.

W sądzie było tłoczno i naturalnie bardzo gorąco, i pierwszą osobą, jaką zauważyła Adela, był ktoś najmniej ważny ze wszystkich obecnych, ktoś, kto nie miał żadnego oficjalnego wpływu na sam proces: człowiek obsługujący pankhę. Prawie nagi i wspaniale zbudowany, siedział na podwyższeniu pośrodku głównego przejścia i

przyciągnął jej uwagę, kiedy weszła, bo zdawał się panować nad wszystkim, co się tutaj działo. Miał w sobie siłę i piękno, jakie czasem zakwitają w Hindusach niskiego stanu. Kiedy ta dziwna rasa jest najbliższa ulicznego pyłu i zostaje potępiona jako nie-dotykalna, wtedy natura przypomina sobie o fizycznej doskonałości, którą osiągnęła gdzie indziej, i produkuje boga - nie wielu,

205

lecz jednego, to tu, to tam, żeby pokazać społeczeństwu, jak mało sobie robi z jego klasyfikacji. Tego mężczyznę zauważono by wszędzie; wśród chuderlawych, wątych miernot Czandrapuru wyróżniał się swoją boskością, a przecież należał do miasta, wykarmiły go jego ścieki, pewnego dnia miał skończyć życie na jego śmietnikach. Przyciągając do siebie sznur i popuszczając go rytmicznie, śląc podmuchy powietrza nad głowami innych, ale sam z nich nie korzystając, był jak gdyby z dala od losów ludzkich, zdawał się fatum rodzaju męskiego, przesiewaczem dusz. Po drugiej stronie, także na podwyższeniu, siedział mały zastępca sędziego, kulturalny, wewnętrznie skrępowany i sumien-ny. Pankhawala nie posiadał żadnej z tych cech; niemal nie wiedział, że istnieje, i nie rozumiał, dlaczego sala sądowa jest bardziej zatłoczona niż zwykle, ba, nie wiedział, że sala jest bardziej zatłoczona, nie wiedział nawet, że obsługuje wachlarz, chociaż pociągał za sznur. Coś w jego wyniosłości wywarło na dziewczynie z mieszczańskiej Anglii głębokie wrażenie i przypomniało jej z wyrzutem o miernocie własnego cierpienia. W imię czego kazała aż tylu ludziom zebrać się w tej sali? Poglądy, które wyznawała, i podmiejski Jehowa, który je uświęcał... na jakiej podstawie wszystko to rościło sobie prawo do tak ważnej roli w świecie i do miana cywilizacji? Pani Moore - rozejrzała się po sali, ale pani Moore płynęła już po dalekim morzu; to było właśnie pytanie, które by mogła przedyskutować z nią w czasie podróży do Indii, zanim jeszcze stara pani stała się tak przykra i tak dziwaczna.

Rozmyślając o pani Moore, usłyszała dźwięki, które stopniowo nabrały wyrazistości. Epokowy proces rozpoczął się i inspektor policji wnosił oskarżenie. McBryde nie starał się specjalnie, żeby jego przemówienie wypadło interesująco. Krasomówstwo pozostawiał obrońcom, którym będzie bardzo potrzebne. Reprezentował zdecydowaną postawę: „Każdy wie, że ten człowiek jest winien, ja zaś mam obowiązek powiedzieć to publicznie, zanim pojedzie na Andamany”. Nie odwoływał się do niczyjej moralności czy uczuć, a wystudiowana nonszalancja jego zachowania ujawniała się stopniowo, doprowadzając część audytorium do wściekłości. Mozolnie opisywał całą genezę pikniku. Oskarżony poznał pannę Quested na przyjęciu wydanym przez dyrektora college'u i już

tam powziął wobec niej pewne zamiary: oskarżony prowadził rozwiązły tryb życia, co potwierdzą dokumenty znalezione przy nim w chwili aresztowania, a ponadto jego zastępca, doktor Panna Lal, będzie mógł rzucić pewne światło na jego charakter, zresztą przemówi też sam major Callendar. Tu McBryde przerwał. Chciał, żeby proces odbył się w sposób jak najuczciwszy, ale patologia Wschodu, jego ulubiony temat, otaczała go ze wszystkich stron i nie mógł się jej oprzeć. Zdjąwszy okulary, co miał zwyczaj robić przed wygłoszeniem jakiejś ogólnej prawdy, popatrzał na nie ze smutkiem i oświadczył, że ciemniejsze rasy odczuwają fizyczny pociąg do ras jaśniejszych, ale nie vice versa - nie jest to powód do goryczy ani do obrazy, ale po prostu fakt, który potwierdzi każdy uczony obserwator.

- Nawet jak pani jest tak bardzo brzydsza od pana?

Te słowa padły znikąd, może z sufitu. Po raz pierwszy przerwano mówcy i sędzia poczuł się w obowiązku skarcić winowajcę.

- Usunąć tego człowieka - powiedział. Jeden z indyjskich policjantów schwycił za ramię jakiegoś mężczyznę, który się w ogóle nie odzywał, i wyrzucił go brutalnie z sali. McBryde włożył okulary i mówił dalej. Ale ów komentarz zdenerwował pannę Quested. Jej ciało, urażone, że nazwano je brzydkim, zaczęło drżeć.

- Czujesz się niedobrze, Adelo? - spytała panna Derek, która opiekowała się nią z pełną oburzenia czułością.

- Ani przez chwilę nie czuję się inaczej, Nancy. Jakoś wytrzymam, ale to okropne, okropne.

Doprowadziło to do pierwszej z całego szeregu scen. Przyjaciele panny Quested zaczęli się krzątać wokół niej, a major zawołał:

- Moja pacjentka nie może przebywać w takich warunkach!

Dlaczego nie pozwolono jej usiąść wyżej? Tu brak powietrza.

- Bardzo chętnie każę podać tu krzesło dla panny Quested z uwagi na szczególny stan jej zdrowia - powiedział zasepiony sędzia Das. Służący podali nie jedno, lecz kilka krzeseł i całe towarzystwo podążyło za Adelą na podwyższenie. Fielding był jedynym Europejczykiem, który pozostał w dolnej części sali.

- Tak to rozumiem - zauważyła pani Turton, usadowiwszy się wygodnie.

- Z wielu powodów bardzo pożądana zmiana - dorzucił major.

207

Sędzia zdawał sobie doskonale sprawę, że powinien go skarcić za tę uwagę, ale nie śmiał. Callendar spostrzegł, że się boi, i wykrzyknął apodyktycznie:

- McBryde, wal dalej! Przepraszam, że ci przerwałem.

- A u was tam w porządku? - spytał inspektor.

- Damy radę, damy radę.

- Proszę kontynuować, panie Das, nie chcemy panu przeszkadzać - rzekł łaskawie zarządca. Ściśle biorąc, nie tyle przeszkadzali w prowadzeniu sprawy, ile sami zaczęli ją prowadzić.

W czasie dalszych wywodów oskarżyciela panna Quested przyglądała się sali - z początku bojaźliwie, jakby mogło to wypalić jej oczy. Po lewej i prawej stronie człowieka obsługującego wachlarz dostrzegła wiele znajomych twarzy. Zgromadziły się tam w dole wszystkie szczątki jej niemądrej próby zobaczenia Indii - ludzie, których spotkała na zabawie w budowanie mostów, małżeństwo, które nie przysłało powozu, starzec, który użyczył swego samochodu, przeróżni służący, wieśniacy, urzędnicy i sam oskarżony. Oto siedział - silny, schludny, niewysoki Hindus o bardzo czarnych włosach i giętkich dłoniach. Patrzyła na niego, nie odczuwając szczególnych emocji. Od ich ostatniego spotkania zdążyła już dźwignąć go na wyżyny samej kwintesencji zła, ale teraz wydawał się tym, czym był zawsze - przygodnym znajomym. Był kimś mało ważnym, pozbawionym znaczenia, bezcielesnym, i jakkolwiek był „winny”, nie otaczała go atmosfera grzechu.

„Przypuszczam, że jest winien. Czy możliwe, że popełniłam omyłkę?”, myślała. Bo to pytanie w dalszym ciągu jej się narzucało, chociaż po wyjeździe pani Moore nie dręczyło już jej sumienia.

Wstał teraz obrońca Mahmud Ali i z niezdarną, nierozważną ironią spytał, czy może jego klient też mógłby znaleźć wygodne miejsce na podwyższeniu: nawet Hindusi czują się czasem niedo-brze, chociaż naturalnie major Callendar tak nie uważa, jako że jest dyrektorem państwowego szpitala.

- Jeszcze jeden przykład ich wybornego poczucia humoru -

zapiszczała panna Derek.

Ronny spojrział na sędziego Dasa, żeby się przekonać, jak ten wybrnie z trudności, a sędzia Das zdenerwował się i bardzo surowo przywołał obrońcę Mahmuda Ali do porządku.

- Przepraszam bardzo... - Teraz przyszła kolej na wybitnego

208

adwokata z Kalkuty. Był to przystojny mężczyzna, wysoki i kościsty, o siwych, krótko ostrzyżonych włosach. - Sprzeciwiamy się obecności na podwyższeniu tyłu pań i panów z Europy - powiedział z akcentem oksfordzkim. - To zastraszy naszych świadków. Ich miejsce jest na sali wraz z resztą publiczności. Nie zgłaszamy zastrzeżeń co do panny Quested, która może pozostać na podwyższeniu, ponieważ nie czuje się do-brze. Okażemy jej wszelkie względy przez cały czas trwania procesu, wbrew naukowym prawdom objawionym nam przez okręgowego inspektora policji. Mamy jednak zastrzeżenia co do innych osób.

- Och, skończcie z tym gadaniem i ogłóście wyrok - warknął major.

Znakomity gość wpatrywał się z szacunkiem w sędziego.

- Zgadzam się z tym - powiedział sędzia Das, rozpaczliwie kryjąc twarz w jakichś dokumentach. - Tylko pannie Quested pozwoliłem usiąść na podwyższeniu. Jej przyjaciele zechcą być tak bardzo uprzejmi i zejść na salę.

- Brawo, Das, bardzo słusznie - powiedział Ronny z wręcz samobójczą uczciwością.
- Zejść na salę, dobre sobie, co za impertynencja! - wykrzyknęła pani Turton.
- Spokojnie, Mary - powiedział półgłosem jej mąż.
- Hej tam! Moja pacjentka nie może zostać bez opieki.
- Panie Amritrao, czy naczelny lekarz może tu pozostać, czy też sprzeciwia się pan temu?
- Sprzeciwiam się. Podwyższenie jest symbolem autorytetu.
- Nawet kiedy ma jedną stopę wysokości. No, to chodźmy wszyscy - powiedział zarządca, usiłując się roześmiać.
- Bardzo dziękuję, panie zarządco - rzekł sędzia Das z ulgą.

Dziękuję, panie Heaslop. Dziękuję wszystkim paniom.

I pałę towarzystwo, nie wyłączając panny Quested, zstąpiło z miejsca swej przelotnej świetności. Wieść o ich upokorzeniu rozeszła się szybko i ludzie przed gmachem zaczęli z nich szydzić. Specjalne krzesła podążyły za nimi. Mahmud Ali (zupełnie ogłupiały i bezużyteczny z nienawiści) sprzeciwiał się nawet temu; z czyjego rozkazu przyniesiono specjalne krzesła, dlaczego Nawab Bahadpr nie dostał takiego krzesła i tak dalej. Ludzie na sali

\ 209

zaczęli mówić o krzesłach zwyczajnych i specjalnych, dywanach, podwyższeniach mających jedną stopę wysokości.

Ale ta mała wycieczka dobrze podziałała na nerwy panny Quested. Dziewczyna czuła się teraz swobodniej, bo zobaczyła wszystkich, którzy się zebrali na sali. Było tak, jak gdyby знаła już najgorsze. Wiedziała teraz, że na pewno przebrnie przez to „pomyślnie” - to znaczy bez duchowej kompromitacji - i przekazała tę dobrą wiadomość Ronny'emu i pani Turton. Ale ci byli nazbyt przejęci klęską zadaną brytyjskiemu prestiżowi, żeby się tym zainteresować. Ze swego miejsca widziała Fieldinga, renegata. Widziała go lepiej z podwyższenia i zauważyła wtedy, że na jego

kolanach siedzi indyjskie dziecko. Obserwował przebieg sprawy i obserwował ją. Kiedy ich oczy się spotkały, odwrócił wzrok, jak gdyby kontakt osobisty nie budził w nim zainteresowania.

Sędzia był też w lepszym nastroju. Wygrał batalię o podium i zyskał pewność siebie. Inteligentny i bezstronny, przysłuchiwał się przedstawionym dowodom i usiłował zapomnieć, że później będzie musiał ogłosić wyrok zgodny z tymi faktami. Inspektor niezmordowanie brnął dalej. Nie zaskoczyły go te wybuchy zuchwalstwa - są to normalne gesty niższej rasy - i nie zdradzał nienawiści do Aziza, a jedynie bezdenną pogardę.

W swoim przemówieniu zajął się szczegółowo „ofiarami oskarżonego”, jak ich nazywał - Fieldingiem, Antonym, Nawabem Bahadurem. Ten aspekt sprawy wydawał się panie Qusted od pierwszej chwili wątpliwy i prosiła policję, by go nie rozwijała. Ale oskarżeniu chodziło o surowy wyrok i dlatego próbowano dowieść, że był to atak z premedytacją. I dla unaocznienia tej strategii policja przedstawiła plan Wzgórz Marabarskich, na którym widniała trasa wycieczki i „Zbiornik Sztyletu”, przy którym rozbito obóz.

Sędzia okazał zainteresowanie archeologią.

Przedstawiono też rzut poziomy typowej groty; napis pod nim brzmiał: „Grota buddyjska”.

- Nie buddyjska, chyba dżinijska.
- W jakiej grocie miało rzekomo zdarzyć się to przestępstwo, buddyjskiej czy dżinijskiej? - zapytał Mahmud Ali z taką miną, jakby demaskował spisek.
- Wszystkie Groty Marabarskie są dżinijskie.

210

- Tak jest, panie sędzio. Wobec tego, w której dżinijskiej grocie?
- Później będzie pan mógł zadawać takie pytania.

McBryde uśmiechnął się lekko na myśl o ich głupocie. Hindusi

niezmiennie skręcają kark na tego rodzaju kwestiach. Wiedział, że obrońcy żywią dość zwariowaną nadzieję ustalenia alibi, że usiłowali (bez powodzenia) zidentyfikować przewodnika oraz że Fielding i Hamidullah wybrali się którejś księżycowej nocy na Kawa Dol i wszystko tam obeszl i pomierzyli.

- Pan Lesley mówi, że są buddyjskie, a on z pewnością powinien wiedzieć. Czy wolno mi jednak zwrócić uwagę na ich kształt? - zapytał i opisał, co się tam zdarzyło. Potem mówił o przyjeździe panny Derek, o mozolnym zejściu w dół żlebu, powrocie obu pań do Czandrapuru i dokumencie podpisanym przez pannę Qusted, w którym była wzmianka o lornetce. Przyszła kolej na kulminacyjny punkt wyводу: znalezienie lornetki przy oskarżonym. - Nie mam w tej chwili nic do dodania - zakończył, zdejmując okulary. - Teraz wezwę świadków. Niech fakty mówią za siebie. Oskarżony należy do osobników, którzy prowadzą podwójne życie. Nie wątpię, że jego zwyrodnienie postępowało w nim stopniowo. Maskował się z niemałym sprytem, co jest typowe dla tego rodzaju ludzi, udając szacownego członka społeczeństwa, ba, nawet objął posadę państwową. Jest teraz zepsuty do szpiku kości i obawiam się, że jego zbrodnie są nie do odpokutowania. Zachował się niezwykle okrutnie, niezwykle brutalnie wobec drugiego gościa, drugiej Angielki. Chcąc się jej pozbyć i w ten sposób swobodnie popełnić swoje przestępstwo, wepchnął ją do groty między służących.

Jednakże o tym wspominam tylko mimochodem.

Ale jego ostatnie słowa spowodowały następną burzę i nagle nowe nazwisko, pani Moore, zahuczało w sądzie niczym trąba powietrzna. Mahmud Ali wpadł w furję, nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Wrzeszczał jak szalowiec i pytał, czy jego klient jest oskarżony zarówno o morderstwo, jak i gwałt, i kim jest ta druga pani z Anglii.

- Nie zamierzam jej powoływać przed sąd.

- Bo pan może, wywieźliście ją po cichu z kraju. To pani Moore... to ojia by dowiodła jego niewinności, była po naszej stronie, była przyjaciółką biednych Hindusów.

211

- Sam mógł ją pan powołać - oznajmił sędzia. - Żadna ze stron jej nie powołała i żadna nie może wymieniać jej jako świadka.

- Nie dopuszczono nas do niej, a teraz jest za późno... dowiaduję się o tym za późno... oto angielska sprawiedliwość... oto, jak postępuje brytyjska władza. Zwróćcie nam panią Moore choćby na pięć minut, a ocali mojego przyjaciela, ocali dobre imię jego synów. Proszę jej nie wykluczać ze sprawy, panie sędzio. Niech pan cofnie te słowa, przecież pan też jest ojcem. Powiedzcie nam, gdzieście ją ukryli, o, pani Moore...

- Jeśli to kogoś interesuje, moja matka jest już chyba w Adenie - powiedział sucho Ronny. Nie powinien był interweniować, ale ten atak bardzo go wzburzył.

- Uwięziona tam przez was, bo знаła prawdę. - Mahmud Ali odchodził niemal od zmysłów i mimo wrzawy słycać było, jak mówi: - Rujnuję sobie karierę, ale co z tego. Wszystkich nas czeka ruina, jednego po drugim.

- W taki sposób nie obroni pan swojej sprawy - przestrzegł sędzia.

- Ja nie bronię żadnej sprawy, ani pan żadnej sprawy nie rozpatruje. Obaj jesteśmy niewolnikami.

- Panie Mahmud Ali, już pana raz ostrzegłem i jeśli pan nie usiądzie, skorzystam ze swoich uprawnień.

- Proszę bardzo. Ten proces to farsa, ja odchodzę. - Po czym wręczył swoje papiery Amritrao i wyszedł, wołając od drzwi kabotyńsko, ale z głęboka pasją: - Aziz, Aziz, żegnaj na zawsze! - Wrzawa wzmagala się, inwokacje do pani Moore nie milkły i ludzie, którzy nie rozumieli znaczenia angielskich sylab „mis-sis mur”, powtarzali je jak zaklęcie. Zniekształcone w indyjskie Esmis Esmur, zostały podjęte przez tłum na ulicy. Na próżno sędzia groził i usuwał z sali. Póki trwała owa magia, był bezsilny.

- Dość to niespodziewane - zauważył Turton.

Ronny udzielił wyjaśnień. Przed odjazdem jego matka zaczęła mówić o Marabarze przez sen, zwłaszcza po południu, kiedy służący byli na werandzie, i jej chaotyczne uwagi o Azizie zostały niewątpliwie sprzedane za kilka anna Mahmudowi Ali. Na Wscho-dzie stale się tak dzieje.

- Przypuszczałem, że spróbują czegoś takiego. Bardzo pomys-
łowe - powiedział Turton. - Spojrzał na ich szeroko otwarte

212

usta. - W sprawach swojej religii zawsze wprowadzają się w taki stan - dodał spokojnie. - Zaczynają i nie mogą skończyć. Żal mi pańskiego starego Dasa, nie bardzo mu wychodzi to przedstawienie.

- Panie Heaslop, jakie to haniebne, że wciągają w to wszystko pańską drogą matkę - powiedziała panna Derek, pochylając się do niego.

- To tylko taka sztuczka i przypadkiem im się udało. Teraz widać, dlaczego wzięli Mahmuda Ali... po prostu, żeby urządził

scenę, bo a nuż się uda. To jego specjalność. - Ale był bardziej niezadowolony, niż okazywał. Ta transformacja jego matki w hinduską boginię Esmis Esmur przejmowała go wstrętem.

Esmis Esmur Esmis Esmur Esmis Esmur Esmis Esmur

- Ronny...
- Tak, moja droga?
- Czy to wszystko nie jest dziwne?
- Boję się, że to cię wytrąca z równowagi.
- Ani trochę. Zupełnie się tym nie przejmuję.
- To dobrze.

Mówiła teraz głosem dużo naturalniej szym i zdrowszym. Po-chylając się ku swoim przyjaciółom, powiedziała:

- Nie martwcie się o mnie, nie jest mi ani trochę słabo, na pewno nic mi nie będzie, dziękuję wam, dziękuję wam wszystkim za waszą dobroć. - Tę swoją wdzięczność musiała wykrzykiwać, bo zawodzenie „Esmis Esmur” nadal się rozlegało.

I raptem umilkło. Zupełnie jak gdyby modlitwa została wysłuchana, jak gdyby wystawiono relikwie.

- Przepraszam za mojego kolegę - powiedział adwokat Amritrao ku niemałemu zdziwieniu obecnych. - Jest bliskim przyjacielem naszego klienta i dał się ponieść emocjom.
- Pan Mahmud Ali będzie musiał przeprosić sąd osobiście - oświadczył sędzia.
- Tak jest, panie sędzio, musi to zrobić. Ale dowiedzieliśmy się właśnie, że pani Moore pragnęła złożyć ważne zeznania. Jej

syn wysłał ją pośpiesznie z kraju, zanim zdołała je złożyć, i ten fakt wyprowadził z równowagi pana Mahmuda Ali - zwłaszcza że nastąpiło to po próbie zastraszenia naszego drugiego europejskiego świadka, pana Fieldinga. Gdyby pani Moore nie została wymieniona jako świadek przez policję, pan Mahmud Ali nie powiedziałby ani słowa. - I usiadł.

- Do sprawy wprowadzono pewien obcy element - rzekł sędzia. - Jestem zmuszony powtórzyć, że jako świadek pani Moore nie istnieje. Ani pan, panie Amritrao, ani pan, panie McBryde, nie macie prawa snuć domysłów, co by ta pani powiedziała. Nie ma jej tu i wobec tego nie może nic powiedzieć.

- W porządku, wycofuję swoją uwagę - powiedział inspektor znużonym głosem. - Zrobiłbym to piętnaście minut temu, gdyby mi dano szansę. Ta pani nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Ja już to zrobiłem w imieniu obrony - rzekł Amritrao. I dodał z typowo adwokackim humorem: - Być może, potrafi pan przekonać tych panów na ulicy, żeby także ją wycofali - bo przed gmachem w dalszym ciągu powtarzano ów refren.

- Obawiam się, że moje kompetencje nie sięgają aż tak daleko - odparł z uśmiechem Das.

A więc pokój został przywrócony i kiedy przyszła kolej na zeznania Adeli, atmosfera była o wiele spokojniejsza niż na początku rozprawy. Znawców Indii to nie zaskoczyło. Krajowcom brak wytrzymałości. Wybuchają wielkim płomieniem przy lada drobiazgu i są wypaleni w momencie kryzysu. Szukają tylko powodu do skargi, i to właśnie znaleźli w rzekomym uprowadzeniu starszej pani. Będą teraz mniej zgnębieni, kiedy sąd skaże Aziza na deportację.

Ale kryzys miał dopiero nadejść.

Adela przez cały czas zamierzała mówić prawdę i tylko prawdę i przygotowywała się do tej chwili jak do bardzo trudnego zadania - trudnego, bo jej straszliwa przygoda w

grocie była powiązana, chociaż tylko cienką nicią, z inną sferą jej życia, to jest zaręczynami z Ronnym. Rozmyślała przecież o miłości tuż przed wejściem do groty i naiwnie pytała Aziza o jego małżeństwo, a chyba właśnie to jej pytanie wyzwoliło w nim zło. Opowiadać o tym szczegółowo byłoby czymś niewiarygodnie bolesnym, tę jedną rzecz pragnęła zataić; była gotowa podać szczegóły, które sprawiłyby przykrość

214

innym młodym kobietom, ale nie odważyłaby się nawet wspomnieć o historii swojej osobistej klęski i obawiała się, że podczas publicznego przesłuchania coś może wyjść na jaw. Ale z chwilą gdy wstała, żeby odpowiadać McBryde'owi, i posłyszała dźwięk własnego głosu, nawet to przestało budzić w niej lęk. Nowe, nieznanne uczucie chroniło ją teraz niczym wspinała zbroja. Nie myślała

O tym, co się stało, nie przypominała sobie nawet wypadków, posługując się w niezwykle sposób pamięcią, lecz powróciła do Wzgórz Marabarskich i z nich, jakby przez obszar ciemności, mówiła do McBryde'a. Fatalny dzień powrócił do niej we wszystkich szczegółach, ale teraz jednocześnie była i nie była jego częścią, i ten dwojaki stosunek przydawał mu nieopisanego blasku. Dlaczego myślała dotąd, że ta wyprawa była „nudna”? Teraz słońce weszło ponownie, słoń czekał, blade masy skalne falowały wokół niej i ujawniły pierwszą grootę; weszła i w wygładzonych ścianach odbił się płomyk zapalki - wszystko piękne i znaczące, chociaż wtedy była na to ślepa. Padały pytania i na każde znajdowała właściwą odpowiedź. Tak, zauważyła „Zbiornik Sztyletu”, ale nie знаła wtedy jego nazwy; tak, pani Moore była zmęczona po zwiedzeniu pierwszej groty i usiadła w cieniu wysokich skał obok wyschniętej kałuży. Głos przemawiał gładko z oddalenia, wiodąc ją po ścieżkach prawdy, a kłęby powietrza wypychanego

wachlarzem unosiły ją naprzód...

- ...oskarżony i przewodnik poprowadzili panią na Kawa Dol

1 nikt inny nie był przy tym obecny?

- Do najcudowniejszego z tych wzgórz. Tak. -

Mówiąc to odtworzyła w sobie Kawa Dol, zobaczyła nisze w kamiennej krzywiźnie i poczuła, jak fala upału uderza ją w twarz.

I coś kazało jej dodać: - O ile wiem, nie było tam nikogo innego.

Wydawało się, że jesteście sami.

- Doskonale, w połowie drogi pod górę jest półka skalna, czy raczej załamanie terenu, i dużo grot rozsypanych w pobliżu miejsca, gdzie zaczyna się wąwóz.

- Wiem, o którym miejscu pan mówi.

- Weszła pani sama do jednej z tych grot.

- Tak jest.

- I oskarżony poszedł za panią.

- Teraz go mamy - odezwał się major.

215

Adela milczała. Sąd, owo miejsce pytań, czekał na wyjaśnienie. Ale nie mogła go udzielić, póki Aziz nie ukaże się tam, gdzie jest miejsce odpowiedzi.

- Oskarżony poszedł za panią, prawda? - powtórzył inspektor monotonnym głosem, jakim mówili oboje; używali uzgodnionych słów, więc ta część przewodu nie zawierała niespodzianek.

- Czy mogę zastanowić się chwilę, zanim na to odpowiem?

- Naturalnie - zgodził się McBryde.

Pojawiła się wizja wielu grot. Widziała siebie w jednej z nich, ale była też na

zewnątrz groty, obserwując jej wejście i czekając, żeby wszedł do środka Aziz. Nie zdołała go dostrzec. Była to wątpliwość, która ją często nawiedzała, ale wątpliwość realna i pociągająca jak same wzgórza.

- Nie jestem... - Mówić było trudniej, niż widzieć. - Nie jestem całkiem pewna.

- Słucham?... - rzucił inspektor policji.

- Nie mam co do tego pewności...

- Nie rozumiem tej odpowiedzi. - Wydawał się przestraszony, jego usta zamknęły się z głośnym kłapnięciem. - Była pani na tej półce, czy jak tam to nazwiemy, i weszła pani do groty. Twierdzę, że oskarżony poszedł za panią.

Potrząsnęła głową.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Nie - rzekła płaskim, nieprzyjemnym głosem. W różnych częściach sali rozległ się cichy gwar, ale z wyjątkiem Fieldinga nikt jeszcze nie rozumiał, co się dzieje. Ten zorientował się, że Adela jest bliska załamania nerwowego i że jego przyjaciel jest uratowany.

- O co chodzi, co pani mówi? Proszę mówić głośniej. - Sędzia pochylił się do przodu.

- Myślę, że popełniłam omyłkę.

- Jaką omyłkę?

- Doktor Aziz wcale nie wszedł za mną do groty.

Inspektor cisnął swoje papiery na stół, ale zaraz je podniósł i rzekł spokojnie:

- Panno Quested, idziemy dalej. Przeczytam zeznanie, które

pani podpisała w mojej willi dwie godziny po wypadku.

- Przepraszam pana, panie inspektorze, nie może pan „iść

216

dalej". Teraz ja rozmawiam ze świadkiem. A publiczność ma zachować ciszę. Jeżeli nie zaprzestanie rozmów, każę opróżnić salę. Panno Qusted, proszę kierować swoje słowa do mnie, jako sędziego prowadzącego tę rozprawę, i proszę zrozumieć ich niezwykłą wagę. Proszę pamiętać, że zeznaje pani pod przysięgą.

- Doktor Aziz wcale...

- Przerwywam tę rozprawę ze względów medycznych! - zawołał major na polecenie Turtona i wszyscy Anglicy jednocześnie zerwali się ze swoich miejsc - duże, białe postacie, za którymi zniknął mały sędzia. Hindusi też wstali, mnóstwo rzeczy działo się naraz, więc nic dziwnego, że później każdy z obecnych podawał inną wersję katastrofy.

- Czy pani wycofuje oskarżenie? Proszę mi odpowiedzieć! -

krzyczał przedstawiciel sprawiedliwości.

Coś, czego nie rozumiała, owładnęło dziewczyną i pociągnęło ją za sobą. Choć jej wizja już zniknęła, a ona sama powróciła do bezbarwności tego świata, pamiętała przecież, czego się nauczyła. Pokuta i spowiedź - to wszystko może poczekać. Oстрыm, rzeczowym tonem powiedziała:

- Wycofuję wszystko.

- To wystarczy, proszę usiąść. Panie McBryde, czy wobec tego pragnie pan mówić dalej?

Inspektor spojrział na swojego świadka jak na zepsutą maszynę.

- Czy pani zwariowała?

- Proszę jej o nic nie pytać. Nie ma pan już prawa.

- Muszę mieć czas do namysłu...

- Sahib, będzie pan musiał wycofać oskarżenie. To zakrawa na skandal - zagrział nagle Nawab Bahadur z głębi sali.

- Nie zrobi tego! - krzyknęła pani Turton wśród wzrastającej wrzawy. - Wezwijcie innych świadków. Nikt z nas nie jest bezpieczny... - Ronny próbował ją powstrzymać, ale uderzyła go rozszoszczona i zaczęła obrzucać wyzwiskami Adele.

Inspektor ruszył na odsiecz swoim przyjaciółom, mówiąc non-szalancko do sędziego:

- Dobrze, wycofuję.

Sędzia Das powstał półżywy z napięcia. Zdołał zapanować nad rozprawą, choć z trudem. Dowiódł, że Hindus może przewodniczyć. Zwracając się do tych, którzy go słyszeli, powiedział:

217

- Oskarżony jest wolny, na jego dobrym imieniu nie ma skazy. Sprawa kosztów będzie rozstrzygnięta gdzie indziej.

A wtedy krucha struktura sądu rozpadła się, okrzyki szyderstwa i wściekłości przybrały na sile, ludzie wrzeszczeli i przeklinali, całowali się, płakali w uniesieniu. Tu oto byli Anglicy, ochraniani przez swoich służących, tam Aziz mdlał w ramionach Hamidullaha. Zwycięstwo po jednej stronie, klęska po drugiej - przez chwilę antyteza była pełna. Potem życie wróciło do swej złożoności, ludzie jeden po drugim wydostawali się z sali, śpiesząc ku swoim rozmaitym celom, i wkrótce na owej fantastycznej scenie nie pozostał nikt prócz pięknego nagiego boga. Nieświadomy, że zaszło coś niezwykłego, nadal pociągał za sznur pankhy, nadal spoglądał na opustoszałe podium i poprzewracane specjalne krzesła i rytmicznie wprawiał w ruch chmury opadającego pyłu.

Rozdział 25

Panna Quested wyrzekła się swoich rodaków. Kiedy odchodziła od nich, wessał ją tłum indyjskich sklepikarzy i uniósł w kierunku wyjścia dla publiczności. Ogarnęła ją mdła, trudna do opisania woń bazarów, przyjemniejsza od zapachu w londyńskich slumsach, ale bardziej niepokojąca; kłębek perfumowanej waty wetknięty w ucho starego człowieka, okruchy betelu między jego czarnymi zębami, wonne proszki,

olejki - pachnący Wschód tradycji, ale stopiony z ludzkim potem, jak gdyby potężny król dał się uwikłać bezecnościom i nie mógł się z nich oswobodzić lub jakby wszystkie wspaniałości ziemi gotowały się i smażyły na jedną papkę w pie-kącym słońcu. Nie zwracali na nią uwagi. Ściskali sobie dłonie ponad jej głową, krzyczeli do siebie ponad jej ciałem - bo kiedy Hindus naprawdę ignoruje swoich władców, staje się całkowicie nieświadomy ich istnienia. Pozbawiona udziału we wszechświecie, który sama stworzyła, została nagle popchnięta w ramiona Fiel-dinga.

- Czego pani tu szuka?

Wiedząc, że jest jej wrogiem, minęła go i wyszła na słońce.

Zawołał za nią:

218

- Dokąd pani idzie?!

- Nie wiem.

- Nie może pani tak wędrować bez celu. Gdzie samochód, który panią przywiózł?

- Pójdę pieszo.

- To szaleństwo... w mieście są podobno rozruchy... policja ruszyła do akcji, nikt nie wie, co się może zdarzyć. Dlaczego pani nie jest ze swoimi?

- Powinam się do nich przyłączyć? - spytała bez śladu emocji. Czowała się pusta, bezwartościowa; nie było już w niej prawości.

- Nie może pani, jest za późno. Jak się pani teraz przedostanie do bocznego wyjścia? Proszę iść za mną tędy... prędko... wsiądzie pani do mojego powozu.

- Cyryl, Cyryl, nie zostawiaj mnie! - rozległ się zrozpaczony głos Aziza.

- Zaraz wracam... Tędy, i proszę nie oponować. - Chwycił ją

za ramię. - Przepraszam za złe maniery, ale nie wiem, kto ma jakie nastawienie w tej sprawie. Odeśle mi pani powóz jutro, obojętne kiedy.

- Ale dokąd mam nim pojechać?
- Gdzie pani chce. Skąd mogę znać pani zamiary?

Jego powozik stał ukryty bezpiecznie w spokojnej uliczce, ale koni nie było, bo sais, nie przypuszczając, że rozprawa skończy się tak nagle, odprowadził je i poszedł odwiedzić znajomego. Wsiadła posłusznie. Fielding nie mógł jej teraz zostawić, bo zamęt przybierał na sile i tu, i tam pojawiała nuta fanatyzmu. Główna ulica bazarów była zablokowana i Anglicy przedostawali się do dzielnicy rządowej różnymi drogami okrężnymi; byli jak szczury w klatce i łatwo dałoby się ich wybić do nogi.

- Co... co pani właściwie robi? - wybuchnął nagle. - Gra pani w jakąś grę, studiuje życie czy co?
- Panie profesorze, przynoszę to dla pana - przerwał mu jakiś uczeń, podbiegając z girlandą jaśminu przewieszoną przez ramię.
- Nie chcę tego wiechcia. Odejdź.
- Panie profesorze, jestem koniem, wszyscy będziemy pana końmi! - zawołał inny, unosząc dyszle powozu.
- Sprowadź mojego woźnicę, Rafi. Bądź taki dobry.
- Nie, panie profesorze, to dla nas zaszczyt.

279

Fielding miał dość swoich uczniów. Im więcej mu okazywali szacunku, tym bardziej byli nieposłuszni. Schwytali go na lasso z jaśminów i róż, porysowali błotnik powozu o mur i zaczęli deklamować poemat, co ściągnęło w uliczkę tłum ludzi.

- Panie profesorze, proszę się pośpieszyć. Powieziemy pana w uroczystej procesji. - Na pół serdeczni, na pół bezczelni, wepchnęli go do środka.

- Nie wiem, czy to pani odpowiada, ale przynajmniej jest pani bezpieczna - zauważył. Powóz toczył się na główny bazar, gdzie wywołał sporą sensację. Panna Quested była tak znienawidzona w Czandrapurze, że nikt nie wierzył w jej skrucę i rozeszła się pogłoska, jakoby bóstwo ją poraziło w trakcie wypowiedzenia kłamstw. Ale ujrzawszy dziewczynę siedzącą obok bohaterskiego dyrektora ludzie zaczęli wznosić radosne okrzyki (niektórzy nazywali ją panią Moore!) i obwiesili ją girlandami, tak jak jego. Ni to bogowie, ni to straszdyła, byli teraz oboje wleczeni w ślad za triumfalnym landem Aziza. W owacjach, którymi ich witano, tkwiła pewna domieszka szyderstwa. Anglicy zawsze trzymają się razem! To był główny zarzut. Nie był zresztą pozbawiony słuszności. Sam Fielding go podzielał, wiedząc doskonale, że gdyby zdarzyło się jakieś nieporozumienie i jego sojusznicy zaatakowali by dziewczynę, musiałby umrzeć w jej obronie. Nie chciał umierać za nią, chciał radować się wspólnie z Azizem.

Dokąd zmierzał ów pochód? Do przyjaciół, do wrogów, do willi zarządcy, do Szpitala Minto, gdzie naczelnny lekarz będzie się kajał, a pacjenci (których mylono z więźniami) zostaną wypuszczeni na wolność, do Delhi, Simli. Uczniowie myśleli, że do college'u. Dotarwszy do zakrętu, zawrócili powóz w prawo, przeciągnęli go bocznymi uliczkami w dół wzgórza, a następnie wprowadzili przez ogrodową bramę na plantację mangowców, gdzie Fieldinga i pannę Quested czekały spokój i cisza. Drzewa tonęły w błyszczącym listowiu i delikatnych zielonych owocach, zbiornik drzemał spokojnie; a za nim wznosiły się cudownie błękitne łuki pawilonu letniego. - Panie profesorze, sprowadzimy innych. Panie profesorze, to trochę za duży ciężar dla naszych ramion. - Fielding schronił się w swoim gabinecie i próbował zatelefonować do McBryde'a. Ale było to niemożliwe: ktoś przeciął druty. Wszyscy służący wynieśli się z domu. I znowu nie mógł jej zostawić.

Umieścił ją w dwóch pokojach, zaopatrzył w lód, napoje i biszkopty, poradził, żeby się położyła i sam się położył - nie było nic innego do roboty. Był niespokojny i miał poczucie osobistej klęski, kiedy tak przysłuchiwał się odpływającym głosom pochod, a radość psuło mu jakby zdumienie. Owszem, to jest zwycięstwo, ale jakież dziwne.

W tym samym momencie Aziz krzyczał: „Cyryl, Cyryl...”. Stłoczony w powozie wraz z Nawabem Bahadurem, Hamidul-lahem, Mahmudem Ali, swoimi synkami i stosem kwiatów nie odczuwał zadowolenia; chciał mieć dokoła siebie wszystkich, którzy go kochają. Zwycięstwo nie sprawiło mu przyjemności, zbyt wiele już wycierpiał. Od chwili aresztowania był bez sił, dogorywał jak zranione zwierzę i stracił wszelką nadzieję - nie z tchórzostwa, tylko z przekonania, że słowo Angielki zawsze weźmie górę nad jego słowem. „To przeznaczenie”, powiedział wtedy; i powtórzył „To przeznaczenie”, kiedy został ponownie uwięziony po Moharramie. W tym straszliwym okresie istniała tylko serdeczna wdzięczność i serdeczna wdzięczność była wszystkim, co odczuwał w pierwszych bolesnych chwilach wolności. -Dlaczego Cyryl nie jedzie z nami? Lepiej zawróćmy. - Ale pochód nie mógł zawrócić. Niczym wąż w rurze kanalizacyjnej pełził przez wąski bazar ku niecce majdanu, gdzie miał się okręcić wokół własnego ogona i zdecydować, co padnie jego ofiarą.

- Naprzód, naprzód! - wrzeszczał Mahmud Ali; każda jego wypowiedź przemieniała się teraz w ryk. - Precz z zarządcą, precz z inspektorem policji!

- Panie Mahmud Ali, to nierozsądne - błagał Nawab Bahadur, który wiedział, że atakując Anglików, nic się nie osiągnie: spadli we własne sieci i lepiej ich tam zostawić. Ponadto miał wielkie włości i potępiał anarchię.

- Cyryl, znowu dezertujesz - jęczał Aziz.

- Ale jakaś zdyscyplinowana demonstracja jest potrzebna - rzekł Hamidullah. - W przeciwnym razie pomyślą, że się boimy.

- Precz z naczelnym lekarzem... ratować Nureddina!

- Nureddina?
- Torturują go. ; •|>
- Ach, mój Boże... - bo to też był przyjaciel.

221

- Nie torturują. Nie pozwolę, żeby mój wnuk stał się pretekstem do napaści na szpital - zaprotestował starzec.
- Torturują. Callendar chełpił się tym przed rozprawą. Słyszałem przez maty na drzwiach. Powiedział: „Zmaltretowałem tego czarnucha”.
- Ach, mój Boże, mój Boże... Nazwał go czarnuchem?
- Zamiast środka odkażającego położyli mu na rany pieprz.
- Panie Mahmud Ali, to niemożliwe. Trochę surowości chłopcu nie zaszkodzi, potrzebna mu dyscyplina.
- Pieprz. Tak powiedział naczelny lekarz. Chcą nas zniszczyć jednego po drugim. To im się nie uda.

Ta nowa zniewaga rozwścieczyła tłum. Do tej chwili brakowało mu celu, krzywdy do pomszczenia. Kiedy ludzie znaleźli się na majdanie i zobaczyli brudnozłote arkady szpitala, powlekli się w tamtą stronę z wyciem. Zbliżało się południe. Ziemia i niebo były obłąkańczo brzydkie, duch zła znowu rozszalał się po świecie. Walczył z nim samotnie Nawab Bahadur, mówił sobie, że pogłoska jest nieprawdziwa. Zaledwie w zeszłym tygodniu widział swojego wnuka na sali szpitalnej. Ale i on dał się ponieść ku tej nowej przepaści. Uratować, wyrzucić zemstę na majorze, a potem przyjdzie kolej na całą dzielnicę rządową.

Ale katastrofie udało się zapobiec i zapobiegł jej doktor Panna Lal.

Doktor Panna Lal zgłosił się jako świadek oskarżenia, pragnąc dogodzić Anglikom, a także z nienawiści do Aziza. Kiedy sprawa upadła, znalazł się w bardzo przykrew sytuacji. Wcześniej niż większość obecnych na sali dostrzegł nadchodzący krach, wyśliznął się z sądu, zanim sędzia Das zamknął rozprawę, i popędzając Srokacza

uliczkami bazaru uciekł przed oczekującym go gniewem. W szpitalu będzie bezpieczny, bo ochroni go major Callendar. Ale major się nie zjawił i sytuacja stawała się coraz gorsza, bo oto zebrał się motłoch żądny jego krwi i zbuntowani sanitariusze nie chcieli pomóc mu przedostać się przez mur na tyłach szpitala, a raczej podsadzili go i upuścili z powrotem na ziemię, ku zadowoleniu pacjentów. Udręczony zawołał: - Człowiek umiera tylko raz! - i pokuśtykał przez ogród, by stawić czoło inwazji, jedną ręką wykonując gesty pozdrowienia, w drugiej trzymając blado-żółty parasol. - Och, proszę mi wybaczyć - skamlał, zbliżywszy

222

się do triumfalnego landa. - Och, doktor Aziz, przebacz pan te paskudne kłamstwa, jakie mówiłem. - Aziz milczał, inni wydeśli policzki i unieśli wysoko podbródki na znak pogardy. - Bałem się, oszukali mnie - mówił i rzuciwszy parasol na ziemię podeptał go i zaczął się bić po nosie. Wiedział, co robi, i oni też wiedzieli. Poniżenie takiego człowieka nie wzruszało, nie miało w sobie nic trwałego. Pochodził z nizin i niczym nie można go było upokorzyć, więc bardzo mądrze zdecydował, by tak postępować, żeby tamci poczuli się przy nim królami, bo to wprowadzi ich w lepszy nastrój. Dowiedziawszy się, że szukają Nureddina, podskoczył jak koza i pomknął jak kura, żeby wykonać ich rozkazy; i tak szpital został uratowany, a on do końca życia nie mógł zrozumieć, dlaczego nie dostał awansu za swoje czyny tego ranka. „Szybkość, panie majorze, szybkość podobna do pańskiej”. Tak brzmiał argument, który Panna Lal wysunął, domagając się od majora Callendara pro-mocji.

Kiedy wyszedł do nich Nureddin z twarzą spowitą w bandażę, rozległ się ryk ulgi, jak gdyby padła Bastylia. Był to krytyczny moment całego marszu i Nawab Bahadur zdołał wreszcie opanować sytuację. Uściskawszy młodzieńca na oczach wszystkich wygłosił mowę o Sprawiedliwości, Odwadze, Wolności i Roztropności, rozbitą na poszczególne tematy, która ochłodziła żarliwe uczucia tłumu. Następnie obwieścił, że zamierza zrzec się nadanego mu przez Brytyjczyków tytułu i żyć dotąd jako osoba prywatna, zwyczajny „pan Zulfiaar”, w którym to celu natychmiast udaje się do swojej wiejskiej siedziby. Lando zawróciło, tłum poszedł za nim, kryzys został zażegnany. Groty Marabarskie okazały się niezwykle ciężką próbą dla miejscowej administracji; odmieniły tok życia wielu osób, zniszczyły niektóre kariery, ale nie doprowadziły do upadku żadnego kontynentu ani nawet nie wstrząsnęły żadnym okręgiem.

- Dziś wieczór będziemy się weselić - powiedział starzec. - Panie Hamidułlah, upoważniam pana do przyprowadzenia naszych przyjaciół, Fieldinga i Amritrao, i do

sprawdzenia, czy dla tego ostatniego należy przygotować specjalne potrawy. Inni pozostaną ze mną. Do Dilkuszy pojedziemy naturalnie dopiero wtedy, kiedy zacznie się wieczorny chłód. Jeśli idzie o mnie, mam lekki ból

223

głowy i żałuję, że nie poprosiłem naszego pocziwego doktora Panna Lala o aspirynę.

Bo też upał robił swoje. Ponieważ nie mógł przyprawić ludzi o utratę zmysłów, wprowadzał ich przynajmniej w stan odrętwienia i wkrótce większość czandrapurskich kombatantów załapała w sen. Mieszkańcy dzielnicy rządowej czuwali przez jakiś czas, lękając się napaści, ale niebawem oni też wkroczyli w świat snu - ów świat, w którym upływa trzecia część życia każdego człowieka i który pesymiści uważają niekiedy za ostrzeżenie przed wiecznością.

Rozdział 26

Zbliżał się wieczór, kiedy Fielding i panna Quested spotkali się i odbyli pierwszą ze swoich licznych i osobliwych rozmów. Po przebudzeniu się miał nadzieję, że ktoś ją zabrał, ale college nadal był odcięty od świata. Adela spytała, czy może jej udzielić „czegoś w rodzaju posłuchania”, a kiedy milczał, rzekła:

- Czy potrafi pan jakoś wytłumaczyć moje niezwykle zachowanie?
- Nie - odparł krótko. - Po co było wysuwać tego rodzaju oskarżenia, skoro miała pani zamiar je wycofać?
- Właśnie, po co?
- Chyba doktor Aziz powinien być pani wdzięczny, ale...
- Nie oczekuję wdzięczności. Myślałam tylko, że może chciałby pan usłyszeć, co mam do powiedzenia.
- Ach, Boże - westchnął, czując się trochę jak uczeń. - Uważam, że nie powinienem z panią dyskutować. Szczerze mówiąc, w tej obrzydliwej sprawie jestem po przeciwnej stronie

niż pani.

- A nie interesuje pana, co myśli moja strona?
- Nie bardzo.
- Naturalnie nie mówiłabym panu tego w zaufaniu. Więc mógłby pan przekazać moje słowa swojej stronie, bo z całej dzisiejszej tragedii spłynęła na mnie jedna wielka łaska: nie mam już żadnych tajemnic. Moje echo ucichło... nazywam szum w uszach echem.

224

Widzi pan, czułam się źle od czasu tej wyprawy do grot, a może nawet dawniej. To go zainteresowało; sam podejrzewał czasem coś takiego.

- Jak się objawia ta choroba?

Dotknęła skroni, potem potrząsnęła głową.

- To była moja pierwsza myśl, zaraz w dniu aresztowania: halucynacje.

- Sądzi pan, że to możliwe? - spytała z wielką pokorą. - Co by je mogło spowodować?

- W Marabarze zdarzyła się na pewno jedna z trzech rzeczy - powiedział, wbrew woli dając się wciągnąć w rozmowę. - Jedna z czterech rzeczy. Albo Aziz jest winien, jak myślą pani przyjaciele, albo pani sfabrykowała to oskarżenie z czystej złośliwości, jak myślą moi przyjaciele, albo miała pani halucynacje. Jestem teraz skłonny... - wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Skoro mi pani mówi, że czuła się pani źle już przed wycieczką... to bardzo poważny dowód. Myślę, że pani sama

zerwała pasek od lornetki. Przez cały czas była pani w tej grocie.

- Może...

- Pamięta pani, kiedy po raz pierwszy poczuła się pani nie-
dobrze?

- Jak przyszedłam do pana na herbatę... o tam, w tym pawilonie.

- To było niezbyt udane przyjęcie. Aziz i stary Godbole też się po nim rozchorowali.

- Ja nie byłam chora... to zbyt nieokreślone uczucie, żeby w ogóle móc je nazwać, ściśle łączące się z moimi prywatnymi sprawami. Podobał mi się śpiew... ale właśnie mniej więcej w tym momencie ogarnął mnie jakby smutek: życie na półobrotach, najlepiej tak to wyrazić. Półobroty. Pamiętam, że prosto stąd pojechaliśmy z panem Heaslopem obejrzeć grę w polo na majdanie. Zdarzyły się różne inne rzeczy, nieważne co, ale przez cały czas nie byłam w formie. I na pewno było tak samo, kiedy zwiedzałam te groty, a pan sugeruje... nic mnie nie przeraża ani nie rani... pan sugeruje, że miałam tam halucynacje, jedno z tych przywidzeń, które każą kobietom przypuszczać, że im ktoś zaproponował małżeństwo, mimo że nie było żadnej takiej propozycji.

- W każdym razie stawia pani sprawę uczciwie.

225

- Wychowano mnie na uczciwego człowieka. Cały kłopot, że ta uczciwość nie prowadzi do niczego.

Czując, że zaczyna ją trochę lubić, uśmiechnął się i rzekł:

- Zaprowadzi nas do nieba.
- Naprawdę?
- To znaczy, gdyby niebo istniało.
- Nie wierzy pan w niebo, jeśli wolno spytać? - powiedziała, spoglądając na niego nieśmiało.
- Nie wierzę. Ale wierzę, że uczciwość nas tam prowadzi.
- Jak to możliwe?
- Wróćmy do halucynacji. Obserwowałem panią uważnie dziś rano w czasie pani zeznań i jeśli się nie mylę, halucynacje, czy jak pani mówi półobroty, to zupełnie dobre słowo, nagle minęły.

Usiłowała sobie przypomnieć, co czuła w sądzie, ale na próżno; jej wizja ulatniała się, ilekroć chciała ją jakoś wytłumaczyć.

- Wypadki stanęły mi przed oczami w swoim logicznym następstwie - brzmiała jej odpowiedź, ale to wcale nie było tak.
- Sądzę... a słuchałem pilnie w nadziei, że popełni pani jakiś błąd... otóż sądę, że ten biedny McBryde wypędził z pani złego ducha. Kiedy zadał proste pytanie, udzieliła pani prostej odpowiedzi i załamała się.
- Ach, wypędził ducha w tym sensie. Myślałam, że chodzi panu o to, że zobaczyłam ducha.
- Nie posuwam się aż tak daleko!
- Ludzie, których bardzo szanuję, wierzą w duchy - powiedziała dość ostrym tonem. - Na przykład moja przyjaciółka pani Moore.
- To stara kobieta.
- Uważam, że niesłusznie jest pan niegrzeczny wobec niej...

i wobec jej syna.

- Nie zamierzałem być niegrzeczny. Chciałem tylko powiedzieć, że w miarę jak posuwamy się w latach, jest nam coraz trudniej stawiać opór zjawiskom nadnaturalnym. Czuję, jak mnie samego to nachodzi. Ciągle jeszcze daję sobie radę, ale jaka to pokusa, kiedy ma się czterdzieści pięć lat, wmawiać w siebie, że umarli wracają do życia. Moi umarli. Obcy nie mają znaczenia.

- Bo umarli nie ożywają.

- Obawiam się, że nie.

- Ja też.

226

Nastąpiła chwila ciszy, jak bywa często po tryumfie racjonalizmu. Potem Fielding przeprosił dość uprzejmie za swoje zachowanie wobec Heaslopa w klubie.

- Co mówi o mnie doktor Aziz? - spytała po jeszcze jednej przerwie.

- Och... w tym swoim nieszczęściu nie bardzo jest zdolny do myślenia, naturalnie jest rozgoryczony - odparł Fielding, nie bez pewnego zakłopotania, bo uwagi Aziza na jej temat były nie tylko gorzkie, ale i niesmaczne. Ich motyw przewodni brzmiał następująco: „To hańba dla mnie, że moje nazwisko połączono z tą jędzą”. Doprowadzało go do furii, że został oskarżony przez kobietę, która nie miała urody; w sprawach płci był snobem. Fieldinga to zastanawiało i martwiło. Zmysłowość, byle tylko prosta i szczerą, wcale go nie odpychała, ale owa wtórna zmysłowość - która kochankę stawia na równi z samochodami, jeżeli

jest piękna, a jeżeli jest brzydka, z natrętnymi muchami - była obca jego psychice i kiedy się ujawniała, miał uczucie, że między nim i Azizem wyrasta mur. Była to, w nowym kształcie, ta sama stara, bardzo stara zmora, która wyżera serce każdej cywilizacji; snobizm, żądza posiadania, pragnienie przynoszących zaszczyt akcesoriów, i żeby uciec właśnie przed tym, bardziej niż od cielesnych pożądań, święci mężowie chronią się w Himalaje. Chcąc zmienić temat, powiedział: - Ale może dokończę swojej analizy. Zgadzam się, że Aziz nie jest czarnym charakterem i pani też nie, a co więcej, nie jesteśmy tak naprawdę pewni, że to były halucynacje. Jest jeszcze czwarta możliwość, o której należy wspomnieć: czy mógł to być ktoś inny?

- Przewodnik.

- Właśnie, przewodnik. Nieraz o tym myślałem. Niestety Aziz uderzył go w twarz, a on się przestraszył i uciekł. Bardzo źle się stało, no i policja nie chciała nam w tym pomóc, przewodnik ich nie interesował.

- To mógł być przewodnik - powiedziała spokojnie; sprawa nagle przestała ją zajmować.

- Albo ktoś z tej bandy Pathanów, którzy wałęsają się po okolicy?

- Ktoś, kto był w innej grocie i poszedł za mną, kiedy przewodnik nie patrzył w tę stronę? Możliwe.

W tym momencie zjawił się Hamidullah; nie był chyba zbyt zachwycony, że zastał ich konferujących na osobności. Jak wszyscy inni mieszkańcy Czandrapuru, nie rozumiał postępowania panny Quested. Usłyszał ich ostatnie słowa.

- Jak się masz, mój drogi - powiedział. - A więc dopadłem cię w końcu. Możesz pojechać zaraz do Dilkuszy?

- Zaraz?

- Mam nadzieję, że niedługo odjadę, nie chciałabym przeszkadzać - wtrąciła Adela.

- Popsuł się telefon i panna Quested nie może zadzwonić do przyjaciół - wyjaśnił Fielding.

- Popsuło się mnóstwo rzeczy, których nie da się nigdy naprawić - odparł tamten. - Mimo to powinien się znaleźć sposób na odwiezienie tej pani do dzielnicy rządowej. Niezliczone są możliwości cywilizacji. - Mówiąc to, nie patrzył na pannę Quested i udawał, że nie widzi lekkiego ruchu ręką, jaki wykonała w jego kierunku.

Fielding, który chciał, żeby spotkanie przebiegło przyjaźnie, powiedział:

- Panna Quested tłumaczyła mi swoje dzisiejsze zachowanie.

- Być może wróciła era cudów. Trzeba być gotowym na wszystko, jak mówią nasi filozofowie.

- Widzom musiało się to wydać cudem - powiedziała Adela nerwowo, zwracając się do Hamidullaha. - A ja po prostu uświadomiłam sobie, jeszcze w porę, że popełniłam omyłkę, i starczyło mi przytomności umysłu, żeby to powiedzieć. Oto, do czego się sprowadza całe moje niezwykle postępowanie.

- Oto, do czego się sprowadza. Istotnie - odparował, drżąc

z wściekłości, ale trzymając nerwy na wodzy, bo czuł, że dziewczyna może zastawić nową pułapkę. - Jeśli mam mówić jako osoba prywatna, w ściśle nieoficjalnej rozmowie, to przyznam, że podziwiałem pani zachowanie i bardzo się cieszyłem, kiedy nasi poczciwi studenci obwieszali panią girlandami. Ale podobnie jak pan Fielding jestem zdumiony. A prawdę mówiąc, zdumienie to zbyt słabe słowo. Patrzę, jak pani wciąga w błoto mojego najbliższego przyjaciela, niszczy mu zdrowie i rujnuje przyszłość w sposób, którego pani nie może zrozumieć, bo nie zna pani naszego społeczeństwa i naszej religii, a potem ni stąd, ni zowąd wstaje

228

pani w sądzie i mówi: „Ach nie, panie McBryde, mimo wszystko nie jestem całkiem pewna, równie dobrze może go pan zwolnić”. Czy ja oszalałem? Wciąż zadaję sobie to pytanie. Czy może jest to sen, a jeżeli tak, to kiedy się zaczął? W każdym razie nie ma wątpliwości, że to sen, który jeszcze trwa. Bo sądzę, że pani z nami nie skończyła i że teraz przyszła kolej na biednego starego przewodnika, który oprowadzał was po grotach.

- Wcale nie, omawialiśmy tylko różne możliwości - wtrącił Fielding.

- Ciekawa rozrywka, ale trochę za długa. Jest sto siedemdziesiąt milionów Hindusów na tym sławetnym półwyspie i oczywiście któryś z nich wszedł do groty. Bo naturalnie winowajcą jest Hindus, ani przez chwilę nie wolno nam w to wątpić. Musi ci to, mój drogi, zająć dużo czasu - tu otoczył ramieniem plecy Anglika i zaczął kołysać się razem z nim łagodnie. - Czy wobec tego nie lepiej pojechać do Nawaba Bahadura, czy raczej pana Zulfiąara,

bo tak każe się teraz nazywać.

- Z przyjemnością, za chwilę...

- Właśnie zdecydowałam, co robić dalej - powiedziała panna

Quested. - Pojadę do Zajazdu Poczтового.

- Nie do Turtonów? - spytał Hamidullah, wytrzeszczając

oczy. - Myślałem, że pani jest ich gościem.

Zajazd Pocztowy w Czandrapurze był na bardzo kiepskim poziomie i z pewnością nie trzymano tam służby. Fielding, chociaż w dalszym ciągu kołysał się razem z Hamidullahem, sam rozmyślał nad tą sprawą, ale tok jego myśli był inny. Po chwili rzekł:

- Mam lepszy pomysł, panno Quested. Może pani zatrzymać się tu, w college'u. Wyjadę na co najmniej dwa dni, a pani będzie mogła korzystać z całego budynku i tak wszystko ułożyć, jak to będzie dla pani dogodne.

- Zupełnie się z tym nie zgadzam - rzekł Hamidullah, wyraźnie skonsternowany. - To bardzo zły pomysł. Wieczorem może być jeszcze jedna demonstracja i tłum może napaść na college. Wtedy ty, mój drogi, byłbyś odpowiedzialny za bezpieczeństwo tej pani.

- Równie dobrze mogą napaść na Zajazd Pocztowy.

- Oczywiście, ale wtedy nie ty będziesz odpowiedzialny.

- Bardzo słusznie. I tak już narobiłam dosyć zamieszania.

- Słyszysz? Pani to sama przyznaje. Nie obawiam się napaści

229

ze strony naszych rodaków... Trzeba ci było widzieć, jak spokojnie zachowali się pod szpitalem. Ale musimy mieć się na baczności przed czym innym, idzie mi o napad zorganizowany po kryjomu przez policję, żeby skompromitować ciebie. McBryde trzyma do tego celu mnóstwo opryszków, a to dałoby mu świetną okazję.

- Mniejsza z tym. Panna Quested nie pojedzie do Zajazdu - rzekł Fielding. Z natury miał współczucie dla pogwałconych - między innymi dlatego odsunął się trochę od Aziza - i postanowił, że nie opuści jej w potrzebie. Zresztą po rozmowie z nią poczuł dla niej szacunek. Chociaż nie wyzbyła się swoich oschłych, guwernanckich manier, to jednak nie ona doświadczała teraz życia, tylko życie ją doświadczało; stała się kimś autentycznym.

- Więc dokąd ma iść? Nigdy się od niej nie uwolnimy! - Bo na Hamidullahu panna Quested nie zrobiła dobrego wrażenia. Gdyby w sądzie okazała wzruszenie, załamała się, biła się w piersi i wzywała imienia Bożego, przemówiłaby do jego wyobraźni i szlachetności - miał ich pod dostatkiem. Ale chociaż przyniosła wyraźną ulgę psychice Wschodu, jednocześnie ją zmroziła; w rezultacie nie mógł uwierzyć w jej szczerą i rzeczywiście z jego punktu widzenia nie była szczerą. Bo u podłoża jej zachowania leżała chłodna sprawiedliwość i uczciwość; odwołując zarzuty, nie czuła namiętnej miłości do tych, których skrzywdziła. Prawda nie jest prawdą w tym wymagającym kraju, jeżeli w parze z nią nie idzie miłość, i znowu miłość, i jeszcze raz miłość, jeżeli Słowo, które było u Boga, nie jest także Bogiem. I ofiara dziewczyny - tak chlubna według pojęć Zachodu - została słusznie odrzucona, bo chociaż płynęła z jej serca, to przecież serca nie objęła. Kilka girland od studentów - oto, co Indie dały jej w zamian.

- Ale gdzie ma zjeść kolację, gdzie ma spać? Uważam, że tu, tylko tu, a jeżeli dostanie po głowie od opryszków, to po prostu

dostanie po głowie. Oto mój wkład. No co, panno Quested?

- Jest pan bardzo uprzejmy. Myślę, że powinnam powiedzieć tak, ale zgadzam się z panem Hamidullahem. Nie wolno mi sprawiać panu dalszych kłopotów. Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do Turtonów, może pozwolą mi przenocować, a jeżeli mnie odprawią, pojedę do Zajazdu. Zarządca by mnie przyjął, wiem o tym, ale pani Turton powiedziała dziś rano, że nie chce mnie więcej widzieć. - Mówiła bez goryczy czy też, jak uważał Hamidullah,
230

bez należytej dumy. Chciała tylko jednego: sprawić jak najmniej kłopotu.

- Radzę zostać tutaj i nie narażać się na zniewagi tej nieznośnej baby.

- Uważa pan, że jest nieznośna? Ja też tak myślałam. Ale już nie myślę.

- No i mamy rozwiązanie - odezwał się adwokat, który zaniechawszy swoich nie pozbawionych odcienia groźby pieszczot powędrował do okna. - Oto przybywa sędzia dla miasta Czandrapuru. Przybywa nędzną dorożką, żeby go nie poznano, przybywa bez eskorty, niemniej przybywa pan sędzia.

- Nareszcie - powiedziała Adela tak cierpko, że Fielding spojrział na nią.

- Przybywa, przybywa, przybywa. Kulę się ze strachu. Trzęsę się.

- Zechce pan go spytać, czego sobie życzy? - zwróciła się do

Fieldinga.

- Oczywiście życzy sobie pani.
- Może nawet nie wie, że tu jestem.
- Pomówię z nim najpierw, jeśli pani woli.

Kiedy odszedł, Hamidullah rzucił zgryźliwie:

- Nie, doprawdy. Czy musiała pani narażać pana Fieldinga na te nowe przykrości? Jest stanowczo za delikatny. - Nie odpowiedziała i aż do powrotu gospodarza panowało milczenie.

- Ma dla pani jakąś wiadomość - oznajmił Fielding. - Znajdź go pani na werandzie. Woli nie wchodzić.

- Każe mi wyjść do siebie?

- Czy każe, czy nie, moim zdaniem pani i tak wyjdzie - rzekł

Hamidullah.

- Zupełnie słusznie - przyznała po krótkim milczeniu, a następnie w kilku słowach podziękowała Fieldingowi za dobroć, jaką okazał jej w ciągu całego dnia.

- Chwała Bogu, że już po wszystkim - zauważył, nie odprowadziwszy jej na werandę, bo nie miał ochoty ponownie spotykać się z Ronnym.

- Zachował się obraźliwie, że nie wszedł.

- Nie bardzo mógł z uwagi na to, jak zachowałem się wobec niego w klubie. Heaslop nie wypadł najgorzej. Poza tym los

231

obszedł się z nim dzisiaj dość brutalnie. Dostał depeszę z wiadomością, że jego matka umarła. Biedna staruszka.

- Ach tak. Pani Moore. Bardzo mi przykro - rzucił dość obojętnie Hamidullah.

- Umarła na morzu. :

- Pewnie upała.

- Tak przypuszczam.

- Stara kobieta nie powinna odbywać podróży w maju.

- Bardzo słusznie. Heaslop źle zrobił, godząc się na ten wyjazd, i wie o tym. Ruszamy?

- Poczekajmy, aż szczęśliwa para opuści teren... To naprawdę nieznośne, że tak marudzą. No cóż, mój drogi, nie wierzysz w opatrność, pamiętam. Ja wierzę. To kara Heaslopa za to, że uprowadził świadka, żebyśmy nie mogli dowieść naszego alibi.

- Posuwasz się trochę za daleko. Zeznania biednej staruszki nie mogły mieć żadnej wartości, cokolwiek Mahmud Ali wykrzykuje i wyrzaskuje na ten temat. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby nic dojrzeć przez ściany Kawa Dol. Tylko panna Qusted mogła go ocalić.

- Kochała Aziza, on tak twierdzi, i kochała Indie, a on kochał ją.

- Miłość nie ma wartości dowodowej, o czym powinien wiedzieć każdy adwokat. Ale widzę, mój drogi, że w Czandrapurze rodzi się legenda o Esmis Esmur. Niech się rodzi, ja nie będę przeszkadzał.

Hamidullah uśmiechnął się i spojrział na zegarek. Ta śmierć zmartwiła ich obu, ale byli ludźmi w średnim wieku i zdążyli już ulokować swoje uczucia gdzie indziej, więc nie należało oczekiwać od nich wybuchu żalości nad przelotną znajomą. Liczy się tylko nasz własny zmarły. Jeżeli nawet przez chwilę złączyli się w smutku, chwila ta szybko minęła. Jak w rzeczy samej jest to możliwe, żeby jedna istota

opłakiwała cały smutek, z jakim spotyka się na ziemi, całe cierpienie, jakie znoszą nie tylko ludzie, ale również zwierzęta i rośliny, a może i kamienie? Dusza ludzka prędko się męczy i w trwodze przed utratą tej odrobiny, którą rozumie, chroni się na utarte tory, jakie narzuciły jej zwyczaj lub przypadek, i tam cierpi. Fielding spotkał zmarłą dwa czy trzy razy, Hamidullah widział ją raz, i to z daleka, a byli bardziej zaabsorbowani nadchodzącym zjazdem w Dilkuszy, owym „bankietem zwycięstwa”, na

232

który mieli się zwycięsko spóźnić. Ustalili, że do następnego dnia nie powiedzą Azizowi o pani Moore, bo naprawdę ją lubił i zła wiadomość mogłaby mu popsuć zabawę.

- Och, to już jest nie do zniesienia! - mruknął Hamidullah. Bo panna Quested wróciła.

- Panie Fielding, czy Ronny powiedział panu o nowym nie-
szczęściu?

Fielding skłonił głowę.

- Ach, Boże! - Panna Quested usiadła i zastygła jak posąg.

- Heaslop czeka chyba na panią.

- Tak bardzo pragnę być sama. Była moją najlepszą przyjaciółką, była o wiele bliższa mnie niż jemu. Nie zniosę teraz obecności Ronny'ego... nie potrafię tego wytłumaczyć... Czy wyświadczy mi pan tę wielką łaskę i pozwoli mi tu zostać mimo wszystko?

Hamidullah zaklął brzydki w miejscowym języku.

- Będzie mi bardzo miło, ale czy pan Heaslop sobie tego życzy?

- Nie spytałam go, byliśmy za bardzo zdenerwowani... to takie skomplikowane, jest chyba zupełnie inaczej, kiedy człowiek czuje się nieszczęśliwy. Nie powinniśmy być razem, musimy przemyśleć

wszystko w samotności. Bardzo proszę, niech pan jeszcze raz pójdzie i porozmawia z Ronnym.

- Uważam, że tym razem powinien tu wejść - rzekł Fielding, czując, że choć tyle należy się jego miłości własnej. - Niech mu pani powie, żeby przyszedł.

Po chwili wróciła z Ronnym. Był jednocześnie zgnębiony i arogancki - w rzeczy samej dziwna mieszanka - i natychmiast zaczął wyrzucać z siebie potok nieskładnych słów.

- Przyjechałem po pannę Quested, ale jej wizyta u Turtonów się skończyła i nic nie jest przygotowane, ja mam mieszkanie kawalerskie...

Fielding przerwał mu grzecznie:

- Proszę nic więcej nie mówić, panna Quested zostanie tutaj. Chciałem się tylko upewnić, że pan to aprobuje. Panno Quested, może pani pośle po swojego służącego, jeżeli uda się go odnaleźć, ale zostawię polecenie mojej służbie, żeby zrobiła dla pani wszystko, co możliwe, i zawiadomię skautów. Strzegą college'u, odkąd jest zamknięty. Naprawdę uważam, że będzie tu pani tak samo bezpiecznie jak wszędzie w Czandrapurze. Wracam w czwartek.

233

Tymczasem Hamidullah, nie chcąc oszczędzić wrogowi żadnego dodatkowego bólu, zdażył powiedzieć Ronny'emu:

- Dowiadujemy się, panie sędzio, że pańska matka zmarła. Czy wolno spytać, skąd przyszedł telegram?

- Z Adenu.

- Ach tak, a pan się chwalił w sądzie, że dotarła do Adenu.

- Ależ ona umarła zaraz po opuszczeniu Bombaju - przerwała mu Adela. - Nie żyła już, kiedy dziś rano wywołano jej nazwisko.

Na pewno została pochowana w morzu.

To powstrzymało Hamidullaha i zaniechał swojego brutalnego ataku, który chyba najbardziej wstrząsnął Fieldingiem. Kiedy omawiano szczegóły pobytu panny Qusted w college'u, Hamidul-lah milczał, ograniczył się do uwagi pod adresem Ronny'ego:

- Trzeba to wyraźnie powiedzieć, panie sędzio, że ani pan Fielding, ani nikt z nas nie ponosi odpowiedzialności za bezpieczeństwo tej pani w college'u - z czym Ronny się zgodził.

Potem obserwował z cichym rozbawieniem na wpół rycerskie zachowanie trojga Anglików; uważał, że Fielding przez cały czas wykazuje niewiarygodny brak rozsądku i słabość, i dziwił go brak dumy u dwojga młodszych. Kiedy spóźnieni o wiele godzin jechali do Dilkuszy, zwrócił się do Amritrao, który im towarzyszył: - Czy ustalił pan już, jakie odszkodowanie panna Qusted będzie musiała zapłacić?

- Dwadzieścia tysięcy rupii.

Nie powiedziano wtedy nic więcej, ale te słowa zmroziły Fieldinga. Nie mógł znieść myśli o tej dziwnej, uczciwej dziewczynie, która traci swój majątek i być może swojego mężczyznę. Adela wdarła się do jego świadomości niespodziewanie. I wtedy, zmęczony tym bezlitosnym i bezkresnym dniem, utracił swój zwykły, zdrowy osąd stosunków między ludźmi i poczuł, że istniejemy nie w samych sobie, lecz tylko w naszych wzajemnych odczuciach - pogląd, któremu logika nie dostarcza żadnego oparcia i który narzucił mu się przedtem tylko raz, w ów wieczór po katastrofie, kiedy to z werandy klubu widział, jak pięści i palce Marabaru nabrzmiewają i w końcu obejmują całe nocne niebo.

Rozdział 27

- Aziz, nie śpisz? -
- Nie, porozmawiajmy. Chciałbym pomarzyć o przyszłości.
- Nie nadaję się do marzeń.
- Wobec tego dobranoc, mój drogi.

Bankiet Zwycięstwa skończył się i biesiadnicy leżeli na dachu pałacu zwykłego pana Zultiąara, śpiąc lub przez moskitiery wpatrując się w gwiazdy. Dokładnie nad ich głowami zawisła konstelacja Lwa, z tarczą Regulusa tak wielką i jasną, że przypominała tunel, a kiedy się zaakceptowało to urojenie, wszystkie inne gwiazdy też wyglądały jak tunele.

- Zadowolony jesteś z dzisiejszego dnia, Cyryl? - zabrzmiał znów głos z lewej strony.

- A ty?

- Prócz tego, że zjadłem za dużo. „Jak żołądek, jak głowa?”

Ale, ale, Panna Lal i Callendar zostaną wylani.

- Tak, w Czandrapurze będzie generalna przeprowadzka.
- A ty dostaniesz awans.
- Nie bardzo mogą mnie zdegradować, bez względu na to, co myślą.
- W każdym razie spędzimy razem wakacje i pojedziemy do Kaszmiru, ewentualnie do Persji, bo będę miał mnóstwo pieniędzy. Z racji szkód wyrządzonych mojemu dobremu imieniu - wyjaśnił z cynicznym spokojem. - Ze mną nie wydasz ani grosza. Zawsze tego pragnąłem, i w wyniku moich nieszczęść pragnienie się spełni.

- Odniosłeś wielkie zwycięstwo... - zaczął Fielding.
- Wiem, wiem, mój drogi. Niepotrzebnie mówisz to tak uroczy-

tym i zatroskanym głosem. Wiem, co zaraz od ciebie usłyszę:

„Och, zwolnij pannę Quested od płacenia, żeby Anglicy mogli powiedzieć: «Oto tubylec, który naprawdę zachował się jak dżentelmen. Gdyby nie jego czarna twarz, prawie byśmy mu pozwolili wstąpić do naszego klubu»". Aprobata twoich rodaków już mnie nie interesuje, stałem się antybrytyjski i powinienem być taki wcześniej, to by mi oszczędziło wielu nieszczęść.

- W tym także znajomości ze mną.

235

- Słuchaj, może pójdziemy i polejemy wodą twarz Mohameda Latifa? Jest strasznie komiczny, jak mu się to zrobi we śnie.

Te słowa nie były zakończone znakiem zapytania, lecz kropką. Fielding tak je też przyjął i zapadło milczenie, rozkosznie wypełnione wietrzykiem, który lekko omiatał szczyt domu. Bankiet, jakkolwiek hałaśliwy, był przyjemny, teraz zaś błogosławieństwa wywczasu - nie znane Zachodowi, który albo pracuje, albo próżnuje - spłynęły na całą tę pstrą kompanię. Cywilizacja błąka się tutaj niczym duch, nawiedzając ruiny imperium, a odnaleźć ją można nie w wielkich dziełach sztuki lub wspaniałych czynach, ale w gestach, jakie wykonują dobrze wychowani Hindusi, kiedy siadają albo się kładą. Fielding, którego przebrano w strój miejscowy, czuł się w nim szczególnie nieswojo i zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego ruchy są jakby udawane, podczas gdy ilekroć Nawab Bahadur sięgał ręką po jedzenie albo Nureddin okłaskiwał jakąś pieśń, dokonywało się coś pięknego, co nie wymagało udoskonalenia. Ów kwietyzm gestu - to spokój, który przekracza zrozumienie, to w gruncie rzeczy towarzyski odpowiednik jogi. Kiedy ustaje zamęt działania, jest on nagle widoczny i ujawnia kulturę, którą Zachód może znać, ale której nigdy nie nabędzie. Dłoń wyciąga się na zawsze, w uniesionym kolanie jest wieczność, ale nie grobowy smutek. Aziz tego wieczoru promieniał kulturą, był skończenie doskonały, godny, raczej surowy, i w głosie Fieldinga zabrzmiało onieśmienie, kiedy powiedział:

- Tak, stanowczo powinieneś darować pannie Quested. Ona

musi pokryć wszystkie twoje koszty, tego wymaga sprawiedliwość, ale nie traktuj jej jak pokonanego wroga.

- Czy jest bogata? Upoważniam cię, żebyś się dowiedział.

- Sumy wymieniane przy kolacji, kiedyście się wszyscy tak podniecali... to by ją zrujnowało, to po prostu absurdalne. Popatrz tylko...

- Patrzą, chociaż robi się trochę ciemno. Widzę Cyryla Fieldinga, który jest bardzo miłym facetem i moim najlepszym przyjacielem, ale pod pewnymi względami jest głupcem. Uważasz, że jeśli daruję pani Cjuested, poprawię opinię sobie i w ogóle Hindusom. Nie, nie. To zostanie przypisane słabości i chęci uzyskania oficjalnego awansu. Prawdę mówiąc, postanowiłem nie mieć już nigdy nic wspólnego z Indiami Brytyjskimi. Postaram

236

się o pracę w którymś z państw muzułmańskich, jak Hajdarabad czy Bhopal, gdzie Anglicy nie będą już mogli mnie obrażać. Nie odradzaj mi.

- W długiej rozmowie z panną Qusteded...

- Nie chcę słyszeć o waszych długich rozmowach.

- Cicho bądź. W trakcie długiej rozmowy z panną Qusteded zacząłem rozumieć jej charakter. Nie jest łatwy, bo to pedantka. Ale dziewczyna jest absolutnie szczerą i bardzo odważną. Jak tylko zrozumiała, że nie ma racji, wzięła się mocno w garść i powiedziała prawdę. Chcę, żebyś sobie uprzytomnił, co to znaczy. Popychają ją do działania wszyscy przyjaciele, cała brytyjska władza. A ona mimo to zatrzymuje się, rozbija wszystko na

drobne kawałki. Ja na jej miejscu bym stchórzył. Ale ona za-
trzymała się i pewnie by wyrosła na bohaterkę narodową, gdyby
moi uczniowie nie dopadli nas w bocznej uliczce, zanim tłum się
rozszał. Proszę cię, bądź dla niej wyrozumiały. Naprawdę nie
powinny spadać na nią ciosy z obu stron. Wiem, czego ci wszyscy -
wskazał na opatulone postaci na dachu - będą chcieli, ale nie
powinieneś ich słuchać. Bądź miłosierny. Postępuj tak, jak by
postąpił któryś z twoich sześciu cesarzy z dynastii Mogołów albo
jak wszyscy sześciu w jednej osobie.

- Nawet Mogołowie nie okazywali litości, póki ich nie prze-
proszono.

- Przeprosi cię, jeżeli o to ci chodzi! - zawołał Fielding, sia-
dając. - Słuchaj, coś ci zaproponuję. Podyktuj mi tekst przeprosin
w takiej formie, w jakie zechcesz, a jutro o tej samej porze odniosę
ci list z jej podpisem. Niezależnie od publicznego przeproszenia,
które złoży zgodnie z wyrokiem. Dodatkowo.

- „Szanowny panie doktorze, szkoda, że pan nie wszedł do
groty. Jestem wstrętną starą jędzą i to była moja ostatnia szansa”.

Podpisze to?

- Dobranoc, Aziz, dobranoc, po tym już pora spać.

- Dobranoc, chyba tak.

- Och, jakbym chciał, żebyś nie robił tego rodzaju uwag -
podjął po chwili Fielding. - To jedyne, z czym się nie mogę
u ciebie pogodzić.

- Ja godzę się ze wszystkim u ciebie, więc co nam pozostaje?

- No cóż, ransz mnie, mówiąc takie rzeczy. Dobranoc.

237

Zapadła cisza, a potem odezwał się głos senny, ale pełen głę-bokiego uczucia:

- Cyryl, przyszedł mi do głowy pomysł, który zadowoli twoją delikatną duszę: poradzę się pani Moore.

Otworzywszy oczy i spojrzawszy na tysiące gwiazd, Fielding nie mógł nic powiedzieć, gwiazdy zmuszały go do milczenia.

- Jej zdanie rozwiąże wszystko. Mogę jej ufać bezgranicznie.

Jeżeli mi doradzi, żebym przebaczył tej dziewczynie, zrobię to.

Nie powie niczego, co by godziło w mój honor, tak jak ty mógłbyś to zrobić.

- Porozmawiamy o tym jutro rano.

- Czy to nie dziwne? Ciągle zapominam, że wyjechała. Kiedy w sądzie wykrzykiwali jej nazwisko, wyobrażałem sobie, że jest tam obecna. Zamknąłem oczy, oszukiwałem się świadomie, żeby zagłuszyć ból. A teraz znowu o tym zapomniałem. Jest już daleko, ujechała kawał drogi w podróży do Ralpa i Stelli.

- Do kogo?

- Do tych innych dzieci.

- Nie słyszałem o innych dzieciach.

- Pani Moore ma dwóch synów i córkę, tak samo jak ja.

Powiedziała mi w meczecie.

- Znałem ją bardzo mało.

- Ja widziałem ją tylko trzy razy, ale wiem, że jest człowiekiem Wschodu.

- Jesteś nieprawdopodobny... Panny Quested nie chcesz potraktować wspaniałomyślnie, natomiast wobec pani Moore uprawiasz tę wyszukaną rycerskość. W każdym razie panna Quested zachowała się dziś rano bardzo przyzwoicie, gdy tymczasem starsza pani w ogóle nic dla ciebie nie zrobiła, a to, że wystąpiłaby w twojej obronie, jest tylko przypuszczeniem, opartym na plotkach służby. Wiesz, Aziz, twoje uczucia nigdy nie wydają się proporcjonalne do swojego przedmiotu.

- Czy uczucie to worek kartofli, po tyle a tyle za funt, żeby je mierzyć? Czy ja jestem maszyną? Za chwilę się dowiem, że robiąc użytek z moich uczuć, doszczętnie je zużyję.

- Wydaje mi się, że mógłbyś. To brzmi rozsądnie. Nie można mieć jednocześnie dwóch pożądanых możliwości, nawet w świecie ducha.

238

- Jeżeli jest tak, jak mówisz, żadna przyjaźń nie ma sensu. Wszystko sprowadzałoby się do brania i dawania albo dawania i zwracania, a to jest wstrętne i naprawdę byłoby lepiej przeskoczyć przez ten parapet i zabić się. Co się dziś z tobą dzieje, że zrobiłeś się takim materialistą?

- Twoja niesprawiedliwość jest gorsza od mojego materializmu.

- Ach tak. Masz jeszcze jakieś skargi? - Był dobroduszny i serdeczny, ale jakby trochę groźny. Pobyt w więzieniu wydrażył

nowe łożyska w jego psychice, która nigdy już nie miała podlegać tak wyraźnym fluktuacjom jak w przeszłości. - Bo lepiej, żebyś mi powiedział o wszystkich swoich trudnościach, jeżeli mamy na zawsze pozostać przyjaciółmi. Nie lubisz pani Moore i złości cię, że ja ją lubię. Ale polubisz ją z czasem.

Kiedy o człowieku, który naprawdę nie żyje, mówi się, jak gdyby był przy życiu, do rozmowy wkrada się coś niezdrowego. Fielding nie mógł wytrzymać dłużej tego napięcia i wybuchnął:

- Przykro mi to mówić, ale pani Moore nie żyje.

Jednakże Hamidullah, który przysłuchiwał się ich rozmowie

i nie chciał, żeby wiadomość o śmierci zatruła świąteczny nastrój, zawołał z sąsiedniego łóżka:

- Aziz, on cię nabiera! Nie wierz temu łotrowi.

- Nie wierzę mu - odparł Aziz; przywykł do niemądrych żar-

tów, nawet tego typu.

Fielding nic więcej nie powiedział. Fakty są nieubłagane i rano wszyscy dowiedzą się o śmierci pani Moore. Ale uderzyło go jedno, a mianowicie, że ludzie nie umierają naprawdę, póki inni nie uznają ich za zmarłych. Potwierdzało to jego własne doświadczenie. Przed wielu laty stracił bliskiego przyjaciela, kobietę, która wierzyła w chrześcijańskie niebo i zapewniała go, że po zmiennych kolejach i przypadkach doczesnego życia spotkają się tam znowu. Fielding był bezkompromisowym, szczerym ateistą, ale szanował wszystkie poglądy swojej przyjaciółki: uważał to za istotne w przyjaźni. I wydawało mu się przez jakiś czas, że zmarła go oczekuje, a kiedy to złudzenie się rozwiało, została po nim pustka, która była niemal poczuciem winy: „To jest naprawdę koniec - myślał - i to ja zadałem jej ostateczny cios”. Tej nocy, na dachu domu Nawaba Bahadura, próbował zabić panią Moore;

239

ale ona nadal mu się wymykała i nic nie zmąciło nastroju. Wstał księżyc - wychudzony sierp, który idzie przed słońcem - i wkrótce ludzie i woły rozpoczęli swój nie kończący się trud, a pełne wdzięku intermezzo, które on próbował skrócić,

w sposób naturalny dobiegło kresu.

Rozdział 28

Tak, nie żyła - oddano ją morskiej głębi, jeszcze kiedy płynęli na południe, bo statki z Bombaju nie mogą wziąć kursu na Europę, póki nie okrażą Arabii; była dalej w tropikach, niż udało jej się dotrzeć lądem, kiedy promienie słońca dotknęły jej po raz ostatni i jej ciało spuszczone w głąb jeszcze innych Indii - Oceanu Indyjskiego. Pozostawiła po sobie uczucie dotkliwej przykrości, bo śmierć na statku niesie za sobą złą sławę. Kim była ta pani Moore? Gdy dotarli do Adenu, lady Mellanby wysłała depeşe, pisała, spełniała wszelkie dobre uczynki, ale żona gubernatora nie jest na ogół przygotowana na tego rodzaju przeżycia, więc też powtarzała: - Widziałam tę nieszczęsną kobietę tylko przez kilka godzin, potem zachorowała. Doprawdy to niepotrzebna przykreść, takie rzeczy psują powrót do domu. - Widmo towarzyszyło statkowi na Morzu Czerwonym, ale nie zdołało przedostać się na Śródziemne. W okolicach Suezu następuje zawsze pewna zmiana w sensie towarzyskim: słabnie układ stosunków azjatyckich, daje się już odczuć wpływ Europy i w tym okresie przejściowym statek pozbył się pani Moore. W Port Saidzie zaczęła się chmurna i burzliwa północ. Powietrze było chłodne i orzeźwiający, toteż pasażerowie uznali, że pogoda musiała się też popsuć w kraju, który opuścili, ale zgodnie z jej starymi prawami robiło się tam coraz upalniej.

Ta śmierć przybrała subtelniejszą i bardziej trwałą kształt w Czandrapurze. Zrodziła się legenda, że pewien Anglik zabił matkę, ponieważ usiłowała ocalić życie Hindusowi - i było w tym wystarczająco dużo prawdy, żeby przysporzyć kłopotów władzom. Niekiedy bohaterką legendy była krowa, która została zabita, lub też z Gangesu wypełznął krokodyl z kłami dzika. Brednię tego

240

rodzaju trudniej zwalczyć niż jawne kłamstwo. Ukrywa się na śmietnikach i wędruje, kiedy nikt nie patrzy. W pewnym momencie mówiono o dwóch oddzielnych grobach zawierających szczątki Esmis Esmur: jeden był przy garbarni, drugi w pobliżu stacji towarowej. McBryde odwiedził oba i dostrzegł oznaki rodzącego się kultu - gliniane spodeczki i tak dalej. Jako doświadczony urzędnik nie zrobił nic, co by mogło zaognić sytuację, i po jakimś tygodniu epidemia wygasła. - Za tym wszystkim kryje się propaęganda - powiedział, zapominając, że przed stu laty, kiedy Euroępejczycy jeszcze osiedlali się na wsi i pobudzali wyobraźnię chłopów, stawali się czasem po śmierci lokalnymi demonami - może nie całym bóstwem, ale jego częścią, dodając jakiś epitet czy gest do tego, co już istniało, podobnie jak bogowie uzupełniają

postaci wielkich bóstw, a one z kolei postać filozoficznego Brahmy. Ronny mówił sobie, że jego matka wyjechała z Indii na własne życzenie, ale nie miał czystego sumienia. Zachowywał się wobec niej źle i teraz musiał albo tego żałować (co pociągnęłoby za sobą pewien przełom psychiczny), albo trwać nadal w swej niezyczliwości. Wybrał to drugie. Jak nieznośne było to jej patronowanie Azizowi! I jak zły miała wpływ na Adelę! Jeszcze teraz sprawiała kłopoty tymi śmiesznymi „grobami”, płacząc się nadal wśród tubylców. Oczywiście sama nie mogła już temu zapobiec, ale podobnie irytujące ekspedycje podejmowała za życia i Ronny miał jej to za złe. Młodemu człowiekowi nie brakło powodów do zgryzoty: upał, napięta sytuacja w mieście, zbliżająca się wizyta gubernatora, sprawy Adeli - a splatała to wszystko w jedną groteskową girlandę owa hinduizacja pani Moore. Co dzieje się z naszą matką po jej śmierci? Prawdopodobnie idzie do nieba, a w każdym razie znika. Religijność Ronny'ego była sterylna, z gatunku znanego w ekskluzywnych szkołach angielskich, który się nigdy nie psuje, nawet w tropikach. Gdziekolwiek wszedł, do meczetu, grotty czy świątyni, zachowywał postawę duchową ucznia starszej klasy i potępiał jako „osłabiającą” każdą próbę zrozumienia tych miejsc. Biorąc się w garść, usunął matkę z myśli. We właściwym czasie on i jego przyrodnie rodzeństwo ufundują dla uczczenia jej pamięci tablicę w kościele w Northamptonshire, gdzie się modliła za życia, i uwiecznią tam daty jej urodzenia i śmierci, a także fakt, że została pochowana w morzu. I to wystarczy.

241

Adela - ona też będzie musiała odjechać; miał nadzieję, że sama to wcześniej zaproponuje. Naprawdę nie mógł się z nią ożenić - byłby to koniec jego kariery. Biedna, pożałowania godna Adela... Dzięki uprzejmości Fieldinga pozostała w college'u; bardzo to niewłaściwe i upokarzające, ale nikt w dzielnicy rządowej nie chciał jej przyjąć. Wszelkie prywatne rozmowy odkładał do chwili, kiedy zapadnie wyrok w sprawie o odszkodowanie. Aziz wystąpił przeciwko niej do sądu niższej instancji. Wtedy on, Ronny, poprosił ją, żeby go zwolniła ze słowa. Zabiła jego miłość, która nigdy nie była zbyt gorąca; nie doszłoby do zaręczyn, gdyby nie wypadek samochodowy Nawaba Bahadura. Adela należała do szczenięcego, studenckiego okresu jego życia, z którego już wyrósł - Grasmere, poważne rozmowy, przechadzki i tego rodzaju historie.

Rozdział 29

Wizyta gubernatora prowincji zaznaczyła następne stadium ma-rabarskiego rozkładu. Sir Gilbert, aczkolwiek był człowiekiem niezbyt oświeconym, wyznawał oświecone

poglądy. Uwolniony, dzięki długiej karierze w sekretariacie, od osobistego kontaktu z narodami Indii, mógł mówić o nich uprzejmie i ubolewać nad przesadami rasowymi. Pochwalił wynik procesu i pogratulował Fieldingowi „zajęcia od pierwszej chwili liberalnego, rozsądnego stanowiska. Mówiąc poufnie...”, ciągnął dalej... Fielding próbował odżegnać się od poufnych zwierzeń, ale sir Gilbert uparł się, żeby mu ich udzielić; sprawa była „źle poprowadzona przez pewnych naszych przyjaciół tu na szczycie wzgórza”, którzy nie mogą zrozumieć, że „wskazówki zegara posuwają się naprzód, a nie do tyłu”, i tak dalej, i dalej. To jedno mógł zagwarantować: Fielding otrzyma jak najserdeczniejsze zaproszenie do powrotu do klubu, on zaś prosi go, ba, nawet mu poleca, żeby je przyjął. Wrócił na swoje himalajskie wyżyny bardzo z siebie zadowolony; suma, jaką panna Quested będzie musiała zapłacić, dokładny przebieg tego, co się zdarzyło w grotach - były to szczegóły o znaczeniu czysto lokalnym i nic go nie obchodziły.

242

Fielding dawał się coraz bardziej wciągać w sprawy panny Quested. College był nadal zamknięty, a on jadał i nocował u Hamidullaha, więc nic nie przemawiało przeciwko jej dalszej obecności, jeżeli sobie tego życzyła. Najej miejscu wolałby raczej wyjechać, niż znosić niechętną i roztargnioną uprzejmość Ron-ny'ego, ale ona czekała, aż piasek w klepsydrze jej pobytu prze-sypie się do końca. Dom, w którym można mieszkać, ogród, po którym można się przechadzać w krótkich chwilach chłodu - oto wszystko, czego żądała, a on mógł jej to ofiarować. Niestety ukazało Adeli jej własne wady, a Fielding uświadomił sobie teraz, jaka to wspaniała i lojalna osoba. Jej pokora była wzruszająca. Ani słowa skargi na ciosy ze wszystkich stron; uważała, że to słuszna kara za jej głupotę. Kiedy napomknął, że byłoby może na miejscu osobiste przeproszenie Aziza, powiedziała ze smutkiem:

- Naturalnie. Powinnam była sama o tym pomyśleć, mój instynkt jakoś nigdy mi nie pomaga. Dlaczego nie pobiegłam do niego po rozprawie? Tak, oczywiście, napiszę list z wyrazami ubolewania, ale czy zechce mi go pan podyktować?

Wspólnie ułożyli list, szczery i pełen wzruszających zwrotów, ale nie był to wzruszający list.

- Czy mam napisać drugi? - spytała. - Wszystko jest bez znaczenia, jeżeli mogę naprawić krzywdę, jaką wyrządziłam.

Potrafię zrobić jakąś słuszną rzecz, ale kiedy złożyć obie razem, wychodzi coś niesłusznego. To wada mojego charakteru. Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. Myślałam, że jeśli będę uczciwa i będę zadawała pytania, wybrnę z każdej trudności.

- Nasz list - powiedział Fielding - jest nieudany z jednego prostego powodu, którego nie powinniśmy ukrywać. Pani nie darzy prawdziwym uczuciem ani Aziza, ani w ogóle Hindusów. - Adela przytaknęła. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, chciała pani zobaczyć Indie, nie Hindusów, i wtedy pomyślałem sobie: Och, w ten sposób nie zajedziemy daleko. Hindusi wiedzą, czy się ich lubi, czy nie, w tym się nie dadzą oszukać. Sprawiedliwość nigdy ich nie zadowala i dlatego Imperium Brytyjskie jest zbudowane na piasku. - Wtedy ona powiedziała:

- A czy ja kogoś lubię? - Chyba lubiła Heaslopa, więc Fielding zmienił temat, bo ten rozdział jej życia go nie interesował.

Z drugiej strony, jego indyjscy przyjaciele trochę przesadzali.

243

Zwycięstwo, po którym Anglicy zachowywaliby się z obłudną skromnością, w nich wyzwoliło agresję. Chcieli przejść do ofensywy i w tym celu wynajdowali nowe krzywdy i powody do skarg, które w większości po prostu nie istniały. Gnębiło ich rozczarowanie, jakie zwykle towarzyszy wojnie. Cele bitew i owoce zwycięstwa nie są nigdy identyczne; te ostatnie mają swą wartość i tylko święty je odrzuca, ale wszelka obietnica ich nieśmiertelności ulatnia się z chwilą, kiedy mamy je w ręku. Sir Gilbert był co prawda uprzejmy, niemal uniżony, ale gmach, który reprezentował, bynajmniej nie zadrzał w posadach. Biurokracja brytyjska pozostała równie wszechobecna i również dokuczliwa jak słońce; nawet Mahmud Ali nie bardzo wiedział, jak należy teraz z nią walczyć. Dużo krzyczano i dopuszczano się drobnych aktów bezprawia, a za tym wszystkim kryła się szczerza, chociaż trochę mglista żądza

nauki. - Panie Fielding, wszyscy musimy jak najprędzej zdobyć wykształcenie.

Aziz był przyjazny i apodyktyczny. Chciał, żeby Fielding, jak to określał, „ugiął się przed Wschodem” i żył w stanie uczuciowej zależności do tegoż Wschodu. „Możesz mi ufać, Cyryl”. To było oczywiste, zresztą Fieldinga nie łączyły żadne mocniejsze więzy z jego rodakami. Ale mimo wszystko nie mógł stać się kimś w rodzaju Mohammeda Latifa. Kiedy sprzeczali się na ten temat, do ich kłótni wkradał się problem rasy - bez goryczy, ale nieuchronnie, jak barwa ich skóry: kawowy przeciw różowoszaremu.

- Czy nie rozumiesz, że jestem ci wdzięczny za pomoc i chcę cię wynagrodzić? - kończył zwykle Aziz.

- Jeżeli chcesz mnie wynagrodzić, zwolnij pannę Quested od płacenia - odpowiadał wtedy tamten.

Obojętność wobec Adeli gniewała Fieldinga. Byłoby rzeczą słuszną, ze wszech miar słuszną, potraktować ją wspaniałomyślnie, i któregoś dnia postanowił odwołać się do pamięci pani Moore. Aziz miał o niej tak wysokie i romantyczne mniemanie. Śmierć starej kobiety sprawiła szczerzy ból jego wrażliwemu sercu; płakał jak dziecko i kazał też płakać swoim trojgu dzieciom. Nie było wątpliwości, że ją poważał i kochał. Pierwsza próba Fieldinga nie powiodła się. Odpowiedź brzmiała:

- Przejrzałem twoją sztuczkę. Chcę się na nich zemścić. Dla czego zostałem znieważony, dlaczego przetrząśnięto mi kieszenie

244

i zabrano fotografię mojej żony do komisariatu? A poza tym potrzebuję pieniędzy na kształcenie synów, i tak jej powiedziałem.

Ale jego opór zaczął słabnąć i Fielding nie wstydził się za-stosować odrobiny nekromancji. Ilekroć wypływała sprawa od-szkodowania, wymieniał nazwisko zmarłej. Niektórzy wymyślili dla niej grób, a on przypomniał Azizowi jej wątpliwy wizerunek, nie mówiąc niczego, co uważał za nieprawdę, ale stwarzając coś, co było zapewne dalekie od prawdy. Aziz nagle ustąpił. Czuł, że pani Moore pragnie, aby oszczędził kobietę, która ma poślubić jej syna, i że jest to jedyny hołd, jaki może jej złożyć; w namiętnym i pięknym wybuchu zrezygnował z całości odszkodowania, do-magając się tylko zwrotu kosztów. Było to bardzo ładne z jego strony, ale jak

przewidywał, nie przyniosło mu chwały w oczach Anglików. Nadal wierzyli w jego winę, wierzyli w nią do końca urzędniczej kariery i emerytowani Anglicy z Indii w Tunbridge Wells czy Cheltenham jeszcze dziś mamroczą do siebie: „Ten marabarski proces, który nie wyszedł, bo biedna dziewczyna załamała się w czasie zeznań... to też była przykra historia”.

Kiedy sprawa została w ten sposób oficjalnie zakończona, Ronny, który miał wkrótce wyjechać, bo przeniesiono go do innej części prowincji, podszedł w klubie do Fieldinga i ze swoim zwykłym zażenowaniem powiedział:

- Chcę panu podziękować za pomoc, jakiej pan udzielił panie

Quested. Już nie będzie dłużej nadużywać pańskiej gościnności.

Ścisłe mówiąc, postanowiła wrócić do Anglii. Właśnie załatwiłem jej bilet na statek. O ile wiem, chciałyby pana zobaczyć.

- Zaraz tam będę.

Pojechał do college'u i przekonał się, że jest zdenerwowana. Wyjaśniła mu, że Ronny zerwał zaręczyny.

- To bardzo rozsądne - powiedziała żałośnie. - Powinam była sama z tym wystąpić, ale czekałam bezwolnie na to, co się jeszcze zdarzy. Byłabym dalej zatruwała mu życie, po prostu siłą bezwładu - człowiek nie ma nic do roboty, nie ma swojego miejsca i nie zdając sobie z tego sprawy, staje się utrapieniem dla wszystkich. - I dodała, żeby go uspokoić: - Mówię tylko o Indiach. W Anglii nie czuję się zagubiona. Tam jest moje miejsce... nie, proszę nie myśleć, że w Anglii będę kogoś krzywdziła. Kiedy tam wrócę, zajmę się poważnie jakąś pracą. Zostało mi dość pieniędzy

245

na samodzielny start i mam mnóstwo przyjaciół, ludzi mojego pokroju. Dam sobie radę. - I dodała z westchnieniem: - Och, ale te zgryzoty, których tu wszystkim przyczyniłam... Nigdy tego nie przeboleję. I te moje ostrożne namysły, czy mamy się

pobrać, czy nie... a w końcu rozstajemy się i nawet nie jest nam przykro. Nie powinniśmy byli myśleć o małżeństwie. Nie zdziwił się pan, kiedy ogłoszono nasze zaręczyny?

- Nie bardzo. W moim wieku człowiek rzadko się dziwi - odparł z uśmiechem. - Zresztą małżeństwo jest jednym wielkim absurdem. Zaczyna się i trwa z tak bardzo drobnych powodów. Z jednej strony wspierają je racje towarzyskie, z drugiej teologiczne, ale ani jedno, ani drugie nie stanowi małżeństwa, prawda? Mam przyjaciół, którzy nie pamiętają, dlaczego się ożenili, podobnie jak ich żony. Podejrzewam, że najczęściej jest to sprawa przypadku, chociaż potem wynajduje się różne szlachetne przyczyny. W kwestii małżeństwa jestem cynikiem.

- Ja nie. Ten nieudany start był wyłącznie moją winą. Nie dawałam Ronny'emu nic, co należało mu dać, właściwie dlatego mnie rzucił. Weszłam do tej groty myśląc: „Czy ja go lubię?” Dotąd tego panu nie mówiłam. Uważałam, że nie mam prawa. Czułość, szacunek, wzajemne zrozumienie - próbowałam tym wszystkim zastąpić...

- Ja już nie pragnę miłości - powiedział Fielding, poddając brakujące słowo.

- Ja też nie. Wyleczyły mnie tutejsze doświadczenia. Ale chcę, żeby inni jej pragnęli.

- Wróćmy jednak do naszej pierwszej rozmowy, bo przypuszczam, że ta jest ostatnia... Kiedy pani weszła do tej groty, kto poszedł za panią? Czy też nikt za panią nie szedł? Może pani teraz powiedzieć? Nie chcę, żeby to pytanie zawisło w próżni.

- Przyjmijmy, że to był przewodnik - rzuciła obojętnie. - Tego nigdy nie będziemy wiedzieli. To tak, jakbym w ciemności przejeżdżała palcem po tej gładkiej ścianie i nie mogła zrobić ani kroku dalej. Natrafiam na jakąś przeszkodę, pan zresztą też. Pani Moore... ona wiedziała.

- Skąd mogła wiedzieć to, czego my nie wiemy. ;

- Może telepatia.

Zuchwałe, jałowe słowo trafiło w pustkę. Telepatia? Co za

246

wyjaśnienie! Lepiej się wycofać i Adela tak właśnie zrobiła. Była u kresu wytrzymałości psychicznej, podobnie jak Fielding. Czy istniały światy, poza które nie mogli sięgnąć, czy też do ich świadomości wtargnęło wszystko to, co możliwe? Nie umieli tego rozstrzygnąć. Zdali sobie jedynie sprawę, że patrzą na świat w sposób mniej więcej podobny, i to im dawało satysfakcję. Może życie jest tajemnicą, nie zamętą; nie wiedzieli. Może te setki różnych Indii, które tak męcząco krzątają się i kłócą między sobą, są jednością, i jednością jest wszechświat, który odzwierciedlają. Nie posiadali wystarczającego przygotowania intelektualnego, żeby to osądzić.

- Niech pani do mnie napisze po przyjeździe do Anglii.

- Będę pisała, często. Był pan dla mnie tak niezwykle dobry.

Dopiero teraz, kiedy wyjeżdżam, zdaję sobie z tego sprawę. Tak bym chciała móc się panu czymś odwdzięczyć, ale widzę, że ma pan wszystko, czego panu trzeba.

- Chyba tak - odpowiedział po chwili. - Odkąd tu jestem, nigdy nie czułem się tak dobrze i bezpiecznie jak teraz. Naprawdę umiem współżyć z Hindusami, a oni mi ufają. To miłe, że nie musiałem zrezygnować z pracy. To miłe, że chwalił mnie gubernator. Do następnego trzęsienia ziemi zostanę tym, czym jestem.

- Oczywiście ciągle mnie dręczy myśl o tej śmierci.
- Aziz też bardzo lubił panią Moore.
- Ale to mi przypomniało, że wszyscy musimy umrzeć: wszystkie osobiste związki, na których usiłujemy się oprzeć w życiu, są przelotne. Dawniej uważałam, że śmierć wybiera ludzi, takie pomysły biorą się z powieści, bo niektóre postacie zwykle zostają i jeszcze coś mówią na końcu. Teraz słowa „śmierć nie oszczędza nikogo” zaczynają brzmieć realnie.
- Niech się pani strzeże, żeby nie brzmiały zbyt realnie, bo sama pani umrze. Dlatego nie wolno medytować o śmierci. Ulegamy temu, w co się wglębiamy. Sam odczuwałem podobne pokusy i musiałem je od siebie odsunąć. Chcę jeszcze trochę pożyć.
- Ja też.

Atmosfera była przesycona życzliwością, przyjaźnią, jakby dwoje karzełków ścisnęło sobie ręce. Oboje, mężczyzna i kobieta, znajdowali się u szczytu swoich możliwości - rozsądni, uczciwi, nawet subtelni. Mówili tym samym językiem, wyznawali te same

247

poglądy i nie dzieliły ich różnice wieku ani płci. A przecież nie byli zadowoleni. Kiedy zgodnie stwierdzali „Chcę jeszcze trochę pożyć” albo „Nie wierzę w Boga”, za ich słowami ciągnęła się dziwna smuga, jak gdyby wszechświat przesunął się nagle, żeby wypełnić sobą maleńką pustkę, albo jakby dostrzegali własne gesty z olbrzymiej wysokości - gesty karzełków rozmawiających, wymieniających uścisk dłoni i zapewniających jeden drugiego, że znajdują się na tym samym poziomie intuicji. Nie uważali, że są w błędzie, bo z chwilą gdy uczciwi ludzie dochodzą do przekonania, że są w błędzie, wytwarza się między nimi atmosfera niepewności. Nie dla nich był niedosiegalny cel ponad gwiazdami i zresztą wcale go nie szukali. Ale podobnie jak przy innych okazjach, tak i teraz spłynęła na nich zaduma; przelotny cień marzenia przesłonił im wszystkie jasno zdefiniowane zainteresowania, a rzeczy, jakich nigdy więcej nie mieli ujrzeć, zdawały się orędziami z innego świata.

- I naprawdę bardzo panią lubię, jeżeli wolno mi to powie-
dzieć - zapewniał.
- Cieszę się, bo ja też pana lubię. Spotkajmy się znowu.
- Na pewno się spotkamy, w Anglii, jeżeli kiedyś spędzę urlop
w kraju.
- Ale chyba jeszcze się na to nie zanosi.
- Są szansę. Prawdę mówiąc, mam teraz pewien plan.
- Och, to by było świetnie.

I tak skończyło się to niczym. W dziesięć dni później Adela odjechała tą samą trasą, co jej zmarła przyjaciółka. Tymczasem ruszył ostatni atak upału przed porą deszczową. Kraj był spara-lizowany, zamglony. Domy, drzewa i pola zdawały się wymode-lowane z tego samego brązowego ciasta, a w Bombaju morze niczym gęsty rosół obmywało nabrzeże. Swoją ostatnią indyjską przygodę miała Adela z Antonym, który wszedł za nią na pokład i próbował ją szantażować. Była kochanką pana Fieldinga, twierdził. Może Antony nie był zadowolony z napiwku. Zadzwoiła z kabiny i kazała go wyrzucić, ale to, co powiedział, wywołało pewien skandal i pasażerowie prawie się do niej nie odzywali w początkowej fazie podróży. Na Oceanie Indyjskim i Morzu Czerwonym była pozostawiona samej sobie i resztkom wspomnień z Czandrapuru.

248

Egipt przyniósł zmianę atmosfery. Czyste piaski, spiętrzone po obu stronach kanału, zdawały się wymazywać wszystko, co trudne i dwuznaczne, nawet Port Said wyglądał niepokalanie i czarująco w różanoszarym świetle poranka. Zeszła tam na ląd z amerykańskim misjonarzem, powędrowali do pomnika Lessepsa, wchłaniali ożywcze powietrze Lewantu.

- Do jakich obowiązków w swoim kraju powraca pani zakosz-
towawszy tropików? - spytał misjonarz. - Proszę zauważyć, że
nie pytam, ku czemu się pani zwraca, lecz do czego pani powraca.
Każdy żywot powinien zawierać zarówno zwroty, jak i powroty.

Ten słynny pionier (wskazał statwę) wyjaśnia sens mojego pytania. Zwraca się ku Wschodowi, powraca na Zachód. Jest to widoczne we wdzięcznym ułożeniu jego rąk, z których jedna trzyma sznur kiełbasek. - Misjonarz popatrzył na nią z rozbawieniem, żeby pokryć to pustosłowie. Nie miał pojęcia, co chciał powiedzieć przez owe „zwroty” i „powroty”, ale często używał słów parami, by przydać im moralnego blasku.

- Rozumiem - odparła. Nagle, w śródziemnomorskiej jasności, zrozumiała. Po powrocie do Anglii powinna przede wszystkim odwiedzić te inne dzieci pani Moore, Ralpa i Stellę, a potem „zwrócić się” do pracy zawodowej. Pani Moore wolała trzymać produkty swoich dwóch małżeństw oddzielnie i Adela dotąd nie zetknęła się z młodszym odgałęzieniem.

Rozdział 30

Innym lokalnym skutkiem procesu był sojusz między islamem i hinduizmem. Co znakomitsi obywatele wymieniali hałaśliwe deklaracje przyjaźni, którym towarzyszyła szczerą chęć rzetelnego porozumienia. Pewnego dnia odwiedził Aziza w szpitalu bardzo sympatyczny człowiek, sędzia Das, i poprosił go o dwie przysługi: lekarstwo na półpasiec oraz wiersz do nowego miesięcznika, który redagował jego szwagier. Aziz wyświadczył mu obie.

- Jakże to, mój drogi, pan próbował zamknąć mnie w więzieniu, a ja miałbym posyłać wiersze panu Bhattacharya? To naturalnie

249

tylko żart. Napiszę, jak umiem najlepiej, ale zdawało mi się, że ten miesięcznik jest dla wyznawców hinduizmu.

- Nie dla wyznawców hinduizmu, tylko w ogóle dla Hindusów - powiedział nieśmiało tamten.

- Nie istnieje nic takiego jak „w ogóle Hindusi”.
- Nie istniało, ale może zaistnieć, kiedy pan napisze ten wiersz. Jest pan naszym bohaterem. Całe miasto jest za panem, niezależnie od wyznania.
- Wiem, ale czy to długo potrwa?
- Obawiam się, że nie - odparł Das, który odznaczał się jasnością umysłu. - I dlatego, jeśli mi wolno tak powiedzieć, niech pan nie wprowadza do wiersza zbyt wielu perskich zwrotów i nie za wiele pisze o perskim słowiku.
- Chwileczkę - powiedział Aziz, gryząc koniec ołówka. Wy-pisywał receptę. - Proszę... Czy to nie lepsze od wierszy?
- Szczęśliwy mąż, który potrafi układać jedno i drugie.
- Sypie pan dziś komplementami.
- Wiem, że ma pan do mnie urazę, ponieważ sądziłem tę sprawę - powiedział Das, wyciągając porywczo dłoń. - Jest pan taki uprzejmy i przyjazny, ale zawsze wyczuwam ironię w pana sposobie bycia.
- Nie, nie, co za nonsens! - zaprotestował Aziz. Podali sobie ręce złączeni owym półuściskiem, który stał się typową oznaką sojuszu. Między ludźmi z różnych stron świata zawsze istnieje możliwość romansu, ale poszczególne odłamy Hindusów wiedzą o sobie zbyt wiele, żeby łatwo pokonać to, co niepoznawalne. Ich podejście do zagadnienia jest prozaiczne. - Doskonale - mówił dalej Aziz, poklepując tłuste ramię i myśląc: „Wolałbym, żeby mi nie przypominali o krowim łajnie”; a Das myślał: „Niektórzy

muzułmanie są bardzo popędliwi". Każdy z nich uśmiechał się w zadumie, usiłując zgłębić myśli drugiego, aż w końcu Das, który potrafił się lepiej wysłować, powiedział:

- Niech pan wybaczy mi błędy i pomyśli o moich ograniczonych możliwościach. Życie, jakie znamy na tej ziemi, nie jest łatwe.

- A co do tego wiersza... skąd pan się dowiedział, że czasem coś nabazgrzę? - spytał Aziz, bardzo rad i jednocześnie mocno wzruszony, bo literatura zawsze była dla niego pociechą, czymś, czego nie potrafiła zepsuć najohydniejsza rzeczywistość.

250

- Profesor Godbole często o tym wspominał przed swoim wyjazdem do Mau.

- A skąd on wiedział?

- Też jest poetą. Czy nie odgadujecie się nawzajem?

Mile polechtany tą propozycją Aziz jeszcze tego wieczoru zasiadł do pracy.

Wystarczyło, że poczuł pióro w palcach, a natychmiast zaczął produkować perskie słowiki. Wiersz mówił o upadku islamu i przemijaniu miłości; miał w sobie cały smutek i słodycz, na jakie stać było Aziza, ale nie czerpał z jego osobistych doświadczeń i nie mógł być interesujący dla tych czcigodnych wyznawców hinduizmu. Niezadowolony z siebie Aziz wpadł w druǳą ostateczność i napisał satyrę, która była jednak zbyt ostra i nie nadawała się do druku. Aziz umiał wyrazić jedynie patos albo jad, chociaż przez większość życia nie miał nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim. Kochał poezję - wiedza była jedynie rzeczą nabytą, którą odsuwał na bok, kiedy go nikt nie widział, podobnie jak swój europejski ubiór - a tego wieczoru marzył, żeby ułożyć nową pieśń, oklaskiwaną przez tłumy i nawet śpiewaną na polach. W jakim języku powinna być napisana? I co powinna obwieszczać? Przysiągł sobie kontaktować się częściej z Hindusami, którzy nie są muzułmanami, i nigdy nie spoglądać za siebie. To jedyna zdrowa linia postępowania. Jaką mogą przynieść korzyść, w tej szerokości i o tej godzinie, blaski Kordowy i Samar-kandy? Przeminięły dawno, a kiedy my je oplakujemy, Anglicy okupują Delhi

i odcinają nas od Afryki Wschodniej. Sam islam, jakkolwiek prawdziwy, przecina światłem drogę do wolności. Pieśń czasu przyszłego musi wyjść poza religię.

Wiersz dla pana Bhattacharya nigdy nie został napisany, ale miał pewien skutek. Powiódł Aziza ku majaczącemu niejasno, potężnemu kształtowi ojczyzny. Aziz był pozbawiony wrodzonej miłości do rodzinnego kraju, ale Wzgórza Marabarskie pchnęły go w tym kierunku. Przymknąwszy oczy, usiłował pokochać Indie. Muszą upodobnić się do Japonii. Póki nie scala się w jeden naród, ich synowie nie będą traktowani z szacunkiem. Aziz stał się twardszy i mniej przystępny. Anglicy, których dawniej wyśmiewał lub lekceważył, prześladowali go teraz wszędzie; zarzucali nawet sieci na jego sny.

- Moja wielka omyłka polegała na tym, że traktowałem naszych

251

władców jak kiepski żart - powiedział nazajutrz do Hamidul-laha.

Ten odparł z westchnieniem:

- To stanowczo najmądrzejszy sposób, ale niemożliwy na dłuższą metę. Prędzej czy później zdarza się jakaś katastrofa, taka jak z tobą, i obnaża ich tajemne myśli o nas. Gdyby sam Bóg zstąpił z niebios do ich klubu i oświadczył, że jesteś niewinny, nie uwierzyliby Mu. Teraz rozumiesz, dlaczego my obaj z Mahmudem Ali tracimy tyle czasu na intrygi i przebywamy w towarzystwie takich kreatur jak Ram Chand.

- Ja nie wytrzymuję tych wszystkich komitetów. Muszę natychmiast wyjechać.

- Dokąd? Turtonowie i Burtonowie są wszędzie tacy sami.

- Ale nie w państwach indyjskich.

- Myślę, że wymaga się tam od brytyjskich doradców lepszych manier. Różnica polega tylko na tym.

- Naprawdę chcę wydostać się z Indii Brytyjskich, nawet na kiepską posadę. Myślę, że mógłbym wtedy pisać wiersze. Szkoda, że nie żyłem w czasach Babura, że nie walczyłem i nie pisałem dla niego. Przeszło, minęło i nie warto nawet mówić „przeszło, minęło”, bo to nas tylko osłabia. Jest nam potrzebny król, Hamidullahu, to by nam ułatwiło życie. A w obecnej sytuacji musimy starać się zrozumieć tych dziwacznych hinduistów. Mam ochotę poszukać posady lekarza w jednym z ich państw.

- Och, tu już posuwasz się za daleko.

- Nie tak daleko jak pan Ram Chand.

- Ale pieniądze, pieniądze... oni ci nigdy nie dadzą odpowiedniej pensji, ci nieokrziesani radżowie.

- Nigdy się nie wzbogacę, to nie leży w moim charakterze.

- Gdybyś był rozsądny i zmusił pannę Quested do płacenia...

- Postanowiłem inaczej. Roztrząsanie przeszłości jest bezcelowe - powiedział Aziz tonem, w którym nagle zabrzmiała szorstka nuta. - Pozwoliłem jej zachować majątek, niech sobie kupi męża w Anglii, do tego pieniądze będą bardzo potrzebne. Nie wspominaj więcej o tej sprawie.

- Doskonale, ale musisz w dalszym ciągu żyć jak biedak. Nie stać cię jeszcze na wakacje w Kaszmirze, musisz wytrwać w swoim zawodzie i dojść do wysoko płatnego stanowiska, zamiast za-

252

grzebywać się w jakimś państewku w dżunglii i pisać wiersze. Kształć dzieci, czytaj najnowsze pisma naukowe, zmusz europejskich lekarzy, żeby cię szanowali. Musisz

ponieść konsekwencje swoich czynów jak prawdziwy mężczyzna. Aziz mrugnął do niego i powiedział:

- Nie jesteśmy w sądzie. Można dowieść, że się jest mężczyzną na wiele sposobów. Mój polega na wyrażaniu tego, co noszę w sercu.

- Na to nie ma odpowiedzi - rzekł Hamidullah wyraźnie wzruszony. Opanowawszy się, dodał z uśmiechem: - Słyszałeś tę brzydką plotkę, którą przyniósł Mohammed Latif?

- Jaką?

- Kiedy panna Quested przebywała w college'u, Fielding odwiedzał ją... dość późnym wieczorem, jak mówi służba.

- Jeżeli tak było, miała przyjemną odmianę - odparł Aziz z dziwnym grymasem.

- Ale rozumiesz, co mam na myśli?

Młody człowiek znów mrugnął i rzekł:

- Dokładnie! Swoją drogą to, co masz na myśli, nie rozwiązuje moich trudności. Zdecydowałem się wyjechać z Czandrapuru.

Pytanie, dokąd? Zdecydowałem się też pisać wiersze. Pytanie, o czym? Ani trochę mi nie pomagasz. - I nagle, zaskakując tym zarówno Hamidullaha, jak siebie samego, wybuchnął: - Ale kto mi pomaga? Nikt nie jest moim przyjacielem. Wszyscy są zdrajcami, nawet moje dzieci. Mam po uszy przyjaciół.

- Chciałem zaproponować, żebyśmy przeszli do części kobiecej, ale jest tam troje twoich zdradzieckich dzieci, więc pewnie nie zechcesz.

- Przepraszam, ale to od czasu więzienia mam takie dziwne napady złości. Zaprowadź mnie do nich i wybacz mi.

- U mojej żony jest teraz matka Nureddina. Nie masz chyba nic przeciwko temu?
- Wychodzą do mnie oddzielnie, ale jak dotąd nigdy razem. Może je lepiej przygotuj na ten wspólny wstrząs, jakim będzie widok mojej twarzy.
- Nie, zaskoczmy je bez uprzedzenia, wśród naszych pań i tak utrzymuje się za dużo nonsensów. W czasie twojego procesu twierdziły, że zaniechają pardy i nawet te, które umieją pisać, zredagowały taki dokument, a teraz okazało się to bujdą. Wiesz,

253

jak wszystkie poważają Fieldinga, a przecież żadna z nich go dotąd nie widziała. Moja żona mówi, że go przyjmie, ale kiedy Fielding przychodzi, zawsze ma jakąś wymówkę - nie czuje się dobrze, wstydzi się swojego pokoju, nie ma dla niego żadnych dobrych słodyczy poza irysami, a jeżeli powiem, że irysy to ulubione cukierki Fieldinga, odpowiada, że gość zaraz pozna, jak je źle zrobiła, więc z ich powodu nie może go zobaczyć. Od piętnastu lat, mój drogi chłopcze, od piętnastu lat sprzeczasz się z moją begam i jeszcze nigdy z nią nie wygrałem, a przecież misjonarze mówią nam, że nasze kobiety żyją w ucisku. Jeżeli potrzebny ci temat do poematu, oto on: Hinduska jaka jest naprawdę, a nie za jaką uchodzi.

Rozdział 31

Aziz nie miał poczucia tego, co oczywiste. O tym, w co wierzył, przesądzały kolejno stany emocjonalne i one też doprowadziły do tragicznego chłodu między nim i jego angielskim przyjacielem. Zwyciężyli, lecz nie miał im przypaść laur zwycięstwa. Fielding wyjechał na konferencję i po kilku dniach niczym nie zamaconego współżycia z plotkami o pannie Quested Aziz uznał, że są one prawdziwe. Nie miał żadnych zastrzeżeń moralnych co do zabaw swoich przyjaciół. Zresztą Cyryl jako człowiek w średnim wieku nie może już liczyć na doborowy kobiecy towar i musi zabawiać się tym, co znajdzie. Ale miał żal do Fieldinga, że zaleca się właśnie do tej kobiety, bo ciągle uważał ją za swojego wroga; a poza tym, dlaczego nic mu nie powiedział? Czym jest przyjaźń bez zwierzeń? Sam mówił nieraz rzeczy, które można by uznać za skandaliczne, a ten Anglik wysłuchiwał wszystkiego, okazując

pobłażliwość, ale nie dając nic w zamian.

Wyszedł po Fieldinga na dworzec, zgodził się zjeść z nim kolację, a potem zaczął poddawać go próbie, ale w sposób okreżny, na zewnątrz zachowując wesołość.

Wśród Europejczyków wybuchł skandal - pan McBryde i panna Derek. Jej niezłomne przywiązanie do Czandrapuru znalazło wyjaśnienie: pan McBryde został przyłapany w jej pokoju, jego żona wystąpiła o rozwód.

- Takie niewiniątko. Zresztą i tak zwali winę na nasz klimat.

254

Właściwie wszystko to nasza wina. No i jak, Cyryl, przyniosłem ci chyba ważną wiadomość?

- Nie bardzo - powiedział Fielding, którego mało interesowały tak odległe grzechy. - Posłuchaj moich wiadomości. - Aziz się rozpromienił. - Na konferencji ustalono...

- Wieczorem będzie dość czasu na belferkę. Teraz muszę jechać prosto do szpitala, z cholerą nie wygląda dobrze. Zdarzają się przypadki miejscowe, niezależnie od przywiezionych. Prawdę mówiąc, całe nasze życie zrobiło się trochę smutne. Nowy lekarz naczelny jest taki sam jak poprzedni, tylko jeszcze nie ma odwagi tego pokazać. Wszystkie moje cierpienia nic nam nie dały. Ale, ale, Cyryl, póki pamiętam. O tobie też krążą plotki, nie tylko o panu McBryde. Podobno ty i panna Quested zawarliście trochę za intymną przyjaźń. Mówiąc całkiem szczerze, powiadają, że dopuściliście się rzeczy zdrożnych.

- To było do przewidzenia.

- Te plotki krążą po mieście i mogą ci popsuć opinię. Wiesz, że wcale nie wszyscy są po twojej stronie. Robiłem, co mogłem,

żeby uciszyć plotkarzy.

- Nie przejmuj się. Panna Quested nareszcie się wyniosła.

- Tego rodzaju historyjka szkodzi tym, którzy tu zostają, nie tym, co wyjechali. Wyobraź sobie moją konsternację i trwogę.

Nie mogłem zmrużyć oka. Najpierw łączono z nią moje nazwisko, a teraz twoje.

- Nie używaj takich przesadnych zwrotów.

- Na przykład jakich?

- Na przykład „konsternacja i trwoga”.

- Czy nie spędziłem całego życia w Indiach? Czy nie wiem, co tu sprawia złe wrażenie? - W jego podniesionym głosie zabrzmiała nuta gniewu.

- Tak, ale skala, skala. Zawsze przykładasz niewłaściwą skalę, mój drogi przyjacielu. Szkoda, że są takie plotki, ale ta szkoda jest tak mała... tak mała, że z równym powodzeniem możemy mówić o czymś innym.

- A jednak jest ci przykro ze względu na pannę Quested. Widzę to z twojej twarzy.

- O ile w ogóle jest mi przykro. Lubię podróżować bez bagażu.

- Cyryl, te przechwałki o podróżowaniu bez bagażu doprowadzą

255

cię do zguby. Przysparza ci to wszędzie wrogów, a mnie wprawia w straszne zakłopotanie.

- Jakich wrogów?

Aziz miał siebie na myśli i nie potrafił na to odpowiedzieć. Czując, że wyszedł na

durnia, jeszcze bardziej się rozżłościł.

- Raz po raz przedstawiałem ci listę osób, którym w tym mieście nie można ufać. Na twoim miejscu miałbym dość rozumu w głowie, żeby wiedzieć, że jestem otoczony przez wrogów.

Zauważyłeś, jak cicho mówię? Bo widzę, że masz nowego saisa.

Skąd mogę wiedzieć, czy nie jest szpiegiem? - Zniżył głos: -

Co trzeci służący to szpieg.

- Powiedz, o co ci właściwie chodzi? - zapytał z uśmiechem Fielding.

- Nie zgadzasz się z moją ostatnią uwagą?

- To mnie po prostu nie dotyczy. Od szpiegów roi się jak od moskitów, ale upłyną lata, zanim spotkam tego, który mnie zabije.

Masz co innego na myśli.

- Nie mam. Nie bądź śmieszny.

- Masz. Jesteś na mnie o coś zły.

Każdy bezpośredni atak wytrącał Azizowi broń z ręki. Minęła chwila, zanim powiedział:

- Ach, ty niegrzeczny chłopcze, więc zabawiałeś się wieczorami z szanowną panną Adelą.

Tamte bezbarwne i wzniosłe rozmowy bynajmniej nie sprzyjały flirtom. Fieldinga tak bardzo zaskoczyło poważne potraktowanie tej plotki i tak mu nie przypadł do smaku ów „niegrzeczny chłopiec”, że stracił głowę i wybuchnął:

- Ty mały draniu! Niech to diabli. Zabawialiśmy się, też po myśl! Czy to w ogóle możliwe w takich okolicznościach?

- Och, bardzo cię przepraszam, naprawdę. To zagrała orientalna wyobraźnia - odpowiedział Aziz tonem wesołym, ale dotknięty do żywego. Przez wiele godzin po tej pomyłce serce mu krwawiło.

- Widzisz, Aziz, te okoliczności... poza tym, dziewczyna była jeszcze narzeczoną Heaslopa. Zresztą nigdy nie czułem...

- Tak, tak. Ale nie zaprzeczyłeś moim słowom, więc pomyślałem, że to prawda. Ach, Boże, Wschód i Zachód. Jakież to zwodnicze. Zechcesz wysadzić małego drania przed szpitalem?

- Nie jesteś obrażony?

256

- Ależ bynajmniej!

- Jeżeli jesteś, musimy to później wyjaśnić.

- Już wyjaśniliśmy - odparł Aziz z godnością. - Wierzę bez zastrzeżeń temu, co powiedziałeś, ta sprawa nie powinna budzić żadnych dalszych wątpliwości.

- Ale należy wyjaśnić sposób, w jaki to powiedziałem. Byłem wbrew woli niegrzeczny. Najszczerze wyrazy żalu.

- Wina jest wyłącznie po mojej stronie.

Tego rodzaju nieporozumienia nadal mąciły ich stosunki. Jakaś pauza w nieodpowiednim miejscu, jakaś źle zrozumiała intonacja -i cała rozmowa szła na opak. Fielding był zaskoczony, nie zgorzszony, ale jak miał wyrazić różnicę? Zawsze powstają trudności, kiedy dwie osoby nie myślą o sprawach płci w tym samym momencie, zawsze są wzajemne pretensje i niespodzianki, nawet jeśli obie strony należą do tej samej rasy. Zaczął głośno reasumować swój stosunek do panny Quested. Aziz przerwał mu:

- Ależ wierzę ci, wierzę. Mohammed Latif będzie surowo ukarany za te wymysły.

- Och, daj temu spokój, jak każdej plotce... to tylko jeden z tych na pół ożywionych stworów, które usiłują zepchnąć na dalszy plan prawdziwe życie. Nie zwracaj na nią uwagi, a rozplynie

się jak groby biednej starej pani Moore.

- Mohammed Latif zasmakował w intrygach. Jesteśmy z niego bardzo niezadowoleni. Czy da ci to satysfakcję, jeżeli odeślemy go do rodziny bez żadnego prezentu?

- Pomówimy o M.L. przy okazji.

Wzrok Aziza znieruchomiał i stwardniał.

- Kolacja. To wyjątkowy pech... Przyrzekłem zjeść u Dąsa.

- Przyrowadź Dąsa do mnie. |

- Już na pewno zaprosił innych przyjaciół.

- Jesteś na kolacji u mnie, jak ustaliliśmy - powiedział Fielding,

odwracając wzrok. - Nie chcę o niczym słyszeć. Jesteś u mnie.

Tymczasem dotarli do szpitala i Fielding jechał dalej sam, objeżdżając Majdan. Był z siebie niezadowolony, ale liczył, że w czasie kolacji doprowadzi wszystko do ładu. Na poczcie zobaczył zarządcę. Ich pojazdy stały spokojnie obok siebie, podczas gdy służący rywalizowali ze sobą w budynku.

- Dzień dobry. A więc wrócił pan - rzekł Turton lodowato. -

257

ir

Będę bardzo zadowolony, jeżeli pokaże się pan wieczorem w klubie.

- Zgodziłem się na ponowny wybór, panie zarządcu. Czy uważa pan za konieczne, żebym przyszedł? Cieszyłbym się, gdyby mnie pan z tego zwolnił. Prawdę mówiąc, jestem dziś umówiony na kolację.

- To nie jest sprawa pańskich chęci, tylko życzenie gubernatora.

A może chce pan mnie spytać, czy mówię oficjalnie? Otóż tak.

Oczekuję pana o szóstej. Nie zamierzamy mieszać się do pańskich późniejszych planów.

W oznaczonym czasie wziął udział w tej małej ponurej ceremonii.

Widmo gościnności krążyło po klubie. „Łyknijmy sobie, trzeba się napić”. Przez pięć minut rozmawiał z panią Blakiston, jedyną kobietą, która została na placu.

Rozmawiał z McBryde'em, który mówił wyzywająco o swoim rozwodzie, świadom, że zgrzeszył jako sahib. Rozmawiał z majorem Robertsem, nowym naczelnym lekarzem, i z młodym Milnerem, nowym sędzią dla miasta Czand-rapur. Ale im bardziej zmieniał się klub, tym wydawało się pewniejsze, że będzie taki, jaki był dotąd. To na nic, pomyślał, wracając koło meczetu, bo wszyscy budujemy zamki z piasku; im nowocześniejszy staje się ten kraj, tym większa czeka go katastrofa. W odległym osiemnastym wieku, kiedy pieniężne okrucieństwo i niesprawiedliwość, jakaś niewidzialna siła naprawiała wyrządzane szkody. Dziś wszystko odbija się echem; nie można powstrzymać echa. Sam dźwięk może być nieszkodliwy, ale echo jest zawsze złowieszcze. Ta refleksja na temat echa tkwiła gdzieś na dnie jego umysłu. Nie potrafił jej nigdy rozwinąć. Należała do świata, którego nie znał lub który odrzucił. Tego świata nie znał również meczet. Podobnie jak on sam, te płytkie arkady dawały jedynie ograniczony azyl. „Nie ma Boga prócz Boga” - to nas nie zaprowadzi zbyt daleko wśród zawilóści materii i ducha; jest to właściwie tylko zabawa w słowa, kalambur religijny, nie religijna prawda.

Widząc, że Aziz jest przemęczony i przygnębiony, postanowił nie nawiązywać do ich sprzeczki wcześniej niż przed końcem wieczoru; wtedy będzie to łatwiejsze do przyjęcia. Przyznał się do pobytu w klubie - wyjaśnił, że poszedł jedynie pod przymusem i nigdy już tam nie wróci, chyba że znowu otrzyma taki rozkaz.

258

- Innymi słowy, pewnie nigdy, bo niedługo jadę do Anglii.

- Przypuszczałem, że możesz skończyć w Anglii - powiedział

tamten bardzo spokojnie i zmienił temat rozmowy. Kolację zjedli

w atmosferze pewnego skrepowania, potem wyszli i usiedli w let-

nim domku z epoki Mogołów.

- Jadę na krótko. W sprawach służbowych. Moje władze wolą potrzymać mnie przez jakiś czas z daleka od Czandrapuru. Z konieczności cenią mnie wysoko, ale za mną nie przepadają. Sytuacja jest trochę humorystyczna.

- Jakiego rodzaju są te służbowe sprawy? Będziesz miał trochę wolnego czasu?

- Dość, żeby się zobaczyć z przyjaciółmi.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Jesteś wiernym przyjacielem. Może pomówimy teraz o czymś innym?

- Chętnie. O czym?

- O poezji - odparł Aziz ze łzami w oczach. - Zastanówmy się, dlaczego poezja utraciła moc napawania ludzi odwagą. Ojciec mojej matki też był poetą i walczył przeciwko wam w czasie rebelii. Może bym mu dorównał, gdyby wybuchła jeszcze jedna rebelia. A tak jestem lekarzem, który wygrał proces i ma troje dzieci na utrzymaniu i dla którego głównym tematem konwersacji są sprawy służbowe.

- Mówmy o poezji. - Fielding zwrócił się myślą ku temu nieszkodliwemu tematowi. - Wy tutaj jesteście w niewesołej sytuacji. O czym właściwie macie pisać? Nie możecie mieć poezji patriotycznej, w rodzaju „Indie, o moje Indie”, skoro te Indie są niczyje.

- Podoba mi się ta rozmowa. Może doprowadzić do jakiegoś interesującego wniosku.

- Bardzo słusznie uważasz, że poezja musi dotyczyć życia.

Kiedy cię poznałem, używałaś jej jako zaklęcia.

- Kiedy mnie poznałeś, byłem dzieckiem. Każdy był wtedy moim przyjacielem. Przyjaciel: perskie określenie Boga. Ale nie chcę być też poetą religijnym.
- Miałem nadzieję, że będziesz.
- Ale dlaczego, skoro sam jesteś ateistą?
- Jest coś takiego w religii, co może nie jest prawdą, ale czego jeszcze nikt nie opiewał.

259

- Wy tłumacz dokładniej.
- Coś, co może odnaleźli hinduiści.
- Niech oni to wyśpiewają.
- Hinduiści nie potrafią śpiewać.
- Wiesz co, Cyryl, czasem zrobisz jakąś sensowną uwagę. Na razie dosyć o poezji. Wróćmy teraz do twojej wizyty w Anglii.
- Nie mówiliśmy o poezji nawet dwóch minut - powiedział Fielding z uśmiechem.

Ale Aziz był fanatykiem miniatur. Trzymał ów mikroskopijny dialog w zamkniętej dłoni i wydawało mu się, że jest w nim zawarty w skrócie cały jego problem. Przez moment wspominał swą żonę i jak to bywa, kiedy wspomnienie jest szczególnie intensywne, przeszłość przekształciła się w przyszłość i ujrzał siebie wraz z nią w spokojnym hinduistycznym państewku w głębi dżungli, z dala od cudzoziemców. Powiedział:

- Przypuszczam, że odwiedzisz pannę Quested.
- Jeżeli starczy mi czasu. Dziwnie będzie zobaczyć ją na Hampstead.

- Co to jest Hampstead?
- Mała dzielnica artystów i intelektualistów na przedmieściach Londynu...
- I ona tam sobie żyje w luksusie. Zrobi ci przyjemność to spotkanie... Ach, przez cały wieczór boli mnie głowa. Może będę miał cholereę. Jeżeli pozwolisz, wyjdę trochę wcześniej.
- Na którą chcesz mieć powóz?
- Nie kłopotz się, pojedę na rowerze.
- Przecież nie masz tu roweru. Mój powóz cię tu przywiózł, więc niech cię odwiezie.
- Bardzo logiczne - powiedział Aziz, siłąc się na wesołość. - Nie mam tu roweru. Ale ludzie za często mnie widują w twoim powozie. Ram Chand uważa, że wykorzystuję twoją wspaniałomyślność. - Czuł się niedobrze, był skrepowany. Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, wyraźnie kulejąc. Byli wobec siebie serdeczni i szczerzy, ale nie mogli nawiązać prawdziwego kontaktu.
- Aziz, przebaczyłeś mi te niemądre słowa, które mi się wymknęły dziś rano?
- Kiedy mnie nazwałeś małym draniem?
- Tak, na moją wieczną zgubę. Wiesz, jak bardzo cię lubię.

260

- Ależ naturalnie, to nic, wszyscy popełniamy błędy. W takiej przyjaźni jak nasza kilka drobnych potknięć nie ma żadnego znaczenia.

Ale kiedy odjeżdżał, czuł, że go coś gnębi - jakby tępy ból ciała czy ducha, pragnący wydobyć się na powierzchnię. Załedwie znalazł się w bungalowie, zapragnął wrócić i powiedzieć coś szczególnie serdecznego; ale dał tylko suty napiwek sa-isowi, usiadł ponuro na łóżku i zaraz Hassan zaczął go nieumiejętnie masować. Końskie muchy skolonizowały już wierzch almari*; przybyło czerwonych plam na dywanie, bo w czasie jego pobytu w więzieniu Mohammed Latif spędzał tu noce i dużo pluł; szuflada biurka nosiła ślad zadrapań w miejscu, gdzie wyważyła ją policja; wszystko w Czand-rapurze było zużyte, nie wyłączając powietrza. Zgryzota wydobyla się teraz na powierzchnię: Aziz coś podejrzewał. Po-dejrzewał swego przyjaciela, że zamierza ożenić się z panną Quested dla jej pieniędzy i że w tym celu jedzie do Anglii.

- Huzur? - to w odpowiedzi na jego pomrukiwanie.
- Popatrz na te muchy na suficie. Dlaczego ich nie potopiłeś?
- Huzur, one wracają.
- Jak wszystko, co złe.

Chcąc zmienić temat rozmowy, Hassan opowiedział o kuchciku, który zabił węża, to dobrze, ale zrobił to przecinając go na dwoje, to źle, bo robią się wtedy dwa węże.

- Kiedy zbije talerz, robią się z tego dwa talerze?
- Będą jeszcze potrzebne szklanki i nowy imbryk, i nowy płaszcz dla mnie.

Aziz westchnął. Każdy chce czegoś dla siebie. Jednemu potrzebny płaszcz, drugiemu bogata żona; każdy chytrze kluczy, żeby się zbliżyć do swojego celu. Fielding zaoszczędził dziewięćdziesiąt tysięcy rupii grzywny, a teraz jedzie za nią do Anglii. Jeżeli chciał ją poślubić, wszystko stawało się jasne; wniosłaby mu większy posag. Aziz nie wierzył własnym podejrzeniom - a szkoda, bo wtedy potępiłby i wyjaśnił sytuację. Podejrzenia i wiara mogły istnieć w jego umyśle obok siebie.

Almari - szafa.

261

Wypływały- z różnych źródeł i wcale nie musiały się przeplatać. U człowieka Wschodu podejrzliwość jest czymś w rodzaju złośliwego nowotworu, choroby

umysłowej, która nagle każe mu czuć się skrepowanym i zachowywać nieprzyjaźnie; jest jednocześnie ufny i nieufny w sposób niezrozumiały dla człowieka Zachodu. To jego demon, tak jak demonem człowieka Zachodu jest hipokryzja. Aziz był przez niego opętany i zbudował w wyobraźni diabelski zamek, którego fundamenty zostały położone już w Dilkuszy, kiedy prowadzili rozmowę pod gwiazdami. Dziewczyna była na pewno kochanką Cyryla, kiedy mieszkała w college'u - Moham-med Latif miał rację. Ale czy na tym koniec? Może to Cyryl poszedł za nią do groty... Nie, niemożliwe. Cyryl w ogóle nie był na Kawa Dol. Niemożliwe. Śmieszne. Ale na myśl o tym drżał z rozpaczy. Gdyby się to okazało prawdą, byłaby to najgorsza zdrada w dziejach Indii; nie dorównywała jej żadna podłość, nawet zamordowanie Afzul Chana przez Siwadziego*. Był wstrząśnięty, jakby go poraziła prawda, i kazał Hasanowi odejść.

Nazajutrz postanowił, że odwiezie dzieci do Masuri. Przyjechały na rozprawę, żeby się mógł z nimi pożegnać, i zostały u Hamidul-laha na okres świętowania i zwycięstwa. Major Roberts da mu urlop, a kiedy go nie będzie, Fielding odjedzie do Anglii. Od-powiadało to zarówno jego wierze, jak podejrzaniom. Rozwój wydarzeń ujawni, które z nich są słuszne, a on w obu wypadkach zachowa godność.

Fielding zdawał sobie sprawę z pewnej wrogości, a ponieważ naprawdę bardzo lubił Aziza, zachwiał się w swoim optymizmie. Podróżować bez bagażu jest znacznie trudniej, kiedy w grę wchodzi uczucie. Nie mogąc już brnąć dalej w błogiej nadziei, że wszystko skończy się dobrze, napisał starannie przemyślany list, bardzo nowoczesny w stylu: „Odnoszę wrażenie, że uważasz mój stosunek do kobiet za pruderyjny. Wolałbym, żebyś myślał o mnie cokol-wiek, byle nie to. Jeśli żyję teraz nienagannie, to dlatego, że jestem już dobrze po czterdziestce - w okresie zastanawiania się nad życiem. Po osiemdziesiątce znowu zastanowię się nad życiem. A zanim osiągnę dziewięćdziesiątkę - życie zastanowi się nade

* Siwadzi (1627-1680) - indyjski bohater narodowy, który w 1658 r. stoczył zwycięską walkę z Afzul Chanem, dowódcą wojsk księstwa Bidżapur.

262

mną! Ale żywy czy umarły, jestem absolutnie wyzuty z moralności. Bądź taki dobry i myśląc o mnie postaraj się to zrozumieć". Azizowi ten list bardzo się nie spodobał - raził jego poczucie delikatności. Lubił zwierzenia, choćby nawet wulgarne, ale wszel-kie generalizacje i porównania zawsze budziły w nim odrazę. Życie to nie naukowy podręcznik. Odpowiedział chłodno, wyrażając żal, że nie może wrócić z Masuri przed odjazdem przyjaciela: „Ale muszę wziąć ten mój nędzny urlopik, póki

to możliwe. Odtąd wszystko jest pod znakiem oszczędności, wszystkie nadzieje na Kaszmir rozwiały się bezpowrotnie. Kiedy wrócisz, będę harował gdzieś daleko na jakiejś nowej posadzie".

Tak więc Fielding odjechał, a w ostatnich wyziewach Czandra-puru - kiedy niebo i ziemia przypominały melasę - brzydkie domysły Hindusa znalazły potwierdzenie. Umacniała je grupa jego przyjaciół, bo chociaż lubili zawsze dyrektora, czuli się niewyraźnie na myśl, że zbyt wiele już wie o ich sprawach prywatnych. Mahmud Ali oświadczył niebawem, że zdrada wisi w powietrzu. Hamidullah mruczał: „To pewne, że ostatnio nie odnosił się już do nas z dawną szczerą prostotą" i przestrzegał Aziza, „żeby nie oczekiwał zbyt wiele - ostatecznie on i ona należą do innej rasy". „Gdzie moje dwadzieścia tysięcy rupii?" - myślał Aziz. Pieniądze traktował z całkowitą obojętnością - nie tylko był hojny, ale szybko spłacał długi, jeżeli o nich pamiętał - a jednak te rupie nie dawały mu spokoju, bo został z nich wyzuty podstępem i pozwolił, żeby uciekły za ocean, jak tyle innych bogactw Indii. Cyryl poślubi pannę Quested - był już tego pewien, a cały nie wyjaśniony osad Marabaru umacniał go w tej pewności. Takie musiało być naturalne zakończenie owego straszego, bezsensownego pikniku i wkrótce Aziz wmówił w siebie, że ślub naprawdę się odbył.

Rozdział 32

Egipt był zachwycający - zielony pas kobierca, po którym prze-chadzały się cztery rodzaje zwierząt i jeden rodzaj człowieka. Sprawy służbowe zatrzymały tam Fieldinga przez kilka dni. Wsiadł ponownie na statek w Aleksandrii: jasnobłękitne niebo, stały

263

wiatr, wyraźna, niska linia wybrzeża, tak różne od zawilóści Bombaju. Potem przywitała go Kreta długim śnieżnym pasmem gór, a po niej była Wenecja. Kiedy wylądował na piazzetta, do jego warg przechylił się puchar piękna, a on pił w poczuciu nielojalności. Budowle Wenecji, podobnie jak góry na Krecie i pola Egiptu, były we właściwym miejscu, podczas gdy w nie-szczęsnym Indiach wszystko zostało umieszczone nie tam, gdzie trzeba. Pośród świątyń pełnych idoli i niekształtnych wzgórz zapomniał o pięknie formy; a prawdę mówiąc, czy bez formy w ogóle możliwe jest piękno? Forma przeblyskiwała tu i ówdzie w jakimś meczecie, zastygała nawet w swojej nerwowości, ale te kościoły włoskie! San Giorgio stojący na wyspie, która, gdyby nie on, nie mogłaby się chyba wyłonić z fal, Santa Maria delia Salute panująca nad wejściem do kanału, który, gdyby nie ona, nie stałby się Canale Grandę! W dawnych uniwersyteckich latach Fielding spowiadał się w

wielobarwny płaszcz świętego Marka, ale teraz miał przed sobą coś więcej niż mozaiki i marmury: harmonię między dziełem człowieka i ziemią, która je dźwiga, cywilizację, która uniknęła zamętu, ducha ujętego w rozsądny kształt, w którym przetrwały ciało i krew. Wysyłając kolorowe pocztówki do swoich indyjskich przyjaciół, czuł, że żaden z nich nie podzieli z nim rozkoszy, jaką on teraz odczuwa, rozkoszy formy, i że to stanowi poważną między nimi barierę. Dostrzegą wystawność Wenecji, nie jej kształt, a chociaż Wenecja nie jest Europą, jest częścią śródziemnomorskiej harmonii. Morze Śródziemne jest wzorcem dla człowieka. Opuszczając to cudowne jezioro, czy to przez Bosfor, czy przez Słupy Heraklesa, ludzie zbliżają się do czegoś monstrualnego i niezwykłego; a wyjście południowe prowadzi do najdziwniejszych doświadczeń. Raz jeszcze obróciwszy się do nich plecami, wyruszył pociągiem na północ i delikatne roman-tyczne zjawy, o których myślał, że umarły na zawsze, rozkwitły znowu, kiedy ujrzał czerwcowe jaskry i stokrotki.

Rozdział 33

Kilkaset mil na zachód od Wzgórz Marabarskich i w dwa lata później profesor Narayan Godbole stoi w obliczu Boga. Bóg jeszcze się nie narodził - to się stanie o północy - ale narodził się również przed wiekami, chociaż nie może się nigdy narodzić, ponieważ jest Panem Wszechświata, transcendentnym wobec praw człowieka. Jest, nie był, nie jest, był. On i profesor Godbole stali na przeciwległych końcach tej samej wstęgi dywanu.

Tukaram, Tukaram,

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim.

Tukaram, Tukaram,

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim.

Tukaram, Tukaram,

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim.

Tukaram, Tukaram, :

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim. ;

Tukaram...

Ten korytarz pałacu w Mau prowadził przez inne korytarze na dziedziniec. Ściany

miął pokryte pięknym, białym twardym stiukiem, ale jego kolumny i sklepienia zaledwie były widoczne spoza strzępów kolorowej materii, mieniających się kul, kandelabrow z nieprzejrystego różowego szkła i ciemnych fotografii w krzywych ramkach. Na końcu znajdowało się małe, lecz słynne sanktuarium dynastycznego kultu, Bóg zaś, który miał się narodzić, był właściwie srebrnym posążkiem wielkości łyżeczki od herbaty. Wyznawcy hinduizmu usadowili się po obu stronach dywanu,

267

gdziekolwiek mogli znaleźć miejsce, lub tłoczyli się w przyległych korytarzach i na dziedzińcu - hinduiści, sami hinduiści, mężczyźni o łagodnych rysach, w większości wieśniacy, dla których wszystko poza granicami ich wioski działa się we śnie. Oto był ów ciężko pracujący rajat*, przez niektórych nazywany prawdziwymi Indiami. Wśród nich siedziało kilku kupców z małego miasteczka, urzędnicy, dworzanie, latorośle domu panującego. Uczniowie z miejscowej szkoły utrzymywali jaki taki porządek. Zgromadzenie pogrążone było w stanie łagodnej błogości, nie znanej tłumowi angielskiemu, wrzało z cicha jak dobroczynny napój. Kiedy wieśniacy przerwali kordon, by choć przelotnie spojrzeć na srebrny posążek, na ich twarzach pojawił się cudowny, promienny wyraz, piękno, w którym nie było nic osobistego, bo upodobniło ich wszystkich do siebie na ten krótki czas, kiedy między nimi zamieszkało, a dopiero kiedy zniknęło, powrócili do swojej indywidualnej przyziemności. I tak było z muzyką. Muzyka była, owszem, ale z tylu źródeł, że ich suma wymykała się wszelkiej dyscyplinie. Trąbienie-bębnienie-zawodzenie stapiało się w jedną całość, która snuła się wokół pałacu, nim wchłonał ją piorun. Deszcz padał z przerwami przez całą noc.

Przyszła kolej na chór profesora Godbole'a. Jako minister oświaty dostąpił tego szczególnego zaszczytu. W chwili gdy poprzednia grupa śpiewaków rozproszyła się w tłumie, zaczął przeciskać się do przodu, już śpiewając pełnym głosem, aby łańcuch świętych tonów nie został przerwany. Był boso, w bieli, na głowie miał bladobłękitny turban; jego złote binokle zaplatały się w girlandę z jaśminu i zwisały z jednej strony nosa. On i jego sześciu podtrzymujących go kolegów uderzali w talerze, bili w małe bębienki, pobrzękiwali na przenośnej fisharmonii i śpiewali:

Tukaram, Tukaram,

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim.

Tukaram, Tukaram,

Tyś mym ojcem i matką, i wszystkim.

Tukaram, Tukaram...

Rajat - chłop, dzierżawca.

268

Śpiewali nawet nie do Boga, który był przed nimi, lecz do świętego; nie czynili nic, co niehinduista uznałby za dramatycznie poprawne. Ten nadchodzący triumf Indii był bałaganem (jak my to nazywamy), unicestwieniem rozsądku i kształtu. Gdzie znajdował się sam Bóg, ku którego czci zebrali się ci wierni? Nie do odróżnienia na śmietniku własnego ołtarza, wepchnięty pomiędzy wizerunki osób nędzniejszego stanu, przysypany listkami róży, obwieszony oleodrukami, przyćmiony złotymi tabliczkami przedstawiającymi antenatów radży, a także - kiedy powiał wiatr - całkowicie przesłonięty postrzępionym listowiem drzewa bananowego. Na Jego cześć zapalono setki lampek elektrycznych (zasilanych przez motor, którego stukot niweczył rytm hymnu). Ale Jego oblicze było niewidoczne. Zgromadzono dokoła setki Jego srebrnych półmisków, ale efekt był żaden. Inskrypcje, ułożone przez miejscowych poetów, wisiały tam, gdzie nikt ich nie mógł odczytać, albo też pineski, którymi je przytwierdzono, wypadły ze sztukaterii, a jeden napis (zredagowany po angielsku, by podkreślić Jego uniwersalizm) składał się, w wyniku niefortunnej pomyłki kaligrafa, ze słów „God si love”.

God si love*. Czy takie jest ostateczne przesłanie Indii?

Tukaram, Tukaram...

brzmiał chóralny śpiew, wzmocniony teraz odgłosami sprzeczki za kotarą oddzielającą pomieszczenie dla kobiet, gdzie dwie matki usiłowały jednocześnie wypchnąć swoje dzieci do przodu. Nóżka małej dziewczynki wystrzeliła stamtąd szybkim ruchem węgorza. Na dziedzińcu ociekająca deszczem mała zeuropeizowana orkiestra kulawo zaintonowała walczyka. Grali „Noce radości”. Śpiewakom ów rywal bynajmniej nie przeszkodził, żyli poza wszelką konkurencją. Upłynęło sporo czasu, zanim drobna cząstka profesora Godbole'a, zajmująca się sferą spraw zewnętrznych, zdecydowała, że coś jest nie w porządku z jego binoklami i że dopóki ich nie poprawi, nie będzie mógł wybrać nowego hymnu. Odłożył jeden talerz, drugim uderzał powietrze, wolną ręką pogrzebał w kwiatach

* Powinno być „God is Love” - Bóg to miłość.

269

zawieszonych na szyi. Pomagał mu któryś z kolegów. Wyście-wując jeden drugiemu słowa hymnu w siwe wąsy, odczepili łańcuszek od błyskotki, o którą się zahaczył. Godbole zajrzał do śpiewnika, szepnął słówko doboszowi, który przerwał dotychczasowy rytm, wydobył z bębna krótką, stłumioną smugę dźwięku i wpadł w nowy rytm. Ten był bardziej podniecający, duchowe obrazy, jakie wywoływał, były wyraźniejsze, na twarzach śpie-wających pojawił się wyraz głupkowatego rozmarzenia. Kochali wszystkich ludzi, cały wszechświat, i strzępy ich przeszłości, drobne ułamki szczegółów, wynurzały się na krótką chwilę, by wtopić się w to powszechne ciepło. I tak Godbole, chociaż osoba ta nie była dla niego ważna, przypomniał sobie pewną starą kobietę, którą spotkał kiedyś w Czandrapurze. Przypadek przy-wiódł mu ją na myśl w chwili owego podniecenia, bynajmniej jej nie wybierał, znalazła się po prostu, drobny odprysk, wśród ciżby natrętnych obrazów, a on siłą swojego ducha przywołał ją ku temu miejscu, gdzie można znaleźć pełnię. Pełnię, nie odtworzenie. Jego zmysły osłabły, przypomniał sobie osę, którą widział, ale nie pamiętał gdzie, może na kamieniu. Kochał tę osę, przywoływał także ją, naśladował Boga. A kamień, do którego przywarła -czy ma prawo... nie, nie ma prawa, popełnił błąd, próbując przy-wołać kamień, uwiodła go logika i świadomy wysiłek, wrócił do pasma czerwonego dywanu i zorientował się, że tańczy na nim. W jedną i drugą stronę, trzecią część drogi do ołtarza i z powrotem, trzask w talerze, małe nóżki migają, jego towarzysze tańczą obok niego, tańczą ze sobą. Gwar, gwar, zeuropeizowana orkiestra coraz głośniejsz, kadzidło na ołtarzu, pot, luna świateł, wiatr w ba-nanach, hałas, grzmot, jedenasta pięćdziesiąt na zegarku dostrze-żonym w chwili, gdy Godbole podrzucił ręce nad głowę i oddzielił od siebie ów cichutki pogłos, który był jego duszą. Głośniejsze krzyki w tłumie. Tańczył dalej. Chłopcy i mężczyźni przykucnięci w przejściach zostali siłą uniesieni z miejsc i nie zmieniając pozycji, opadli na kolana sąsiadów. Oczyszczoną w ten sposób drogą posuwała się naprzód lektyka.

Był to sędziwy władca państwa, którego wbrew radzie lekarzy przyniesiono tu, żeby asystował przy ceremonii Narodzin.

Nikt nie powitał radzy, ani on sobie tego nie życzył; w takiej chwili nie ma miejsca na ludzką chwałę. Nie można też było

postawić lektyki na ziemi, bo zbeszcześciłaby świątynię, stając się tronem.

Wyniesiono go z niej, trzymając ją w powietrzu, i złożono na dywanie blisko ołtarza; przyglądano mu potężną brodę, podwinęto nogi, w dłoni umieszczono papierową torebkę z czerwonym proszkiem. Siedział tak oparty o filar, wy-czerpany chorobą, z oczami rozszerzonymi od wielu nie wy-lanych łez.

Nie musiał czekać długo. W kraju, gdzie wszystko jest niepunk-tualne, godziny Narodzin przestrzegano z precyzją chronometru. Trzy minuty przed jej wybicciem jeden z braminów wyniósł model wioski Gokul (odpowiednik Betlejem w tej mglistej historii) i umieścił go przed ołtarzem. Model stał na drewnianej tacy

0 wymiarach mniej więcej jard na jard. Był z gliny i mienił się

cały wesoło bielą i błękitem serpentyn i farby. Tu oto, na zbyt

małym krześle i z za dużą głową siedział król Kansa, czyli Herod,

dyrygujący rzezią kilkorga niewiniątek, a w rogu, ukształtowani

w podobnych proporcjach, stali rodzice Pana, którym we śnie

przykazano odjechać. Model nie był święty, ale stanowił coś

więcej niż dekorację, ponieważ odwracał uwagę ludzi od właś-

ciwego wizerunku Boga i wzmagał ich religijną ekstazę. Niektórzy

wieśniacy uważali, że Narodziny już nastąpiły, powiadając nie

bez racji, że Pan musiał się narodzić, bo inaczej by Go nie

widzieli. Ale zegar wybił północ i jednocześnie dał się słyszeć

rozdzierający dźwięk muszli, a po nim trąbienie słoni; ci, co mieli

torebki z proszkiem, rzucili je na ołtarz, i w różowym pyle

1 kadzidłach, wśród krzyków i brzęku dzwonek, nieskończona

Miłość oblekła się w kształt ŚRI KRYSZNY i zbawiła świat.

Wszelkie troski zniknęły bez śladu, nie tylko dla Hindusów, lecz

i dla cudzoziemców, ptaków, jaskiń, kolei i gwiazd; wszystko

stało się radością, wszystko śmiechem; nigdy nie istniały choroby

czy zwątpienie, nie było nieporozumień, okrucieństwa, trwogi.

Jedni podskakiwali, inni rzucali się na płask i ściskali bosc stopy uniwersalnego Kochanka; kobiety za zasłoną klaskały w dłonie i piszczały; mała dziewczynka wymknęła się w końcu i tańczyła samotnie, jej czarne warkoczyki fruwały w powietrzu. Nie była to orgia ciał; tego wzbraniała tradycja sanktuarium. Lecz duch człowieka usiłował w jakichś rozpaczliwych konwulsjach pogwałcić Nieznane, obalając w tym zmaganiu naukę i historię, tak,

277

nawet samo piękno. Czy mu się to udało? Książki napisane później odpowiadają twierdząco. Jakże jednak, jeśli dzieje się taka rzecz, może ona być później zapamiętana? Jak można ją wyrazić przez cokolwiek innego niż przez nią samą? Tajemnice pozostają w ukryciu, nie tylko przed profanem, nawet wtajemniczony nie zdoła ich przechować. Może myśleć, jeśli tak chce, że przebywał z Bogiem, lecz zaledwie tak pomyśli, staje się to już historią i podlega prawidłom czasu.

Z kolei na dywanie pojawiła się kobra z papier mache oraz drewniana kołyska zawieszona na ramie. Profesor Godbole zbliżył się do niej z czerwoną jedwabną pieluszką w ramionach. Pieluszka była Bogiem, to znaczy niezupełnie, bo posążek pozostał w roz-mazanej plamie ołtarza. Była to tylko pieluszka tak złożona, jakby w niej było niemowlę. Profesor kołysał ją i oddał radży, który zdobywając się na wielki wysiłek, rzekł: - Nadaję temu dziecku imię Sri Kryszna - i wrzucił ją do kołyski. Łzy trysnęły mu z oczu, albowiem ujrzał zbawienie Pana. Nie miał dość sił, żeby pokazać jedwabne dziecie ludowi, co było jego przywilejem w dawnych czasach. Pielęgniarze dźwignęli starca, a gdy w tłumie przebito nową ścieżkę, zanieśli go do mniej świętej części pałacu. Był to pokój, do którego nauka zachodnia miała dostęp przez zewnętrzne schody, i tam właśnie oczekiwał go lekarz przyboczny, doktor Aziz. Lekarz hinduista, który towarzyszył mu w świątyni, zwięźle opisał objawy. W miarę ustępowania ekstazy chorego ogarniał niepokój. Przeszkadzał mu stukot maszyny parowej, która poruśzała prądnice, chciał wiedzieć, dlaczego zainstalowano ją w jego domu. Odparli, że sprawdzą, i dali mu środek uspokajający.

A tymczasem w świętych korytarzach radość wykipiała i zmieniła się w wesołą zabawę. Było ich obowiązkiem inicjować różne gry dla rozbawienia nowo narodzonego Boga i naśladować jego psoty ze swawolnymi dójkami z Brindaban.

Masło odgrywało tu szczególną rolę. Kiedy kołyska została wyniesiona, czołowi dyg-nitarze księstwa zebrali się na niewinne igraszki. Zdjęli turbany i jeden z nich położył sobie na czole kawałek masła i czekał, aż spłynie mu ono po nosie do ust. Ale zanim się to stało, inny zakradł się od tyłu, porwał topniejącą grudkę i sam ją połknął. Wszyscy śmiali się w uniesieniu, z radości, że boże poczucie humoru zgadza się z ich własnym. „God si love!" W niebie jest

272

wesoło. Bóg potrafi sam sobie płać niemądre figle - wyciągać krzesła spod własnych pośladek, podpalać własne turbany i kraść własną bieliznę, kiedy się kąpie. Rezygnując z dobrego smaku, ów kult osiągnął to, czego unikało chrześcijaństwo: wprowadzenie elementu wesołości. Wszelki duch, podobnie jak wszelka materia, musi uczestniczyć w zbawieniu, a jeśli zakaże się niemądrych żarcików, krąg pozostanie nie zamknięty. Połknąwszy całe masło rozpoczęli inną grę, która okazała się pełna wdzięku: pieszczenie Śri Krysny pod postacią dziecka. Ktoś rzuca ładną czerwonożółtą piłkę, a ten, co ją złapie, wybiera z tłumu dziecko, bierze je w ramiona i obnosi w koło, żeby każdy mógł je popieścić. Wszyscy głaszczą przemiłe maleństwo w imieniu Stwórcy i szepcą czule słowa. Dziecko wraca do rodziców, piłka znów ulatuje w powietrze i inne dziecko staje się na chwilę Pragnieniem Światła. I Pan przecina powietrze wraz z piłką to w jedną, to w drugą stronę naw świątynnych - czysty traf, gra hazardowa - i opromienia małych śmiertelnych swoją nieśmiertelnością... Kiedy już się nasycili tą zabawą - a nie wiedząc, co to znudzenie, wracali do niej raz po raz, raz po raz - schwycili kije i uderzali jednym

0 drugi, pac, pac, jak gdyby to były walki Pandawów, i młócili,

1 walili nimi dokoła, a potem zawiesili pod dachem świątyni duży,

czarny gliniany dzban w siatce, pomalowany w kilku miejscach

na czerwono i ozdobiony wiankiem suszonych fig. Zaczęła się

prawdziwie pasjonująca zabawa. Podskakując jak najwyżej, walili

kijami w dzban. Dzban zarysował się, pękł i na ich twarze poląła

się tłusta maź ryżu i mleka. Jedli ją i smarowali jeden drugiemu

usta, i nurkowali między cudzymi nogami zbierając to, co się

rozmażało na dywanie. Boska papka rozprzestrzeniała się na wszystkie strony, aż kordon uczniów, powstrzymujących dotąd napór tłumu, pękł i chłopcy rzucili się po swoją część. Korytarze, dziedzińce były wypełnione dobrodusznym zamętem. Obudziły się także muchy i zażądały swojego udziału w bożej szczodroliwości. Nie było kłótni, co należało przypisać charakterowi tego daru, albowiem błogosławiony jest mąż, który go przekazuje innym, bo naśladuje Boga. I tak właśnie akty „naśladowania”, „zastępowania” spełniały się wśród zgromadzonych jeszcze przez wiele godzin, budząc w każdym, zależnie od jego skłonności, uczucia, których by w innym przypadku nie doświadczył. Nie

273

pozostał po nich żaden określony kształt. Przy Narodzinach było rzeczą sporną, co się właściwie narodziło: srebrna laleczka, wioska z gliny, jedwabna pieluszka czy nieuchwytny duch, czy wreszcie jakieś nabożne postanowienie. Może wszystkie te rzeczy! Może żadna z nich! Może wszelkie narodziny są alegorią! A jednak było to główne wydarzenie religijne całego roku. Przywodziło dziwne myśli. Pokryty tłustą mazią i pyłem profesor Godbole raz jeszcze rozbudził swoje życie duchowe. Ponownie, z większą wyrazistością, ujrzał panią Moore i dokoła niej lekko unoszące się kształty nieszczęścia. On był braminem, ona chrześcijanką, ale to nie miało znaczenia, jak nie miało znaczenia, czy jest ona kaprysem pamięci, czy telepatycznym wezwaniem. Był to jego obowiązek, a także pragnienie, postawić się w pozycji Boga i kochać ją, i postawić się na jej miejscu, i mówić Bogu: „Przyjdź, przyjdź, przyjdź”. Tyle tylko mógł zrobić. Jakże niewiele! Lecz od każdego wedle jego możliwości, on zaś wiedział, że jego możliwości są niewielkie. „Jedna stara Angielka i jedna mała, mała osa”, pomyślał, wychodząc ze świątyni w szarym świetle mokrego od ulewy poranka. „Niezbyt wiele, a przecież więcej niż to, czym sam jestem”.

) Rozdział 34

Doktor Aziz wyszedł z pałacu w tym samym czasie. Kiedy znalazł się przed domem -

który stał w ładnym ogrodzie nieco dalej przy głównej ulicy miasta - ujrzał swego dawnego protektora taplającego się i płasającego w błotnistej mazi.

- Hej! - zawołał, ale okazało się to niewłaściwe, bo stary dewot dał do zrozumienia kolistymi ruchami rąk, że nie chce, by mu przeszkadzano. Dodał więc: - Przepraszam - i to było słuszne, bo Godbole tak wykręcił szyję, że głowa oddzieliła się niemal od tułowia, i powiedział nienaturalnym głosem, który zdawał się nie mieć żadnego związku z jego myślami:

- On chyba zajechał do pawilonu dla Europejczyków. W każdym razie to jest możliwe.

- Naprawdę? Kiedy?

274

Ale czas był czymś zbyt określonym. Godbole machnął ręką w sposób jeszcze mniej zrozumiały i zniknął. Aziz wiedział, co to za „on” - Fielding - ale nie chciał o nim myśleć, bo mu to zakłócało spokój, a zresztą wciąż wierzył, że powódź uniemożliwi Fieldingowi przyjazd. Z furtki ogrodu wypływała śliczna mała rzeczulka, która natchnęła go nadzieją. To niemożliwe, żeby ktokolwiek zdołał się przedostać z Deora podczas takiej pogody. Wizyta Fieldinga nosiła charakter służbowy. Odwołano go z Czandrapuru i posłano na objazd Indii Centralnych, gdzie miał sprawdzić, co osiągnęły bardziej odległe księstwa w dziedzinie szkolnictwa angielskiego. Ożenił się, zrobił z panną Ques-ted to, czego się należało spodziewać, i Aziz nie pragnął go widzieć.

„Kochany stary Godbole”, pomyślał i uśmiechnął się. Nie interesowały go sprawy religii, toteż nigdy nie próbował dowiedzieć się, co znaczy owo doroczne błżeństwo, ale był pewien, że Godbole jest kochanym starcem. To za jego sprawą przyjechał do Mau i został ze względu na niego. Bez Godbole'a nigdy by nie dotarł do sedna tutejszych problemów, tak odmiennych od tego, co działo się w Czandrapurze. Bo tutaj linia podziału przebiegała między braminami i niebraminami; muzułmanie i Anglicy nie mieli w tym wyścigu żadnych szans, czasem nie wspomniano nawet o nich przez całe dni. Ponieważ Godbole był braminem, Aziz był nim także, żeby zaintrygować innych: często żartowali ze sobą na ten temat. Niezliczone są szczeliny

w ziemi Indii: hinduizm, tak jednolity z pewnej odległości, rozszczepia się na sekty i klany, które rozchodzą się niczym promienie i znów się łączą, i zmieniają nazwę, zależnie od tego, z jakiej strony się do nich podchodzi. Latami możesz go studiować z pomocą najlepszych nauczycieli, ale kiedy podniesiesz głowę i spojrzysz, nic z tego, co ci powiedzieli, właściwie nie pasuje. Aziz w dniu objęcia stanowiska oświadczył: „Ja niczego nie studiuje, ja tylko szanuję”, co zrobiło doskonale wrażenie. Wszelkie uprzedzenia względem niego wyraźnie osłabły. Nominalnie podległy lekarzowi hinduskiemu, w rzeczywistości był głównym medykiem dworu. Musiał zaniechać szczepień i innych tego rodzaju zachodnich fanaberii, ale nawet w Czandrapurze jego zawód był grą, której centrum stanowił stół operacyjny, tu zaś, w tej głuszy, Aziz

275

pozwalał rdzewieć instrumentom, prowadził swój mały szpital na zwolnionych obrotach i nie wywoływał niepotrzebnego niepokoju. Instynkt, który kazał mu uciekać od Anglików, był zdrowy. Od dawna wzbudzała w nim strach, a na strach można reagować tylko w dwojaki sposób: walczyć i wrzeszczeć w różnych komitetach albo zaszyć się w dalekiej dżungli, dokąd sahib rzadko zagląda. Starzy przyjaciele, prawnicy, chcieli, żeby został w Indiach Brytyjskich i pomagał im w agitacji, i kto wie, czyby go nie przekonali, gdyby nie zdrada Fieldinga. Wiadomość ta wcale go nie zaskoczyła. Pewien chłód powstał między nimi już po procesie, kiedy Cyryl nie przyłączył się do jego triumfalnego pochodu; pogłębiło go jeszcze wstawiennictwo za dziewczyną, a potem przyszły pocztówki z Wenecji, tak oziębłe i nijakie, że wszyscy uznali zgodnie, że coś się między nimi popsło. A wreszcie, po dłuższym milczeniu, ten nieoczekiwany list z Hampstead. Był wtedy u niego Mahmud Ali. „Wiadomość, która cię zadziwi. Zamierzam się ożenić z kimś, kogo znasz...” Dalej nie czytał. „Przyszło wreszcie, odpowiedz w moim imieniu...” Rzucił list Mahmudowi Ali. Dalsze listy niszczył, nie otwierając ich. Był to koniec idiotycznego eksperymentu. I chociaż czuł w głębi duszy, że Fielding poniósł dla niego pewne ofiary, wszystko to mieszało się teraz ze szczerą nienawiścią do Anglików. „Nareszcie jestem Hindusem”, myślał, stojąc nieruchomo w deszczu.

Życie płynęło przyjemnie, klimat był zdrowy, więc dzieci mogły być z nim przez cały rok, a on ożenił się ponownie - ściśle biorąc nie było to małżeństwo, ale chętnie je za takie uważał - i czytał perską poezję, sam pisał wiersze, jeździł konno i czasem nawet trochę polował, a poczciwi wyznawcy hinduizmu udawali, że tego nie widzą. Jego

wiersze miały zawsze ten sam temat - kobiety Wschodu. „Parda musi zniknąć - brzmiał ich motyw przewodni -inaczej nigdy nie będziemy wolni". I oznajmiał (puszczając wodze fantazji), że Indie nie zostałyby podbite, gdyby kobiety walczyły na równi z mężczyznami w bitwie pod Plassy. „Ale nie pokazujemy naszych kobiet cudzoziemcom" - dodawał, nie wyjaśniając, jak należy rozwiązać tę sprawę, bo przecież pisał wiersz. Słowiki perskie i róże nadal trwały na posterunku, cały patos pokonanego

\ i

(t ' i

276

islamu pozostał mu we krwi i żadne nowoczesne chwytły nie mogły go stamtąd usunąć. Nielogiczne wiersze - jak ich autor. A przecież brzmiała w nich prawdziwa nuta: nie ma ojczyzny bez nowych domów. W jednym wierszu - jedynym, jaki spodobał się śmiesznemu staremu Godbole'owi - prześliznął się po ojczyźnie (której nie kochał prawdziwą miłością) i przeszedł wprost do problemu międzynarodowości.

- Ach, to jest bhakti*. Młody przyjacielu, to jest zupełnie inne i bardzo dobre. Ach, Indie, które zdają się stać w miejscu, same do tego dotrą, gdy inne narody będą marnowały czas. Czy mogę przełożyć ten wiersz na hindi? Prawdę mówiąc, można by go niemal odtworzyć w sanskrycie, jest tak świątły. Naturalnie, wszystkie twoje inne wiersze są też bardzo dobre. Jego Wysokość powiedział pułkownikowi Maggsowi za ostatniej tu bytności, że jesteśmy z ciebie dumni - dodał z lekko wymuszonym uśmiechem.

Pułkownik Maggs był brytyjskim doradcą dla całej tej okolicy i teraz już zniechęconym przeciwnikiem Aziza. Wydział śledczy nie spuszczał Aziza z oczu od czasu rozprawy sądowej - nie mieli przeciw niemu nic, o co by go mogli oskarżyć, ale Hindusów, których prześladowuje pech, trzeba pilnować, więc dzięki pomyłce panny Quested miał do końca życia pozostawać pod obserwacją. Pułkownik Maggs zaniepokoił się na wiadomość, że do Mau przybywa ktoś podejrzany, i niby to żartobliwie zaczął pokpiwać ze starego radży, że pozwala muzułmańskiemu lekarzowi zbliżyć się do swojej świętej osoby. Kilka lat wcześniej radża zrozumiałby aluzję, bo doradca był wtedy bardzo groźną osobistością, kimś, kto uzbrojony we

wszystkie gromy imperium spadał jak burza w najmniej odpowiednich chwilach, wywracał całą administrację do góry nogami, domagał się samochodów i polowań na tygrysa, żądał, aby wycinano drzewa, bo zasłaniają widok z okien pawilonu, i by w jego obecności dojono krowy, i w ogóle rościł sobie prawo do kontroli nad wszystkimi sprawami wewnętrznymi. Ale potem na wyżynach zdecydowano się na zmianę taktyki. Lokalne burze nie znajdowały już zachęty i grupa małych księstw, które podlegały doradcy, odkryła to i zaczęła wymieniać doświadczenia, co przy-

* Bhakti (sansk.) - miłość, oddanie; także doktryna religijno-filozoficzna, w której oznacza to oddanie Krysznie.

277

niosło owocne rezultaty. Sprawdzenie, ile też pułkownik Maggs potrafi wytrzymać, stało się w Mau czymś w rodzaju miłej rozrywki, w której uczestniczyły wszystkie resorty administracji księstwa. Musiał wytrzymać nominację doktora Aziza. Radża nie rozumiał aluzji i odpowiedział, że dzięki światłym zarządzeniom wicekróla hinduizm nie jest już tak ekskluzywny jak dawniej i że on uważa za swój obowiązek iść z duchem czasu.

Jak dotąd wszystko szło dobrze, ale teraz, kiedy reszta księstwa rzuciła się w wir świątecznych zabaw, on, Aziz, miał kłopoty zupełnie innego rodzaju. W domu czekał na niego list. Nie było wątpliwości, że Fielding przyjechał tej nocy, a także trudno było wątpić, że Godbole wiedział o jego przybyciu, bo list był adresowany do niego i profesor przeczytał go, zanim przesłał Azizowi, dopisując na marginesie: „To doprawdy zachwycająca wiadomość, ale niestety obowiązki religijne nie pozwalają mi na podjęcie jakichkolwiek kroków”. Fielding zawiadamiał, że był już na inspekcji w Mudkul (dawnym rezerwacie panny Derek), że o mało co nie utonął w Deora, że dotarł do Mau zgodnie z planem i ma zamiar spędzić tu dwa dni, zaznajamiając się z przeróżnymi innowacjami oświatowymi swego starego przyjaciela. Nie przyjechał zresztą sam. Towarzyszą mu żona i jej brat. Dalej list podobny był do wszystkich listów, jakie przychoǳiły z pawilonu dla Europejczyków. Różne żądania. Nie ma jajek. Podarte moskitiery. Czy to prawda, że ma się odbyć procesja przy świetle pochodni? Jeżeli tak, to czy mogą obejrzeć? Nie chcą zawracać głowy, ale gdyby mogli stać na jakimś balkonie albo wypłynąć łodzią... Aziz podał list. Miał dość pokazywania pannie Quested życia w kraju. Wstrętne, zdradzieckie wiedźma! W ogóle podli ludzie. Miał nadzieję, że uniknie spotkania, chociaż mogło to być trudne, bo na pewno będą musieli zostać w Mau przez kilka dni. W dole rzeki powódź była jeszcze większa, a od strony stacji kolejowej w Asirgarh pokazały się już białoszare

twarze jezior.

Rozdział 35

Na długo zanim Aziz odkrył Mau, schronił się tam inny młody mahometanin - człowiek święty. Matka powiedziała mu: „Uwolnij

278

więźniów". Wobec tego wziął miecz i udał się do fortu. Odemknął drzwi i więźniowie wysypali się z lochów i wrócili do swoich dawnych zajęć, ale policję bardzo to rozgniewało, więc ucięła młodzieńcowi głowę. Nie zwracając na to uwagi, ruszył z po-wrotem przez skały, które oddzielają fort od miasta, i po drodze zabił wielu policjantów, aż padł przed domem swojej matki, godnie wypełniwszy jej rozkazy. Stąd ma teraz dwa sanktuaria -Przybytek Głowy na górze i Przybytek Ciała poniżej - które są przedmiotem kultu wśród nielicznych mahometan mieszkających w pobliżu, a także wyznawców hinduizmu. „Nie ma Boga prócz Boga"; to symetryczne przykazanie topnieje w łagodnej aurze Mau; jest dobre dla pielgrzymek i uniwersytetów - nie dla feudaliz-mu i rolnictwa. Kiedy Aziz przyjechał i zobaczył, że nawet islam nie jest wolny od bałwochwalstwa, poczuł głęboką odrazę i za-pragnał oczyścić miasto, jak Alamgir. Ale wkrótce przestało go to interesować, jak Akbara. Ostatecznie ten święty uwolnił więź-niów, a przecież on, Aziz, sam był więziony. Przybytek Ciała znajdował się w jego ogrodzie i co tydzień wydawał bogaty plon świec i kwiatów, i na ich widok Aziz za każdym razem wspominał swoje cierpienia. Przybytek Głowy był celem ładnej przechadzki dla jego dzieci. Nazajutrz po wielkim pudza miał wolny ranek i powiedział dzieciom, że pójdą tam razem. Dżemila trzymała go za rękę. Ahmed i Karim biegli przodem, spierając się o to, jak wyglądało ciało, kiedy chodziło chwiejnym krokiem w dół zbocza, i czy bardzo by się przelękli ujrzawszy je na swojej drodze. Nie chciał, żeby wyrosli na ludzi zabobonnych, więc ich ofuknął, a oni odpowiedzieli: tak, ojczy, jak dobrze wychowane dzieci, ale podobnie jak on byli głusi na wszelkie argumenty i po uprzedniej pauzie mówili dalej to, do czego skłaniała ich natura. Na szczycie stoku, wśród krzewów, stała smukła, wysoka, ośmiokątna budowla. Był to Przybytek Głowy. Pozbawiony dachu, był właściwie tylko ogrodzeniem. W środku przycupnęła skromna kopułka, a w niej, widoczny przez kratę, znajdował się przycięty od góry kamień nagrobny, spowity w perkal. W rogach ogrodzenia tkwiły gniazda pszczoł, a z góry padał nieustannie łagodny deszcz połamanych skrzydeł i innego powietrznego śmiecia, zaścielając wilgotne płyty swoim puchem. Ahmed, pouczony przez Moham-meda Latifa o zwyczajach pszczoł, powiedział: - Nam nie zrobią

krzywdy, albowiem żyjemy cnotliwie - i wkroczył śmiało do środka; jego siostra była ostrożniejsza. Z grobowca poszli do meczetu, który z rozmiarów i kształtu przypominał parawan przed kominkiem; arkady Czandrapuru skurczyły się tu do płaskiej płyty ozdobnego stiuku z dwiema wypukłościami na obu końcach, które miały przywodzić na myśl minarety. Ta śmieszna mała budowla nie stała nawet prosto, bo skała, na której ją umieszczono, obsuwała się w dół zbocza. Ona i grobowiec były dziwnym wynikiem protestów Arabii.

Wędrowali po starym opustoszałym forcie i podziwiali różne widoki. Krajobraz, według ich kryteriów, był zachwycający - szaroczarne niebo i na nim chmury brzuchate od deszczu, ziemia pocętkowana kałużami i oślizła od błota. Wspaniały monsun -najlepszy od trzech lat, zbiorniki już pełne, możliwość rekordowych zbiorów. Dalej ku rzece (trasa ucieczki Fieldingów z Deora) ulewy były szczególnie obfite i pocztę trzeba było przeciągać na drugi brzeg za pomocą lin. Mogli stąd dojrzeć pustą przestrzeń między drzewami w lesie, gdzie zaczynał się wąwóz, a także sterczące powyżej skały, które zaznaczały miejsce kopalni diamentów i teraz lśniły od wilgoci. Tuż pod nimi znajdowała się podmiejska rezydencja młodej rani, odcięta teraz przez powódź, i widać było Jej Wysokość, która dość swobodnie traktowała parde, jak wiosłuje ze swymi służebnicami po ogrodzie i powiewa brzegiem sari do małą na dachu. Ale może lepiej nie patrzeć zbyt uważnie w dół ani też w stronę pawilonu dla Europejczyków. Za pawilonem rozpościerał się następny szarozielony mrok wzgórz obsypanych świątyniami przypominającymi białe płomyki. W tym jednym rejonie było ponad dwustu bogów, którzy stale się nawzajem odwiedzali i byli właścicielami niezliczonych krów i całej produkcji betelu, a ponadto mieli akcje linii autobusowej w Asir-garh. Wielu z nich w tej chwili znakomicie się bawiło w pałacu; inni, zbyt wielcy lub zbyt dumni, żeby podróżować, przysyłali w swoim zastępstwie pewne symbole. Powietrze było aż gęste od religii i deszczu.

Ahmed i Karim, których białe koszulki powiewały na wietrze, uganiaли się po terenie fortu, pokrzykując z radości. W pewnej chwili natknęli się na długi szereg więźniów, którzy patrzyli bezmyślnie na stare działo z brązu. - Który z was ma być uł-

kawiony? - zapytali. Bo wieczorem miała się odbyć procesja Najwyższego Boga,

kiedy to opuści On pałac w eskorcie wszelakiej władzy w państwie i przejdzie koło więzienia znajdującego się teraz na dole w środku miasta. A gdy to uczyni, mącąc przy tym wody naszej cywilizacji, jeden z więźniów uzyska wolność i wtedy Bóg podąży do wielkiego zbiornika Mau, który rozpościera się aż do ogrodów pawilonu dla Europejczyków, tam zaś nastąpi coś innego, jakaś ostateczna czy też dodatkowa apoteoza, po czym Bóg doświadczy snu. Azizowie, jako rodzina muzułmańska, nie mieli aż takiej znajomości tych spraw, ale o odwiedzinach w więzieniu wiedzieli wszyscy. Uśmiechając się i spuszczać wzrok, więźniowie omawiali ze szlachetnymi panami szansę swojego zbawienia. Pomijając kajdany na nogach, przypominali zwykłych ludzi, zresztą nie czuli się od nich inni. Ci, którzy jeszcze nie stawali przed sądem, a było ich pięciu, nie mogli liczyć na ułaskawienie, ale wszyscy po wyroku byli pełni nadziei. W ich prostych umysłach nie mieściło się rozróżnienie między Bogiem a radzą, obaj znajdowali się zbyt wysoko nad nimi, ale strażnik był bardziej wykształcony i odważył się spytać o zdrowie Jego Wysokości.

- Znaczne polepszenie - odparł szaman. W rzeczywistości radza już nie żył, nocna ceremonia za bardzo nadwerżyła siły starca. Śmierć ukrywano, by nie przyćmiła blasku uroczystości. Lekarz hinduski, sekretarz osobisty i zaufany sługa pozostali przy zwłokach, natomiast Azizowi przypadł obowiązek pokazania się ludziom i wprowadzenia ich w błąd. Bardzo lubił starego władcę i może przy jego następcy nie będzie mu się dobrze wiodło, ale nie mógł jeszcze brać sobie do serca takich spraw, bo sam uległ złudzeniom, które pomagał tworzyć. Dzieci wciąż biegały dokoła, polując na żabę, którą chciały wpuścić Mohammedowi Latifowi do łóżka, małe głuptasy. W ogrodzie przy domu były setki żab, ale one się uparły, żeby złapać żabę w forcie. Zameldowały, że w dole widać dwa tropikalne hełmy. Fielding i jego szwagier, zamiast odpoczywać po podróży, wspinali się w stronę grobu świętego.

- Obrzucić ich kamieniami? - zapytał Karim.

- Wsypać im sproszkowanego szkła do betelu?
- Ahmed, chodź no tu, co za niegodziwość! - Podniósł rękę, żeby uderzyć swojego pierworodnego, ale rozmyślił się i pozwolił

281

mu ją ucałować. Dobrze było mieć synów przy sobie właśnie w tym momencie i wiedzieć, że go kochają i są dzielni. Wy tłumaczył im, że Anglicy są gośćmi rządu, więc nie należy ich truć, i jak zawsze uzyskał łagodną, ale entuzjastyczną zgodę na swoje słowa.

Dwaj turyści weszli do ośmiokątnego ogrodzenia, ale natychmiast stamtąd wypadli ścigani przez pszczoły. Biegali w kółko, uderzając się rękami po głowach; dzieci popiskiwały szyderczo, a z nieba, jak gdyby wyjęto z niego korek, runęła nagle ulewa. Aziz zamierzał witać się z dawnym przyjacielem, ale ta przygoda wprowadziła go w doskonały humor. Czuł się sprawny i silny.

- Hej, panowie - zawołał - czy coś się może stało?!

W odpowiedzi rozległ się okrzyk szwagra; dopadła go pszczoła.

- Niech pan się położy w kałuży, miły panie, jest ich tu pełno.

Proszę się do mnie nie zbliżać... Nie mam nad nimi władzy, to są pszczoły państwowe. Proszę się poskarżyć na nie Jego Wysokości. - Nie było żadnego niebezpieczeństwa, bo deszcz przybierał na sile. Rój wrócił do grobowca. Aziz podszedł do nieznajomego i wyciągnął dwa żądła z przegubu jego dłoni, mówiąc:

- No, proszę się opanować, niechże pan będzie mężczyzną.
- Jak się masz, Aziz! Kawał czasu! Słyszałem, że się tu urządziłeś?! - zawołał Fielding, ale ton jego głosu nie był przyjazny. -

Chyba te dwa żądła nie są groźne?

- Bynajmniej. Przyślę maść do pawilonu. Słyszałem, że się tam urządziłeś.

- Dlaczego nie odpowiadałeś na moje listy? - spytał Fielding, przechodząc prosto do rzeczy, ale bez powodzenia, bo lało teraz jak z cebra. Jego towarzysz, który był nowicjuszem w tym kraju, zaczął krzyczeć, kiedy krople zabębniły mu po hełmie, że to nowy atak pszczoł. Fielding dość ostro przerwał jego błazeństwa i spytał: - Czy jest jakaś krótsza droga w dół do naszego powozu?

Musimy zrezygnować z przechadzki. Pogoda paskudna.

- Tak. Tędy.

- A ty nie schodzisz?

Aziz złożył komiczny ukłon. Jak wszyscy Hindusi miał wprawę w drobnych impertynencjach. „Drzę cały i jestem posłuszny”, taka była wymowa jego gestu i Fielding to rozumiał. Wyboistą ścieżką zeszli do szosy - na przedzie obaj mężczyźni, dalej szwagier

282

(raczej chłopiec niż dojrzały mężczyzna) bardzo przejęty swoją ręką, która go bolała, na końcu troje indyjskich dzieci, zuchwałych i hałaśliwych. Cała szóstka była przemoczona do suchej nitki.

- Co słychać, Aziz?

- Na zdrowie nie narzekam.

- Czy życie tu coś ci daje?

- A co ci daje twoje?

- Kto zajmuje się pawilonem? - spytał Fielding, rezygnując z powściągliwej próby uratowania czegoś z ich dawnej zażyłości i przybierając bardziej oficjalny ton. Wydawał się starszy i surowszy.

- Prawdopodobnie osobisty sekretarz Jego Wysokości.

- W takim razie gdzie on jest?

1 - Nie wiem.

- Bo od przyjazdu nie widzieliśmy żywej duszy. - | >

- Doprawdy?

- Pisałem wcześniej do Durbaru, pytając, czy moja wizyta jest im na rękę. Zakomunikowano mi, że tak, więc odpowiednio zaplanowałem całą podróż. Ale zdaje się, że służba hotelowa nie otrzymała żadnych dokładniejszych instrukcji, nie możemy dostać jajek, a poza tym moja żona chciałaby się wybrać na przejażdżkę łodzią.

- Są dwie łodzie.

- Właśnie, obie bez wiosła.

- Pułkownik Maggs, kiedy był tu ostatnim razem, połamał wiosła.

- Wszystkie cztery?

- To bardzo silny mężczyzna.

- Jeżeli pogoda się poprawi, chcielibyśmy wieczorem obejrzeć z łodzi waszą procesję z pochodniami - ciągnął Fielding. - Pisałem o tym do Godbole'a, ale nie zareagował. To miasto umarłych.

- Może twój list w ogóle nie dotarł do ministra, o którym wspominasz.

- Czy mogą być jakieś zastrzeżenia co do tego, żeby Anglicy przyglądali się procesji?

- Nie znam tutejszych obyczajów. Mnie w ogóle nie przyszłoby do głowy, żeby przyglądać się procesji.

- W Mudkul i w Deora przyjęto nas zupełnie inaczej, w Deora
283

prześcigano się w uprzejmości, maharadża i maharani chcieli nam pokazać wszystko.

- Nie trzeba było w ogóle stamtąd wyjeżdżać.

- Wskakuj, Ralph - powiedział Fielding, bo dotarli wreszcie do powozu.

- Niech pan wskakuje, panie Qusted, i pan, panie Fielding.

- A który to jest pan Qusted?

- Czyżbym źle wymówił to dobrze znane nazwisko? Czy to nie brat twojej żony?

- A z kim się według ciebie ożeniłem?

- Ja jestem Ralph Moore - powiedział chłopiec, rumieniąc się, a w tej samej chwili deszcz znowu lunął, wzbijając mgiełkę wody wokół ich stóp. Aziz próbował się wycofać, ale było za późno.

- Qusted? Qusted? Nie wiesz, że moja żona jest córką pani Moore?

Aziz zadrżał, twarz mu zsiniała; wiadomość przejęła go wstrętem, nie mógł znieść dźwięku nazwiska Moore.

- Może tu tkwi przyczyna twojego dziwaczego zachowania?

- A co ci się nie podoba w moim zachowaniu?

- Ten nedorzeczny list, który pozwoliłeś Mahmudowi Ali napisać w swoim imieniu.

- Uważam, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego.

- Jak, u licha, mogłeś się tak pomylić? - powiedział Fielding tonem nieco przyjaźniejszym, ale mimo to ironicznym i pogardli-

wym. - To prawie nie do wiary. Napisałem chyba z pół tuzina listów, wymieniając moją żonę z nazwiska. Panna Qusted! Co za niezwykły pomysł! - Z jego uśmiechu Aziz wnosił, że Stella jest piękna. - Panna Qusted jest naszą najlepszą przyjaciółką, poznała nas z sobą, ale... co za zdumiewający pomysł. Aziz, musimy później wyjaśnić to nieporozumienie. To jakaś diabelska sprawka Mahmuda Ali. On doskonale wie, że ożeniłem się z panną Moore. W swoim aroganckim liście do mnie nazwał ją „siostrą Heaslopa”.

To nazwisko zbudziło w Azizie uśpione furie.

- Bo nią jest, a to brat Heaslopa i ty, jego szwagier... i do widzenia. - Wstyd przerodził się we wściekłość, która pozwoliła mu odzyskać szacunek dla samego siebie. - Co mnie obchodzi, z kim się ożeniłeś? Nie narzucaj mi się tu, w Mau, tylko o to cię proszę. Nie chcę ciebie, nie chcę nikogo z was w moim prywatnym

284

życiu. Będę to powtarzał do ostatniego tchu. Tak, tak, popełniłem idiotyczną pomyłkę. Gardź mną, możesz mnie zniechęcić. Myślałem, że się ożeniłeś z moją nieprzyjaciółką. Nie czytałem twoich listów. Mahmud Ali mnie oszukał. Myślałem, że ukradłeś moje pieniądze, ale - klasnął w dłonie i jego dzieci zebrały się wokół niego - jest tak, jakbyś je ukradł. - Po chwili przerwy, wypełnionej krótkimi jak strzały z pistoletu eksplozjami deszczu, powiedział: -Odtąd mam serce tylko dla moich rodaków - i odszedł. Cyryl brnął za nim po błocie, przepraszał, śmiał się trochę, próbował argumentować i odtwarzać wszystko od nowa, dowodząc z nieodpartą logiką, że ożenił się nie z narzeczoną Heaslopa, tylko z siostrą Heaslopa. Jakież to miało znaczenie o tej porze dnia? Aziz zbudował sobie życie na pomyłce, ale przecież zbudował. Powiedział w urdu, żeby dzieci mogły zrozumieć: - Proszę cię, nie idź za nami, wszystko jedno, z kim się ożeniłeś. Nie życzę sobie przyjaźni z żadnym Anglikiem czy Angielką.

Wrócił do domu podniecony i szczęśliwy. Była to dziwna, niesamowita chwila, kiedy

padło nazwisko pani Moore i przywołało wspomnienia. „Esmis Esmur...” jak gdyby zdążała mu na pomoc. Zawsze była tak dobra, a ten młodzieniec, na którego ledwie spojrział, to jej syn Ralph Moore, Stella i Ralph, przyrzekł być dla nich miły, a Stella wyszła za Cyryla.

Rozdział 36

Tymczasem w pałacu nadal rozbrzmiewały instrumenty strunowe i bębny. Objawienie już się skończyło, ale trwał jego skutek, a skutkiem tym było poczucie, że objawienie jeszcze nie nastąpiło. Nadzieja istniała mimo spełnienia, tak jak będzie istniała w niebie. Chociaż Bóg się narodził, jego procesja - przez wielu niesłusznie uważana za same narodziny - jeszcze się nie odbyła. W zwykłych latach środek tego dnia uświetniały przepiękne popisy w prywatnych apartamentach radży. Miał on świętą trupe mężczyzn i chłop-ców, których obowiązkiem było odtańczyć przed nim różne zdażenia i medytacje związane z jego wiarą. Usadowiony wygodnie, mógł się przyglądać Trzem Stopniom, po których Zbawiciel wspiął

285

się na szczyt kosmosu ku przerażeniu Indry, a także patrzeć na śmierć smoka, na górę, która przemieniała się w parasol, oraz na owego sadhu, co wzywał (z zabawnym skutkiem) Boga przed spożyciem obiadu. Punkt kulminacyjny stanowił taniec dójek przed Kryszną i jeszcze wspanialszy taniec Kryszny przed dójkami, kiedy to muzyka i muzycy wirowali wśród granatowych szat aktorów, wwiercając się w ich połyskujące korony, i wszystko stawało się jednością. Radża i jego goście zapominali wówczas, że jest to popis sceniczny, i oddawali cześć aktorom. Nic takiego nie mogło zdarzyć się dzisiaj, albowiem śmierć przerywa wszystko. Tu przerywała może mniej niż w Europie, jej patos jest mniej dominujący, jej ironia nie tak okrutna. Było, niestety, dwóch pretendentów do tronu, którzy znajdując się teraz w pałacu, podejrzewali, co się stało, ale nie robili trudności, bo religia jest w hinduizmie żywą siłą i potrafi w pewnych chwilach stłumić wszystkie niskie i przelotne odruchy w naturze jego wyznawców. Weselono się nadal, dziko i szczerze, ludzie kochali się nawzajem i instynktownie unikali wszystkiego, co mogłoby komuś sprawić przykrość czy ból.

Aziz nie mógł tego zrozumieć, podobnie jak nie rozumiałby tego przeciętny chrześcijanin. Zdumiewało go, że z Mau tak nagle zniknęła podejrzliwość i egoizm. Chociaż był tu obcy i miejscowi ludzie nie dopuszczali go do swoich obrzędów, w tym okresie zawsze starali się być dla niego szczególnie mili; obsypywali go, a wraz z nim jego rodzinę, drobnymi uprzejmościami i upominkami właśnie dlatego, że był

kimś z zewnątrz. Przez cały dzień nie miał nic do roboty poza przesłaniem jakiejś maści do pawilonu dla Europejczyków; przypomniał sobie o tym tuż przed zachodem słońca i rozejrzał się w poszukiwaniu domowego środka uśmie-
rzającego, bo apteka była już zamknięta. Znalazł słoik maści należącej do Mohammeda Latifa, który zresztą nie bardzo chciał się z nią rozstawać, bo w czasie warzenia owego smarowidła wypowiedziano nad nim kilka magicznych słów, ale Aziz przy-
rzekł, że po nasmarowaniu ukłuć odniesie słoik z powrotem: chciał mieć pretekst do przejażdżki.

Kiedy mijał pałac, procesja właśnie zaczynała się formować. Ogromny tłum przyglądał się łaadowaniu reprezentacyjnego palan-kinu, którego dziób w kształcie srebrnego smoka wystawał przez wysokie półotwarte wrota. Bogowie, mali i wielcy, wchodzili na

286

pokład. Aziz odwrócił wzrok, bo nigdy nie miał pewności, ile mu wolno zobaczyć, i o mało nie zderzył się z ministrem oświaty.

- Ach, mógłbym się spóźnić przez ciebie - co miało znaczyć, że dotknięcie kogoś, kto nie jest wyznawcą hinduizmu, spowodowa-
łoby konieczność dodatkowej kąpieli; Godbole wypowiedział te słowa bez pasji moralnej.

- Przepraszam - powiedział Aziz. Tamten uśmiechnął się i po-
nownie wspomniął o Anglikach w pawilonie, a usłyszawszy, że to jednak nie panna Qusted jest żoną Fieldinga, rzekł:

- Ach, nie, on ożenił się z siostrą Heaslopa. Ach, naturalnie, wiedziałem o tym od roku - również bez zacierzenia.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Twoje milczenie wpako-
wało mnie w ładne tarapaty.

Godbole, o którym nigdy nie słyszano, żeby coś komuś mówił, uśmiechnął się znowu i powiedział tonem przygany:

- Nie wolno ci się na mnie gniewać. Jestem, w miarę moich

skromnych możliwości, twoim prawdziwym przyjacielem. Co

więcej, dzisiaj przypada moje uroczyste święto religijne.

Aziz czuł się jak malutkie dziecko w obecności tego dziwnego człowieka, jak dziecko, które nieoczekiwanie dostaje zabawkę. Uśmiechnął się także i kierował konia w boczną uliczkę, bo tłok był coraz większy. Nadchodziła kapela zamiataaczy. Grając na sitach i innych emblematach swojego zawodu, pomaszerowali prosto do bram pałacu z minami zwycięskiej armii. Wszelka inna muzyka ucichła, bo oto, według rytuału, nadszedł moment Wzgardzonych i Odrzuconych; Bóg nie może wyjść ze świątyni, póki nieczyści zamiatacze nie odegrają swej melodii, to oni byli ową plamą brudu, bez której duch nie może być spójny. Przez kilka chwil był to naprawdę wspaniały widok. Drzwi otworzyły się na oścież i wewnątrz okazał się cały dwór, boso i w białych szatach; na przejściu stała Arka Pańska okryta złotogłowiem i obramowana z obu stron wachlarzami z pawich piór i sztywnymi kolistymi chorągiewkami z purpury. Była po brzegi wypełniona posążkami i kwiatami. Kiedy uniosła się z ziemi na ramionach swoich nosicieli, przyjazne słońce pory deszczowej wyjrzało zza chmur i zalało świat barwą, dzięki czemu żółte tygrysy wymalowane na ścianach pałacu zdały się podskakiwać, a różowe i zielone kłębki chmur połączyły się w górnych rejonach nieba. Pałankin ruszył... W uliczkę tłoczyły się reprezentacyjne słonie,

287

które miały pójść za nim, ale ich własne pałankiny były puste na znak pokory. Aziz nie zwracał uwagi na te święte obrządki, bo nie miały związku z nim samym; czuł się znudzony, trochę cyniczny, jak jego ukochany cesarz Babur, który przybył z północy i nie znalazł w Hindustanie ani dobrych owoców, ani świeżej wody, ani dowcipnej konwersacji, ba, nie znalazł nawet przyjaciela.

Uliczka wyprowadziła go szybko z miasta ku wysokim skałom i dżungli. Tu zatrzymał konia i zbadał wzrokiem zbiornik Mau rozpościerający się poniżej, widoczny aż do najdalszego zakrętu. Odzwierciedlając na swej tafli wieczorne chmury, napełniał ziemski padół takim samym splendorem; zdawać się mogło, że niebo i ziemia pochylają się ku sobie i za chwilę zderzą się w ekstazie. Aziz splunął, znowu cyniczny, bardziej cyniczny niż za pierwszym razem. Bo to w środku wypolerowanego koła poruszała się mała czarna plamka - łódź z pawilonu dla Europejczyków. Ci Anglicy wymyślili coś naprędce zamiast wiosel i podjęli swój trud patrolowania Indii. Ten widok prawem kontrastu wzbudził w nim sympatię do hinduizmu; spoglądając za siebie na śnieżnobiały garb pałacu, Aziz miał nadzieję, że

tym ludziom sprawi przyjemność obnoszenie swego bożka, bo ów bożek przynajmniej nie wtrąca się do cudzych spraw. To pozerstwo, to „ogładanie Indii”, które pociągało go ku pannie Quested w Czandrapurze, było tylko pewną formą panowania nad Indiami; nie kryła się za nim żadna chęć zrozumienia. Wiedział dokładnie, co się dzieje na łodzi, kiedy wpatrzeni w stopnie, po których posążek będzie za chwilę zniesiony, Anglicy zastanawiają się, jak blisko mogą podплыnąć, nie narażając się na przykrości ze strony organizatorów.

Nie zrezygnował z dalszej jazdy, bo wiedział, że w pawilonie będzie służba, którą może wypytać; trochę informacji nigdy nie zawadzi. Pojechał ścieżką koło mrocznego cypla, na którym znajdowały się groby królewskie. Podobnie jak pałac, były one ze śnieżnobiałego stiuku i jaśniały swym wewnętrznym światłem, ale w mroku nadchodzącej nocy ich blask wydawał się upiorny. Cypel porastała gęstwina wysokich drzew, od ich gałęzi odrywały się owocożerne nietoperze i z sykiem muskały powierzchnię zbiornika; cały dzień wisiały głową w dół i były teraz bardzo spragnione. Wciąż przybywało oznak spokojnego indyjskiego wieczoru; ze-wsząd kumkanie żab, krowi nawóz wiecznie płonący, a nad głową

288

stadko spóźnionych dzioborożców, które wyglądały jak szkielety, kiedy trzepocząc skrzydłami, fruwały poprzez zmierzch. W powietrzu czuło się śmierć, ale nie smutek; między przeznaczeniem i pragnieniem zawarty został kompromis i nawet serce człowiecze wyrażało nań zgodę.

Pawilon dla Europejczyków stał dwieście jardów nad wodą, na grzbiecie zalesionej ostrogi skalnej, która sterczała z dżungli. Zanim Aziz tam dotarł, woda zbladła już, pokryta liliowoszarą mgiełką, a łódź zniknęła. Na ganku Pawilonu drzemał wartownik, w rozmieszczonych na planie krzyża, opustoszałych pokojach płonęły lampy. Aziz przechodził z pokoju do pokoju, wścibski i złośliwy. Nagrodą za wytrwałość były dwa listy leżące na pianinie, rzucił się na nie i szybko przeczytał. Nie wstydził się tego. Wschód nie uznał nigdy świętości korespondencji prywatnej. Co więcej, McBryde przeczytał kiedyś wszystkie jego listy i rozgłosił ich treść. Jeden z listów leżących na pianinie - bardziej interesujący - był od Heaslopa do Fieldinga. Rzucił pewne światło na mentalność jego dawnego przyjaciela, co jeszcze bardziej wzburzyło Aziza. Sporo tam było o Ralphie Moore, który z listu wydawał się prawie imbecylem... „Mojego brata przekaz dalej, kiedy tylko zechcesz. Piszę do ciebie, bo pewnie w pierwszej chwili zrobi złe wrażenie”. I dalej: „Całkowicie się zgadzam - życie jest za krótkie, żeby pielęgnować urazy, ulżyło mi też, kiedy się

dowiedziałem, że uznałeś za możliwe współpracować w pewnej mierze z ciemężycielami Indii. Potrzebne nam jest teraz jak najszersze poparcie. Mam nadzieję, że kiedy Stella następnym razem zawędruje w moje strony, przywiezie cię ze sobą, a ja urządzę was tak wygodnie, jak może to zrobić kawaler, bo na pewno już czas, żebyśmy się spotkali. Małżeństwo mojej siostry z tobą zaraz po śmierci matki, a także moje własne trudności, wszystko to wytrąciło mnie z równowagi i zachowałem się niezbyt rozsądnie. Pora chyba, żebyśmy to jakoś załatwili, jak sam mówisz - obciążmy konto obu stron. Cieszy mnie wiadomość o twoim synu i dziedzicu. Jak któreś z was będzie znowu pisało do Adeli, niech przekaże jej parę słów ode mnie, bo i z nią chciałbym się pojednać. Masz szczęście, że nie jesteś teraz w Indiach Brytyjskich. Incydent po incydencie, wszystkie na skutek propagandy, ale nie potrafimy dotrzeć do wspólnego źródła. Im dłużej człowiek żyje, tym większej nabiera pewności, że wszystko jest ze sobą powiązane. Osobiście uważam, że to Żydzi".

289

Tyle miał do powiedzenia czerwono nosy młodzieniec. Uwagę Aziza oderwały na chwilę niewyraźne odgłosy dochodzące z przeciwnego brzegu; procesja już ruszyła. Drugi list był od panny Qusted do pani Fielding. Zawierał kilka ciekawych akcentów. Nadawczym wyrażała nadzieję, że „Ralph będzie miał większą przyjemność ze swojej wizyty w Indiach, niż ja miałam z mojej”; wydawało się także, że dała mu pieniądze na ten cel - „mój dług, którego nigdy sama nie spłacę”. Jaki to dług, zdaniem panny Qusted, zaciągnęła ona wobec jego kraju? Azizowi nie podobało się to zdanie. Dalej o zdrowiu Ralpa. Bez przerwy „Ralph i Stella”, nawet „Cyril” i „Ronny” - wszystko tak przyjazne i rozsądne, i napisane w duchu zupełnie dla niego niedostępnym. Zazdrościł im tej łatwości kontaktu, możliwej tylko tam, gdzie kobiety są wolne. Oto pięcioro ludzi, którzy likwidują swoje drobne nieporozumienia i zwierają nadwątlone szeregi w obliczu obcego. Nawet Heaslop miał tu swoje miejsce. Stąd siła Anglii - i w przypływie wściekłości Aziz uderzył w klawisze, a ponieważ młoteczki nabrzmiały od wilgoci i zbiły się trójkami, narobiły sporego hałasu.

- Och, och... kto to? - zabrzmiał nerwowy, pełen szacunku głos; Aziz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go już słyszał. Coś poruszyło się w półmroku przyległego pokoju. Odpowiedział:

- Lekarz nadworny, przyjechał, żeby się dowiedzieć, bardzo

słabo po angielsku. - Wsunął listy do kieszeni i na dowód, że ma wolny wstęp do pawilonu, ponownie uderzył w klawisze.

Z mroku wyłonił się Ralph Moore.

Jakże dziwny miał wygląd ten młodzieniec, wysoki, przedwcześnie nie dojrzały, o wielkich błękitnych oczach, wyblakłych od niepokoju, i z przerzedzonymi, zmierzwionymi włosami. Takie typy nieczęsto eksportuje się z imperium. Lekarz w Azizie pomyślał: „Urodzony ze zbyt starej matki”, poeta uznał go za bardzo pięknego.

- Nie mogłem przyjść wcześniej z uwagi na nadmiar pracy.

Jak się mają słynne ukąszenia? - spytał protekcyjnie.

- Właśnie... właśnie odpoczywałem, uważali, że powinienem...

trochę pulsują.

Jego nieśmiałość i wyraźna „nowość” wywarły dość złożone wrażenie na naszym malkontencie. Z odcieniem groźby w głosie Aziz rzekł:

- Proszę tu podejść, niech spojrzę. - Byli właściwie sami

290

i mógł potraktować pacjenta tak, jak Callendar potraktował Nu-reddina.

- Powiedział pan dziś rano...

- Najlepsi lekarze popełniają błędy. Proszę tu podejść, diagnoza

będzie pod lampą. Mam mało czasu.

- Au...

- Co się stało?

- Pana dłonie są niezycziwe.

Aziz drgnął i przyjrzał się swoim rękom. Ten niezwykle chłopak miał rację, więc schowawszy dłonie za siebie, odpowiedział z widocznym gniewem:

- Co, u diabła, mają z tym wspólnego moje dłonie? To bardzo

dziwna uwaga. Mam dyplom lekarza i nie zrobię panu krzywdy.

- Nie chodzi o ból, nie boli mnie.
 - Nie boli? ^
 - Właściwie nie. -
 - Wspaniała wiadomość - zadrwił Aziz.
 - Chodzi o okrucieństwo.
 - Przyniosłem panu maść, ale jak ją rozsmarować przy takim stanie pańskich nerwów, to nie wiem - rzekł po chwili Aziz.
 - Proszę ją zostawić.
 - Co to, to nie. Zaraz wróci do mojej apteki. - Wyciągnął rękę, a tamten wycofał się na drugą stronę stołu. - No więc chce pan, żebym opatrzył ukąszenia, czy woli pan lekarza angielskiego? Jest w Asirgarh. To czterdzieści mil stąd, a tam w Rainnod jest zerwana. Teraz zna pan już swoją sytuację. Chyba powinienem pomówić o panu z Fieldingiem. Zachowuje się pan naprawdę bardzo głupio.
 - Wy płynęli łodzią - odpowiedział chłopiec, rozglądając się w poszukiwaniu pomocy.
- Aziz udał bezmierne zdumienie.
- Ale chyba nie w stronę Mau. W taką noc ci ludzie stają się fanatykami. - I niczym dla potwierdzenia jego słów zabrzmiał szloch, jakby rozwarły się wargi olbrzyma. Procesja zbliżała się do więzienia.
 - Nie powinien pan nas traktować w taki sposób - rzucił wyzywająco chłopiec i tym razem Aziz znalazł się w szachu, bo głos, jakkolwiek strwożony, nie był słaby.
 - W jaki sposób?

- Doktorze Aziz, nie zrobiliśmy panu nic złego.
- Ach tak, widzę, że pan zna moje nazwisko. Tak, jestem Aziz.

Nie, skąd, wasza wielka przyjaciółka panna Quested nie zrobiła mi nic złego w Marabarze.

Głuszając jego ostatnie słowa, zagrzmiały wszystkie książęce armaty. Sygnałem była rakietą wystrzelona z więziennego ogrodu. Więzień otrzymał wolność i całował śpiewakom stopy. Z domów posypały się płatki róż, ludzie wynosili święte korzenie i kokosowe orzechy... Był to przystanek w pół drogi; Bóg rozszerzył obszar swojej świątyni i odpoczywał triumfalnie. Pomieszane i splątane w czasie drogi wieści o zbawieniu wtargnęły do pawilonu dla Europejczyków. Zaskoczeni wyszli obaj na ganek, zwabiła ich tam nagła iluminacja. Brązowe działo w forcie raz po raz miotało płomienie, miasto było jedną plamą światła, w którym domy zdawały się tańczyć, a pałac trzepotał małymi skrzydełkami. Woda u ich stóp, wzgórze i niebo nad nimi pozostawały jak dotąd na uboczu; nadal tylko trochę światła i pieśni szamotało się wśród bezkształtnych brył wszechświata. Usłyszeli pieśń, bo wielokrotnie ją powtarzano: chór powtarzał i przekręcał imiona bóstw.

Radhakryszna, Radhakryszna, Radhakryszna, Radhakryszna, Krysznaradha,
Radhakryszna, Radhakryszna, Radhakryszna,

śpiewali, budząc śpiącego wartownika w pawilonie; oparł się na swej żelazem okutej włóczni.

- Muszę już wracać, dobranoc - powiedział Aziz i wyciągnął rękę; zapomniał, że nie są przyjaciółmi, i zwrócił się całym sercem ku czemuś o wiele odleglejszemu niż groty, czemuś pięknemu. Jego dłoń została przyjęta, a wtedy przypomniał sobie, jak odrażająco się zachował, i rzekł łagodnie:

- Już pan nie uważa, że jestem niezyczliwy?
- Nie.
- Skąd pan to wie, dziwny człowieku?

- To nietrudne, to jedyne, co zawsze wiem.
- Potrafi pan powiedzieć, czy nieznajomy jest przyjacielem?
- Tak.

292

- Wobec tego jest pan człowiekiem Wschodu. - Mówiąc to, cofnął dłoń i lekki dreszcz przebiegł mu ciało. Te słowa... wypowiedział je w meczecie do pani Moore, na początku owego cyklu, z którego po tylu cierpieniach wreszcie się wyrwał. Nigdy nie przyjaźnić się z Anglikami! Meczeta, groty, meczeta, groty. I oto zaczyna się od nowa. Podał chłopcu magiczną maść. - Proszę to wziąć, proszę myśleć o mnie, kiedy pan będzie jej używał. Nie musi pan zwracać. Muszę dać panu jeden mały upominek, a nie mam nic prócz tego. Pan jest synem pani Moore.

- Tak, jestem - szepnął młody Anglik do siebie; a wtedy owa cząstka duszy Aziza, która dotąd pozostawała w ukryciu, poruszyła się nagle i wydostała na powierzchnię.

- Ale jest pan także bratem Heaslopa i niestety nasze dwa narody nie mogą żyć w przyjaźni.

- Wiem. Jeszcze nie.

- Czy pana matka wspominała o mnie?

- Tak. - I z nagłym załamaniem głosu i pochyleniem ciała, które uszły uwagi Aziza, dodał: - W swoich listach, w listach.

Ona pana kochała.

- Tak, pana matka była moim najlepszym przyjacielem na świecie. - Umilkł, zdumiony rozmiarem swojej wdzięczności. Do czego sprowadzała się ta wieczna dobroć pani Moore? Do niczego, jeśli poddać ją próbie myśli. Nie złożyła zeznań na jego korzyść, nie odwiedziła go w więzieniu, a jednak przeniknęła do samej głębi jego serca i zawsze ją wielbił. - To jest nasz monsun, najlepsza pogoda - powiedział teraz, spoglądając na światła procesji, które falowały, jak gdyby wyhaftowane na poruszającej się kurtynie. - Ach, jaka szkoda, że nie mogła ich zobaczyć, tych naszych deszczów. To czas szczęścia dla wszystkich istot, młodych i starych. Oni tam są szczęśliwi w tym swoim dzikim hałasie, chociaż nie możemy ich zrozumieć. Mają pełne zbiorniki, więc tańczą, i takie są Indie. Wolałbym, żeby pan nie był w towarzystwie urzędników, bo wtedy pokazałbym panu mój kraj, ale nie mogę.

Może wezmę pana na wodę teraz, na krótkie pół godziny.

Czy cykl zaczynał się od nowa? Aziz serce miał zbyt przepełnione, żeby się wycofać. Musi wyjść z ciemności i złożyć ten jeden hołd synowi pani Moore. Wiedział, gdzie są wiosła - ukryte,

293

żeby odstraszyć gości od wycieczek - i przyniósł też drugą parę na wypadek, gdyby spotkali się z tamtą łodzią: Fieldingowie popychali ją dragami i mogli mieć kłopoty, bo zrywał się wiatr.

Kiedy byli już na wodzie, poczuł się swobodniejszy. Jeden dobry uczynek otwierał w nim zawsze drogę następnym i po chwili dał upust swej gościnności, czyniąc honory domu w Mau i wmawiając sobie, że rozumie ową rozpasaną procesję, która, w miarę jak powiększały się zawilości jej rytuału, była coraz bogatsza w światła i dźwięki. Mogli prawie nie używać wiosł, bo rzeński wiatr wiał w kierunku, w którym chcieli płynąć. Ciernie zachrobotwały, ocierając się o dno łodzi, wpakowali się na jakąś

wysepkę i spłoszyli kilka żurawi. Dziwne, krótkotrwałe życie sierpniowej powodzi utrzymywało ich na fali i mogło się zdawać, że będzie trwać wiecznie.

Była to mała łódź bez steru. Skulony na rufie, z zapasową parą wiosła w ramionach, gość nie pytał o szczegóły. Nagle błyskawica przecięła ciemność, a po niej druga - małe czerwone rysy na ołowianym niebie.

- Czy to był radża? - zapytał chłopiec.
- Jak to... o czym pan mówi?
- Niech pan cofnie łódź.
- Ależ nie ma rady... nie ma nic...
- Cofnijmy się, zobaczy pan, o czym mówię.

Azizowi niełatwo było wiosłować pod wzmagający się wiatr. Ale utkwił wzrok w plamce światła, które dobywało się z pawilonu dla Europejczyków, i kilkoma uderzeniami wiosła pchnął łódź do tyłu.

- Tam...

Przez ciemność płynął król, siedział pod baldachimem w lśniących monarszych szatach...

- Nie wiem, co to jest, nie mam pojęcia - wyszeptał Aziz. -

Jego Wysokość nie żyje. Uważam, że powinniśmy wracać.

Byli już obok przyładka grobów i przez lukę między drzewami udało im się dostrzec kaplicę grobową ojca radży. To wyjaśniało wszystko. Aziz słyszał o tej podobiznie - wykonanej ogromnym kosztem, aby wiernie naśladowała życie - ale nigdy nie zdarzyło mu się jej zobaczyć, chociaż często wiosłował po jeziorze. Była widoczna tylko z jednego miejsca i Ralph właśnie tam go skierował.

294

Cofając spiesznie łódź, Aziz pomyślał, że jego towarzysz jest nie tyle turystą, co przewodnikiem.

- Wrócimy już? - zapytał.
- Procesja jeszcze trwa.

- Wolałbym się nie zbliżać... mają takie dziwne zwyczaje, mogliby zrobić panu krzywdę.

- Trochę bliżej.

Aziz usłuchał. Wiedział sercem, że jest to syn pani Moore, i doprawdy, póki jego serce nie włączyło się, nie wiedział właściwie nic. „Radhakryszna, Radhakryszna, Radhakryszna, Krysznaradha”, zawodził chór, potem nagle nastąpiła zmiana i w przerwie Aziz usłyszał, prawie na pewno, owe zgłoski zbawienia, które rozbrzmiewały w czasie jego rozprawy w Czandrapurze.

- Panie Moore, proszę nikomu nie wspominać, że radża umarł.

To jeszcze tajemnica, nie wolno mi o tym mówić. Udajemy, że żyje, póki trwają uroczystości, żeby się ludzie nie smucili. Czy chce pan podplynać jeszcze bliżej?

- Tak.

Starał się utrzymać łódź z daleka od blasku pochodni, które jak gwiazdy rozjarzyły się teraz na przeciwległym brzegu. Dalej pękały rakiety i huczały działa. Nagle, nadspodziewanie blisko, wynurzył się zza jakiegoś zrujnowanego muru palankin Kryszny i zstąpił po wykutych w skale błyszczących stopniach. Z obu jego stron kłębili się śpiewacy, wśród nich kobieta - szalona, piękna, młoda, święta z kwiatami we włosach. Chwaliła Boga, nie przydając Mu żadnych atrybutów - tak Go rozumiała. I bez atrybutów chwalili Boga inni, widząc Go w różnych organach ciała lub znakach na niebie. Zbiegli na brzeg, stali w płytkich falach, a gdy przygotowano święty posiłek, uczestniczyli w nim wszyscy, którzy czuli się tego godni. Stary Godbole dojrzał łódź, dryfującą w sztormie do brzegu, i zamachał rękami - z gniewu czy radości, tego Aziz nie miał się nigdy dowiedzieć. Powyżej było widać całą doczesną potęgę Mau - słonie, artylerię, tłumy - a wysoko nad nimi rozpętała się straszliwa burza, z początku ograniczona do górnych rejonów nieba. Porywy wiatru zmieszały ciemność ze światłem, tafle deszczu uderzyły z północy, ustały, uderzyły z południa, zaczęły wyrastać w dole, a przez nie przebijali się śpiewacy, wydając z siebie wszelkie tony prócz tonu trwogi i przygotowując

się do rzucenia Boga, Boga we własnej osobie (choć Boga nie można rzucić) prosto w burzę. Tak właśnie co roku rzucono Jego oraz inne rzeczy - małe wizerunki Ganpati, koszyki dziesięciodniowej kukurydzy, miniaturowe wieżyczki po Moharramie -kozły ofiarne, łuski, symbole przemijania; przemijania bynajmniej niełatwego, nie teraz i nie tu, przemijania zrozumiałego tylko wtedy, kiedy jest nieosiągalne: Bóg, którego miano porzucić, był jego symbolem.

Wioska Gokul pojawiła się znowu na swej tacy. Była to namiastka srebrnego posążku, który ani na chwilę nie opuścił kwietnej gęstwiny ołtarza: miała zginąć dla dobra innego symbolu. Jeden ze sług wziął ją w dłonie i zerwał błękitne i białe serpentyny. Był nagi, szeroki w barach, wąski w biodrach - znów triumf indyjskiego ciała - i dziedzicznie piastował urząd tego, który zamyka bramy zbawienia. Wszedł w mroczne wody, pchając wioskę przed sobą, aż gliniane laleczki zsunęły się ze swych krzesel i zaczęły topnieć w ulewie, a król Kansa stopił się w jedno z ojcem i matką Pana. Małe fale, ciemne i gęste, chlupotały cicho, potem uderzyła wielka fala, a potem ktoś zawołał po angielsku: „Uwaga!”.

Łodzie się zderzyły.

Czwórka obcych wyciągnęła ramiona. Zwarła się ze sobą i zaczęła wirować - najeżona sterczącymi wiosłami i drągami - jak mityczny potwór w trąbie powietrznej. Tłum wiernych zawył z gniewu czy uciechy, gdy oni dryfowali bezradnie w kierunku sługi. Ten czekał na nich z wyrazem obojętności na pięknej ciemnej twarzy, aż taca, na której topniały ostatnie okruchy gliny, uderzyła w nich.

Wstrząs był minimalny, ale Stella, która znajdowała się najbliżej, padła w ramiona męża, pochyliła się do przodu i wreszcie runęła na Aziza, jednocześnie wywracając łódź. Zanurzyli się w cieplej, płytkiej wodzie i wstali z trudem wśród piekielnego zgiełku. Wiosła, święta taca, listy Ronny'ego i Adeli - wszystko to unosiło się bezładnie na powierzchni. Strzelano z dział i bito w bębny, słonie trąbiły, aż w końcu zagłuszając wszystko, potężny grzmot, któremu nie towarzyszyła błyskawica, uderzył z siłą młota w niebieską kopułę.

To był punkt kulminacyjny, jeżeli w Indiach taki punkt w ogóle istnieje. Deszcz zabrał się sumiennie do dzieła, mocząc gruntownie

kosztowne chorągiewki w kształcie krążków. Część pochodni pogasła, fajerwerki nie chciały się zapalać, śpiewy zaczęły przycichać, a taca powróciła do profesora Godbole'a, który oderwał przylepioną do niej grudkę błota i bez większych ceremonii rozmazał ją sobie na czole. To, co się stało, stało się, i podczas gdy intruzi doprowadzali się do porządku, tłumy wierzących rozpoczęły bezładny powrót do miasta. Posążek również powrócił, aby następnego dnia umrzeć własną, prywatną śmiercią, kiedy to przed świętym grobem dynastii zostaną opuszczone karmazynowo-zielone zasłony. Jeszcze jakiś czas trwały śpiewy... wystrzępione brzegi religii... niewiele warte i mało dramatyczne zmagania... „Bóg jest miłością”. Spoglądając wstecz na wielką mgławicę ostatnich dwudziestu czterech godzin, nikt nie potrafiłby orzec, gdzie było jej emocjonalne jądro, tak jak nie umiałby zlokalizować jądra chmury.

Rozdział 37

Znowu jako przyjaciele, lecz świadomi, że już się więcej nie spotkają, Aziz i Fielding wyruszyli na ostatnią przejażdżkę po dżungli Mau. Wody opadły i radża oficjalnie zmarł, więc grupa gości z pawilonu odjechała następnego ranka, jak tego wymagały dobre obyczaje. Żałoba z jednej strony, nastrój świąteczny z drugiej sprawiły, że wizyta okazała się nieudana. Fielding właściwie nie widział Godbole'a, który codziennie obiecywał oprowadzić go po College'u imienia króla i cesarza Jerzego Piątego, co było głównym celem wizyty, ale zawsze znajdował jakąś przeszkodę. Tego po-południa Aziz wyjawiał, co zaszło: college został przekształcony w spichlerz i minister oświaty nie bardzo chciał się do tego przyznać swojemu dawnemu dyrektorowi. Otwarcia szkoły dokonał doradca gubernatora zaledwie ubiegłego roku i na papierze szkoła nadal rozkwitała; Godbole miał nadzieję, że wznowi naukę, zanim ktokolwiek zauważy brak tej uczelni, i że zgromadzi znowu uczniów, zanim oni sami spłodzą dzieci. Fielding śmiał się z tego bałaganu i marnotrawstwa energii, ale nie podróżował już z tak

297

małym bagażem, jak niegdyś; oświata była jego stałą troską, bo od niej zależały jego zarobki i dobrobyt rodziny. Wiedział, że niewielu Hindusów uważa oświatę za coś z gruntu dobrego, i bolał nad tym z wielu powodów. Zaczął mówić przykre rzeczy na temat państw indyjskich, ale życzliwość Aziza zbiła go z tropu. Tak czy owak, to pojednanie należało uznać za wielki sukces. Po zabawnej katastrofie na jeziorze nie było już żadnych dziwactw ani rozgoryczenia i obaj powrócili ze śmiechem do dawnej zażyłości, jak gdyby się nic nie zdarzyło. Jechali teraz wśród ładnych

krzeńców i skał. Nagle znaleźli się w pełnym słońcu i ujrzeli trawiaste zbocze iskrzące się od motyli oraz kobrę, która pełzła sobie spokojnie po trawie i zniknęła między flaszowcami. Na niebie widać było białe kolisty obłoki, na ziemi białe kałuże; wzgórza w oddali zdawały się purpurowe. Krajobraz przypominał park, jak w Anglii, ale mimo to był niesamowity. Zatrzymali konie, żeby przepuścić kobrę, i Aziz pokazał Fieldingowi list, który chciał wysłać do panny Quested. Czarujący list. Pragnął podziękować swej dawnej nieprzyjaciółce za jej ładne zachowanie przed dwoma laty: teraz było zupełnie oczywiste, że zachowała się jak należy. „Kiedy wpadłem do naszego największego zbiornika w Mau, a było to w okolicznościach, które opiszą nasi przyjaciele, pomyślałem sobie, jak dzielna była panna Quested, i postanowiłem jej o tym powiedzieć, mimo niedoskonałej angielszczyzny. Dzięki pani żyję tu szczęśliwie z moim dziećmi, zamiast być w więzieniu. Nauczę moje dzieci, by mówiły o pani z największym przywiązaniem i szacunkiem”.

- Panna Quested będzie bardzo rada. Cieszę się, że doceniłeś wreszcie jej odwagę.

- Chcę być dobry dla wszystkich i na zawsze wymazać z pamięci tę nieszczęsną historię Marabaru. Zachowałem się obrzydliwie, kiedy uznałem, że chodziło ci o moje pieniądze. To była tak ohydna pomyłka jak sama grotka.

- Aziz, chciałbym, żebyś pomówił z moją żoną. Ona też uważa, że Marabar został wymazany z pamięci.

- Jak to?

- Nie wiem, może ona ci to powie, mnie nie chce powiedzieć.

Ma poglądy, których nie podzielam... prawdę mówiąc, kiedy nie jestem z nią, uważam je za śmieszne. Kiedy jesteśmy razem,

298

chyba dlatego, że tak za nią przepadam, czuję się inaczej, czuję się na pół martwy, na pół ślepy. Moja żona za czymś goni. Ty i ja, i panna Quested nie gonimy, z grubsza mówiąc, za niczym. Jedziemy sobie spokojnym kłusem, najprzyzwoiciej jak umiemy, ty trochę w przódzie - wzorowe małe towarzystwo. Ale mojej żony nie ma wśród nas.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy Stella nie jest ci wierna?

To mnie napawa głębokim niepokojem.

Fielding zawahał się. Małżeństwo nie dawało mu pełnego zadowolenia. W sensie fizycznym odnalazł dawną namiętność -ostatni zryw przed obciążeniami wieku średniego - ale wiedział, że żona nie kocha go tak, jak on ją kocha, i wstydził się, że prześladowuje Stellę swoją miłością. Jednakże w czasie pobytu w Mau sytuacja uległa poprawie. Wydawało się, że wreszcie połączyła ich więź - owa więź niezależna od żadnego z uczestników, a tak niezbędna we wszelkich wzajemnych stosunkach. Mówiąc językiem teologii, ich związek został pobłogosławiony. Mógł spokojnie zapewnić Aziza, że Stella jest mu nie tylko wierna, ale prawdopodobnie będzie jeszcze wierniejsza; i starając się wyjaśnić coś, co nie było jasne dla niego samego, dodał stłumionym głosem, że różni ludzie mają różne punkty widzenia.

- Jeżeli nie chcesz mówić o Marabarze ze Stella, dlaczego nie pomówisz z Ralphem? To właściwie bardzo mądry chłopak.

I (używam tej samej metafory) jedzie trochę za nią, chociaż razem z nią.

- Ralphowi też wspomnij, że nie mam mu nic do powiedzenia, ale jest naprawdę mądrym chłopcem i zawsze będzie miał indyjskiego przyjaciela. Kocham go między innymi dlatego, że przywiódł mnie z powrotem do ciebie, żebyśmy się mogli pożegnać. Bo to jest pożegnanie, Cyrylu, chociaż sama myśl o tym zepsuje nam przejażdżkę i napelni nas smutkiem.

- Nie, nie będziemy o tym myśleć. - On też czuł, że jest to ich ostatni swobodny kontakt. Wszystkie głupie nieporozumienia zostały wyjaśnione, ale w sensie towarzyskim nie mieli wspólnego gruntu, na którym mogliby się spotykać. On sam, poślubiwszy swoją rodaczkę, zdecydował się dzielić los Anglików w Indiach, przyswajał sobie niektóre spośród ich wad i zaczynało go już zdumiewać własne bohaterstwo w przeszłości. Czy dziś rzuciłby

wyzwanie wszystkim swoim współziomkom w obronie jakiegoś przypadkowego Hindusa? Aziz stał się czymś w rodzaju memento, trofeum, byli nawzajem z siebie dumni, a przecież muszą się nieuchronnie rozstać. Powiedział: - Z jej punktu widzenia Mau okazało się sukcesem. Uspokoilo ją... oboje z Ralphem bywają nadmiernie nerwowi. Znalazła tu coś kojącego, jakieś rozwiązanie swoich dziwacznych strapień. - Po chwili milczenia wypełnionego miliardem pocałunków wokół nich, gdzie ziemia wchłaniała w siebie wodę - mówił dalej: - Czy wiesz coś o tej historii z Kryszną?

- Mój kochany, oficjalnie nazywa się to Gokul Asztami. Wszystkie urzędy są zamknięte, ale poza tym, dlaczego miałoby dotyczyć ciebie i mnie?

- Gokul to wioska, w której urodził się Kryszna... no, powiedzmy, że się tam urodził, bo są tu takie same wahania między Gokul i inną wsią, jak między Betlejem i Nazaretem. Ja chciałbym zrozumieć stronę duchową, jeżeli taka istnieje.

- Ze mną nie warto mówić o hinduistach. Życie wśród nich niczego więcej mnie nie nauczy. Kiedy sobie wyobrażam, że ich denerwuję, wcale tak nie jest. Kiedy sobie wyobrażam, że ich nie denerwuję, właśnie jest na odwrót. Może mnie wyrzucą za to, że się władowałem do tego ich domu lalek. Z drugiej strony, może podwoją mi pensję. Czas pokaże. Ale dlaczego tak się nimi interesujesz?

- To trudno wytłumaczyć. Właściwie nigdy ich nie rozumiałem i nie lubiłem, z wyjątkiem Godbole'a, i to od czasu do czasu i tylko trochę. Czy ten stary wciąż jeszcze mówi „Przyjdź, przyjdź”?

- Chyba tak.

Fielding westchnął, otworzył usta, zamknął je i wreszcie powiedział, śmiejąc się z cicha:

- Nie umiem tego wytłumaczyć, bo to nie da się wyrazić słowami, ale dlaczego moja żona i jej brat lubią hinduizm, chociaż nie interesują się jego formą zewnętrzną? Nie chcą mówić ze mną o tym. Wiedzą, że uważam pewną stronę ich życia za nieporozumienie i to ich onieśmiela. Dlatego chciałbym, żebyś ty z nimi porozmawiał, bo jesteś człowiekiem Wschodu.

Aziz nie odpowiedział. Nie chciał się już spotykać ze Stellą

1 Ralphem, rozumiał doskonale, że i oni nie chcą się z nim

300

widzieć, nie był ciekaw ich tajemnic i wydawało mu się, że stary, poczciwy Cyryl jest trochę nietaktowny. Coś - nie widok, lecz dźwięk - przemknęło obok niego i kazało mu ponownie przeczytać list do panny Quested. Czy nie chciał powiedzieć jej czegoś więcej? Wyjął pióro i dopisał: „Jeżeli idzie o mnie, będę odtąd łączył panią z nazwiskiem, które jest dla mnie święte, mianowicie z nazwiskiem pani Moore”. Kiedy skończył, zwierciadło krajobrazu było strzaskane, łąka rozdrobniła się na motyle. Poemat o Mekce... Kaaba Przymierza... cierniste głogi, w których pielgrzymi umierają, zanim ujrzą Przyjaciela... wszystko to przemknęło koło niego teraz; pomyślał o swojej żonie. A wtedy nadszedł koniec całej tej na pół mitycznej, na pół zmysłowej przemiany, tak charakterystycznej dla jego życia duchowego, jakby to było obsunięcie się ziemi, i wszystko wróciło na swoje właściwe miejsce, a on znalazł się na przejażdżce po dżungli w towarzystwie drogiego Cyryla.

- Och, bądź cicho - powiedział. - Nie psuj naszych ostatnich chwil głupimi pytaniami. Daj spokój Krysznie i pomówmy o czymś rozsądnym.

I tak się stało. W drodze powrotnej do Mau cały czas spierali się o politykę. Obaj nabrali wewnętrznej siły od czasów Czand-rapuru i taka ostra utarczka okazała się

czymś miłym. Ufali sobie, chociaż mieli się rozstać, może właśnie dlatego, że mieli się rozstać. Fielding „nie widział już żadnego pożytku z uprzejmości”, przez co chciał powiedzieć, że Imperium Brytyjskiego naprawdę nie można obalić, ponieważ jest nieuprzejme.

- Doskonale - odparował Aziz - a my nie widzimy żadnego pożytku z was - i wbił w niego wzrok z wyrazem abstrakcyjnej nienawiści. Fielding powiedział:

- Bez nas Hindusi natychmiast schodzą na psy. Weź taki College imienia króla i cesarza! Pomyśl o tym, jak odchodzisz od medycyny i wracasz do szamaństwa. Pomyśl o swoich wierszach.

- Całkiem dobre wiersze, wydają mnie w Bombaju.

- Tak, ale o czym one mówią? Uwolnijcie nasze kobiety, a Indie będą wolne. Sam tego spróbuj, mój chłopcze. Przede wszystkim uwolnij swoją własną panią, a zobaczysz, kto będzie mył buzie Ahmedowi, Karimowi i Dżamili. Miła perspektywa!

Aziz wyraźnie się podniecił. Uniósł się w strzemionach i ściągnął wodze w nadziei, że koń stanie dęba. Wtedy poczułby się jak w bitwie.

301

- Wynoście się stąd wszyscy! - krzyknął. - Wszystkie Turtony i Burtony! Chcieliśmy was znać dziesięć lat temu... teraz już za późno. Jeżeli się z wami spotykamy i zasiadamy w waszych komisjach, to tylko ze względów politycznych, nie łudźcie się, że jest inaczej. - Koń rzeczywiście stanął dęba. - Wynoście się stąd, wynoście się, powiadam. Dlaczego musimy tyle cierpieć? Dawniej obwinialiśmy was, teraz obwiniamy samych siebie, stajemy się mądrzejsi. Póki Anglia jest w kłopotach, siedzimy cicho, ale

w następnej wojnie europejskiej - ho, ho! Wtedy nadejdzie nasz czas. - Umilkł, a krajobraz wokół nich, chociaż się uśmiechał, legł niczym kamień nagrobny na wszelkich ludzkich nadziejach. Przegalopowali koło świątyni Hanumana - Bóg tak ukochał świat, że przyoblekł ciało małpy - i koło świątyni siwaistycznej, która zachęcała do rozkoszy, ale pod pozorami wieczności, a jej sprośność nie miała żadnego związku ze sprośnością naszej krwi i ciała. Jechali, rozbryzgując motyle i żaby; ogromne drzewa o liściach jak talerze rosły pośród krzaków. Powracał cykl codziennego życia, świątynia była już prawie zamknięta.

- Kogo chcecie zamiast Anglików? Japończyków? - szydził Fielding, ściągając cugle.
- Nie, Afgańczyków. Moich przodków.
- Och, twoi przyjaciele hinduisci bardzo by się z tego cieszyli, prawda?
- To się załatwi na konferencji polityków Wschodu.
- O tak, to się załatwi.
- Pewnie chodzi ci o tę starą piosenkę: „Złupimy wszystkich mężczyzn i zgwałcimy wszystkie kobiety od Peszawaru po Kalkutę”, którą każecie powtarzać jakiemuś chłystkowi i potem cytujecie każdego tygodnia w „Pionierze”, żeby nas nastraszyć i żebyśmy was tu zatrzymali! My to wiemy! - Swoją drogą nie mógł jakoś dopasować Afgańczyków do Mau i zrozumiawszy, że zapędził się w ślepią uliczkę, ponownie ściągnął wodze, a gdy koń stanął dęba, przypomniał sobie w końcu, że ma, albo powinien

mieć, jakąś ojczyznę. Wtedy zawołał: - Indie będą państwem!
Żadnych cudzoziemców! Hinduisci i muzułmanie, i Sikhowie,
wszyscy będą zjednoczeni! Hura! Niech żyją Indie! Hura! Hura!

- Indie państwem! Cóż za apoteoza! Ostatni członek owej
bezbarwnej dziewiętnastowiecznej rodziny! Oto wkraczają ociężale

302

w tej właśnie godzinie dziejów, żeby zająć należne sobie miejsce! One, którym równe
było jedynie Święte Cesarstwo Rzymskie, zajmą może miejsce obok Gwatemali i
Belgii! - Fielding znów szydził, natomiast Aziz w straszliwej furii tańczył na swoim
koniu i nie wiedząc, co robić, wrzeszczał:

- W każdym razie precz z Anglikami. To pewne. Wyoście
się, wy wszyscy, byle prędko, mówię wam. Możemy jedni drugich
nienawidzić, ale my was nienawidzimy bardziej. Jeżeli ja was nie
wypędzę, wypędzi was Ahmed, wypędzi was Karim, i choćby to
miało trwać pięćdziesiąt razy po pięćset lat, pozbędziemy się was,
tak, zapędzimy do morza każdego przeklętego Anglika, a potem... -
natarł na niego wściekle - a potem - zakończył, lekko go całując -
ty i ja będziemy przyjaciółmi.

- Dlaczego nie możemy być przyjaciółmi już teraz? - spytał
Fielding, obejmując go serdecznie. - Ja tego chcę. Ty tego chcesz.

Ale konie tego nie chciały - odskoczyły od siebie; nie chciała tego ziemia,
zagradzając drogę skałami, przez które jeźdźcy musieli przejeżdżać jeden za drugim.
Świątynie, zbiornik, więzienie, pałac, ptaki, padlina, pawilon dla Europejczyków,
który się ukazał, kiedy wynurzyli się spomiędzy drzew i zobaczyli pod sobą Mau:
one wszystkie tego nie chciały, mówiąc tysiącem głosów: „Nie, jeszcze nie”, gdy
tymczasem niebo mówiło: „Nie, nie tam”.

Weybridge 1924

